

Pełen napięcia pojedynek umysłów
mordercy i policjanta!

ŚMIERĆ TŁUMACZA

A hand is visible, pointing forward, emerging from a body covered in a red sheet. The scene is lit with a strong red light, creating a dramatic and ominous atmosphere.

PAWEŁ POLLAK

OFICYNKA
WYDAWNICTWO

PAWEŁ POLLAK

ŚMIERĆ
TŁUMACZA



OFICYNKA
WYDAWNICTWO



Copyright © Oficynka & Paweł Pollak, Gdańsk 2022

Wszystkie prawa zastrzeżone.
Książka ani jej część nie może być przedrukowywana
ani w żaden inny sposób reprodukowana lub odczytywana
w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody Oficynki.

Wydanie pierwsze w języku polskim, Gdańsk 2022

Redakcja: Agnieszka Kaliszewska

Korekta: Anna Marzec

Skład: Dariusz Piskulak

Projekt okładki: Pola I Daniel Rusiłowiczowie KavStudio
Zdjęcia na okładce: © shutterstock

ISBN 978-83-67204-07-1



www.oficynka.pl
tel:691962519
e-mail: oficynka@oficynka.pl

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Część 1

Część 2

Epilog

Przypisy.

Część I

Paczkę z wydawnictwa otworzył z niecierpliwością narkomana sięgającego po heroinę i z dwudziestu identycznych książek jedną wziął do ręki. Na granatowym tle okładki widniała szarawa twarz z zamkniętymi oczami, pewnie miała przedstawiać ofiarę zabójstwa. Dużymi białymi literami podano nazwisko autora: Stieg Larsson. Pod spodem znacznie mniejszymi w kolorze żółtym tytuł: „Mężczyźni, którzy nienawidzą kobiet”. Ale to wszystko mało go interesowało. Czym prędzej otworzył na stronie tytułowej i wpatrzył się w tekst, który nappełnił go dumą: „Przeżył ze szwedzkiego Zenon Naczyński”.

Podszedł do barku i nalał czerwone bordeaux do kieliszka. Normalnie nie pił alkoholu w ciągu dnia, ale okazja była wyjątkowa. Usiadł z winem w fotelu, przyciągnął do siebie paczkę z książkami i zaczął przeglądać pozostałe egzemplarze. Ale nie po to, by upewnić się, że drukarnia nie popełniła błędu. Napawał się swoim sukcesem. Potrzebował go. Miał udane życie: kochającą, wierną żonę, zdrowe dzieci, sprawiające wyjątkowo mało problemów jak na swój nastoletni wiek, popłatną pracę, którą bardzo lubił, a czegoś jednak brakowało. W czterdzieste urodziny zadał sobie pytanie „Czy to już wszystko?”. Czy nie osiągnie nic więcej niż przeciętny przedstawiciel tak zwanej klasy średniej? Czy nie dokona niczego, co sprawiłoby, że ludzie spojrzeliby na niego z podziwem?

Odpowiedź przyszła wraz z urodzinowym prezentem. Żona podarowała mu książkę pod tytułem „Män som hatar kvinnor”. Musiała zadać sobie dużo trudu, nie znała szwedzkiego – z wykształcenia była ekonomistką – nie orientowała się w literackich trendach, w ogóle w porównaniu z nim mało czytała. Ale nie kupiła książki na chybił trafił, byle po szwedzku, poradziła się jego kolegi ze studiów, co wartościowego, co ciekawego ukazało się w ulubionym przez jej męża gatunku, kryminalne, i poprosiła o pomoc w ściągnięciu zarekomendowanej powieści.

Wziął się za nią przed snem. Nie dlatego, że jako szczególnie go zainteresowała, tylko zawsze czytał przed snem. Pół godziny. Ta regularność sprawiała, że czytał z pięćdziesiąt powieści w ciągu roku, mimo iż rzadko zaszywał się z książką w kącie na dłużej.

Tym razem jednak po półgodzinie nie odłożył woluminu na nocny stolik. Nie zrobił też tego po godzinie ani dwóch. Rano nadal przewracał kartki. Nie usiadł do komputera, by tłumaczyć dokumenty, wyłączył telefon, kiedy zaczęli dzwonić klienci. A gdy pod wieczór dotarł do ostatniej strony, wiedział, że ma w rękę hit.

Sprawdził w internecie, „Män som hatar kvinnor” ukazało się ledwie przed miesiącem, był to literacki debiut Stiega Larssona. Niestety, pośmiertny, autor nie doczekał wydania, zmarł stosunkowo wczesnie, bo w wieku pięćdziesięciu lat na zawał serca. Oznaczało to, że nic więcej już nie napisze, Naczyński wynalazł jednak informację, że „Mężczyźni, którzy nienawidzą kobiet” stanowią pierwszą część gotowej trylogii. Trzy książki to niedużo, ale...

Kryminały cieszyły się w Szwecji ogromną popularnością, osiągały gigantyczne nakłady. Twórcy, hołubieni przez czytelników, dostający stypendia od państwa, samorządów i rozlicznych fundacji, mogli w spokoju szlifować warsztat i wznosić się na wyżyny swoich umiejętności. Poziomem zaliczali się do pierwszej światowej ligi, mimo to za granicą się nie przebijali. Owszem, tłumaczono ich, ale daleko im było do popularności i nakładów amerykańskich autorów. A już najmniej nad Wisłą. „Zamachowiec” Lizy Marklund, który w osmiomilionowej Szwecji w pół roku po wydaniu sprzedał się w siedmiuset tysiącach egzemplarzy, w Polsce po takim samym czasie trafił do księgarni taniej książki, gdzie nadal nie było nań popytu. „Sprawa Ewy Moreno” dobiła skandynawską serię wydawnictwa Cymelia, chociaż w ojczyźnie Håkana Nessera okupowała listy bestsellerów i została sfilmowana.

Dotychczasowe niepowodzenia nie musiały jednak oznaczać, że kryminał szwedzki nie ma w Polsce szans na popularność. To trochę jak z bardzo dobrym autorem, którego powieści przechodzą bez rozgłosu. Gdy któraś z kolei zacznie się sprzedawać, czytelnicy będą pytać w księgarniach też o poprzednie, mimo że wcześniej ich nie chcieli. Tylko ta czwarta czy piąta musi chwycić. Zostać dostrzeżoną. Niekoniecznie ze względu na swoje walory. Czasami potrzebny jest lut szczęścia, jakieś wydarzenie, które postawi ją w świetle reflektorów.

Zdaniem Naczyńskiego za takie wydarzenie dla kryminału szwedzkiego należało uznać pojawienie się powieści Larssona. Była tak znakomita, że musiała pociągnąć za sobą pozostałe, też przecież wysokiej jakości. Te pozostałe stanowiły piasek, który szwedzcy autorzy dotąd cierpliwie sypali na wywrotkę, książka Larssona dźwignię, która pozwalała przechylić skrzynię i zasypać tym piaskiem inne kraje.

Moęła pociągnąć, wcale nie musiała. Swoją prognozę opierał przecież nie na faktach, tylko na wyczuciu, na intuicji. Wspartej nie badaniami rynku, lecz znajomością setek kryminałów. Bardzo wątpliwa podstawa do dokonania inwestycji. Czyż jednak najbardziej spektakularnych sukcesów nie odnosili ci, którzy podjęli największe ryzyko? Czy tacy wizjonerzy jak Steve Jobs albo Jeff Bezos nie polegali właśnie na swojej intuicji, kiedy zakładali Apple'a i Amazona?

Poza tym odpowiedź na tradycyjne pytanie asekurantów (albo osób rozsądnych, jak kto woli), „Ile można stracić?“, brzmiała: stosunkowo niewiele. Nie stawiał na szali całego swojego majątku, nawet nie wszystkie oszczędności. Nie rezygnował z pracy, więc gdyby te zainwestowane stracił, spokojnie by je odrobił. Do tego nie stał przed alternatywą: duży zarobek albo duża strata. W razie niepowodzenia nie spadał od razu w przepaść, czekały na niego po drodze dwie siatki zabezpieczające. Gdyby nawet oczekiwany boom na szwedzki kryminał nie nastąpił, sam Larsson mógł się dobrze sprzedać, co pozwoliłoby Naczyńskiemu przynajmniej wyjść na zero. Gdyby pomylił się i w tych rachubach, to przecież szwedzcy autorzy nie zniknęliby zupełnie z polskiego rynku, a więc co jakiś czas wpadałoby mu parę groszy, zmniejszając stratę.

Za to powodzenie inwestycji oznaczało naprawę duże pieniądze. Dotąd był zamożny, teraz stałby się bogaty.

I spełniłyby wreszcie swoje marzenie, zobaczyłyby swoje nazwisko na stronie tytułowej, no, bo skoro do niego należeć będą prawa, to on będzie decydował.

Porozmawiał z żoną i przedstawił jej swój plan. Nie była zachwycona. Jako ekonomistka stała mocno na ziemi. Zdecydowanie wolała wróbla od gołębia. Ale była też dobrym psychologiem (choć to już amatersko). Dostrzegła, że jeśli się nie zgodzi, będzie o tym myślał jako o zaprzepaszczonej szansie. Z początku bez pretensji do niej, ale z czasem zacznie ją obwiniać, tak że ten jego żal stanie pomiędzy nimi, stanowiąc zagrożenie dla ich małżeństwa. Zgodziła się więc.

Następny dzień Naczyński zaczął od telefonów do przekładających literaturę szwedzką, by wypytać, jak wygląda kupowanie praw do wydania szwedzkiej książki na polskim rynku. Pierwsza tłumaczka, do której zadzwonił, Janina Cedro, mimo sporego dorobku nie potrafiła nic mu powiedzieć. Dostawała zlecenie na przekład i skupiała się na tłumaczeniu, wydawnicza kuchnia zupełnie jej nie interesowała. Można by powiedzieć, że chwalebnie koncentrowanie się na swoim zadaniu, bo mądrzej rozwijać własny warsztat, niż gromadzić zbędną wiedzę, gdyby nie to, że kolejny tłumacz, uchodzący za znacznie lepszego od niej, okazał się znawcą tematyki wydawniczej. Naczyński miał pewne obawy, by do niego zadzwonić, facet uchodził za humorzystego i opryskliwego, nie był też lubiany, gdyż nie oglądając się na fałszywie pojętą solidarność zawodową, potrafił zjechać cudzy przekład, wytykając bezlitośnie wszystkie błędy. Wbrew tym obawom agent literacki in spe natrafił na sympatycznego i pomocnego człowieka. Może tłumacz akurat był w dobrym humorze, ale chętnie wprowadził Naczyńskiego w zawiloci wydawniczej tematyki. Znał się na tym i wyraźnie się nią pasjonował. Rozmawiali przez telefon blisko godzinę i przez tę godzinę Naczyński dowiedział się wszystkiego, co mu było potrzebne. Chcąc wyrazić swoją wdzięczność, zaproponował rozmówcy gratyfikację i wtedy przekonał się, że pogłoski o jego gburowatości nie miały się z prawdą. Tłumacz najpierw zamilkł, co okazało się wyrazem oburzenia, bo potem rzucił „spierdajaj pan” i się rozłączył.

Urażoną dumę Naczyński uznał za koszt i wsiadł w samolot do Sztokholmu. Nie szukając żadnych tanich linii, stać go było na normalny przelot, zresztą z dnia na dzień za pół darmo pewnie i tak by nie poleciał. Zatrzymał się w niewielkim hoteliku na Kungsholmen, Hilton miał się znaleźć w jego zasięgu dopiero po zakończonej sukcesem inwestycji.

Przez dwa tygodnie odwiedzał wydawnictwa i agencje literackie. Poszło znacznie łatwiej, niż zakładał. Liczył się z odmowami, gdyż nie oferował wydania tłumaczenia od ręki, chciał jedynie nabyć prawa do przekładów książek danego autora jako jego przedstawiciel w Polsce. Na pięć lat. W ciągu tych pięciu lat miał znaleźć wydawcę, który wypuściłby książkę na polski rynek. Gdyby mu się to nie udało, umowa wygasła.

Na każde rozwiązanie można spojrzeć z dwóch stron: Szwedzi mogli uznać, że pośrednik jest zbędny, bo lepiej pobrać od zagranicznego wydawcy pełne tantiemy od sprzedawanej książki niż pomniejszone o prowizję dla tegoż pośrednika. Podeszli jednak do propozycji zdroworozsądkowo: polscy wydawcy nie ustaliali się w kolejce po szwedzkie utwory, należało przyklasnąć temu, że ktoś ich chciał do tego zachęcać. Nawet jeśli trzeba mu było odpałić działkę. Do tego pięć lat w branży wydawniczej to stosunkowo krótko, jeśli ktoś był gotów zapłacić za opcję na prawa (bo tak się to fachowo nazywało) na taki okres, transakcję należało uznać za opłacalną, nawet jeśli z góry by przyjął, że nie zdola doprowadzić do wydania. I Naczyński po kilku rundach negocjacji zorientował się, że za tę samą kwotę z sukcesem może domagać się przekazania mu praw na siedem lub osiem lat.

I kiedy jego samolot kołował na Arlandzie przed powrotnym lotem, Naczyński z zadowoleniem podsumował, że został reprezentantem na Polskę większości szwedzkich „kryminalistów”. Ze znanych nazwisk nie udało mu się pozyskać tylko Lizy Marklund i Henninga Mankella. Agent tej pierwszej, kiedy usłyszał, o jaki kraj chodzi, wykazał taki entuzjazm, jakby zgłosił się do niego wydawca z wysp Tuvalu, i odrzucił propozycję spotkania, a Mankella wydawało w Polsce W.A.B., które w przeciwieństwie do innych wydawnictw, mających w ofercie szwedzkie kryminały, zastrzegło już sobie prawa także do następnych jego książek, bo planowało je opublikować.

Naczyńskiego to nie zmartwiło, najbardziej zależało mu na Stiegu Larssonie, a do niego prawa dostał, poza tym miał w swojej stajni takich tuzów, jak Håkan Nesser czy Åke Edwardson oraz całą rzeszę średnich autorów.

Z których jeden niespodziewanie przyniósł mu zysk na samym początku. Był to Jan Mårtenson, autor poczytnego cyklu, w którym zagadki kryminalne rozwiązywał antykwariusz Johan Kristian Homan. Mårtenson należał do weteranów, książki z tej serii ukazywały się regularnie od lat 70., ale nigdy na polski nie były przekładane. I nagle akurat teraz (jak to przypadek lubi czasami w życiu sprawić) zainteresował się nimi jakiś tłumacz, namówił na wydanie małe poznańskie wydawnictwo, które wyraziło chęć zakupu praw. Zgodnie z umową zostało ono przez Szwedów odesłane do Naczyńskiego, jako tymi prawami dysponującego, i ten zainkasował pierwsze honorarium z tytułu ich odsprzedania, a umowa gwarantowała mu też procent od rozprowadzonego nakładu.

Pierwszą część planu wykonał, przyszedł czas na drugą. Chciał zobaczyć swoje nazwisko na stronie tytułowej przełożonej powieści, ale wiedział, że własnymi siłami nigdy tego nie osiągnie. Było to jego największe życiowe rozczarowanie. Studia filologiczne wybrał dlatego, że chciał tłumaczyć literaturę. Uwielbiał książki, w tamtym czasie właściwie nie wychodził z biblioteki, czytał nie pięćdziesiąt, lecz dwieście powieści rocznie. I nawet mu nie przyszło do głowy, że przy takich zainteresowaniach i chęciach może nie mieć talentu do przekładów literackich. Kubłem zimnej wody okazały się zajęcia z techniki tłumaczeń, kiedy pracowali nad „Futrem”, klasycznym opowiadaniem Hjalmara Söderberga. Poświęcił mu mnóstwo czasu. Modelował każde zdanie, przebierał wśród dziesiątków synonimów, tworzył kolejne wersje przekładu, bo gdzieś przeczytał, że dobry tłumacz nigdy nie zadowolą się pierwszą. Na zajęcia zaniósł, jak mu się wydawało, idealną. I bańka prysła. Nie dlatego, że wykładowca ironicznie stwierdził, że owszem, jest idealna, pod każdym innym względem, tylko nie literackim. Nie zgodziłby się z nim, nie przyjąłby tego do wiadomości, gdyby sam nie usłyszał, jak błąd wypada jego przekład na tle innych. Na tle tych średnich, literacko ledwie poprawnych, od najlepszych dzieliły go lata świetlne.

A profesor i tak nie był skłonny, by ten najlepszy uznać za doskonały.

- Ma duży potencjał, ale niedoświadczenie tłumacza aż bije po oczach. Zapowiada się jednak, panie Stypuła, że za dziesięć lat opublikuje pan perfekcyjne tłumaczenie „Futra”, i mam nadzieję, że tego dożyję, bo chciałbym takie przeczytać, a te dotąd opublikowane, choć niektóre dobre, na miano idealnych w żadnym razie nie zasługują.

Idealne tłumaczenie „Futra” rzeczywiście się ukazało, ale ani wykładowca tego nie dożył, ani jego autorem nie był Witold Stypuła. Prognozy, że kolega Naczyńskiego ze studiów zostanie następcą wybitnego tłumacza literatury szwedzkiej Zygmunta Łanowskiego, nie ziściły się. Nie umiał nakłonić wydawnictwa, by opublikowało książkę, którą chciał przetłumaczyć, i odmawiał przekładania powieści, które uznawał za kiepskie, co gorsza z komentarzem, że nie przyłożył ręki do wciskania czytelnikom takich grafomańskich gniotów. W efekcie nie tylko nie został drugim Łanowskim, ale w ogóle nie załapał się do grona tłumaczy literatury szwedzkiej: nie miał w dorobku ani jednej pozycji.

I dokładnie z tego powodu Naczyński liczył, że Stypuła przyjmie propozycję, z którą się do niego zwrócił, żeby przełożył powieść Larssona w jego imieniu. Że spragniony debiutu zechce zaistnieć jako tłumacz literacki choćby w taki kaleki sposób. Tego, że książka mu się nie spodoba, nie musiał się obawiać, to właśnie Witek doradził jego żonie w wyborze urodzinowego prezentu.

Pewną rolę odgrywały też pieniądze. Nigdy nie byłyby dla Stypuły rozstrzygające, ale w przypadku wahania mogły stanowić języczek u wagi. A nie ulegało wątpliwości, że Stypuła płatnych zleceń potrzebował. To było niesamowite, że dwojgu ludziom, mającym podobne umiejętności i ten sam zawód, wiodło się tak diametralnie różnie. Obaj po skończeniu filologii szwedzkiej zostali tłumaczami przysięgłymi, Naczyński robił na tym pieniądze, a Stypule niejeden miesiąc zdarzało się kończyć na minusie. I nie dlatego, że był niesolidny, przeciwnie, przed terminowym wykonaniem zlecenia mogło mu przeszkodzić jedynie popadnięcie w śpiączkę. Tyle że, podobnie jak w kontaktach z wydawcami, i w tej działalności ujawniał się jego trudny charakter. Lubił powiedzieć klientowi, co o nim (niekoniecznie pochlebnego) myśli, nakrzyczeć, kiedy ten spóźnił się po odbiór, albo wyrzucić za drzwi, kiedy uznał, że klient za dużo marudzi. Tracił więc zleceńodawców, a nowych nie bardzo umiał pozyskiwać, należał do ludzi, którzy zawsze ustawiają się nie tam, gdzie są rozdawane konfitury. A jeśli już dostał propozycję tłumaczenia, to wskutek swojego perfekcjonizmu nieraz ją odrzucał, uznając, że z danej dziedziny ma zbyt małą wiedzę, by należycie to tłumaczenie wykonać, choć wykonałby je dużo lepiej niż dziesiątka fuszerów, która podejmowała się go bez żadnego wahania.

Propozycji kolegi nie odrzucił, a że Naczyński był zdecydowanie lepszy w perswazji, namówił na wydanie kryminału Larssona Cymelię, to samo wydawnictwo, które poległo na Nesserze. Oczywiście nie poszło gładko, wcześniej dostał ze dwadzieścia odmów, ale teraz, po dwóch latach od przeczytania „Män som hatat kvinnor”, wiedział, że ten trud się opłacił i że ze swoją inwestycją trafił w dziesiątkę. Jeszcze wprawdzie pieniądze nie płynęły, ale wszystkie znaki na ziemi i niebie wskazywały, że nie musiał już pytać, czy popłyną, tylko kiedy. I że te wydawnictwa, które mu odmówiły, będą sobie mocno pluły w brodę. Bo dwie pierwsze części trylogii Larssona, „Millennium”, zrobiły furorę w Szwecji, dystansując o kilka długości dotychczasowe bestsellery. Tak samo w Niemczech i we Włoszech, gdzie po „Mężczyznach, którzy nienawidzą kobiet” premiery „Dziewczyny, która igrała z ogniem” wyczekiwano jak kolejnego tomu przygód Harry’ego Pottera, pod księgarniami ustawiały się gigantyczne kolejki. Prawa były sprzedawane do kolejnych krajów, a co najważniejsze kupili je Amerykanie i to od razu z opcją na film. To wróżyło jak najlepiej, gdyż ze szwedzkimi autorami było tak, że owszem, tłumaczono ich na różne języki, ale niezwykle rzadko na angielski, stanowiący przepustkę do naprawdę szerokich rzesz czytelników. I niejeden szwedzki pisarz z pocałowaniem ręki oddałby parę swoich przekładów za ten na język Szekspira.

Również Cymelia zorientowała się, że trafiła na żyłę złota, i kiedy tylko złożył przekład pierwszej części, podpisała z nim umowę na tłumaczenie „Flickan som lekte med elden”. A dzień przed egzemplarzami autorskimi „Mężczyzn” przyszła propozycja umowy na „Zamek z piasku, który runął”.

Naczyński odłożył książkę i sięgnął po leżący na biurku wydruk umowy, by sprawdzić, czy nie wprowadzono jakichś zmian w porównaniu z poprzednimi. Przy umowie na „Dziewczyne, która igrała z ogniem” Cymelia usiłowała go oszukać, twierdząc, że jest identyczna jak pierwsza, gdy w rzeczywistości wiele zapisów zmieniono na jego niekorzyść. Liczono, że podpisze ją bez czytania. Zastanawiał się nawet nad zerwaniem współpracy, ale doszedł do wniosku, że w innych wydawnictwach natrafi na tak samo uczciwych inaczej. Jak to kiedyś powiedziała Agnieszka Holland, jej amerykański agent zajmuje się negocjowaniem dla niej jak najlepszych warunków, a polski pilnowaniem, by jej nie oszukano.

Alé teraz postanowił się odegrać i zażądać od Cymelii znacznie wyższej kwoty za prawa i za przekład. Wiedział, że w świetle sukcesów „Millennium” za granicą teraz się nie wycofają. Podwyżki na pewno się spodziewali – takie były prawa ekonomii, przy zwiększonym popycie rosła cena towaru – ale nie z „premią” za próbę zrobienia go w balona. Przekreślił wpisane sumy i zastąpił je swoimi propozycjami (choć może słowo „ultimatum” byłoby lepsze).

Potem dopisał punkt mówiący, że jego nazwisko ma zostać umieszczone na okładce, a nie tylko na stronie tytułowej. Precedensy były, w czasach PRL-u Wydawnictwo Literackie publikowało serię, w której na okładkach o jednokolorowym tle, pozbawionych jakichkolwiek zdjęć czy obrazów, podawało autora, tytuł i właśnie nazwisko tłumacza. Świeższy pochodził sprzed kilku lat, co więcej dotyczył szwedzkiej powieści. Nazwisko Pawła Pollaka, tego tłumacza, który kazał mu spierdalać po otrzymaniu propozycji wynagrodzenia za objaśnienie wydawniczych zawiłości, zamieszczono na okładce przełożonych przez niego „Zabłąkań” Hjalmara Söderberga. Pollak miał łatwo, bo książkę opublikował w wydawnictwie Kojro. Prowadziła je tłumaczka literatury fińskiej, Bożena Kojro, która nie mogła mieć żadnych oporów, by w taki sposób podkreślić, jak ważną rolę pełni ten pośrednik między czytelnikami a autorem, tworzącym w niezrozumiałym dla nich języku. Ktoś, kto nie wiedział, do jakiego stopnia Pollak był w sobie zadufany, mógłby nawet uznać, że propozycja wyszła z jej strony. Cymelia była jednak z pewnością mniej otwarta na tego rodzaju eksperymenty, więc Naczyński postanowił dołączyć uzasadnienie. Także po to, by rzecz mocniej utkwiała im w pamięci. Bo nawet gdyby się zgodzili, mogli potem zwyczajnie zapomnieć, że mieli na okładce coś dodać.

Zabrał się do redagowania, ale już po kilku pierwszych słowach przerwał mu dzwonek domofonu. Spodziewał się, że to listonosz, tymczasem w słuchawce usłyszał głos Witka.

- To ja. Wpuść mnie.
- To ty? Zgubiłeś komórkę? Wiesz, że nie trawię niezapowiedzianych wizyt.
- Wpuść mnie. Musimy pogadać.

Zanim nieproszony gość przeszedł od furtki do drzwi, Naczyński zdołał opanować swoją irytację wywołaną tym najściem. I tak miał ze Stypułą sprawę do załatwienia, a wołał go przyjmować, kiedy Grażyny nie było w domu. Bo ten wodził za nią takim głodnym wzrokiem, że aż się przykro robiło. Nie dlatego, że akurat w Grażynie się zakochał, wodził wzrokiem za każdą atrakcyjniejszą kobietą, bo żadnej nie miał. Pod tym względem też był niedojdą. Chociaż tym razem należało to raczej kłaść na karb okoliczności niż niedostatków jego charakteru. Na studiach jedna z dziewczyn oskarżyła go o próbę gwałtu. Nic takiego nie miało miejsca, owszem, dobierał się do niej po jakiejś imprezie, ale nie będąc bardziej natarczywym niż inni podpici studenci, którzy usiłowali zrobić z koleżanek leżanki. Co w najgorszym razie kończyło się strzeleniem zalotnika w głowę. Witek miał pecha i skończyło się doniesieniem do prokuratury. Ta sprawę umorzyła, ale nie od razu, przesłuchania, czterdziestoosmiodziesiętny areszt i groźba znalezienia się w nim na trzy miesiące odbiły się na jego psychice, zaczął bać się reakcji dziewczyn na swoje starania, a wiadomo, że ten, kto się o kobiety nie stara, ich nie zdobywa.

- Skoro już przyszedłeś, możemy podpisać umowę na trzecią książkę.
- Właśnie o tym chciałem pogadać. Nie podpiszę.

Naczyński wpuścił gościa do pokoju, zanim zapytał:

- Chcesz więcej kasy?
- Chcę, ale nie mówię o stawce za przekład i nie chodzi mi tylko o kasę.
- A o co?

Stypuła dostrzegł paczkę z egzemplarzami autorskimi, wyjął z niej jedną książkę, otworzył na stronie tytułowej i pokazał na nazwisko tłumacza.

- O to.

- Nie rozumiem - powiedział Naczyński, choć obawiał się, że zaczyna rozumieć.

- Nie mam zamiaru robić więcej za murzyna, chcę ostatnią część „Millennium” przełożyć pod własnym nazwiskiem.

Przez pół minuty zastanawiał się, jakich argumentów użyć, by spacyfikować ten bunt. Co może powiedzieć, by nie ujawnić faktów, których Stypule nie zdradził.

- Przecież to niemożliwe, wydawnictwo nie zleci nagle przekładu tłumaczowi bez dorobku, kiedy od dotychczasowego dostało dwie kongenialnie przełożone książki. Nawet gdybym się wycofał, zwróca się do Pollaka, nie do ciebie.

- Do Pollaka się nie zwróca, wytoczył im proces, bo mu tłumaczenie „Młodości Martina Bircka” poprzerał. Redaktor idiota, który szwedzkiego uczył się na piosenkach Abby, podpisywał w przykładzie słowa, których nie ma w oryginale, i tak wydrukowali.

- No to wezmą kogoś innego, nie jeden Pollak ma renome.

- Tyle że to ty decydujesz, kto będzie przekładał, a nie Cymelia.

- Absurd, skąd to wzięłeś?

- A z umowy, którą przyszło mi tłumaczyć. Wyobraź sobie, że zgłosiła się do mnie kancelaria prawna reprezentująca wydawnictwo Norstedts. Szwedom zaświtało, że zrobili się w jajo, sprzedając prawa do Polski za psie pieniądze, i zwrócili się do tej kancelarii, żeby im odpowiedziała, czy da się renegotjować umowę. Umowa była po szwedzku, którym to językiem nasi prawnicy posługują się niezbyt biegle, więc trafiła do mnie do przełożenia. Wyobraź sobie, jakie było moje zdumienie, kiedy dowiedziałem się, że prawami do czegoś, co najwyraźniej będzie bestsellerem na miarę Harry'ego Pottera, dysponuje mój szanowny kolega.

Naczyńskiego w pierwszej kolejności zainteresowały intencje Szwedów.

- Skąd wiesz, że chcą renegotjować umowę? Kancelarie prawne na ogół nie spowiadają się tłumaczowi, do czego im potrzebny przekład dokumentów.

- Kancelarie jako takie może nie, ale niektórzy prawnicy lubią sobie pogadać i dość luźno podchodzą do zakazu zwanego tajemnica zawodowa.

- A ten gadający coś się wygadał, czy rzeczywiście da się renegotjować?

- Powiedział, że kiepsko to widzi. Szwedzi ustalili, że na gruncie ich prawa się nie da, i dlatego próbują tutaj, ale przecież nasze prawodawstwo też opiera się na zasadzie *pacta sunt servanda*. A skoro umowy nie da się podważyć, ty decydujesz, kto tłumaczy, i tym kimś będę ja.

- Nie decyduję, bo odsprzedałem prawa do Larssona Cymelii. Żeby książka w ogóle mogła się ukazać, wydający musi mieć do niej majątkowe prawa autorskie.

Stypuła się zaśmiał.

- Masz mnie za naiwnego? Myślisz, że nie przygotowałem się do tej rozmowy? Dziwne założenie, skoro wiesz, jaki ze mnie sumienny gość. Sprawdziłem, że wcale nie musiałeś im odsprzedawać praw, mogłeś udzielić licencji. Na tekst przełożony przez ciebie. Albo przez kogoś, kogo wskażesz.

Naczyński zrezygnował z obstawania przy swojej wersji, przy dalszych gołosłownych zaprzeczeniach Stypuła zażądałby pokazania umowy z Cymelią, a ta rzeczywiście mówiła o udzieleniu licencji.

- A jak mam im wyjaśnić, że rezygnuję z przekładania i biorę niedoświadczonego tłumacza?

- Nie wiem, czemu miałbyś im się opowiadać. Zapewniaś dobry przekład i tyle. I myślę, że z czystym sumieniem możesz im zagwarantować, że ani na jotę nie będzie odbiegał poziomem od poprzednich. - Stypuła zaśmiał się ponownie, tym razem rozbawiony drugim dnem tej uwagi.

- Powiedziałeś też, że chcesz kasy, o jakiej kasie mowa?

- O twoich zyskach ze sprzedaży powieści Larssona. Zapłacisz mi połowę.

- Z jakiego tytułu?

- Z tytułu honorarium za tłumaczenie. Ustalimy je teraz procentowo, a nie na nędzny ryczałt jak poprzednio.

- A jeśli nie?

- Wtedy pójdę na policję, że przywłaszczyłeś sobie mój przekład. Artykuł 115 ustawy o prawie autorskim. Poczekaj...

Stypuła odłożył książkę, z kieszonki flanelowej koszuli wydobyl białą kartkę i rozłożył ją.

- „Kto przywłaszcza sobie autorstwo albo wprowadza w błąd co do autorstwa całości lub części cudzego utworu, podlega grzywnie albo karze pozbawienia wolności do lat 3” – odczytał wydrukowany tekst, opuszczając nieistotne passusy. – Oczywiście nie muszę cię uświadamiać, że przekład to twój, a tłumacz jest jego autorem.

- Nie musisz. Ale musiałbyś przedstawić dowody, że nie ja przełożyłem „Mężczyzn” i „Dziewczynę”. A takich dowodów nie masz.

Zamiast odpowiedzieć, Stypuła wydobyl, tym razem z kieszeni postrzępionych dzinsów, dyktafon i wcisnął przycisk odtwarzania.

- Robisz przekład na moje nazwisko – usłyszał swój głos Naczyński – więc oczywiście takiej umowy zawrzeć nie możemy, ale zawrzemy umowę na redakcję i kolacjonowanie, że niby sprawdzasz moje tłumaczenie, więc masz gwarancję, że wypłacę ci kasę.

- Chyba starczy. – Stypuła wyłączył dyktafon. – Widzisz, Zenuś, ja cię lubię, ale bez złudzeń, wiem, że jesteś kawał skurwysyna, i dlatego, kiedy zgłosiłeś się z tą propozycją, pomyślałem, że warto by mieć dowód, jakiego naprawdę interesu dobiliśmy. Ot tak, na wszelki wypadek. Bo jak człowiek wikła się w coś nielegalnego, to lepiej się zabezpieczyć.

- No właśnie. Ty też się uwikłałeś. Ta druga część przepisu o wprowadzaniu w błąd co do autorstwa pasuje do ciebie jak ulał. Masz obosieczny miecz w ręku, Witek. Doniesiesz na mnie, ale sam też się pograżysz.

- Niekoniecznie, mogę utrzymywać, że zrobiłem przekład, bo obiecałeś mi, że za jakiś tam procent upchniesz go w któryś z wydawnictw, czego ja nie potrafię. A potem mnie oszukałeś i upchnąłeś jako swój. Oczywiście, wtedy nie mógłbym wykorzystać tego nagrania, ale myślę, że inne dowody też zdołałbym przedstawić. Na przykład zeznania osób, z którymi konsultowałem tłumaczenie. A jeśli by to nie przeszło, mógłbym wrócić do nagrania. Moje życie jest i tak do dupy, mam do stracenia znacznie mniej niż ty. Zabiorą mi jako karaniemu uprawnienia przysięgłego? I tak w przeciwieństwie do ciebie nie robię na tym kasy. Jak usłyszałem przy tłumaczeniu podsłuchów, wiesz, tych, przy których mi pomogłeś, ile wyciągają przemytnicy amfetaminy, to na poważnie się zastanawiałem, czy w to nie wejść. Ale nadarzyła się lepsza okazja z tobą, mało ryzykuje, a mogę dużo zyskać. Wreszcie zaistnieje jako tłumacz literacki i przyzwoicie zarobię.

- Przed chwilą mówiłeś coś o *pacta sunt servanda* – wskazał Naczyński, nie będąc pewnym, czy w ich sytuacji odwoływanie się do czegoś takiego jak przyzwoitość ma sens, ale Stypuła przejął się zarzutem.

- I dotychczasowej umowy zamierzam dotrzymać. Nie ujawnię, że to ja przełożyłem dwie pierwsze części, nie chcę ani grosza z kasy, którą dotąd zarobiłeś na Larssonie. Ale co do trzeciej części się nie umawialiśmy, a nie mam obowiązku zawierać z tobą umowy na takich samych warunkach jak poprzednio.

- Nie masz. Ale mógłbyś się po prostu wycofać, zamiast mnie szantażować.

- Powiedział człowiek nieskazitelnego charakteru. Proponuję ci przyzwoity układ, zachowujesz swoje dotychczasowe zdobycze, a na przyszłość się ze mną dzielisz. I to uczciwie. Nie zdieram z ciebie osiemdziesięciu procent. I nie chcę całych laurów za przełożenie „Millennium”, chociaż by mi się należały.

- Krytycy się zorientują, że książki przełożyła jedna osoba.

- Żartujesz? Jacy krytycy zajmują się przekładami? Może jeden Pollak. Ale on tropi złe, jak zobaczy, że przekład jest okej, przestanie się nim interesować. Poza tym zawsze mógłbym utrzymywać, że tak perfekcyjnie dopasowałem się do stylu poprzedniego tłumacza, chcąc zapewnić czytelnikowi jednorodną...

Dźwięk domofonu przerwał Stypule. Naczyński poszedł otworzyć, tym razem rzeczywiście był to listonosz. Wręczył gospodarzowi trzy listy za potwierdzeniem odbioru, co oznaczało, że

to korespondencja z sądu lub prokuratury, dokumenty do tłumaczenia lub wezwania na tłumaczenie ustne.

- Bierzemy, panie Zenonie?

Naczyński sprawdził przesyłki i powiedział, że bierze wszystkie trzy, ale kiedy podpisywał odbiór dwóch pierwszych, zmienił zdanie.

- Albo nie. Na tę niech pan wystawi awizo.

- Jasne!

Gotowość listonosza do awizowania brała się stąd, że za udawanie, iż nie zastał adresata w domu, Naczyński rewanżował mu się piątkiem od każdej przesyłki. Za tym układem nie stały jednak żadne machinacje. Korespondencja nadchodziła zwykle falami, terminy zleceń biegly od daty odbioru, więc żeby wyrobić się z tłumaczeniem, Naczyński nie brał wszystkich listów naraz, tylko część odbierał później na poczcie. Czasami prosił zresztą nawet o awizowanie pojedynczego listu, kiedy akurat pracował nad dużo lepiej płatnym zleceniem od prywatnego klienta.

Z dwiema kopertami w rękę wrócił do pokoju.

- Dobra. Zgadzam się na twoje warunki. Dostajesz połowę zysków od Larssona, tłumaczysz „Zamek...” pod swoim nazwiskiem i trzymasz gębę na kłódkę, że przełożyłeś też pierwsze dwie części.

Stypuła wydawał się zaskoczony swoim zwycięstwem, ale nic nie powiedział.

- Potrzebuję z tydzień, żeby zatwierdzić z wydawnictwem przejęcie przez ciebie tłumaczenia.

- Tydzień? Dlaczego tak długo?

- Długo? Widać, że nie współpracowałeś z żadnym wydawnictwem. Tydzień to jest praktycznie od ręki. A pójdzie tak sprawnie wyłącznie dlatego, że bardzo im się z tym tłumaczeniem śpieszy, też już wiedzą, że mają w rękę bestseller.

- Co im powiesz, że nie chcesz sam tłumaczyć?

Naczyński zastanowił się.

- Wykorzystam właśnie to, że im się śpieszy. Powiem, że ze względów rodzinnych nie jestem w stanie nad tym przysiąc.

- A jak uzasadnisz, że bierzesz akurat mnie?

- A co nagle teraz zaczęło cię to martwić? Coś wymyślę. Powiem prawdę, że na studiach jawiłeś się jako geniusz przekładu. Albo że kazałem zrobić próbne tłumaczenia i ty, mimo braku doświadczenia, dostarczyłeś najlepsze. Tak, to chyba będzie najbardziej przekonujące.

- W rzeczy samej. Masz łeb do kombinowania, Zenuś, naprawdę nie możesz czuć się pokrzywdzony, że Bozia poskaپیła ci talentu literackiego.

Naczyński puścił tę uwagę mimo uszu i popatrzył na wiszący nad biurkiem kalendarz.

- W przyszłą środę mam tłumaczenie na rozprawie, wtedy bym do ciebie podskoczył i sfinalizowalibyśmy sprawę, przygotowałbym też umowę na podział zysków od Larssona.

- Świetnie. Pozwolisz, że sobie jedną z tych książek wezmę. - Stypuła ponownie sięgnął do przysyłanej przez wydawnictwo paczki. - Taki nieoficjalny egzemplarz autorski.

- Jasne, bierz.

Miał kilka dni na podjęcie decyzji. Nie odbierając listu, otworzył sobie drogę do innego rozwiązania, ale mógł rzeczywiście ustąpić i przystać na żądania Stypuły. Kolejną opcją było ich zignorowanie. Czy Witek faktycznie mógł mu zaszkodzić? Po namyśle doszedł do wniosku, że niestety tak. Bez wątplenia nie powstrzymałoby go to, że sam poniósłby straty, przecież właśnie dlatego nie wiodło mu się w życiu, że lubił postawić na swoim, nie oglądając się na koszty. Zawiadomienie z artykułu 115 prawa autorskiego z pewnością nie skończyłoby się więzieniem, nigdy wcześniej nie popełnił przestępstwa, więc przy zagrożeniu karą do trzech lat dostałby najwyżej wyrok w zawieszaniu. Ale straciłby uprawnienia, bo tłumacz przysięgły musi mieć czystą kartotekę. Czy poradziłby sobie na rynku bez nich? Niekoniecznie. Zostałby odcięty od tłumaczeń ekonomicznych i prawniczych, na których się znał, i musiałby

przestawić się na techniczne, a w tych był kiepski. Odpadłoby sporo zleceń, gdzie brał pieniądze właściwie za nic, tłumaczenie takiego dowodu rejestracyjnego przy sprowadzaniu samochodu ze Szwecji dużo kosztowało, a wpisanie nowych danych do przygotowanego wzorku zajmowało maksymalnie pół godziny. Straciłby też klientów, którzy wprawdzie nie potrzebowali tłumaczenia uwierzytelnionego, ale zwracali się do niego, bo tytuł „przysięgły” stanowił dla nich gwarancję, że dostaną solidnie wykonany przekład (w jego przypadku się sprawdzało, ale często była to gwarancja iluzoryczna). No dobrze, ale czy w ogóle musiałby tłumaczyć? miał zarobić na Larssonie i jego kolegach po piórze. Tyle że, jak dowiedział się od Stypuły, Szwedzi próbowali podważyć umowę. A ujawnienie, że wydał cudzy przekład pod swoim nazwiskiem, dałoby im oręż do ręki. Przy ich przeczeniu na punkcie etyki bez trudu mógł sobie wyobrazić, że szwedzki sąd unieważnia umowę, uznając, że szkodził on dobremu imieniu zmarłego pisarza. Ale nawet gdyby to nie nastąpiło, w świat poszłaby hańbiąca go informacja. I byłoby to znacznie gorsze od strat materialnych. Chciał się zapisać w historii literatury jako tłumacz, zapisałby się jako oszust. Na taką infamię nie mógł pozwolić.

Porzostawało przystać na żądania Stypuły. Faktycznie nie były wygórowane. Wychodził z całej sytuacji z twarzą i umiarkowanie poszkodowany finansowo. Stypuła nie zorientował się, że do uszczknięcia byłyby jeszcze dochody z innych pisarzy, no i rzeczywiście mógł zawołać od Larssona więcej. Pytanie, czy nie zrobi tego w przyszłości. Szantażyści praktycznie nigdy nie zadawali się pierwotnie żadaną kwotą. Pieniądze w którymś momencie im się kończyły (zwykle prędzej niż później, bo łatwo zdobyte łatwo się wydaje), a sięgnięcie po następne do tego samego źródła jawiło się jako oczywiste rozwiązanie. Zachodziła wprawdzie dość istotna różnica między takim klasycznym szantażem a ich sytuacją, Stypuła zażądał procentu od zysku, więc pieniądze płynęłyby do niego stale, ale to wcale nie oznaczało, że się nimi zadowoli. Człowiek jest tak paskudnie skonstruowany, że bardzo szybko przyzwyczajają się do tego, co ma, i chce więcej. A Witkiewicz z pewnością chciałby odbić sobie chude lata. Do tego mógłby teraz liczyć na zainteresowanie kobiet, bo te bezbłędnie swoim szóstym zmysłem wyczuwały, który facet ma pieniądze, i lgnęły do niego jak muchy do miodu. A kobiecie zachcianki bywały bardzo kosztowne. Istniało też ryzyko, że jednej czy drugiej kochance wypaple, skąd pieniądze ma. Oczywiście w zaufaniu, w łóżku, w nocy, po zapewnieniu z jej strony, że dochowa tajemnicę. A ta opowie swojej psiapsiółce, odebrawszy od niej takie samo zapewnienie.

Czyli co, rzeczywiście nie miał wyboru i musiał sięgnąć po rozwiązanie, które przyszło mu do głowy, kiedy odbierał pocztę? Chyba jednak wybór miał. Bo znał Witka i wiedział, że ten ze swoją nieżyjącą etyką umów dotrzymywał. Ryzyko, że odstąpi od głoszonych przez siebie zasad, istniało, ale nie jakieś wygórowane. Nie na tyle wysokie, by uciekać się do ostateczności. Ale chciał się do niej uciec. Żeby nie mieć poczucia, którego nienawidził, że ktoś trzyma go w rękę, że nie jest panem swego losu. I, co ważniejsze, żeby doprowadzić do końca, co sobie wymarzył i zaplanował. Nie mógł się zatrzymać w dwóch trzecich drogi. W tym świecie ceniono wyłącznie tych, którzy docierali do mety. W historii przekładów literatury szwedzkiej na polski od groma było nazwisk tłumaczy mających na koncie tylko jeden przekład. Nie wiedział, z czego to wynikało. Może rezygnowali, bo stwierdzali, że to jednak zajęcie nie dla nich, może uznawali, że zbyt nisko płatne w stosunku do nakładu pracy. Faktem było, że ich nazwiska nawet wykładowcom na skandynawistyce nic nie mówiły. A druga pozycja w dorobku niewiele zmieniała. Co innego przekład całego „Millennium”. Autor jedynie trzech książek, bo śmierć przeszkodziła mu w dalszym tworzeniu, za to słynnych na cały świat. Autor jedynie trzech przekładów, za to słynnej na cały świat logii. To pobudzało wyobraźnię. W Polsce jego nazwisko już zawsze byłoby wymieniane jednym tchem z nazwiskiem Larssona. Sukces przynosił sławę tylko wtedy, jeśli miał jakąś rajującą otoczkę.

Gdyby dał „Zamek...” Stypule, zniszczyłby całą magię wynikającą z podobieństwa losów autora i tłumacza. Zerwałby tę niewidzialną więź, jaka łączyła tłumacza z pisarzem, na którego książki miał niejako wyłączność. Bronisław Zieliński i Ernest Hemingway, Tadeusz Boy-Żeleński i Marcel Proust, Stanisław Barańczak i Szekspir. Wtedy, żeby odcisnąć swój ślad, musiałby dążyć do osiągnięcia dorobku bogatszego niż Łanowski. A to bez wątpienia

skończyłyby się blamażem. Witek bryknął przy trzecim tytule, inni może wykazaliby się większą cierpliwością, ale na dużo większą trudno było liczyć. Co wiązałoby się z koniecznością ciągłego szukania nowych murzynów, a wiadomo, że ryzyko wpadki rośnie wprost proporcjonalnie do liczby współników. Nie mówiąc o tym, że przy wielu tłumaczach trudne byłoby utrzymanie jednolitego, wysokiego poziomu. Słaby przekład mógł zostać uznany za przejaw gorszej formy, ale gdyby taki docieklivy sukinsyn jak Pollak, wychodząc od tego słabego, zaczął zestawiać jego przekłady, mleko by się rozlało. To, co uważny czytelnik czy krytyk zakwalifikowałby jako różnicę w stylach pisarzy, Pollak bez pudła zidentyfikowałby jako teksty kilku tłumaczy.

Nie. Nie było innego rozwiązania, jak zabić Stypułę. I nie musiał usprawiedliwiać się brakiem wyboru. Chciał coś osiągnąć, a Witek stał mu na drodze. Skrupułałami do niczego się nie dochodziło, jedynie działaniem. Jeśli trzeba, bezwzględnie.

Gospodarka rynkowa ma tę zaletę, że jeśli klient chce skorzystać z jakiejś usługi, to zapewne jest ona oferowana. I rzeczywiście była, niestety, przez młodych chłopaków, a Naczyński potrzebował kogoś w swoim wieku. Drugą zaletą gospodarki rynkowej jest jednak to, że niektórzy wylatują z pracy albo bankrutują i mimo czterdziestki muszą wrócić do rozwinięcia pizzy. Bazując na tym założeniu, Naczyński cierpliwie przeczesywał strony w internecie, aż w końcu znalazł. Mężczyzna swoją porażkę (wykonywanie takiej pracy w średnim wieku jest porażką bez względu na to, czy spadło się z wysokiego konia, czy wcześniej do niczego nie doszło) starał się – akurat bardzo rozsądnie – przerobić na atut. Wskazywał, że już go nie korci, by wcisnąć gaz do dechy czy ścinać zakręty, a zatem samochód klienta jest w jego rękach całkowicie bezpieczny. Dla uwiarygodnienia tej argumentacji zamieszczał swoje zdjęcie – misiwatego typu, który gaz do dechy chyba nawet w młodości wciskał tylko w grach komputerowych. Zadowolony Naczyński chciał wybrać numer telefonu, ale zreflektował się, że zrobiłby błąd, korzystając z własnej komórki. Przyjrzał się możliwościom kontaktu i widząc ikonkę Skype'a, założył sobie fikcyjne konto. Dopiero wtedy zatelefonował.

- Firma Pikiedo, słucham.

Mężczyzna, który pojawił się na monitorze, miał na głowie bejsbolówkę. To niweczyło korzyść, jaką dawał Naczyńskiemu jego wygląd.

- Dzień dobry, znalazłem pana ogłoszenie w internecie, że pomaga pan w odstawianiu samochodów do domu, jeśli kierowca nie może prowadzić.

- Jak sama nazwa wskazuje, tak.

- Nazwa?

- Pi-kie-do. Pijanych kierowców dowóz.

Jeśli ten facet starał się robić karierę jako twórca haseł reklamowych, to nic dziwnego, że znalazła się ona na obecnym etapie.

- Tylko pijanych? Ja będę w podróży służbowej, a później muszę mieć samochód do dyspozycji na Bronisława Dobrzańskiego. Dostarczy mi go pan w tamto miejsce?

- Ależ oczywiście. Takie zlecenia też mam, nawet jeśli główna część ruchu przypada na kierowców, których odwożę do domu z imprez. Ich samochodem, rozumie się. Podjeżdżam na skuterku, klient w zależności od stanu łąduje na przednim bądź tylnym siedzeniu, mój skutek po złożeniu w bagażniku i... jazda.

Choć Naczyńskiego ta gadatliwość irytowała – jak technicznie wygląda usługa, dowiedział się ze strony – to z zadowoleniem odnotował, że nie będzie wyjątkiem, co z kolei sprawiało, że facet nie miał jakiegoś szczególnego powodu, by go zapamiętywać.

- Świetnie. Czy pojutrze przed południem byłby pan do dyspozycji?

- Przed południem w środę to ja praktycznie zawsze jestem do dyspozycji, w nocy mógłbym być zajęty albo w niedzielę rano.

- Musiałby pan się zmieścić w dość wąskim oknie czasowym. Na dziesiątą pięćdziesiąt potrzebuję samochodu, a dopiero po dziesiątej wróci nim do domu moja żona. Najlepiej gdyby odebrał go pan kwadrans po. Na Woltera 28.

- Trochę na styk – stwierdził mężczyzna po dłuższej chwili milczenia, którą wykorzystał na sprawdzenie trasy w nawigacji. – Skuterka nie blokują żadne korki, więc punkt dziesiąta

piętnaście jestem u pana. Pytanie, czy później samochodem zdąży na Dobrzańskiego.

Naczyński pokonał tę trasę przed południem, a wcześniej w piątek, przejazd zabrał mu odpowiednio 28 i 32 minuty. W środę powinno być podobnie. Kolidują czy awaria, która spowodowała by większe zatory od normalnych o tej porze, wyjaśniałaby zarazem spóźnienie. Z kolei zbyt wczesny wyjazd byłby podejrzany: każdy bierze rozsądną poprawkę na korki, ale nikt nie wyjeżdża z ich powodu na trzydziestominutową trasę z godzinnym zapasem.

- Jeśli nie wstąpi pan gdzieś po drodze na pogaduszki, to pan zdąży. Ja mogę się spóźnić, ale to bez znaczenia. Pieniądże zostawię panu w bocznej kieszonce w drzwiach, kluczyki wrzuci pan do bagażnika i go zatrzaśnię. Ja wezmę zapasowe.

- A drzwi mam zostawić otwarte?

- Skąd. Zamknie pan samochód, otworzy sam bagażnik, w lexusie jest to możliwe, i wrzuci do niego kluczyki.

- Chyba nie tylko w lexusie. Mój znajomy w ten sposób zatrzasnął sobie passata. Oczywiście nie celowo, kluczyki wypadły mu, kiedy pochylał się, żeby wyciągnąć torbę.

Ta historia, emocjonująca jak wzrost trawy w zimie, sprawiła, że Naczyński zaczął się zastanawiać, czy z gością nie zrezygnować. Przy jego zamilowaniu do small talku mógł wdać się w rozmowę z gospożą, która w rzeczywistości miała przekazać mu kluczyki, a wtedy oboje zorientowaliby się, że nie powiedział im prawdy. Po krótkim namyśle uznał jednak, że ryzyko jest znikome. Po pierwsze facet będzie się śpieszył, żeby wywiązać się z zadania, po drugie gospożia w przeciwieństwie do niego należała do mruków.

- Jest jeszcze kwestia ubezpieczenia...

- Mam, ale proszę się nie obawiać, dotąd nie zdarzyła mi się żadna stłuczka.

- Jeśli jednak się zdarzy, to będzie problem, bo moje ubezpieczenie nie pozwala mi używać samochodu nikomu poza moją żoną. Dlatego zależałoby mi, żeby w czasie jazdy wyglądał pan bardziej podobnie do mnie. Bez tej bejsbolówki i najlepiej w garniturze. Jest to możliwe? Posiada pan w ogóle garnitur?

- Posiadam. Ale co panu da?

- Ano na przykład to, że ewentualny świadek powie, że samochód prowadził kierowca w garniturze. Co do mnie, w przeciwieństwie do bejsbolówki, pasuje. Ludzie twarzy na ogół nie zapamiętują, strój tak. A propos twarzy, dobrze by było, żeby opuścił pan osłonę przeciwsloneczną. Na wypadek, gdyby fotoradar pstryknął zdjęcie.

- Nie pstryknie, nie łamię przepisów.

- To jest pierwszy tekst, jaki wygłasza znakomita większość kierowców zatrzymanych za wykroczenie drogowe.

- Kiedy ja... - Misiowaty gość urwał, jakby zdał sobie sprawę, że nic nie uzyska, upierając się przy swoim. - Jasne, nie ma sprawy, klient nasz pan. Ale ekstra życzenia trochę więcej kosztują.

Naczyński jak raz był zadowolony, że kontrahent nie skupił się na tym, że wyjaśnienie dotyczące garnituru nie do końca ma sens, tylko ile można na tym zarobić. Trochę się potargował, bo mimo wszystko nie chciał przepłacać, ale na wyższą cenę się zgodził.

Noc z wtorku na środę przespał bez żadnych snów i wstał zupełnie spokojny, aż go to trochę zdziwiło. Spodziewał się emocjonalnego rozedrgania, tymczasem pojawiło się jedynie lekkie poczucie nierzeczywistości. Po śniadaniu z rodziną sięgnął jak każdego dnia po gazetę i rzeczywiście czytał wiadomości, a nie udawał, że czyta. Ledwie zwrócił uwagę, że dzieci wyszły do szkoły i że pojawiła się gospożia, co już było częścią jego planu. Normalnie przychodziła w piątki, żeby mieli posprzątane na weekend, ale zadzwonił do niej, prosząc o przyjście w tym tygodniu wcześniej.

Na dobre od gazety oderwała go dopiero zdenerwowana Grażyna.

- Samochód mi nie zapalił!

Popatrzył nie na nią, ale na sprzątaczkę, czy słyszy ich rozmowę. Nie dała nic po sobie poznać – w przeciwieństwie do swej poprzedniczki, która przez to straciła pracę, nie wtrącała się w sprawy gospodarzy – ale znajdowała się w zasięgu słuchu.

– I co ja ci na to poradzę? Nie znam się na samochodach, mogę jedynie wezwać mechanika. Zostaw mi kluczyki.

Podąła mu je ze słowami:

– Nie podwiózłbyś mnie do pracy?

– Szczerze powiedziawszy, nie bardzo mi to pasuje. Muszę się jeszcze przygotować do tłumaczenia w sądzie. Weź taksówkę, przecież bank ci za nią zwróci.

Pokręciła niezadowolona głową, że w sytuacji podbramkowej nie może oprzeć się na rodzinie, ale sięgnęła po komórkę. Kiedy po pięciu minutach wyszła, Naczyński udał, że dzwoni ze swojej, dyskretnie sprawdzając, czy sprzątaczką nie oddała się w dalsze rejony domu. Ale nie, szorowała na kolanach podłogę, a na kolanach człowiek nie przemieszcza się zbyt szybko. Wpatrywała się przy tym w tę podłogę, co pozwoliło Naczyńskiemu bez gimnastykowania się kluczyki od mazdy schować do kieszeni, wyjąć swoje i odłączyć od nich brelok.

– Warsztat? Naczyński z tej strony, ten od lexusa. Mazda mojej żony nie odpaliła, czy ktoś od państwa mógłby do nas podjechać i temu zaradzić? Na Woltera 28. Co? I tak trzeba będzie zabrać samochód do warsztatu? No cóż, jak trzeba, to trzeba. O której możecie być?

Teraz on pokręcił głową, by zademonstrować niezadowolenie z powodu rzekomo otrzymanej odpowiedzi, ale adresatka tego gestu wzrok miała nadal wlepiony w podłogę.

– Mnie już nie będzie, ale poproszę gospozię, by przekazała mechanikowi kluczyki, jest wśród nich pilot od bramy na ulicę, garaż zostawię mu otwarty. Może tak być?

Przyjął wymagowaną odpowiedź i podszedł do sprzątaczką.

– Słyszała pani?

Podniosła głowę, a pytające spojrzenie jasno mówiło, że nawet jeśli słyszała, to się do tego nie przyzna. Ot, taki zawodowy punkt honoru.

– Dzwoniłem do warsztatu, mówią, że pewnie uda im się uruchomić samochód na miejscu, ale i tak będą musieli zabrać go do siebie, żeby na dobre usunąć usterkę. Mechanik będzie parę minut przed jedenastą.

Jeśli popatrzy na zegarek, po prostu stwierdzi, że mechanik przyjechał za wcześniej, jeśli nie popatrzy, założy, że był o wskazanej godzinie, a wtedy będzie idealnym świadkiem, przekonany, że mówi prawdę, a wprowadzającym policję w błąd.

– Mam prośbę, żeby przekazała mu pani kluczyki, bo ja już wyjdę do sądu. Nic więcej nie musi pani robić, wszystko przygotowuję, sam sobie poradzi.

– Oczywiście.

Kiedy kluczyki zniknęły w kieszeni jej fartucha, Naczyński poszedł do łazienki, wziąć prysznic i się ogolić. Potem, rozpraszając zapach dezodorantu i wody po goleniu, w samych slīpkach dotarł do pokoju i wybrał z szafy odpowiedni garnitur. Nie wiedział, czy przepisy nakazywały mu stawiać się w sądzie pod krawatem, ale nawet gdyby nie nakazywały, i tak by go miał, gdyż na wszystkie tłumaczenia, oficjalne i nieoficjalne, chodził elegancko ubrany. W hallu nałożył wypastowane buty, sięgnął po płaszcz i przeszedł do garażu.

Otworzył drzwi mazdy i pociągnął za dźwignię zwalniająca zaczepek maski. Postawił ją na sztorc i podpiął do akumulatora kable, które wcześniej odłączył. Poza tankowaniem paliwa podładowanie wyziębionego akumulatora było jedyną rzeczą, którą potrafił w samochodzie zrobić. Grażyna należała do takich samych technicznych ignorantów i z pewnością zagładania pod maskę nie uznalaby za właściwą drogę, by ustalić, dlaczego silnik nie chce zastartować. Gdy wycierał lekko ubrudzone ręce, rozbrzmiała jego komórka, co przyjął z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony znakomicie, że nie dziesięć minut później, z drugiej, jeśli klient będzie gadatliwy, mogło zacząć brakować mu czasu. A niektórzy, nawet wspomagani pytaniami, za nic nie potrafili przejść do rzeczy. Na szczęście ten zapytał tylko o koszt tłumaczenia dowodu rejestracyjnego, powiedział, że się zastanowi, i rozłączył się, najwyraźniej chcąc szukać niższej ceny.

Naczyński wyciszył smartfona i ukrył go w schowku w lexusie pod zaświadczeniem, że samochód miał obowiązkowe OC. Potem wyjechał mazdą Grażyny, nie zamykając za sobą drzwi garażu. Mijając bramę, spojrzął na cyferki na wyświetlaczu tablicy rozdzielczej. 10.13. Harmonogramu trzymał się idealnie. I nie tylko on, bo kiedy zaparkował samochód za załomem ulicy i wychylił się w przód, by zobaczyć, co dzieje się przed domem, zobaczył podjeżdżający skuter. Misiowaty mężczyzna złożył go i zapakował do futerału, po czym zadzwonił do furtki. Rozmowy na ganku Naczyński oczywiście nie usłyszał, ale z jej krótkości wywnioskował, że przebiegła zgodnie z jego oczekiwaniem. Inne słowa niż „Ja po samochód”, „Proszę, tu są kluczyki” albo im równoważne, nie padły. Półtorej minuty później lexus wyjechał z garażu.

Stypuła mieszkał w sąsiednim blokowisku, które od osiedla willowego oddzielała jedynie ruchliwa arteria. Naczyński musiał więc trochę pokrążyć mazdą, żeby domofonem zadzwonił równo o dziesiątej trzydzięci.

- Ale jesteś punktualny.

Pchnął drzwi, kiedy brzęczyk zasygnalizował, że blokada została zwolniona, ale przez chwilę nasłuchiwał, czy ktoś nie schodzi z góry, i dopiero kiedy się upewnił, że nie, wszedł na drugie piętro.

- Kawy, herbaty? - przywitał go pytaniem gospodarz.

- Nic, dziękuję. Nie mam za dużo czasu. Przyniosłem ci te umowy. Tutaj? - wskazał na pokój, w którym Witek zwykle go przyjmował.

- Tak.

Weszli do środka, Stypuła chciał wziąć umowy, ale Naczyński odsunął jego rękę.

- Dyktafon.

- Co?

- Daj mi swój dyktafon. Chcę mieć pewność, że nie będziesz nagrywał naszej rozmowy, i chcę, żebyś skasował, co nagrałeś.

Stypuła wruszył ramionami, ale wyciągnął dyktafon z szuflady biurka.

- Zobacz, nie jest włączony. Ale nagranie skasuję dopiero, kiedy będzie wszystko podpisane. Muszę mieć jakieś zabezpieczenie.

Naczyński się tym zadowolił, dał mu umowy i usiadł na kanapie. Stypuła został przy biurku i zagłębił się w lekturze. Naczyński przyglądał się czytającemu. Dziwne wrażenie. Człowiek przebiega wzrokiem linijki tekstu, drapie się po brodzie, poprawia w fotelu, a za kilkanaście minut będzie siedział w tym fotelu bez ruchu, z niczego nie zdając już sobie sprawy. Przyszły zabójca przyjrzał się akcesorium. Stojącej na biurku lampie, której abażur stanowiła bryła soli. Miał identyczną, dostał ją właśnie od Witka, kiedy klient handlujący tymi lampami dał mu dwie w charakterze premii za udane tłumaczenie na targach. I na tej swojej sprawdził, że ma odpowiednią masę. W każdym razie uderzona nią szklana misa rozsypała się w drobny mak, a ludzka głowa nie powinna stawić większego oporu. Tak przynajmniej wynikało z podręcznika medycyny sądowej, w którym skrupulatnie przestudiował rozdział „Urazy kości czaszki i mózgu”. Dowiedział się też z niego, że nie ma ryzyka takiego gwałtownego krwotoku, by krew ochlapała mu ubranie. Kojarzył wprawdzie z seriali kryminalnych, że w scenach rozbijania głów filmowcy nie używali czerwonej farby, ale zdawał też sobie sprawę, że scenarzyści niekoniecznie przejmowali się tym, jak takie morderstwa wyglądały w rzeczywistości.

Spojrzął na zegarek, który wczorajszego dnia ustawił tak, by pokazywał czas z dokładnością co do sekundy. Według testów przeczytanie umów zajmowało trzynaście i pół minuty, Witek powinien być jednak gotowy wcześniej, z pewnością zapisy, które niewiele mu mówiły, tylko przebiegał wzrokiem, tak bowiem robiła większość ludzi z tej mniejszości, która w ogóle interesowała się, co podpisuje.

Nie pomylił się, Stypuła skończył czytać po ośmiu minutach, ale zamiast sięgnąć po długopis, żeby złożyć podpis na wydrukowanych kartkach, podniósł pokrywę skanera.

- Co ty robisz? - zapytał kompletnie zaskoczony Naczyński.

- Skanuję umowę, żeby posłać ją prawnikowi.

Musiał temu przeszkodzić, przekazanie postronnemu świadkowi informacji, że w tej chwili negocjuje ze Stypułą warunki umowy - a w treści było przecież jego nazwisko - obrać wniwec cały plan.

- Prawnikowi? Po co? Dotąd podpisywałeś bez prawnika i wszystko szło gładko.

- Dotąd nie działałem wbrew twoim interesom. Kto wie, jakie kruczki zawarłeś w tych paragrafach, żeby mnie oszwać. Mówiłem ci już, że mam cię za skurwysyna?

- Mówiłeś, nie musisz się powtarzać. Ale nie ma sprawy, umowy są uczciwe, możesz je pokazać nawet dziesięciu prawnikom, nic w nich nie znajdują. Tyle że ja nie mam czasu, żeby czekać na opinię, spóźnię się na rozprawę.

- Nie spóźnisz się, jestem umówiony z prawnikiem, że wyślę mu umowę, przeczyta od ręki i jeśli rzeczywiście nie będzie w niej haczyków, od razu podpiszemy.

Czyli potencjalny świadek już wiedział o negocjowaniu umowy, pytanie, czy znał szczegóły. Jeśli tak, ratowało to Stypule życie.

- Nie mogłeś mnie poprosić o przesłanie tekstu wcześniej mejlem, skoro chciałeś go konsultować?

- Sorry, o tym zabezpieczeniu pomyślałem dopiero dzisiaj rano. Ja jestem uczciwym i infym człowiekiem, więc zwykle trochę trwa, zanim zapali mi się lampka ostrzegawcza, że powinienem brać pod uwagę taką możliwość, że kontrahent chce mnie wyrolować.

- A ten prawnik przynajmniej wie coś dokładniej o tej umowie, żeby mu analiza sprawnie poszła?

- Nie wie, ale pójdzie sprawnie, to specjalista od prawa autorskiego.

- A skąd go tak na zawołanie wzięłeś?

- Z internetu. Z serwisu prawniczego. Zapytałem, czy mi taką analizę zrobią od ręki, odpisali, że jeśli zapłacę za ekspres, to tak, żebym spokojnie podesłał umowę, kiedy będę już ją miał, są dostępne cały dzień.

To były dobre wieści. Nie znajomy prawnik, któremu w rozmowie Stypuła mógł sporo ujawnić, lecz obsługa serwisu, wiedząca tyle, że ma przyjść umowa z zakresu prawa autorskiego, i znająca jedynie nazwisko zleceniodawcy. Do tego serwis nie miał żadnego powodu, by nieprzysłać umowy uznać za dziwne czy niepokojące, na pewno wielu klientów po wstępnych zapytaniach albo się rozmyślało, albo korzystało z usług konkurencji.

- No dobra, to skanuj migiem, a ja sobie w tym czasie skorzystam z toalety.

W przedpokojku rozejrzał się za szafką z licznikami. Była zaraz obok łazienki. Otworzył drzwiczki, pilnując, by nie zaskrzypiały, zidentyfikował główny bezpiecznik i opuścił dźwęk. Szum skanera zamilkł, a Stypuła zaklął.

- Cholera, prądu nie ma.

- Wiem, właśnie zapalałem światło w łazience.

- Możesz sprawdzić korki? Są w szafce obok.

Zamknął cicho drzwiczki, po czym otworzył je ponownie, tym razem robiąc możliwie dużo hałasu.

- Korki są w porządku, musi być zewnętrzna awaria.

- Nic to, spróbuję zrobić zdjęcia.

Teraz on zaklął w duchu. Wylączając prąd, chciał zablokować Stypule możliwość przesłania skanów. Liczył, że ten zrezygnuje z konsultacji i podpisze umowę, nie chcąc odkładać sprawy na później z obawy, że Naczyński zmieni zdanie. Spojrzał na zegarek. Zabójstwa musiał dokonać nie wcześniej niż o dziesiątej pięćdziesiąt i najlepiej o tej godzinie, góra jedna, dwie minuty później. Plan był taki, że po podpisaniu umowy trochę porozmawiają o tym, jak będzie przebiegała współpraca, co ich czeka, a potem zażąda od Stypuły pokwitowania na rachunku do umowy zaliczki, którą rzekomo wpłacił mu na konto. To miało na celu spowodowanie, żeby Stypuła zalogował się do banku. Czas przeznaczony na rozmowę stanowił poduszkę bezpieczeństwa na wypadek opóźnień. Gdyby tę parę minut Stypuła

poświęcił na przykład dzwoniącemu klientowi, nie zagroziłoby to harmonogramowi operacji. Teraz przez tę poduszkę było za wcześnie na dokonanie zabójstwa, a co gorsza nie wiedział, pod jakim pretekstem skłonić Stypułę do zalogowania się do banku.

Wrócił do pokoju bez pomysłu na działanie, ale szczęście znowu się do niego uśmiechnęło.

- Tekst jest za gęsto na tej umowie, zdjęcia wychodzą nieczytelne, jednak trzeba będzie zrobić skany.

- No, ale ja nie mogę czekać, prądu może nie być i ze dwie godziny. Albo podpisujesz, albo musimy odłożyć to na później. Może zresztą nie jest to złe rozwiązanie, będę miał okazję, żeby sobie jeszcze raz wszystko przemyśleć.

Stypuła jednak nie przejął się tą ukrytą groźbą.

- Trudno, załatwimy to później.

Kolejna przeszkoda, dlaczego, cholera, nic nie mogło pójść gładko? Czyżby opatrność dawała mu znaki, że ma zostawić Witka w spokoju? Bzdury, nie wierzył w takie rzeczy. Postanowił znowu wykorzystać toaletę jako pretekst. Żeby „spalić” nadmiarowe minuty i zastanowić się, jak nakłonić Stypułę do zalogowania się do banku.

- Masz latarkę?

- Do czego ci?

- Jeszcze się nie załatwiłem, a nie chcesz chyba, żebym obsikał ci podłogę.

- Nie masz w smartfonie?

- A, racja. Zapomniałem, normalnie jej nie używam.

Poszedł do łazienki. Po ciemku – jego smartfon znajdował się przecież w lexusie – wykonywał czynności, które miały pokazać, że z niej korzysta – spuścił wodę, odkręcił kran – i intensywnie przy tym myślał.

- Przełałem ci już zaliczkę za tłumaczenie – oznajmił po ponownym powrocie do pokoju. – Chciałbym, żebyś mi ją oddał, skoro nie podpisujesz umowy.

Uznał, że najlepiej wyrazić żądanie, w ogóle go nie uzasadniając. Każde uzasadnienie było dość wątpliwe, natomiast, co paradoksalne, samo żądanie bez uzasadnienia jawiło się jako ze wszech miar zasadne.

- A co żeś się tak pośpieszył?

- Przecież zawsze płacę od ręki.

Tak rzeczywiście robił, kiedy podzlecał Witkowi tłumaczenia, bo czasami miał ich tyle, że sam nie dawał rady. Nie kierowało nim bynajmniej przekonanie, że takimi gestami buduje się lojalność zleceniobiorcy, wartą więcej niż te parę groszy odsetek. Chciał uniknąć dzikich awantur, jakie Stypuła urządzał, jeśli nie dostawał pieniędzy w terminie, a kiedy czekało się do ostatniego dnia, łatwo było ten termin przeoczyć.

- Co racja, to racja. Nie ma problemu, nie chcę kasy, która mi się nie należy. Może twój adwokat wynegocjuje niższą zaliczkę. – Zaśmiał się, traktując to jako dobry żart. – Później zrobię ci zwrotny przelew.

- A mógłbyś zrobić go teraz?

- Dlaczego?

- Ty mi przestałeś ufać, więc i ja wykazuję się ograniczonym zaufaniem. Chyba nie masz o to pretensji?

Pokonał go jego własną bronią, gdyż Stypuła bez dalszych zastrzeżeń sięgnął po swojego smartfona i otworzył aplikację banku. Kiedy wpisywał PIN, Naczyński wziął do ręki lampę solną, jakby chciał ją dokładniej obejrzeć. Upewnił się, że kabel jest wystarczająco długi, by nie stanowiął przeszkody.

Rachunek chwilę się wczytywał, ale kiedy pojawił się na ekranie, Naczyński nie czekał już, aż Stypuła kliknie na jego historię i zobaczy, że żadnych pieniędzy nie dostał. Zamachnął się i z całej siły uderzył.

Rozległ się dźwięk, którego nigdy wcześniej nie słyszał, od dzisiaj miał wiedzieć, jak chrzęszczą gruchotane kości czaszki. Twarz Stypuły plasnęła o blat biurka. Żadnego jęku, najdrobniejszego ruchu – był martwy. O tym zaświadczała również krew i szara substancja na lampie – poszarpana powierzchnia abażuru przebiła się do samego mózgu. Adrenalina musiała spętogować siłę uderzenia. Odstawił lampę i wyjął chustkę – taką, jakich się kiedyś

używało, po wysmarkaniu nosa chowanych z powrotem do kieszeni; ku swojemu zdumieniu natrafił na ulicznego sprzedawcę z tym towarem i uznał, że chustka świetnie nada się do wycierania odcisków palców. Start je z lampy, potem – po włączeniu prądu – z szafki i bezpiecznika, a na koniec z baterii i spłuczki w łazience. Nie dało się wprawdzie ustalić, kiedy dana osoba odciski pozostawiła, ale jednak kran zakręcało się mokrymi rękami i długo nie mogły się na nim utrzymać, w każdym razie nie przez dwa tygodnie, przed którymi wypadła jego poprzednia wizyta u Stypuły.

Nalozył lateksowe rękawiczki i wyjął z teczki przygotowaną paczuszkę w czarnej folii, oklejoną brązową taśmą. Ukrył ją w szafce w drugim pokoju pod stosem pomiętych i niestarannie złożonych T-shirtów.

Sprawdził laptop i smartfon Stypuły, czy ten jakąś stronę umowy zdążył zeskanować albo czy zachował nieczytelne zdjęcia, kiedy okazało się, że nie, zabrał zadrukowane kartki i dyktafon. Potem wymacał przez materiał, w której kieszeni spodni martwego znalazł klucze, wyciągnął je i poszedł do przedpokoju. Po upewnieniu się, że nikogo nie ma na klatce schodowej, wyszedł z mieszkania, wetknął klucze do zamka i zostawił uchylone drzwi. W miarę prędko któryś z sąsiadów powinien się tym zainteresować i zadzwonić, by poinformować o zapomnianym pęku. Przy braku odpowiedzi, korzystając z tego, że drzwi wystarczą pchnąć, powinien wejść do mieszkania i odkryć zwłoki.

Spojrzał na zegarek. Dziesiąta pięćdziesiąt trzy i dwadzieścia siedem sekund. Lekkie spóźnienie, ale nie tragiczne. Zbiegł po schodach i szybkim krokiem dotarł do samochodu. Sięgnął po leżącą na siedzeniu pasażera kurtkę mechanika, kupioną w poniedziałek w ursuskim outlecie, ale przebrał się dopiero w środku. Mniej wygodnie, za to poza zasięgiem wzroku ewentualnych świadków. Potem prędko wyjechał na drogę, dbając jednak, by obyło się bez pisku opon. Też z obawy, bo ktoś nie zapamiętał go w tym miejscu.

Na Dobrzańskiego dojechał równo w trzydzieści minut. Misiowaty gość wywiązał się z zadania i to dobrze, gdyż złoty lexus parkował zaraz za skrzyżowaniem z Aleją Solidarności. Naczyński stanął obok niego na światłach awaryjnych, bo nie było wolnych miejsc, i wyskoczył, by zabrać komórkę. Spojrzał na wyświetlacz i lekko zaklął, miał dwa nieodebrane połączenia. Wprawdzie się z tym liczył, w dzień powszedni przed południem klienci często się zgłaszali, ale zdarzało się również, że nikt nie dzwonił, i miał nadzieję, że akurat na taką posuchę trafi. No, trudno, mogło być gorzej, bo czasami dla odmiany odbierał jedno połączenie za drugim i przez godzinę potrafiło zbierać się nawet dziesięć. A wiarygodne wyjaśnienie, dlaczego nie odebrał tych dwóch telefonów, nie powinno nastęrczyć większych trudności.

Znalazł miejsce do parkowania dla mazdy, włożył z powrotem marynarkę i skierował się do sądu. Mimo kolejki przy wejściu kontrola bezpieczeństwa przebiegała bardzo sprawnie i po dwóch minutach stanął w bramce do wykrywania metali. Kamer tu nie było, co sprawdził w zeszły czwartek, a ochrona, przy ciągłym strumieniu wchodzących, nie miała szans zapamiętać, o której godzinie się zjawił. Wjechał windą na drugie piętro i udał się do sali 236. Pod drzwiami nikt nie czekał. Rzucił okiem na wokandę na elektronicznej tablicy i chwycił za klamkę, kiedy dotarło do niego, co przeczytał. Poczul, jak uginają się pod nim nogi, jak zaczyna brakować mu powietrza. Przeszyła go fala gorąca, potem zimna. Serce waliło, dochodząc pewnie do stu pięćdziesięciu albo nawet stu osiemdziesięciu uderzeń na minutę. Gruczoły pompowały adrenalinę, której nie mógł wykorzystać. Nie miał dokąd uciekać. Stracił alibi i prędzej czy później policja go dopadnie. Zamiast wywczasów na Karaibach, czeka go dożywotnie więzienie w Białolece.

Odwrocił się ponownie do tablicy. Może wyobraźnia spletała mu figla, może w ten sposób objawił się stres związany z zamordowaniem człowieka. Gdzieś musiał znaleźć ujście, nikt, kto pierwszy raz zabija, nie jest w stanie zachować całkowitego spokoju, własny organizm go zmylił.

Ale nie. Wśród przewidzianych na ten dzień rozpraw widniała na godzinę jedenastą – z adnotacją „zakończona” – i ta, na której miał tłumaczyć, jego nazwisko wymienione było w rubryce „świadkowie, biegli, tłumacze”. Wcale nie została odwołana. A to oznaczało, że sprytnie wymyślone alibi obróciło się przeciwko niemu. Bo teraz w aktach było odnotowane,

że nie stawiał się na tłumaczenie. Istniał potwierdzony autorytetem sądu dowód, że w chwili morderstwa nie przebywał w miejscu, w którym miał być. Nawet jeśli znalazłby sobie wyjaśnienie, dlaczego nie pojawił się bez usprawiedliwienia na rozprawie, to w świetle faktu, że nie uprzedził o nieobecności telefonicznie i że zdarzyło mu się to po raz pierwszy, zabrzmiało ono niewiarygodnie. I na pewno w przekonaniu śledczych nie pomoże mu fakt, że jego komórka logowała się w okolicy sądu. Był w budynku, ale nie wszedł na rozprawę? Bo co? Bo dostał rozwołania? Tak mogą tłumaczyć się politycy, ale nie oskarżeni o morderstwo.

Jak to tego mogło dojść? Czyżby źle zinterpretował podany na zwrotce nowy termin rozprawy? Że nie wiązało się to z odwołaniem tej? Nie, przecież tego się nie praktykowało, sąd nigdy nie planował z góry dwóch posiedzeń. Bo to, czy kolejny termin będzie potrzebny, zależało zawsze od przebiegu rozprawy. Nawet jeśli praktyka i doświadczenie podpowiadały, że posiedzeń w danej sprawie będzie kilka, to teoretycznie mogła zostać ona rozstrzygnięta już na pierwszym.

Drzwi sali otworzyły się i wyszła z nich protokolantka, szczupła dziewczyna o blond włosach z fioletowymi pasemkami.

- Świadek Roman Jankowski - zawołała, jakby na korytarzu przebywał tłum ludzi, ale skierowała na niego pytający wzrok, czy to on jest tym wzywającym świadkiem.

- Nie, Zenon Naczyński, tłumacz szwedzkiego...

- Tłumacz? Ale ta rozprawa z tłumaczeniem spadła. Nie dostał pan pisma?

- Jak to spadła? Przecież tutaj jest... - pokazał ręką na elektroniczną wokandę.

- Ale tutaj nie ma - protokolantka pokazała na papierową, wywieszoną na samych drzwiach. - System nawalił, trzeba patrzeć na tą.

Znowu poczuł uderzenie adrenaliny, ale tym razem potrzebnej, by błyskawicznie przenalizować tę nową informację. Wokanda zapowiadająca rozprawę, którą odwołano, stawiała go niespodziewanie w dużo lepszej sytuacji, niż gdyby tej rozprawy zgodnie ze stanem faktycznym w ogóle nie odnotowano. Dawała mu tak niepodważalne alibi, że warto było za nie zapłacić nawet ową chwilą ciężkiego przerażenia. Tylko teraz musiał to wykorzystać, nie zepsuć tej nagle wystawionej do zbiecia piłki.

- No, pięknie - powiedział, podnosząc głos. - Nie dość, że nie przysyłacie mi pisma o odwołaniu rozprawy, to zmarnowałem tutaj pół godziny, bo system wam nawala!

Z niepokojem czekał na sprzeciwi, że wcale go pod salą nie widziała, ale najwyraźniej nie był dla niej postacią wartą zapamiętywania.

- Ja jestem tylko protokolantką, jeśli ma pan jakieś pretensje, to proszę porozmawiać z sędzią.

Czemu nie? Kolejna osoba zezna, że zrobił awanturę.

Wszedł za dziewczyną na salę, wywołując zadowolenie sędziego.

- No, pana szczęście, panie Jankowski, że w końcu pan dotarł, bo następnym razem doprowadziłaby pana policja z aresztu.

- Wysoki Sądzie, nie jestem świadkiem Jankowskim. Nazywam się Zenon Naczyński, jako przysięgły ze szwedzkiego miałem tłumaczyć na rozprawie, która została odwołana, tyle że nikt mnie o tym nie poinformował! A przez wadliwą wokandę siedzę pół godziny pod salą, bo skąd mam się domyślić, że elektroniczna będzie się różniła od papierowej?!

W tej chwili zrobiła się już za dwadzieścia dwunasta i powinien mówić o czterdziestu minutach, ale im wcześniejszą jego obecność potwierdzą świadkowie, tym lepsze alibi. A był całkowicie pewien, że protokolantka i sędzia lepiej zapamiętają jego słowa niż wskazania zegara, na który zresztą niekoniecznie musieli popatrzeć.

Sędzia, stosunkowo młody mężczyzna z gęstą czarną brodą, wykonał gest ręką, jak się okazało, przepraszający.

- Rzeczywiście, zawiadomienia o przełożeniu rozprawy wysłaliśmy dość późno, bo Szwed też nas późno poinformował, że nie może przyjechać. Do innych najwyraźniej zdążyło dojść, do pana nie. Przepraszam za tę sytuację. Proszę udać się do sekretariatu, pokój 260, i tam przedłożyć rachunek za stawiennictwo.

Poszedł do sekretariatu, ale nie tylko zostawił rachunek, lecz jeszcze pokrzyczał na pracowników, że nie słyszeli o takim wynalazku jak telefon. Oczywiście pretensje miał tylko

na pokaz, gdyby korzystali z telefonu, by powiadamiać o odwołanych rozprawach, nie miałyby możliwości uknuć swojego genialnego planu. Tymczasem nie dzwoniłi nie tylko w przypadku zbyt późno wysłanych pism, lecz nawet gdy sędzia pochorował się na dwa dni przed rozprawą. Spokojni zwykle Szwedzi wściekali się, kiedy po podróży na przykład ze Sztokholmu dowiadawali się, że rozprawy nie będzie, a nikt nie widzi problemu w tym, że nie uprzedzono ich telefonicznie, chociaż numer znajdował się w aktach.

Wszedł z sądu ogromnie zadowolony. Oddzwonił do klientów, którzy próbowali się z nim skontaktować, po czym wsiadł do mazdy i wrócił do domu. Po lexusa zamierzał podjechać wieczorem taksówką. Zastanawiał się, czy policjanci rzeczywiście się u niego pojawiają. Czy prawdziwe śledztwo w sprawie morderstwa było tak staranne i szeroko zakrojone jak w książkach. Czy śledczy byli tak przenikliwi jak filmowi komisarze. Wątpił w to. Zabezpieczył się przed taką ewentualnością, ale znajomość polskiej bylejałości, rutyniarstwa, działania po linii najmniejszego oporu przemawiała za tym, że pójdą podłożonym przez niego fałszywym tropem. A jeśli nawet donikąd ich nie doprowadzi, nie stawiło go to automatycznie w kręgu podejrzanych: nikt nie wiedział, jaką rozmowę odbył ze Stypułą tydzień przed zabójstwem, dyktafon za chwilę zniszczy, a ze słów zamordowanego wynikało, że nagranie było jego jedynym zabezpieczeniem. Teraz dostrzegał, że zupełnie niepotrzebnie spanikował na widok wokandy: nawet bez alibi raczej nic mu nie groziło, było ono dopiero którąś z kolei linią asekuracyjną, a prawdopodobieństwo, że będzie musiał jej użyć, równało się właściwie zeru.

Niski mężczyzna w wymiętym prochowcu i z elektronicznym papierosem w ustach przyglądał się kluczom tkwiącym w zamku drzwi wejściowych.

- Proszę stąd odejść, nie ma się na co gapić, to miejsce przestępstwa.

Mężczyzna podniósł wzrok na mundurowego, który tak obcesowo kazał mu się oddalić, i bez oznak irytacji zaczął przeszukiwać kieszenie prochowca, by w końcu z ostatniej wyciągnąć policyjną odznakę.

- Porucznik Kolonko z Wydziału Zabójstw.

Mundurowy się zmieształ.

- Bardzo przepraszam, nie wygląda pan na... - zamilkł, nie chcąc popełnić kolejnej gafy.

Uśmiechając się, porucznik machnął ręką, że się nie gniewa, i wskazał na klucze.

- Orientuje się pan, czy zdjęto już z nich odciski palców?

- Tak. Zabezpieczam to miejsce od początku i widziałem, jak technik sypał je proszkiem.

Na te słowa Kolonko spróbował przekręcić klucz tkwiący w zamku, ale nie udało mu się to ani w jedną, ani w drugą stronę.

- Hm. Ciekawe.

- Co?

Pytanie pozostało bez odpowiedzi, a porucznik, nie zwracając więcej na posterunkowego uwagi, wszedł do mieszkania. Z przedpokoju dostrzegł rozemocjonowanych techników, którzy pochyłali się nad niewielką paczką w rozciętej już czarnej folii. W odsłoniętym otworze widniał biały proszek, a smakujący go szef ekipy kryminalistycznej nie miał wątpliwości:

- Amfetamina!

- Gdzie była?

- W tamtej szafce - technik wskazał na meblościankę w naturalnym kolorze drewna. - Pod koszulkami.

- Ile tego jest?

- Na moje oko z pół kilograma. Zaraz zważymy.

Okazało się, że na wyposażeniu furgonetki ze sprzętem kryminalistycznym znajdowała się również waga, i kiedy jeden z techników przyniósł ją z dołu, potwierdziła, że oceniający miał dobre oko: amfetaminy było równo 498 gramów.

- Musimy wezwać tych od narkotyków.

Taka ilość amfetaminy świadczyła o tym, że była przeznaczona na handel, a nie na własny użytek. I może handlujący znajdował się już w kręgu zainteresowania policjantów z wydziału antynarkotykowego.

Alc Kolonko nie zamierzał się tym osobiście zajmować, zlecił to posterunkowemu i przeszedł do małego pokoju. Albo do gabinetu, bo rozbita głowa ofiary spoczywała na blacie biurka.

Wokół zabitego krzątał się gruby jak beczka mężczyzna, a nad samą ofiarą pochylała się siwiejąca patolog w białym kitlu.

- Kim jest zamordowany, sierżancie?

Zapytany sięgnął swoimi serdelkowatymi palcami po leżący na blacie plastikowy kartonik, który zapewne uprzednio wyciągnął z kieszeni lub portfela ofiary.

- Niejaki Witold Stypuła. Czterdzieści dwa lata.

- Czas zgonu? - to pytanie było skierowane do lekarki.

- Maksymalnie do dwóch godzin wstecz. - Spojrzała na zegarek. - O dziesiątej jeszcze żył.

- Kto go tak szybko znalazł?

- Sąsiadka z naprzeciwka - poinformował sierżant Michta. - Zobaczyła klucze w zamku i chciała powiedzieć Stypule, że ich zapomniał, ale ten nie reagował na dzwonek, więc weszła do mieszkania.

- Otworzyła sobie tymi kluczami?

- Nie wiem, chyba tak.

- Gdzie jest ta sąsiadka?

- Pozwoliłem jej pójść do siebie.

Porucznik wrócił na korytarz i zadzwonił do mieszkania po drugiej stronie, oznaczonego numerem sześć. Otworzyła mu szczupła kobieta około sześćdziesiątki z mocno zaczerwienionymi oczami. Musiała płakać. Kolonko przedstawił się i zapytał ją o nazwisko.

- Tatiana Makomaska. Nie jestem Rosjanką - dodała, jakby nawykła do tłumaczenia się z imienia - po prostu mój ojciec był miłośnikiem poematu „Eugeniusz Oniegin”. Proszę wejść, poruczniku.

Skorzystal z zaproszenia i usiedli w pokoju, przy stojącym na środku stole.

- Znała pani Witolda Stypułę?

- Niezbyt dobrze. Mieszkam tu dopiero od ośmiu miesięcy, po śmierci męża sprzedałam nasze mieszkanie, bo dla mnie samej było za duże, i przeprowadziłam się tutaj.

- Ale płakała pani... - zauważył Kolonko.

- No tak, bo to miły człowiek był. Nie uciekał jak inni, „dzień dobry” powiedział, chwilę pogawędził. Kiedy zobaczył, że mam kota, zaofiarował się, że się nim zaopiekuję, gdybym wyjeżdżała.

Pręgowany zwierzak otarł się o nogi porucznika, jakby chciał potwierdzić tę informację.

- Czym się zajmował?

- Tego nie wiem. Chyba miał w domu biuro, bo do pracy nie wychodził, a za dnia zaglądali do niego na krótko obcy ludzie, więc pewnie klienci. Ale nie pytałam, wścibstwo jest mi obce, stwierdziłam, że w którejś rozmowie samo wyjdzie.

- Miał jakąś rodzinę?

- Też się nie orientuję. Mieszkał sam, a czy ktoś z rodziny go odwiedzał, to nie wiem. Nie zaobserwowałam, ale ja przy judaszu naprawdę nie siedzę.

- To nie zaobserwowała pani też, kto go dzisiaj odwiedził?

- Dzisiaj to w ogóle nie było mnie w domu. Pojechałam na grzyby, teraz jest najlepszy okres na podgrzybki i kurki. Kiedy wróciłam, zobaczyłam, że pan Stypuła zostawił klucze w drzwiach. On trochę zapominalski był, kiedyś, jak zrobił zakupy, to zgrzewkę z wodą mineralną zostawił na klatce, więc sobie nic nie pomyślałam, tylko zadzwoniłam, żeby mu o tych kluczach powiedzieć. Nie zareagował i pewnie normalnie bym uznała, że gdzieś wyszedł, i wzięła klucze ze sobą, ale że drzwi były uchylone, to weszłam do środka.

- Czyli wyciągnęła pani klucze, wtedy zobaczyła, że drzwi są uchylone, włożyła pani klucze z powrotem do zamka i weszła do mieszkania?

- Nie, skąd - zaprotestowała. - W ogóle tych kluczy nie dotykałam. Od razu widziałam, że drzwi są uchylone, wystarczyło je pchnąć.

- Pchnęła je pani i co dalej?

- Wołałam pana Witolda, ale nie odpowiadał, i już mi się głupio zrobiło, że buszuję w jego mieszkaniu pod jego nieobecność, kiedy zobaczyłam, jak leży na tym biurku...

Zaczęła płakać.

- O której to było?

Pociągnęła nosem, zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Tuż przed wpół do dwunastej. Zadzwoiłam zaraz na policję.

Kolonko podziękował i wrócił do mieszkania zabitego, ale nie od razu na miejsce zbrodni, najpierw zajrzał do łazienki. Jedna szczoteczka do zębów potwierdziła informację sąsiadki, że zamordowany mieszkał sam. Potem jeszcze sprawdził ręce ofiary, żadnej obrączki.

- Narzędzie zbrodni? - zapytał sierżanta.

Ten pokazał na pomarańczową bryłę koło laptopa.

- Wnioskując ze śladów krwi, ta lampa.

- Obrażenia pasują do kształtu tego abażura - potwierdziła patolog.

Kolonko lekko gwizdnął i pochylił się nad wskazanym przedmiotem.

- To jest lampa? Nigdy takiej nie widziałem. Z czego jest ten abażur?

- Z soli, panie poruczniku.

- Z soli? Niesamowite.

- Tak. Kiedy się świeci, wydziela jony. Bardzo zdrowe.

- Naprawde? Musiałbym kupić taką mojej żonie. Ciągle suszy mi głowę, żebyśmy pojechali nad morze. A tak miałyby jony w domu.

Sierżant chciał sprostować, że przełożony pomylił jony z jodem, ale się rozmyślił. Czasami było mu głupio instruować porucznika w najprostszych sprawach. Nieraz się zastanawiał, jakim cudem ten nieporadny człowieczek rozwiązuje najbardziej skomplikowane zabójstwa.

- Odciski palców?

- Żadnych. Wytarta do czysta.

- Mamy jego komórkę?

- Tak i dostęp do niej, bo nie zablokował jej PIN-em. Proszę.

Sierżant sięgnął po leżący obok odłożonego dowodu osobistego czarny huawei i podał go Kolonce. Ten przyjrzał się nieufnie wyświetlaczowi z ikonkami.

- To nie jest zwykła komórka, tylko ten...

- Smartfon.

- Właśnie. Dostałem taki dopiero niedawno od żony i jeszcze za bardzo się na nim nie orientuję, czy mógłby pan, sierżancie...?

- Co mam sprawdzić?

- Czy miał kogoś z rodziny, na przykład brata albo siostrę. W tych...

- W kontaktach.

- O, właśnie!

Kiedy Michta przewijał listę kontaktów, trzema piknięciami odezwała się komórka porucznika. Po krótkich poszukiwaniach wyciągnął ją z wewnętrznej kieszeni prochowca i bezradnie wpatrzył się w ekran.

- Tutaj nic...

- Mógłby pan, sierżancie, podpowiedzieć mi, jak mam to przeczytać? Nie mogę dojść, jak to działa z SMS-ami na smartfonie, na komórce było łatwo.

Grubas spojrział na podsunięte mu pod nos popielate lenovo.

- To proste. Tu ma pan ikonkę wiadomości, cyfra przy niej informuje, ile jest nowych wiadomości. Proszę ją dotknąć, a otworzy się panu SMS. Potem wystarczy nacisnąć na „odpowiedz”, żeby napisać zwrotnego SMS-a.

Wysuwając lekko język, Kolonko wykonał instrukcję, a jego nieogolona twarz rozpromieniła się szerokim uśmiechem.

- Rzeczywiście proste. Że też wcześniej tego nie rozgryzłem. A moja żona się irytowała, że nie odpowiadam jej na SMS-y. Dziękuję. I jak tam, jest coś w tych kontaktach?

Sierżant pokręcił głową.

- Same imiona. Rodzice pewnie nie żyją, bo ich raczej nie wpisały pod imionami, ale brata albo siostrę jak najbardziej.

- Racja. Własne dziecko też. Jakies zdrobnienia? Przyjaciółkę mógł wpisać zdrobniale.

Odpowiedź wymagała ponownego przewinięcia kontaktów, ale była taka sama.

- Też nie. Żadnych czułych w każdym razie, tylko takie zwykłe „Magda”, „Piotrek”.

- A z kim rozmawiał ostatnio?

Sierżant przeszedł od listy kontaktów do listy połączeń.

- Dzisiaj z nikim, wczoraj miał telefon od „Zenka”, rozmawiali trzy minuty i to była jego jedyna rozmowa. Zadzwonić do niego?

Ewentualne potwierdzenie Kolonki ugrzęzło w rumorze spowodowanym pojawieniem się rosnącego mężczyzny, ubranego od stóp do głów na czarno. Ale nie sprawiał wrażenia, że wybiera się na pogrzeb, gdyż w odróżnieniu od porucznika, preferującego garnitur i krawat (fakt, że nie najwyższej jakości), nosił się na sportowo.

- Czołem. Goliński z narkotyków. Podobno znaleźliście prochy?

- Tak, w tamtym pokoju, zaprowa...

Ale Goliński nie poszedł za porucznikiem. Kiedy jego wzrok zatrzymał się na ofercie, podszedł bliżej i spróbował przyjrzeć się martwej twarzy.

- Możecie go podnieść?

Kolonko skinała na lekarzkę, a ta uniosła głowę zabitego, tak by Goliński mógł zobaczyć całą twarz.

- Cholera!

- Zna go pan? - zapytał Kolonko. - To ktoś od was?

- Niezupełnie. To tłumacz. Pracował z nami przy podsłuchach.

- Tłumacz? Jakiego języka?

- Szwedzkiego. Rozpracowujemy gang, przemycający amfetaminę z Polski do Szwecji, mamy ich na podsłuchu i on tłumaczył. Nazywa się Witold Stypuła.

- To już wiemy, znaleźliśmy jego dowód - powiedział porucznik. - Ale nie do końca rozumiem: skoro gang jest z Polski, to po co wam tłumacz szwedzkiego?

- Gang jest międzynarodowy. Polacy organizują produkcję i dostarczają amfę, Turcy i Polacy w Sztokholmie odbierają i rozprowadzają. Zwykle są to obywatele szwedzcy albo mający tam stały pobyt. Mówię o Turkach. Nasi gadają z nimi po szwedzku, bo zwykle są to ludzie, którzy tam mieszkali albo mieli intensywne kontakty ze Szwecją. Często gadają też po szwedzku między sobą, najwyraźniej, żeby utrudnić nam zrozumienie. I właśnie od tego mieliśmy Stypułę.

- Czy gang mógł go zlikwidować, żeby przeszkodzić wam w podsłuchiowaniu?

Nad odpowiedzią Goliński zastanawiał się niecałe pięć sekund.

- Wykluczone. Musieliby mieć wiedzę, że ich podsłuchujemy, a oni tego nie wiedzą, tylko są ostrożni, licząc się z taką możliwością. No i musieliby wiedzieć, że on tłumaczy.

- Może nieopatrznie sam się pochwalił?

- Wątpię. Przecież to nie zwykły tłumacz z ulicy, tylko przysięgły. Dodatkowo ABW nam go wytypowała, nie wzięliśmy pierwszego lepszego z listy, tylko żeby nie narażać operacji, poprosiliśmy Agencję o sprawdzenie, który jest solidny i nie będzie chlapał ozorem. Poza tym zabicie tłumacza nic im nie daje, bo mamy jeszcze drugiego, jeden nie dałby rady siedzieć cały czas, do tego w Warszawie jest kilku przysięgłych szwedzkiego, bez trudu byśmy go zastąpili. Musieliby wymordować wszystkich, ale przecież nic takiego się nie stało.

Kolonko musiał przyznać, że o podobnej masakrze nikt nie donosił. Ale zwrócił uwagę na inną sprzeczność.

- Skoro był taki solidny, to dlaczego ma w mieszkaniu pół kilograma amfetaminy?

- Nie mam pojęcia i dlatego mnie zszokowało, kiedy zobaczyłem, kto jest ofiarą. Niech mi pan pokaże te prochy.

Przeszli do drugiego pokoju. Goliński obejrzał z uwagą paczkę, po czym z przyklepionej do paska biodrówki wyciągnął niewielkie urządzenie niebieskiego koloru, dość grube, z małym

ekranem i trzema przyciskami. Z boku po lewej znajdowała się czarna wypustka, którą policjant przyłożył do paczki. Kolonko przyglądał się temu z niekłamanym zaciekawieniem.

- Co to jest?

- Analizator narkotyków TruNarc. Skanuje laserem substancję, zaraz nam poda, czy to rzeczywiście amfetamina.

Faktycznie po chwili na ekranie wyświetliło się to właśnie słowo.

- Niesamowite.

- Ale i tak muszę wziąć do laboratorium, żeby ustalić po składzie, czy to prochy tego gangu.

- A skąd będziecie to wiedzieć?

- Zdejmujemy niektórych kurierów i konfiskujemy towar, żeby ustalić, ile fabryk mają. Amfetamina z różnych źródeł będzie różniła się składem. Nie budzi to ich podejrzeń, bo to normalna, że kurierzy wpadają, ryzyko zawodowe.

- Rozumiem. Założmy, że amfetamina pochodzi od gangu, który macie na muszce. Jak mogła trafić do tłumacza?

- W zasadzie już mnie pan o to pytał. Nie wiem, muszę pogłównkować. Zadzwoń do pana powiedzieć, co wykazała analiza, i jeśli wykoncypują jakąś teorię, to się nią podzielę.

- Znakomicie, dziękuję.

Porucznik podał Golińskiemu swój numer telefonu i ten opuścił mieszkanie, zabierając kilka gramów białego proszku - nie mógł wziąć całej paczki, bo ta była dowodem rzeczowym w sprawie o morderstwo.

Jednak mordowanie ludzi do łatwych nie należało. Po raz drugi Naczyński stał z bijącym sercem, oblany potem i z przerażeniem wpatrywał się w wyświetlacz swojej komórki: jego ofiara dzwoniła do niego z zaświatów! Potrzebował aż kilku sekund, by uświadomić sobie, jak absurdalna była to myśl. Dzwonił ktoś z telefonu Stypuły, a nie on sam. Najprawdopodobniej ktoś z policji. Kiedy rozbrzmiewały dwa kolejne sygnały, do Naczyńskiego dotarło, że ten ktoś stwarza mu doskonałą okazję do potwierdzenia niewinności. Naprawdę w czepku się urodził. Nie dość, że wszystko przebiegało po jego myśli, to los wciskał mu do ręki lepsze karty, niż potrzebował. Najpierw błędną wokandę, a teraz ten telefon. Odebrał.

- Cześć, Witek. Co jest?

- To nie Witek. Porucznik Kolonko z Komendy Wojewódzkiej. Mogę zapytać, jak pan się nazywa i kim pan jest dla Witolda Stypuły?

- A co się stało? Zbroił coś?

- Proszę odpowiedzieć na pytanie.

- Zenon Naczyński. Witek to mój kolega, jeszcze ze studiów, razem jesteśmy tłumaczami.

- Muszę panu, niestety, powiedzieć, że nie żyje. Został zamordowany. Orientuje się pan, czy miał jakąś rodzinę?

- Zamordowany?! Jak to?! Niemożliwe, wczoraj z nim rozmawiałem.

- Wiem, dlatego do pana dzwonię, bo ze znajomych był pan ostatnią osobą, która z nim rozmawiała przez telefon. Niestety, chociaż rzeczywiście trudno się z tym pogodzić, człowiek, który wczoraj jeszcze żył, dzisiaj może być już martwy - powiedział nieco filozoficznie Kolonko. - Co z tą rodziną? Ma jakąś?

- Tak, starszą siostrę. Ale ona mieszka w Niemczech. Poza tym nikogo. Nie miał żony ani dzieci, a rodzice nie żyją.

- Jak siostra ma na imię?

Naczyński musiał się zastanowić.

- Szczerze powiedziawszy, nie wiem. Czasami o niej opowiadał, ale z tego, co teraz kojarzę, zawsze mówił „moja siostra”. Osobiście jej nie poznałem, kiedy myśmy zaczęli studia, ona kończyła germanistykę i jedną nogą siedziała już w Niemczech.

- W porządku. Dziękuję panu.

Porucznik rozłączył się, a Naczyński lekko zdziwiony wpatrzył się w telefon. Tyle? To miała być cała jego styczność z policją? Żadnego wezwania na przesłuchanie? Chyba tyle. Najwyraźniej miał błędne, spacone przez książki i filmy, wyobrażenie, jak wygląda śledztwo w sprawie morderstwa. Najwyraźniej policja nie przesłuchiwała wszystkich, którzy rozmawiali

z ofiarą krótko przed jej śmiercią. Ledwo doszedł do tej konkluzji, komórka zadzwoniła ponownie, burząc ją, gdyż znowu zgłosił się Kolonko.

- Byłbym zapomniał. Jedno krótkie pytanie. O czym wczoraj rozmawialiście?

- O pracy. Nasze kontakty były bardziej zawodowej niż koleżeńskiej natury. Pytałem Witka, czy zrobi mi kolacjonowanie tłumaczenia.

- Kolację tłumaczenia? - w głosie policjanta słychać było bezbrzeżne zdumienie.

- Kolacjonowanie, czyli porównanie przekładu z oryginałem. Kiedy przełożę powieść, ktoś musi sprawdzić, czy właściwie zrozumiałem, co autor napisał. Powinni to zrobić w wydawnictwie, ale nie mają redaktora znającego szwedzki.

- Tłumaczy pan książki? - tym razem w głosie Kolonki zabrzmiał podziw.

- Tak, jestem tłumaczem literackim.

- Czyli nie przysięgłem jak pan Stypuła?

- Też. Jedno drugiego nie wyklucza. Zresztą, szczerze powiedziawszy, jako literacki zacząłem stosunkowo niedawno, tydzień temu wyszła moja pierwsza książka. „Mężczyźni, którzy nienawidzą kobiet”. Kryminał, bardzo polecam. W przygotowaniu jest druga, a wydawnictwo podpisuje teraz ze mną umowę na trzecią, wszystkie z tego samego cyklu, i właśnie dowadywałem się, czy Witek byłby zainteresowany kolacjonowaniem, bo robił je przy dwóch pierwszych.

- Rozumiem, dziękuję. Teraz to już naprawdę wszystko.

Sekcja zwłok oraz analiza śladów na bryle soli potwierdziły wstępne ustalenia, że denat zginął od rany zadanej uderzeniem lampą. Patolog podtrzymała również swoje szacunki co do czasu zgonu, a ten udało się dodatkowo zawęzić dzięki działaniu samego Stypuły. Otóż informatycy, badający jego smartfona, stwierdzili, że o godzinie dziesiątej pięćdziesiąt tłumacz zalogował się do swojego banku. Ponieważ wymagało to podania PIN-u, nie mógł tego zrobić morderca. Rodziny zabity nie miał, a wątpliwe było, by hasło do banku ujawnił obcej osobie. Nie znaleziono go też zapisanego w telefonie, w komputerze ani w żadnym notatniku. Zgłoszenie o znalezieniu ciała dyżurny odebrał o jedenastej trzydzieści dwa. A zatem był to przedział, w którym doszło do zabójstwa. Niestety, o tej godzinie większość lokatorów przebywała w pracy lub pobierała nauki, jedyny emeryt poza Makomaską zajmował mieszkanie na ostatnim piętrze i nic nie słyszał ani nie widział.

Nieco więcej światła wniósł do sprawy komisarz Goliński. Przeanalizował dotychczasowe podsłuchy i przypomniał sobie rozmowy o brakującej cegle. Gang posługiwał się szyfrem, w którym nazwę i wagę narkotyku zastępował nazwami materiałów budowlanych, a cegła odpowiadała pół kilogramowi amfetaminy. I ta cegła zaginęła podczas przekazywania partii narkotyku kurierowi. Miał dostać ich dziesięć, a w skrzynce kontaktowej, którą stanowił schowek w filarze Mostu Śląsko-Dąbrowskiego, było tylko dziewięć. Przynajmniej według jego twierdzenia, bo szefowie gangu podejrzewali, że to on przywłaszczył sobie towar. Pewności nie mieli, dostawca również jawił im się jako niepewne ogniwo. Przykrywkowic, który przeniknął do gangu, usiłował nakłonić obu, by dali nogę, bo w przestępczych porachunkach zasada domniemania niewinności nie obowiązuje, wręcz przeciwnie, ale zlekceważyli ostrzeżenie. Jeden pewnie dlatego, że jako niewinny nie wierzył, że coś mu grozi, nonszalancji drugiego policjanci nie potrafili sobie wytłumaczyć. Krótko potem znaleziono kuriera uduszonym stalową linką we własnym mieszkaniu, a dostawcę z przestrzeloną głową w nowiutkim samochodzie.

Obecnie Goliński skłaniał się ku teorii, że drugi też był niewinny i dlatego nie widział potrzeby, by uciekać, gdzie pieprz rośnie, i że narkotyk podprowadził tłumacz. Skład znalezionej u niego amfetaminy odpowiadał produktowi jednej z fabryk gangu, a Stypuła wiedział o przekazywaniu narkotyku i że jakiś czas będzie on bez opieki, gdyż rozmowa na ten temat toczyła się, kiedy miał dyżur. Komisarz uważał, że tłumacz uległ pokusie dorobienia i został za to srogo ukarany. Opóźnienie w stosunku do zabójstwa kuriera i dostawcy musiało

wziąć się stąd, że gang na trop Stypuły mógł wpaść dopiero wtedy, kiedy ten próbował rozproszyc narkotyki. A widocznie postanowił z tym trochę poczekać, by sprawa przycichła.

Z jednej strony był to obiecujący trop, z drugiej strony, niestety, na razie donikąd nie prowadził. Ekipa Golińskiego nie wiedziała jeszcze, kto wydał rozkaz likwidacji dostawcy i kuriera (a zatem i tłumacza), ani kto był wykonawcą. Pewne passusy z podsłuchów wskazywały zresztą, że nie mordował nikt z zajmujących się narkotykami, że zlecano to na zewnątrz, zawodowemu zabójcy.

Analiza odcisków palców nie wykazała jednak, by któryś z figurujących w kartotece przestępców odwiedzał Stypułę (co niczego nie przesądzało, płatni zabójcy raczej o rękawiczkach nie zapominali, a wielu z nich nigdy do żadnych kartotek nie trafiło). Śladów biologicznych, jednoznacznie pochodzących od mordercy, nie znaleziono, ofiara została całkowicie zaskoczona i nie miała szans na obronę.

Mężczyzna po pięćdziesiątce i parę lat młodsza od niego kobieta zatrzymali się przy okienku dyżurnego Komendy Wojewódzkiej. Ten widywał już takie pary i bezbłędnie rozpoznał w nich Niemca z polską żoną.

- Helena Schulze - przedstawiła się kobieta. Była ubrana w jasnobieżową garsonkę, która ani nie uwidatniała, ani nie maskowała sylwetki. Nie do końca szczupłej, świadczącej o lekkim nadmiarze potraw lub lekkim niedoborze sportu. Ale naprawdę lekkim. Fryzura i makijaż też nie miały na celu ukrycia lat, raczej podkreślenie, że w tym wieku można atrakcyjnie wyglądać, więc nie ma czego się wstydzić. - Jestem umówiona na dziewiątą z porucznikiem Kolonką.

Dyżurny spojrzął na wyświetlacz swojej komórki, za dwie dziewiątą, ta Schulze musiała w Niemczech mieszkać od dawna, normalnie Polacy nie mieli tak nabożnego szacunku do zegara. Porucznik Kolonko też nie.

- Obawiam się, że będzie musiała pani trochę poczekać, nie ma go w tej chwili w komendzie.

Polki specjalnie nie zdziwiło, że policjanta, który się z nią umawiał, w ogóle nie ma na miejsku, ale jej mąż, któremu przetłumaczyła tę wiadomość bardzo płynną niemiezczyzną, nie posiadał się z oburzenia. Dyżurny nie wszystko z jego tyrady wyłapał, ale że urlopy regularnie spędzał na budowach w Niemczech, kładąc tynki, tłumaczenia nie potrzebował.

- Przykro mi, miał nagłe wezwanie, jesteście państwo na policji, a nie w spółce handlowej, gdzie prezes bez żadnych przeszkód może trzymać się terminarza.

To wskazanie natychmiast uspokoiło pana Schulzego, bo Niemcy szanują logiczne argumenty i służby mundurowe. A dyżurny obiecał sobie, że następnym razem nie będzie lojalny wobec własnej formacji: niech Kolonko sam sobie wymyśla kłamstwa, że nagle go gdzieś wezwano, skoro zapomina o umówionych spotkaniach. I umocnił się w tym postanowieniu, kiedy porucznik, pół godziny spóźniony, nie potrafił podtrzymać kłamstwa, tylko z wielkim zakłopotaniem przeproszał, że wizyta pani Schulze kompletnie wyleciała mu z głowy.

Kiedy usiedli w jego pokoju, od przeprosin przeszedł do kondolencji.

- Bardzo mi przykro z powodu pani brata.

- Dziękuję.

- Jesteśmy gotowi ze wszystkimi badaniami, tak że w Zakładzie Medycyny Sądowej wydadzą pani ciało.

- Po to przede wszystkim przyjechałam; żeby mu wyprawić pogrzeb. W śledztwie raczej nie pomogę, nie mam pojęcia, kto mógłby mu życzyć śmierci.

- Miałbym bardzo łatwą pracę, gdyby członkowie rodziny zabitego potrafili mi wskazywać mordercę - zauważył porucznik. - Nie, pani rola jest inna: dać mi jak najpełniejszy obraz brata. Gdzieś w tym obrazie znajdzie się punkt zaczepienia, coś, co zazębi się z innymi ustaleniami, i kieruje mnie na właściwy trop.

- Hm, Witek był bar... - odchrząknęła, bo głos ją zawiódł - bardzo samotnym człowiekiem. Cierpiał, że nie ma rodziny, żony ani dzieci, chociaż się do tego nie przyznawał. Pokrywał to narzekaniem, że za mało zarabia, a przede wszystkim, że nikt nie chce mu wydać tłumaczenia książki, ale ja wiem, że z jednym i drugim by się pogodził, gdyby tylko miał do kogo się przytulić.

- Mało zarabiał jako przysięgły?

- Może nie mało obiektywnie, ale widział, na jak wysokim poziomie żyją przysięgli w Szwecji i w Niemczech. A on nawet na tle kolegów w Polsce wypadł blado. Zwłaszcza w porównaniu z tym Naczyńskim, który ma talent do robienia pieniędzy. Tymczasem Witek wręcz przeciwnie, on w każdym zawodzie byłby wśród najmniej zarabiających.

- Naczyński opublikował też przekład książki - przypomniał sobie Kolonko. - Pani brat musiał mu bardzo zazdrościć.

Uwaga miałaby wprawdzie więcej sensu, gdyby ofiarą morderstwa padł Naczyński, ale chodziło o podtrzymanie rozmowy, która miała kręcić się wokół zabitego.

- Nie był zawistnikiem, jeśli o to panu chodzi - zaoponowała. - I lubił tego Naczyńskiego, to ja miałam do niego więcej zastrzeżeń.

- Czyli zna go pani?

- Nie, tylko z opowiadań Witka. Ale sądząc na ich podstawie, to egoista, człowiek bezwzględny, który nie widzi niczego poza własnymi korzyściami. Przy czym ja to wyczytałam sobie między wierszami, bo Witek wcale go tak nie przedstawiał. Rozumiem, że utrzymywał z nim kontakty zawodowe, ale to było coś na kształt przyjaźni. Z kompletnie niezrozumiałych dla mnie względów.

- Na czym te kontakty zawodowe polegały?

- Głównie na wykorzystywaniu Witka. Naczyński podzlecał mu tłumaczenia, kiedy sam miał za dużo. I to takie najtrudniejsze, medyczne.

- Czemu dawanie pracy ma być wykorzystywaniem?

- Jeśli się bierze słoną prowizję za coś, co powinno się po prostu odstąpić, to jest to wykorzystywanie. Witek opowiadał, że często zgłaszali się do niego klienci z dokumentami po angielsku. Takie dostali ze Szwecji, a jak ze Szwecji, to automatycznie szli do tłumacza szwedzkiego, nie popatrzywszy, co mają. Witek odsyłał ich po prostu do znajomego anglisty, a Naczyński usiłował wcisnąć się na pośrednika i na tym zarobić.

- Słyszę, że brat dużo opowiadał pani o swojej pracy.

- Tak, bardzo mnie to jako germanistkę interesowało. Też chciałam zostać tłumaczką, właściwie pod koniec studiów już nią byłam, kiedy podczas tłumaczenia na targach poznałam Günthera. To były targi ślubne, żeby było śmieszniej. Günther zajmuje się organizacją wesel. To znaczy oboje się tym zajmujemy. Oczekiwał, że będę kura domową, ale od razu postawiłam sprawę jasno: albo oprócz małżeństwa proponuje mi zostanie współnikiem, i to prawdziwym, a nie malowanym, albo dostanie kosza.

Zaśmiała się.

- Doznał szoku kulturowego, bo myślał, że dla Polki prowadzenie gospodarstwa domowego niemieckiemu mężowi to szczyt marzeń i szczęścia, trzy dni się namyślał, czy pójść na ten nieidealny z jego punktu widzenia układ, ale później nieraz powtarzał, że beze mnie jego firma by się tak nie rozwinęła.

Kolonko nie uciał tej dygresji, w sprawie, w której nie było jednoznacznego tropu - a wątpliwości porucznika, czy tutaj taki trop mieli, nawarstwiały się od samego początku - nawet daleka od meritum informacja mogła okazać się cenna. Swoje pytanie zadał więc dopiero, kiedy pani Schulze zamilkła.

- Pani brat tłumaczył ostatnio podsłuchy dla policji. Coś na ten temat mówił?

- Tyle właśnie. Że podsłuchy dla policji. Nigdy nie wchodził w szczegóły. Był bardzo skrupulatny, jeśli chodzi o tajemnicę zawodową.

- Czyli nie wiedziała pani, że sprawa dotyczyła narkotyków?

- Nie. Myśli pan, że ta sprawa może mieć związek z jego śmiercią?

- A pani? - Kolonko odbił piłeczkę w manierze psychologów i psychiatrów.

Potraktowała pytanie poważnie i dłuższą chwilę się nad nim zastanawiała.

- W sumie chyba tak. To znaczy, trudno mi sobie wyobrazić motyw osobiste, bo komu może narazić się człowiek, który całymi dniami nie ma do kogo się odezwać? A wtedy zostają zawodowe.

- Całymi dniami nie miał do kogo się odezwać?

- Pracował w domu, wolny czas poświęcał na tłumaczenia literackie, a nie na działalność w jakimś stowarzyszeniu, rodziny, jak mówiłam, nie założył, ze sportów uprawiał pływanie i bieganie, a nie piłkę nożną, czyli kolegów z drużyny też nie miał.

- Jak to poświęcał czas na tłumaczenia literackie? Czy źle panią zrozumiałem, że przekładu książki nie udało mu się opublikować?

- Dobrze pan zrozumiał, ale to nie było tak, że on przełożył jedną powieść i na tym poprzestał, kiedy wydawnictwa jej nie chciały. Przekładał następne, ciągle żywił nadzieję, że w końcu mu się uda. Z tego, co się orientuję, ma spory dorobek, tyle że w całości w szufladzie. Czy raczej w komputerze.

- Czyli to nie były przekłady zamawiane przez wydawnictwa i nie dostawał za nie żadnych pieniędzy?

- Zgadza się.

- A to nie jest czasochłonne, przełożenie takiej powieści?

- Nawet bardzo.

- Czy w takim razie mógłby skusić się na większe pieniądze, ale zdobyte nielegalnie, żeby mieć czas na swoją pasję?

Widząc, że Schulzowa chce żywiłowo zaprotestować, porucznik podniósł rękę.

- Proszę się dobrze zastanowić. Przysłużył się pani bratu, nie broniąc jego honoru, lecz przytaczając, nawet niepoehlebne, fakty, które doprowadzą mnie do mordercy.

Racjonalna strona jej osobowości wzięła górę, co rzeczywiście zaowocowało dłuższym namysłem. Kolonko nie poganiał.

- Pozostaję przy swojej pierwszej reakcji – powiedziała w końcu. – Nie Witka. Dla niego było dużą wartością, że jest uczciwym człowiekiem. Powiem panu, jak rozliczał tłumaczenia. Płaci się za znaki, jedna strona tłumaczenia przysięgłego to 1125 znaków. Kiedyś narzekał, że wyszło mu dokładnie tyle, gdyby miał choć jeden znak więcej, sąd musiałby zapłacić mu za dwie strony, takie są przepisy. Zapytałam, dlaczego nie poszuka dla jakiegoś zwrotu dłuższego odpowiednika albo nie napisze miesiąca słownie. Oburzył się. Powiedział, że nie robi takich numerów. A jedyną osobą, która wiedziałaby o tej nieuczciwości, byłby on sam.

- I Bóg – dodał Kolonko nieco sentencjonalnie.

- No właśnie nie dla Witka. Był ateistą i bardzo mu zależało na pokazaniu wierzącym, że nie religia i nie przykazania czynią człowieka przyzwoitym. Zżymał się, że większość katolików automatycznie stawia znak równości między ateizmem a niemoralnością.

Kolonko pokiwał głową w geście ni to potwierdzenia, ni to ubolewania. Potem oznajmił pani Schulze, że bardzo mu pomogła, i chciał ją odprowadzić na dół.

- Nie powinien pan zaprotokołować tego, co powiedziałam? Kiedy ukradli nam rower i zeznawałam w niemieckim komisariacie, to parę arkuszy papieru zapisali, a pan przesłuchuje mnie bardziej jak na filmie.

Lekko zażenowana mina porucznika ujawniła, że pytanie nie było bezzasadne.

- Niby tak, ale dla mnie ważne są informacje, natomiast nie wszystko, co prowadzi do złapania mordercy, jest potrzebne jako dowód w sądzie. I pani zeznania raczej takim dowodem nie będą.

- Raczej?

- Gdyby okazało się, że jednak są potrzebne, wtedy zaprotokołujemy.

- I będę musiała jeszcze raz przyjeżdżać z Niemiec?

Kolonko westchnął.

- Dobrze, poproszę sierżanta Michtę, zreferuje mu pani, co pani powiedziała, i on to spíše.

Szczupły czy wręcz bardzo szczupły mężczyzna w stroju do joggingu wyszedł z bramy starej kamienicy na Ursynowie. Po twarzy było widać, że swoje lata już ma, ale sylwetka bardzo go odmładzała. Zatrzymał się na skraju trawnika i zaczął wykonywać ćwiczenia rozgrzewające: skłony, wymachy bioder, skręty i zginanie kolan. Obserwował przy tym niewysokiego jegomościa w średnim wieku, ale z bujną czupryną bez śladu siwizny, który przyglądał się tabliczkom zawieszonym przy bramie. Najwidoczniej nie znalazł tej, której szukał, bo następnie przestudiował wizytówki na domofonie. Z równie miernym skutkiem, o czym świadczyło kontynuowanie poszukiwań w kieszeniach wytartego prochowca. Wyłowił z nich zapisane karteczki, odczytał jedną z nich i pokręcił rozczarowany głową.

- Przepraszam - odezwał się do biegacza. - Orientuje się pan może, gdzie tu przyjmuję tłumacz przysięgły języka szwedzkiego Marek Rzepecki? Myślałem, że będzie jakiś szyld, i zapisałem sobie tylko numer domu, ale żadnego szyldu nie ma.

- Ja jestem Marek Rzepecki. A szyldu nie ma, bo przyjmuję wyłącznie klientów umówionych telefonicznie. I teraz pana nie przyjmę, bo idę biegać, a nie będę sobie rozwałił treningu tylko dlatego, że panu nie przyjdzie do głowy sięgnąć po telefon. Szykuję się do maratonu i jeśli nie będę przestrzegał planu treningowego, to nie mam nawet co stawać na starcie. Proszę do mnie zadzwonić albo wysłać maila, to się umówimy. Wszystkie moje dane znajdzie pan tam, gdzie pan znalazł numer domu.

- Kiedy ja nie chcę nic tłumaczyć.

- To jaką ma pan do mnie sprawę?

Mężczyzna, zamiast odpowiedzieć, wznowił poszukiwania w swoim prochowcu, z początku mało owocne, ale koniec końców wyciągnął policyjną odznakę.

- Porucznik Kolonko z Komendy Wojewódzkiej. Nie wiem, czy dotarła już do pana informacja, że drugi tłumacz, który obok pana pracował przy podsłuchiowaniu przemytników amfetaminy, został zamordowany.

- Dotarła. Komisarz Goliński do mnie dzwonił, a że policja nie ma środków na ochronę ludzi, od razu mnie uspokoił, że jeśli nie zwinąłem gangowi pół kilograma amfy, to mogę spać spokojnie.

- Myśli pan, że Stypuła to zrobił?

- Nie wypowiem się, nie znałem człowieka.

- Jak to...

- Chwila moment, jeśli chce mnie pan przesłuchiwać, to obowiązują pana te same reguły, co klientów: nie kosztem mojego treningu. Oczywiście, że pan jako policjant decyduje, kiedy będziemy rozmawiali, ale wzywając mnie do komendy na przesłuchanie. Ja, znając datę i godzinę, mogę sobie rozplanować biegi w tygodniu. Co to w ogóle za forma odbierania zeznań, że zaczepia mnie pan pod domem?

Kolonko, mający najwyraźniej w tym śledztwie pecha do formalistów, wyjaśnił - choć innymi słowami - że z biurokracją jest trochę na bakier, a samą rozmowę postrzeżałby raczej jako zasięgnięcie języka niż przesłuchanie.

- To jestem do pana dyspozycji za dwie godziny i dwanaście minut, bo mam w planie dwadzieścia kilometrów. No i jeszcze kwadrans na prysznic, ale potem możemy spokojnie usiąść przy kawie.

Coś w rodzaju jęku poinformowało Rzepeckiego, że porucznik nie ma najmniejszej ochoty na tak długie czekanie.

- Alternatywą jest, że pobiegnie pan ze mną. Tempo mam konwersacyjne, więc jak sama nazwa wskazuje, będziemy mogli rozmawiać. Przez kawałek wystarczający do zasięgnięcia języka powinien pan dotrzymać mi kroku, tym łatwiej że w ramach rozgrzewki zaczynam truchtem.

Biegacz spodziewał się odrzucenia propozycji, zwłaszcza że Kolonko zlustrował swoje buty, które jeśli nadawały się do jakiegoś biegu, to w stronę zakładu szewskiego, ale niespodziewanie usłyszał:

- Trudno, pobiegnę.

I porucznik jakby, słusznie, przewidując, że kondycji na długo mu nie starczy, od razu dorzucił pytanie:

- Nie znał pan Stypuły?

- Nie dość dobrze, by oceniać, czy chodziły mu po głowie przestępcze pomysły. Pracowaliśmy tylko razem i to bynajmniej nie ramię w ramię. Widziałem go raz na czymś w rodzaju odprawy u Golińskiego, kiedy zaczynaliśmy, a później telefonicznie albo mailowo konsultowaliśmy terminologię, żeby nasze tłumaczenie było jednolite. No i wspomagaliśmy się w odsłuchiwaniu taśm: jeśli jeden z nas nie mógł rozszyfrować, co przestępcy mówią, drugi starał się mu pomóc. Tłumaczenie ze słuchu, kiedy nie można poprosić mówiącego o powtórzenie, jest dosyć trudne.

Zostawili za sobą osiedle i wbiegli do Lasu Kabackiego.

- Czy Stypuła narzekał na niskie zarobki?

- Nie rozmawialiśmy na takie tematy.

- Czy opowiedział pan komuś postronnemu o tych podsłuchach? I nie obchodzi mnie, że ewentualnie złamał pan tajemnicę zawodową. Osoba mająca o nich wiedzę może być mordercą.

- Nikomu. Daję słowo. Na początku swojej kariery byłem dość gadatliwy, o mało nie straciłem przez to uprawnień i nauczyłem się...

- Rozumiem - przerwał Kolonko, który chociaż dzielnie drobił u boku maratończyka, to zdał sobie sprawę, że nie może pozwalać na zbyt rozbudowane odpowiedzi. - A Stypuła?

- Nie mam pojęcia. Ale nie sądzę, przecież sprawdzała nas ABW, czy skłonności do gadulstwa nie wykluczają nas z tej operacji.

- Racja.

- Chociaż...

- Tak?

- Mieliśmy kiedyś zagwozdkę, której sami nie potrafiliśmy rozwiązać, szczegóły chyba pana nie interesują?

- Ani trochę - przyznał Kolonko, któremu biegło się coraz trudniej, ale nie umiał ocenić, czy maratończyk już przyspieszył do normalnego tempa, czy on tak szybko tracił siły.

- Stypuła chciał puścić taśmę innemu przysięgłemu, powiedział, że normalnie to z nim konsultuje tłumaczenia, że jego też obowiązuje tajemnica i rzeczywiście trzyma język za zębami.

- Jak się ten przysięgły nazywa?

- Nazwiska nie pamiętam, imię chyba Zenon. Powinien pan łatwo ustalić według listy, dwóch Zenonów na niej raczej nie ma.

- Zenon Naczyński?

- Możliwe. Tak, to chyba był Naczyński. Ale koniec końców Stypuła nie puścił mu taśmy, bo stanowczo się temu sprzeciwiłem, więc Naczyński o podsłuchach raczej się nie dowiedział.

- Czemu raczej?

- Bo Stypuła sam rozwiązał problem, powiedział, że w pewnym momencie zajarzył. Jest to możliwe, nad czymś się intensywnie myśli, podświadomość pracuje i nagle pozornie znikąd przychodzi rozwiązanie, więc wtedy nie było w tym nic podejrzanego. Ale teraz, kiedy sugeruje pan, że Stypuła mógł się wygadać, nasuwają mi się oczywiście wątpliwości, czy jednak za moimi plecami nie zasięgnął porady Naczyńskiego.

- Gdzie pan był w środę między dziesiątą pięćdziesiątą a jedenastą trzydzieści?

Mocno już zadyszany porucznik z trudem wyartykułował liczebniki, a na dodatek Rzepecki dobre kilkanaście metrów zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Tłumaczyłem rozmowy biznesowe w spółce Swedpol. Zaczęliśmy o dziewiętej, a wypuścili mnie dopiero późnym popołudniem.

- Okej... bardzo panu... dziękuję...

Kolonko nie dokończył, tylko zatrzymał się i zgiął w pół, niemal rozpaczliwie próbując złapać oddech. Rzepecki odwrócił się, kontynuując bieg tyłem.

- Kiepsko z pana kondycja, poruczniku.

Kolonko pokręcił głową, nie tyle w geście zaprzeczenia, co ubolewania.

- Pan na... prawdę... przebie... dwa... ścia kilome...?

- Dwa maratony już przebiegłem, więc spokojnie.

- Po... dzi... wiam - wydyszał porucznik i runął na murawę.

Kolorowe światła omiały parkiet, a muzyka dudniła, jakby dyskdżokej poszedł o zakład, że obudzi paru umarłych. Dwaj policjanci w cywilu musieliby do siebie krzyczeć, gdyby nie to, że wszystko omówili przed wejściem do dyskoteki.

Goliński z początku nie chciał Kolonco pomóc, twierdząc, że ten szuka dziury w całym, ale była to pierwsza, typowa reakcja na argumenty obalające teorię, do której jest się przywiązany. Jeśli człowiek wyrobi sobie pogląd w danej kwestii, to bardzo niechętnie go zmienia, nawet kiedy pojawiają się twarde dowody, że stan rzeczy jest inny. Śledczy z wydziału antynarkotykowego był jednak świadom tej ułomności ludzkiego umysłu, zdawał sobie sprawę, że u siebie jako policjanta musi ją zwalczać, i następnego dnia skontaktował się z porucznikiem, proponując wyprawę do Białego Lotosu. Bo ten lokal stanowił dla gangu punkt dystrybucyjny, w którym drobni dilerzy dostawali amfetaminę do rozprowadzenia w pozostałych klubach.

Usiedli przy barze, nic nie zamawiając, i rozglądali się wokół. Kolonko skupił swą uwagę na tłumie kłębiących się na parkiecie ciał, a minę przy tym miał taką, jakby ćwierć wieku wcześniej, gdy wypadła jego czas chodzenia na dyskoteki, wyglądało to inaczej albo jakby w ogóle pierwszy raz w życiu znalazł się w dyskotece. Goliński szukał kogoś wzrokiem.

Tym kimś okazał się umięśniony łysol ze złotym łańcuchem na szyi, świadczącym, jeśli wziąć pod uwagę spadające ceny złota, raczej o złym guście niż dużych pieniądzech. Goliński klepnął porucznika w ramię i pokazał na stolik, przy którym łysol obmacywał dwie nastolatki w spódniczkach ledwie przykrywających uda. Wstali i ruszyli w jego stronę, ale ten, kiedy dostrzegł policjantów, odepchnął dziewczyny, poderwał się i dwoma susami dopadł korytarza, prowadzącego na zaplecze. Może i ucieczka by się udała, gdyby nie to, że Goliński najwyraźniej się jej spodziewał, bo kiedy łysol zniknął w korytarzu, deptał mu już po piętach, a kilka metrów dalej przyparł go do ściany.

- A dokąd to ci się tak śpieszy, Pluto?

- Puszczaj!

Goliński zignorował to wezwanie, obszukał handlarza, ale nic nie znalazł.

- Widzisz? Nic nie mam. Puszczaj.

Niezdeprymowany porażką, Goliński wyciągnął z kieszeni swojej skórzanej kurtki foliowy woreczek z białym proszkiem i podetknął łysolowi pod nos.

- A to?

- To twoje, kurwa!

- Tak? Jakież kamery tu są? Albo świadkowie? Mój kolega dopiero teraz dociera.

Rzeczywiście, Kolonko nie tylko nie zorientował się, że będzie pościg, ale jeszcze najwyraźniej musiał po drodze się zatrzymać, by zapalić swojego elektronicznego papierosa.

- Ale spokojnie, dzisiaj nie chcę zrobić ci krzywdy, potrzebuję tylko informacji.

- Nie kapuję psom!

Że była to zła odpowiedź, łysol przekonał się, kiedy jego twarz uderzyła z impetem o ścianę, a z rozkwaszonego nosa trysnęła krew.

- Na czym to stanęliśmy? Aha. Czy któryś z dilerów wziął od ciebie w ostatnim czasie więcej amfy niż normalnie? Tak, powiedzmy, z pół kilo więcej? A może jeszcze się pochwalił, że ma klienta, który zamówił od razu całe pół kilo?

Z braku drugiego nosa osiłek uznał, że policjantowi skończyły się środki nacisku.

- Pierdol się!

Kopnięcie kolanem w krocze spowodowało, że Pluto osunął się na ziemię.

- Ja mogę się pierdolić, ale ty będziesz miał z tym kłopoty. Bo jak nie odpowiesz, to doprawię, a potem zwinę cię na komisariat za posiadanie. To był kijek, ale dam ci też marchewkę. Nie chcemy nic od ciebie ani od twojego dilera, interesuje nas ten gość, który kupił, jak go nam nagracie, damy wam spokój.

Albo przeważało to zapewnienie, albo ból we wrażliwym miejscu, bo łysol uniósł dłoń w pojednawczym geście.

- Dobra, dobra. Dziara wziął pół kilo dla jednego faceta.

- Kim był ten facet?

- Nie mam pojęcia, gadajcie z Dziarą.

- Tak po prostu sprzedaliście mu pół kilo?

- Czemu nie? Nasz klient, nasz pan. - Łysol, mimo że poturbowany, zaśmiał się. - Pomyśleliśmy oczywiście, że chce dilonować, ale dostał ostrzeżenie, że jak wejdzie na nasz teren, to mu chuja urwiemy.

- Gdzie zastaniemy Dziarę?

- W Trzeciej Bramie.

Niezorientowany w klubowej mapie stolicy porucznik myślał, że chodzi o któreś z wejść do Białego Lotosu, ale Goliński wyprowadził go z błędu.

- To dyskoteka na Mokotowie, musimy podjechać.

Podjechali służbowym, ale nieoznakowanym fordem, który Goliński wziął ze swojego wydziału.

W Trzeciej Bramie było niewiele ciszej i tak samo tłoczno. Również Dziara otaczał się młodymi dziewczętami, ale wcale na widok policjantów nie zamierzał uciekać. Przeciwnie, na jego pokrytym tatuażami obliczu - co wyjaśniało ksywkę - pojawił się szeroki uśmiech.

- Oho, komisarz Goliński. Czemu zawdzięczam tę nieprzyjemność?

- Ty się, Dziara, nie ciesz, bo sprawa jest o morderstwo, ten tu porucznik jest z wydziału zabójstw.

Uśmiech wyraźnie przygasł, a kiedy wydobyta po krótkich poszukiwaniach odznaka potwierdziła tę prezentację, całkowicie zamarł.

- Morderstwo? O nie! Nie wrobiecie mnie w żadne morderstwo!

- My cię nie musimy wrabiać, sam się wrobiłeś, sprzedając gościowi amfę. To podpada pod współudział.

- Co? Jakiemu gościowi? Jaki współudział? Otruł nią kogoś? Niemożliwe, to prochy pierwsza klasa z tej samej partii, co idzie na Szwecję, a nie jakieś pieprzone dopalacze. I co w ogóle ja mam do tego?!

- Powiedzmy, że nic, jeśli nam o tej transakcji szczegółowo opowiesz. Chodzi o faceta, który w ostatnim czasie wziął całe pół kilo.

Dziara wypchnął dziewczyny ze słowami „Idźcie potańczyć” i pokazał policjantom, by koło niego usiedli.

- Nie ma sprawy, pod warunkiem że przymkniecie oko na ten handel.

- Interesuje nas tylko kupujący - zapewnił Goliński. - Co możesz nam o nim powiedzieć?

- Niewiele. Przyszedł w poprzedni piątek, chciał pół kilo, na cito nie miałem, kazałem mu przyjść w sobotę, przyszedł w sobotę, wziął, zapłacił i poszedł.

- Ile zapłacił?

- Mało, targował się jak na arabskim bazarze.

- Ile konkretnie?

- Tajemnica handlowa.

Goliński spojrzął na porucznika, ale ten pokręcił głową, że wiedza o cenie nie jest mu niezbędna.

- Mówił, do czego potrzebuje całe pół kilo?

- Dla przyjaciół, żeby miał ich czym częstować.

Przekąs w głosie nie wymagał dopytania, czy diler w tę wersję uwierzył.

- A twoim zdaniem co chciał z tym zrobić?

Dziara podrapał się po czaszce, na której, zamiast włosów, miał tatuaż wyobrażający włosy. W sumie doskonałe antidotum na odwieczny męski problem.

- No, właśnie nie wiem. Najpierw pomyślałem, że frajer wpadł na pomysł, że dilerką podreperuje domowe finanse, ale wcale nie chciał dilonować.

- Skąd to wiesz?

- Po prostu widziałem: to tak jak z laskami, widzisz, która chce z tobą wskoczyć do wyrka, ale nie wytłumaczysz, po czym to poznajesz.

- Może go pan opisać? Jak wyglądał? - do przesłuchania włączył się porucznik Kolonko.

- Nie bardzo mogę, bo nie chciał być rozpoznany: bejsbolówka, ciemne okulary na pół twarzy, doklejona broda.

- Czyli nie rozpoznałby go pan?

- Bez szans.

- A głos?

- Bardzo wątpię. Nie mówił jakoś charakterystycznie, a rozmawiałem z nim wszystkiego dwa razy po parę minut. Właściwie raz, bo przy drugim spotkaniu to było z rączki do rączki.

- Wzrost, wiek?

- Wzrost jakieś metr osiemdziesiąt, wiek, naprawdę nie wiem. Wszystko między trzydziści a pięćdziesiąt. Trochę grubawy. Nie otyły, ale jednak taki, co to zamiast haratać w gałę, woli mecz z piwem w rękę obejrzeć.

Kolejne pytanie nie padło, a Goliński dopiero po chwili zorientował się, że porucznik wcale nad nim nie myśli, tylko analizuje uzyskane informacje.

- Dobra, Dziara, ten dół puszcza w niepamięć, ale na tym nasza komitywa się kończy. Za następnym cię zapuszczuję.

- Jaki następny? Nie będzie żadnego następnego, postanowiłem zostać wzorowym obywatelom. Wie pan, panie komisarzu, takim, co to nie przechodzi na czerwonym świetle i zawsze kasuje bilety w tramwaju.

- Zobaczymy, czy będziesz taki skory do kpin, jak sąd wlepi ci dychę.

Po tej groźbie czy ostrzeżeniu policjanci opuścili lokal. Przy samochodzie Kolonko zatrzymał się i wyciągnął swojego elektronicznego papierosa, pokazując, że najpierw chciałby zapalić.

- Sprawdził mi pan swoich współpracowników?

- Nie podobały mi się zarzuty, ale sprawdziłem.

- Proszę nie mieć do mnie pretensji, przy sprawie o morderstwo nie mogę wykluczać policjantów tylko dlatego, że są policjantami. A w tej podejrzeni są wszyscy, którzy wiedzieli o podsłuchiwaniu gangu. Po rozmowie z tym Dziarą nie mam już co do tego najmniejszych wątpliwości.

- Jasne, jasne - powiedział niechętnie Goliński. - Ale nikogo z moich ludzi poza tą współpracą nic ze Stypułą nie łączyło. A jak rozumiem, skłania się pan właśnie ku temu, że zabójstwo wcale nie jest powiązane z narkotykami, więc musieliby zetknąć się z nim gdzieś indziej, żeby narodził się motyw.

- Słuszne rozumowanie.

- Do tego dwóch ma alibi, a trzeci brodę.

- Słucham? - zdziwił się Kolonko.

- Dziara powiedział, że facet przykleił sobie brodę. Ktoś, kto już brodę ma, nie maskuje się w ten sposób.

- Słuszna uwaga. Co z panem?

- Co ma ze mną być? Mnie też pan podejrzewa?!

- Panie komisarzu, już to przerabialiśmy, nie podejrzewam, ale muszę mieć pewność.

- Alibi nie mam. Odsypiałem wtedy nocną akcję, obudził mnie właśnie telefon, żeby jechać na Hegla, bo ekipa pracująca przy zabójstwie znalazła pół kilograma amfetaminy. I też poznałem Stypułę dopiero przy tej sprawie, a prywatnych kontaktów nie mieliśmy. Co pan pewnie sprawdzi.

- Już sprawdziłem - przyznał się Kolonko. - Rzeczywiście ani pan, ani pana współpracownicy w prywatnym otoczeniu Stypuły się nie przewijają.

Goliński zmełł w ustach przekleństwo.

- Czemu nasyła mnie pan na moich ludzi, skoro sam pan ich sprawdzał?

Porucznik zrobił przeproszącą minę.

- Nie do końca. Badałem otoczenie zamordowanego, a pana poprosiłem o zbadanie niejako drugiej strony. Czy ułagodzi pana to, że zakładałem, że będziecie czyści, a teraz uznaję

to za potwierdzone?

- Potrafi pan być irytujący. Niech pan gasi tego papierosa, bo chcę wracać do domu.

Naczyński nie mógł wjechać do garażu, bo pordzewiały maluch zastawił bramę, na której wisiał nie tylko znak zakazu parkowania, ale i napis informujący, że taki zakaz w tym miejscu obowiązuje. Rozejrzał się za właścicielem, żeby go zrugać, ale nikogo w pobliżu nie było. Wsiadł z lexusa, podszedł do zawalidrogi i zajrzał do środka, ale oczywiście te oględziny nic nie dały, poza odkryciem, że tapicerka foteli była w jeszcze gorszym stanie niż blacha samochodu. Słumił chęć kopnięcia w koło niemal pozbawione bieżnika i wyjął komórkę, żeby zadzwonić po straż miejską. Wtedy zza węgła jego domu wyłonił się wyraźnie zakłopotany mężczyzna w piaskowym płaszczu, pochodzącym chyba z tej samej epoki co mały fiat.

- Przepraszam, zablokowałem panu wjazd?

Naczyński ze zdumienia uniósł brwi.

- Jeszcze się pan pyta?! Przecież ślepy dostrzegłby ten znak! A jak prawo jazdy ma pan kupione, to jest dodatkowo napis! Czytać pan też nie... Co pan, do cholery, robi w moim ogrodzie?!

- Przepraszam, nikt nie otwierał, kiedy dzwoniłem do furtki, i pomyślałem, że może domofon nie działa, więc przeszedłem przez płot, żeby zapukać do okna albo do drzwi.

- Proszę pana, jeśli nikt nie otwiera, to znaczy, że nikogo nie ma w domu, a nie, że domofon jest zepsuty. Logicznego myślenia uczył się pan w tym samym miejscu co czytania?

Mężczyzna nie wyglądał na urażonego tym sarkazmem, jego mowa ciała wyrażała raczej przeprosiny, że sprawił tyle kłopotu.

- Jeśli otworzy mi pan furtkę, przestawię samochód.

Naczyński, spełniając jego prośbę, uświadomił sobie, że słowo „przestawię” oznacza, iż nieznajomy nie zamierza odjechać.

- Czego pan tu chce? Nie dajemy żadnej jałmużny, a jedzenie dostanie pan w schronisku Brata Alberta.

Ta uwaga zatrzymała mężczyznę w drzwiach wozu. Odwrócił się z miną pełną ubolewania, że nie przedstawiając się, skłonił rozmówcę do fałszywych wniosków, nie było w niej natomiast cienia urazy, że został wzięty za żebraka.

- Oj, nie, nie. Nie chcę pana na nic naciągać. Jestem... - dobrą chwilę trwały poszukiwanie w kieszeniach płaszczu przedmiotu, który miał potwierdzić tożsamość dziwnego gościa, a okazał się policyjną odznaką - porucznik Kolonko. Rozmawialiśmy przez telefon, bo rozumiem, że mam do czynienia z panem Zenonem Naczyńskim?

- Tak, to ja. Naprawdę z moich podatków płacą tak mało oficerom policji, że jeździ pan czymś takim?

Kolonko przeniósł wzrok na malucha, jakby chciał ustalić, jakie zarzuty kryją się pod słowami „czymś takim”.

- Doskonale się sprawuje, mało pali, z zaparkowaniem nie ma problemu, bo wszędzie się wciśnie, na miasto więcej mi nie trzeba.

Doskonale sprawujący się samochód nie chciał zapalić, a kiedy w końcu zaskoczył, szarpnął do przodu i omal nie uderzył w lexusa Naczyńskiego.

- Niech pan uważa! Co pan robi?!

Przestraszony Kolonko odkręcił szybę i wyrzwał przez okno.

- Uderzyłem?

- Na szczęście nie. Ale niewiele brakowało.

- To dobrze. W takim razie cofam.

Z tyłu miał wolne miejsce, więc żadnego zagrożenia nie spowodował i Naczyński mógł wjechać do garażu. Stamtąd zawołał do Kolonki, by do niego zszedł, gdyż z garażu prowadziło bezpośrednio wejście do domu.

- Czemu zawdzięczam wizytę? - zapytał Naczyński, kiedy znaleźli się na górze, całkowicie spokojny o odpowiedź. Ewentualne zdenerwowanie, że śledztwo w sprawie morderstwa sprowadziło Kolonkę w jego progi, zostało wyparte przez irytację spowodowaną zachowaniem porucznika, a później przyszła refleksja, że tak nieporadny śledczy nie złapie żadnego mordercy, dopóki ten sam się nie przyzna.

- A... - Kolonko znowu obszukiwał kieszenie swojego prochowca, ale tym razem wyciągnął z nich nie przedmiot związany z tematem rozmowy, tylko elektronicznego papierosa.

- W tym domu nie palimy!

- Ale... - Porucznik niepewnie zademonstrował, że nie trzyma w ręku zwykłego papierosa, mimo to Naczyński pokręcił odmownie głową. - No trudno. Gdzieś tu miałem... - po kolejnych poszukiwaniach wyłowił z fałdów płaszcza parę luźnych, zabazgranych kartek. - A tak. Chciałem podpytać pana o sytuację tłumacza przysięgłego. To dochodowy zawód?

- Zależy.

- Od czego?

- Od człowieka. Ja zarabiam sporo, Witek radził sobie raczej kiepsko, mimo że mieliśmy te same uprawnienia i umiejętności.

- Czym to było spowodowane?

Naczyński wyjaśnił Kolonce, jaki trudny charakter miał jego kolega.

- Przeszkadzało mu to, że pan zarabiał znacznie więcej?

- Tak bym tego nie ujął, Witkowi zawiść była obca. Doskwierało mu, że sobie nie radzi, że nie zarabia dużych pieniędzy, ale gdyby te duże miał, to mnie by bardzo dużych nie żałował.

- Rozumiem. Czy Stypuła wspominał panu ostatnio coś o swojej pracy?

- Narzekał, że podsłuchy absorbują go niemal na pełny etat. Policja podsłuchiwała polskoszwedzką grupę przestępczą, chodziło o narkotyki, i Witek przy tym tłumaczył.

- To nie jest tajemnica zawodowa, czego dotyczyło tłumaczenie?

- Nie takiej rangi, żebym mógł odmówić odpowiedzi policjantowi prowadzącemu śledztwo w sprawie morderstwa.

- Chodzi mi o to, czy Stypuła miał prawo informować pana, nad czym pracuje?

- Aha. Ale tak, ja też jestem przysięgłym, więc należy nas postrzegać jako tandem. Często konsultowaliśmy nawzajem swoje tłumaczenia, co oczywiście wymagało wprowadzania w szczegóły, ale obaj mieliśmy stuprocentową pewność, że drugi zachowa wszystko dla siebie. Pomogłem mu zresztą i w tym przypadku, miał na taśmie passus, którego nie potrafili rozgryźć, ani on, ani drugi tłumacz, który przy tym robił, i Witek zwrócił się do mnie.

- A czemu narzekał? Przecież skoro miał pracę, to przynosiła mu ona pieniądze.

Naczyński uśmiechnął się z przekąsem.

- Tak powinno być w normalnym kraju. Ale jesteśmy w Polsce. Za pracę dla sądów, policji i prokuratury dostajemy stawki urzędowe, przy czym za tłumaczenia ustne są one wyjątkowo nędzne, bo wynoszą ledwie jakąś jedną trzecią stawek rynkowych. Czyli takie pracochłonne zlecenie dla policji to czysta strata finansowa.

- To czemu się na nie zgodził?

- Bo haczyk jest taki, że nie możemy odmówić. A Witek nie umiał wypracować sobie mechanizmów, które pozwalałyby mu zachować rozsądne proporcje między zleceniami prywatnymi a urzędowymi. Ja na przykład, jak dostanę za dużo papierów z sądów do tłumaczenia, to nie odbieram wszystkich naraz i w ten sposób mam czas na pracę dla indywidualnych klientów.

Rozmowę na chwilę przerwał powrót żony Naczyńskiego, która zajrzała do pokoju, ale kiedy zobaczyła, że mąż ma gościa, zostawiła ich samych.

- W mieszkaniu pana kolegi znaleźliśmy pół kilograma amfetaminy - oznajmił Kolonko.

- Naprawdę?! Witek? Narkotyki? Niemożliwe, z papierosami i alkoholem było mu nie po drodze, nie mówiąc o narkotykach. Z tego, co wiem, nigdy nawet eksperymentalnie trawki nie zapalił, a teraz miałby brać amfetaminę? Wykluczone.

- Taka ilość wskazuje, że on jej nie chciał zażywać, tylko miał zamiar ją sprzedawać - obalił te zastrzeżenia porucznik. - Podejrzewamy, że w trakcie tłumaczenia uzyskał informacje

pozwalając mu przywłaszczyć sobie to pół kilo. I wygląda na to, że gangsterzy strasznie go to za ukarali.

- Czyli macie już jakichś podejrzanych?

- Konkretnych nie. Ale wiemy, że o tę kradzież przemytnicy podejrzewali najpierw dwóch członków swojego gangu i obaj zostali zabici.

Naczyński pogratulował sobie w duchu. Pomysł podrzucenia Stypule narkotyku okazywał się strzałem w dziesiątkę. Tak jak zakładał, przy przemycie amfetaminy działa się tyle, że policja musiała natrafić na wydarzenie, które pasowałoby jej do partii towaru znalezionej u zamordowanego.

- Biedny Witek. Nie podejrzewałbym go o taką brawurę i lekkomyślność. Przecież musiał zdawać sobie sprawę, czym grozi zadzieranie z gangiem.

- Tylko jedno mi nie pasuje.

- Co takiego?

- Że został zabity lampą.

- Lampą?

- Tak, lampą z soli. Naprawdę z soli, pierwszy raz widziałem, że można zrobić lampę z soli. Miał ją na biurku.

- Zgadza się, kojarzę ją, mam identyczną. Taka pomarańczowa.

- Pan bywał u Stypuły?

- Tak, oczywiście. Mieszkamy dwa kroki od siebie, jak już powiedziałem, mamy, mieliśmy wspólne interesy...

- A kiedy pan był u niego ostatni raz?

- Niech pomyślę... gdzieś ze dwa tygodnie przed jego śmiercią.

Kolonko odnotował tę informację na kartce, a potem wpatrzył się w nią, jakby miała doprowadzić go do konkluzji. Przedłużające się kontemplacje zniecierpliwily Naczyńskiego.

- Co z tą lampą?

- Słucham? Ach tak. No więc, jeśli chodzi o tych dwóch z gangu, to jeden został zastrzelony, a drugi uduszony. Czemu zabójca pana kolegi nie posłużył się pistoletem albo garotą?

- Jeśli to był ten sam człowiek, co zabił tamtych dwóch, to widać, że zmienia narzędzia zbrodni: najpierw pistolet, potem garota, a teraz lampa. A jeśli egzekutorów było trzech, to nic dziwnego, że każdy posługuje się innym narzędziem.

Kręcenie głową pokazało, że ten argument porucznika nie przekonał.

- Zgodziłbym się z panem, gdyby to było narzędzie z tej samej kategorii, ale nie jest.

- Nie rozumiem - przyznał się Naczyński.

- Lampa nie służy normalnie do mordowania ludzi, pistolet i garota tak. Skoro gangster planował zabić Stypułę, powinien zjawić się u niego z własną bronią, a nie korzystać z czegoś na miejscu. Lampa wskazuje raczej na spontaniczne, niezaplanowane zabójstwo: wybuch kłótnia, jeden z rozmówców wściekły chwytą, co ma pod ręką, i... buch!

- Może nie planował go zabijać, chciał się z nim tylko rozmówić, odzyskać narkotyki, a ponieważ Witek zaprzeczał, żeby miał z kradzieżą coś wspólnego, zdenerwował się i właśnie... buch.

Naczyński sam słyszał, że nie jest to zbyt sensowne wyjaśnienie, ale niespodziewanie Kolonko się z nim zgodził:

- Tak, to ma ręce i nogi, co pan mówi.

To potwierdziło przekonanie Naczyńskiego o niezbyt wysokim potencjale intelektualnym porucznika.

- Nie będę dłużej pana niepokoił, pożegnaj się, jeszcze raz przepraszam, że zastawiłem panu miejsce i że wszedłem sobie do ogrodu.

- Nie szkodzi...

W drzwiach Kolonko jednak się zatrzymał i uniósł rękę, nie odwracając się.

- Jedno krótkie pytanie. Skoro chciał odzyskać narkotyki, czemu go nie zabrał?

- Co? - Naczyński miał nadzieję, że kompletnie zaskoczona mina znikła z jego twarzy, zanim porucznik z powrotem zwrócił się ku niemu.

- Powiedział pan, że zabójca chciał odzyskać narkotyki. Czemu go nie zabrał?

- Może nie mógł znaleźć...
- Nie był specjalnie dobrze schowany, w szafce pod rzeczami.
- Może coś go spłoszyło?

Porucznik klasnął w dłonie z takim entuzjazmem, że wydawało się, iż niewiele brakuje, by podskoczył i powtórzył ten numer z obcasami.

- Jasne. Przecież znaleźliśmy zwłoki błyskawicznie. Maksymalnie czterdzieści minut po zabójstwie. Bardzo panu dziękuję, z pana przenikliwością mógłby pan pracować w policji.

Najpierw był na siebie wściekły. Jak mógł popełnić tak oczywiste błędy? Przecież tę wiedzę, że zawodowi przestępcy mordują za pomocą przeznaczonych do tego narzędzi, a nie przypadkowych przedmiotów, posiadał. A to, że nie porzuca się beztrudno pół kilograma amfy, skoro za jej kradzież się zabiło, wynika z elementarnej logiki. Analizując jednak oba błędy, doszedł do wniosku, że nawet gdyby o tym wszystkim pomyślał, nie bardzo mógł postąpić inaczej. Często człowiek jest mądrzejszy po fakcie, ale nieczęsto musi przyznać, że wcześniejsza mądrość niewiele by mu dała. Garotą na pewno nie udusiłby Witka, ten wciąż wierzył, że spotka kobietę swego życia, dbał więc o sylwetkę i kondycję, był całkiem silny i wysportowany, z kolei on nigdy nie lubił się pocić. Pistoletu nie miałby skąd wziąć, nie znajdowali się w Stanach. Nielegalny zakup zostawiłby zbyt wyraźny ślad, broń nie była tak powszechnie dostępna jak narkotyki. Owszem, diler zdziwił się, że klient potrzebuje całe pół kilo i sceptycznie odniósł się do wyjaśnień, że to na zapas i na imprezy z przyjaciółmi, a hurtem jest dużo taniej, ale po ostrzeżeniu Naczyńskiego, że jeśli zamierza amfą handlować, to nie na jego terenie, zdziwienie i sceptycyzm przesłoniła radość, że trafiła mu się tak duża transakcja. Przy zakupie pistoletu naturalnym podejrzeniem byłoby, że nabywca chce się z kimś rozprawić, nawet gdyby zapewniał, że potrzebuje go do obrony własnej. Poza garotą i pistoletem w grę wchodziłby jeszcze zwykły nóż, ale Naczyński uświadomił sobie, że nie byłby w stanie wbić ostrza w żywe ciało. Nie, dokonał zabójstwa w jedyny dostępny mu sposób. Nie mógł też rozspać tylko trochę amfetaminy w charakterze śladu, bo wtedy policja nie miałaby podstaw do przyjęcia, że Stypuła ukradł gangowi większą ilość, raczej stwierdzono by, że to pozostałości narkotyku na własny użytek. A gdyby schował paczkę tak dobrze, by Kolonko uznał, że zabójcy nie mogli jej znaleźć, prawdopodobnie nie znaleźliby jej również policjanci. Tylko filmowi byli sumienni i dokładni, prawdziwi nie odstawali od reszty społeczeństwa, która nader chętnie wiele rzeczy robiła po łebkach.

Nie, nie mógł postąpić inaczej, a gdyby dostrzegł przed zabójstwem, że ten fałszywy trop jest niedopracowany, pewnie wtedy by z niego zrezygnował. Może więc dobrze, że nie dostrzegł, bo przecież udało mu się rozwiać wątpliwości porucznika i nadal głównymi podejrzanymi byli członkowie gangu. Swoją drogą naiwny ten gliniarz, skoro zgodził się z tym, że bandzior próbował po dobroci odzyskać narkotyki, używając jako argumentów słów, a nie pięści czy odbezpieczonej broni, i zdenerwowała go dopiero odmowa. Już samo to, że przyłapany przez gangsterów złodziej odważyłby się odmawiać wydania narkotyku, było czystym nieprawdopodobieństwem. Zamiast hardo się stawiać, oddałby w te pędy i błagał o darowanie mu życia.

Miał szczęście, że trafił na tak niekumatego policjanta. A może nie było to szczęście, tylko logiczne następstwo polskiej polityki kadrowej. Ciekawe, kogo ten Kolonko znał albo czym był szwagrem, że trafił do wydziału zabójstw, choć nie poradziłby sobie nawet w straży miejskiej ze ściganiem przekupek, oferujących pietruszkę z nielegalnych straganów.

- Laptop zabitego, o który pan prosił, panie poruczniku. I jego komórka.

Informatyk położył na biurku srebrzysty komputer z logo Samsunga oraz czarny huawei.

- Jeśli coś było zabezpieczone hasłem, to je zdjąłem, tak że wszędzie wejdzie pan bez problemu.

Kolonko podziękował i otworzył kłapę. Czekaając na uruchomienie się Windowsa, jednym uchem łowił tradycyjną mieszankę radiowych wiadomości: polityka, katastrofa, michałek. Kiedy ikonki programów wyświetliły się na pulpicie, otworzył program pocztowy i zaczął przeglądać korespondencję. Dotyczyła głównie spraw zawodowych i zakupów w internecie, na prywatną część składały się przede wszystkim listy od siostry, co potwierdzało jej słowa o osamotnieniu brata. Porucznik skupił się na mailach wymienianych z Naczyńskim. I one potwierdzały ustne zeznanie, w tym przypadku o konsultowaniu ze sobą tłumaczeń. Zresztą nie tylko w zakresie słownictwa, obaj przysięgli szeroko omawiali również kwestie formalne związane ze swoim zawodem, na przykład debata, na ile dozwolone jest tłumaczenie fragmentów dokumentów, obejmowała kilkanaście e-maili. W ogóle cała korespondencja była bardzo obszerna, ale Kolonko cierpliwie ją przestudiował, nie zwracając uwagi na upływający czas.

W końcu dojrzał do ostatniego maila sprzed trzech lat, starszych nie było, albo przypadły wskutek awarii, albo Stypuła je skasował, żeby zrobić miejsce, względnie zmienił program pocztowy.

- Nic nie ma - powiedział na głos do siebie niezadowolony Kolonko. - I na pewno nie było wcześniej, nie czekałby trzech lat.

Wstał, sięgnął po elektryczny czajnik, stwierdził, że nie ma w nim wody, i poszedł do toalety, żeby go napełnić. Wracając, zamyślony, omal nie przeoczył drzwi swojego pokoju. Nasypał brązowego proszku do kubka i czekał, aż woda się zagotuje, wciąż analizując sprawę.

- Albo nic nie ma, albo jest, tylko tego nie widzę.

Wrócił z kawą do biurka i tym razem sięgnął po smartfona. SMS-ów w przeciwieństwie do maili było ledwie kilka, wyraźnie za tą formą komunikacji panowie nie przepadali. W każdym razie między sobą, bo z siostrą Stypuła wymieniał SMS-y dość często. Ale znowu rzucało się w oczy, że poza nią nie bardzo do kogo miał pisać.

- Pani Naczyńska jego kochanką nie była - wymruczał do siebie Kolonko. - Nie tędy droga.

Odłożył komórkę, przysunął sobie laptopa i ponownie zaczął czytywać korespondencję z Naczyńskim. Zajął mu to tak samo dużo czasu z równie mizernym rezultatem.

- Nic, trzeba szukać gdzie indziej. Najlepiej z nim rozmawiając.

Nalozyl płaszcz i powoli zszedł na dół. W drzwiach prowadzących z poczekalni do właściwej części komendy stał akurat policjant, który wpuszczał kobietę wezwaną na przesłuchanie. Procedura zabraniała postronnym samodzielnego chodzenia po komendzie i każdy funkcjonariusz musiał swojego świadka czy podejrzanego odebrać na dole, a po przesłuchaniu odprowadzić. Kolonko zatrzymał się, żeby przepuścić kobietę, elegancką brunetkę po trzydziestce.

- Przepraszam, że musiała pani czekać - odezwał się do niej policjant - przeciągnęło mi się poprzednie przesłuchanie.

- Nie szkodzi, zdaję sobie sprawę, że to nie fabryka, mam książkę, nie nudziłam się.

Porucznik, który jedną nogą znalazł się już za drzwiami, gwałtownie zawrócił i dopadł brunetki.

- Co pani powiedziała?!

Ta spojrzała na niego przestraszona.

- Że rozumiem, że na policji nie da się wszystkiego dokładnie zaplanować co do minuty.

- Nie, to z książką.

- No... że czytałam. Zawsze biorę ze sobą książkę, jeśli zapowiada się czekanie. W ten sposób nie marnuję czasu.

Kolonko klepnął się otwartą dłonią w czoło.

- Książka! Ani słowa o książce! - wykrzyknął, po czym, nie przejmując się, że brunetka patrzy na niego jak na nienormalnego, pognął z powrotem na górę.

Po raz trzeci przejrzał maile, tym razem szybciej, bo tylko upewniał się, że o książce rzeczywiście nie pisali. Potem otworzył Worda i przez chwilę studiował nazwy folderów,

zawierających teksty, by kliknąć na zatytułowany „Przekłady literackie”. Na ekranie ukazało się około dwudziestu plików, które po kolei sprawdził. Były to powieści, w całości lub we fragmentach, przełożone ze szwedzkiego przez Stypułę, o czym informowała formułka tej treści na pierwszej stronie. Brakło jej jedynie w książkach „Mężczyźni, którzy nienawidzą kobiet” i „Dziewczyna, która igrała z ogniem”. Porucznik skrupulatnie porównał, czy znajdzie jeszcze jakieś różnice między tymi dwoma tekstami a pozostałymi, ale na nic nie natrafił.

Plik „Przewodnie”, jako jedyny nieoznaczony tytułem książki lub jakimś słowem z niego zaczerpniętym, zawierał pisma do wydawnictw z ofertami wydania poszczególnych powieści. Dlatego Stypuła nie redagował ich bezpośrednio w programie pocztowym, wyjaśniały umieszczone pod nimi adnotacje: o odpowiedziach lub monitach, jeśli te pierwsze nie spływały. Wszystkie odnotowane odpowiedzi były odmowne. Pod wyjątkowo długą ich listą przy powieści „Kaszanka” Torgny’ego Lindgrena, którą Stypuła zaproponował aż trzydziestu dwóm wydawnictwom, widniał dopisek „dlaczego nie?”. Brak wykrzyknika sprawiał, że z pytania nie była pretensja, wyzierało z niego jedynie rozżalenie.

Żadne z pism nie zawierało propozycji wydania kryminałów Stiega Larssona.

Kolonko odchylił się na krześle i założył ręce za głowę. Coś rozważał przy akompaniamencie jazzowych melodii z radia, które zapomniał wyłączyć, wychodząc za pierwszym razem. Potem poderwał się, złapał płaszcz i chciał wybiec z pokoju. W drzwiach stanął jednak Michta i chociaż wyminiecie go ze względu na jego gabaryty było trudne, to porucznik zatrzymał się z innego powodu.

– Orientuje się pan, sierżancie, czy możemy kupić książkę?

– Książkę? – zdziwił się Michta, jakby usłyszał, że przełożony chce kupić krowę.

– Powieść. Kryminalną. Czy księgowość nam to rozliczy jako koszty śledztwa? Kiedyś kupiłem młotek, żeby zrobić eksperyment, i nie chcieli mi zwrócić pieniędzy.

– Trzeba było oddać młotek do sklepu.

– Tak można?

– W Castoramie można.

– Nie wiedziałem. Wziąłem młotek do domu i żona miała pretensje, mówiła, że dwóch nie potrzebujemy, skoro nawet jednego nie używam. A czy to moja wina, że jak wbiję gwóźdź, to zawsze jest krzywo?

Ponieważ sierżant musiałyby udzielić odpowiedzi twierdzącej, dyplomatycznie z niej zrezygnował.

– Ale czy książkę można oddać, to nie wiem. Chyba nie można. Młotka raczej się nie kupuje, żeby wbić jednego gwoździa, ale książkę się kupuje, żeby raz przeczytać, więc każdy by czytał i oddawał. I jak pan porucznik chce sobie kryminał przeczytać, to księgowość też pewnie za to nie zapłaci. Bo to rozrywka.

– Nie chcę czytać, w każdym razie nie dla przyjemności. Potrzebna mi do śledztwa w sprawie Stypuły.

– A nie było tej książki u niego? Miał półki na wszystkich ścianach. Zwróciłem uwagę, bo jeszcze nigdy nie widziałem tylu książek w jednym mieszkaniu. Normalnie interweniujemy w takich, gdzie jest tylko telefoniczna i kucharska. Albo żadnej, bo i tych dwóch ludzie przestali używać.

Kolonko znowu musiał klepnąć się otwartą dłonią w czoło.

– Że też o tym nie pomyślałem...

Cofnął się, wziął laptopa i ponownie skierował się do wyjścia.

– Panie poruczniku – zatrzymał go Michta.

– Tak?

– Prokurator pana szuka. Piekli się, że nie informuje go pan o śledztwie.

Normalnie słowa „prokurator pana szuka” powinny w adresacie wywołać przynajmniej zaniepokojenie, ale Kolonko tylko machnął ręką.

– Nie teraz, sierżancie, niech pan wymyśli jakieś usprawiedliwienie.

- Det kommer jag inte ihåg.

- Nie pamiętam – przetłumaczył Naczyński odpowiedź świadka, prezesa spółki Janssons Bil AB, na pytanie adwokata, czy oskarżony uczestniczył we wszystkich posiedzeniach zarządu w ostatnich dwóch latach. Proces dotyczył malwersacji w polskiej filii, ale obrońca zadawał szereg pytań umiarkowane związane z zarzutami. Na szczęście to było ostatnie.

- Świadek jest wolny – oznajmił sędzia.

- Det var allt. Du kan gå – przełożył Naczyński.

- Tłumacza też zwalniam.

Naczyński spojrzął na zegar nad drzwiami i skrzywił się, bo tłumaczenie zajęło pięćdziesiąt pięć minut. Jeszcze dziesięć i miałby zapłacone za dwie godziny. Wyjął z teczki właściwy z przygotowanych rachunków, położył go na sędziowskim stole i opuścił salę.

Nie od razu zauważył mężczyźną pochłoniętą lekturą. Właściwie najpierw dostrzegł okładkę książki – tę okładkę, która teraz w księgarni jako pierwsza rzucała mu się w oczy – a dopiero za nią piaskowy prochowiec. Zdeprymowany zatrzymał się. Może to przypadek? Policjanci niejednokrotnie musieli zeznawać w sądzie. Ale w tej samej sali co on? Z jego książką w rękę? Nie, nie dało się tego złożyć na karb przypadku. A skoro nie, to powstawało pytanie, jak go znalazł i czego jeszcze chciał.

- Dzień dobry, panie poruczniku.

Zagadnięty uniósł głowę znad książki i rozejrzał się trochę nieprzytomnym wzrokiem.

- A, dzień dobry! Miał pan rację, ten Larsson jest fantastyczny! Czytam w każdej chwili i nie mogę się oderwać. Moja żona też nie. W domu zabiera mi książkę i nie chce oddać.

- Co pan tu robi?

Kolonko przybrał zakłopotaną minę.

- No... książkę czytam...

- Ale czemu pod salą, gdzie ja mam tłumaczenie?

- Aha. Bo czekam na pana, chciałem zamienić dwa słowa.

- A skąd pan wiedział, gdzie mnie znajdzie?

- Od pańskiej przeziębionej córki. Powiedziała, że jest pan na tłumaczeniu w sądzie.

- Ale skąd wiedziała, w której sali?

- Zostawił pan na stole kopie rachunków, które pan przygotował, była na nich sygnatura akt, a po niej to już łatwo dojść, gdzie jest rozprawa.

Naczyński odwrócił się i ruszył korytarzem, chcąc dać do zrozumienia, że nie podoba mu się takie nachodzenie go w miejscu pracy, ale niezrażony porucznik podążył za nim.

- Ta Lisbeth Salander jest niesamowita!

- Zadał pan sobie tyle trudu, żeby mnie odszukać, bo chciał podzielić się ze mną wrażeniami z lektury?

- Nie do końca. Chociaż myślałem, że ucieszy się pan, że tak podoba mi się powieść, którą pan przełożył. Czy mógłbym prosić o autograf? Nie wiem, czy tłumacze podpisują, ale żona, jak usłyszała, że pana poznałem, to powiedziała, że bez autografu mam nie wracać. Byłbym więc bardzo wdzięczny. – Kolonko podsuwał otwartą na stronie tytułowej książkę.

Naczyński zatrzymał się i z kieszeni garnituru wyciągnął pióro, którym w czasie tłumaczenia na sali sądowej robił notatki. Uważał, że posługiwanie się piórem go nobilituje.

- Sam autograf czy z dedykacją?

- Może być z dedykacją? Super! To z dedykacją.

Po chwili milczenia Naczyński zorientował się, że dalszych wskazówek od porucznika nie dostanie.

- Dla kogo ta dedykacja?

- A, mogę sobie wybrać? To proszę napisać, że dla pani Kolonko.

- A jak ma na imię?

- Pani Kolonko. Ona nie lubi tej formy, że od razu z imieniem. Mówi, że tak to się można zwracać do sąsiada, którego zna się dziesięć lat.

Prowadzone lewą ręką pióro zachrobotało o papier.

- Jest pan mańkutomem? Moja żona też.

Naczyński potwierdził mruknięciem, ale książkę oddał policjantowi prawą. Ten, zachwycony, odczytał dedykację:

Dla pani Kolonko, z nadzieją, że po polsku będzie czytano się równie znakomicie, jak po szwedzku.

- Ogromnie panu dziękuję, naprawdę to bardzo miłe z pańskiej strony, jeszcze raz dzie...

- Poruczniku, o czym chciał pan ze mną porozmawiać?

- Co? Ach tak, racja. Pamięta pan, jak przedwczoraj doszliśmy do wniosku, że zabójca nie zdążył zabrać narkotyku z mieszkania, bo spłoszyła go sąsiadka, która znalazła zwłoki.

- Pamiętam, że ja doszedłem do takiego wniosku. Przynajmniej jeśli chodzi o spłoszenie, nie wiedziałem, kto znalazł Witka.

- Tak, tak, ale użyłem liczby mnogiej, bo się z panem zgodziłem, a teraz się okazało, że obaj się myliliśmy, więc chciałem po części ten błąd wziąć na siebie. - Kolonko miał taką minę, jakby chciał przeprosić, że mu się to nie udało.

Naczyńskiego ten altruizm porucznika oczywiście mało obszedł.

- Myliliśmy się? To znaczy, że zabójca nie został spłoszony?

- Nie. Bo widzi pan, on chciał, żeby zwłoki zostały szybko znalezione.

- Tak? Skąd pan to wie?

- Z eksperymentu.

- Z eksperymentu? Jakiego eksperymentu?

Wyszli z sądu i porucznik nie odpowiedział, bo jego uwagę przykuła witryna kawiarni.

- Mam ochotę na drożdżówkę. Żona w domu nie za bardzo mi pozwala, bo mówi, że mężczyzna w moim wieku szybko może zamienić się w barylkę. Zwłaszcza jak nie uprawia sportu, a ja ze sportu to lubię siatkówkę w telewizji, kiedy nasi grają. Jak jest z tym u pana?

- Też nie należę do sportowców. Czy jak wejdziemy do środka, opowie mi pan o tym eksperymencie bez dalszych dygresji?

Kolonko podniósł dwa palce w geście przysięgi.

- Słowo harcerza.

W kawiarni było tłoczno, ale akurat jakaś zakochana para zakończyła swoje tête-à-tête, więc wykorzystali okazję, by zająć stolik, i zamówili sobie po kawie i drożdżówce. Naczyński wahał się między jagodzianką a serową z jabłkami i cynamonem, w końcu zdecydował się na tę pierwszą, porucznik wziął serową bez zagładania w kartę, mówiąc, że za takimi przepada.

- Bardzo lubię tę kawiarnię, zachodzę tu zawsze, kiedy zeznamę w sądzie. Pan też? Mam na myśli, kiedy pan tłumaczy. Często pan tłumaczy?

- Tłumaczę dość często, do tej kawiarni zaglądam rzadko, a pan miał opowiedzieć o eksperymencie bez uwag o dupie Maryni - odpowiedział zirytowany już Naczyński, ale natychmiast się zreflektował: - Przepraszam, ale...

- Nie, nie, słusznie się pan irytuje, sam wiem, że za dużo gadam i zbaczam z tematu. Ale już mówię. Przesiedziałem cały dzień w domu, nie na urlopie czy chory jak pana córka, tylko żeby zrobić eksperyment. Trzyetapowy: najpierw zostawiłem uchylone drzwi mieszkania, potem klucz w zamku, a na końcu uchylone drzwi z kluczem włożonym do zamka. I patrzyłem, jak będą reagować sąsiedzi. Zawsze dzwonili, ale potem, kiedy nie było odpowiedzi, uchylone drzwi najczęściej domykali, a klucze tkwiące w zamku zabierali ze sobą. Rzadko kto wchodził do środka. Proporcje zmieniły się, kiedy przy zapomnianych kluczach drzwi były uchylone. Wtedy większość wchodziła. Jakby to, nazwijmy je, podwójne zaproszenie usprawiedliwiała naruszenie domowego miru. Albo inaczej, jakby samo niedomknięcie drzwi czy zostawienie kluczy kładli na karb przeoczenia, ale przy obu tych rzeczach naraz nabierali przekonania, że coś się stało.

- No i? Jaki ten pana eksperyment ma związek ze śmiercią Witka?

Mógł udawać domyślne albo zaakcentować, że nie było go na miejscu zbrodni. Wybrł jawił się jako oczywisty.

- A, racja. Bo pan nie wie. Drzwi do jego mieszkania były właśnie uchylone, a klucz tkwił w zamku. Dzięki temu sąsiadka szybko go znalazła.

Naczyński udał, że się zastanawia.

- No, dobrze, ale powiedział pan, że zabójca chciał, żeby zwłoki zostały szybko znalezione. A tego pana eksperyment wcale nie dowodzi.

- A i owszem, jeśli to zabójca włożył klucz do zamka i zostawił uchylone drzwi. Musiał sam potestować, jak zachowują się sąsiedzi, albo to po prostu dobry psycholog, który przewidział, że dopiero te dwa połączone ze sobą elementy popchną ich do oczekiwanego działania.

- Ale skąd założenie, że to zabójca włożył klucz i zostawił otwarte drzwi? Czy nie logiczniejsza byłaby taka interpretacja, że Witek zapomniał klucza w zamku, zabójca z niego skorzystał i w ten sposób dostał się do mieszkania, a potem, opuszczając je w pośpiechu, nie domknął drzwi.

- Z pewnością morderca chciał, żebyśmy tak pomyśleli, ale popełnił błąd. Otóż pęk kluczy tkwił w górnym zamku, tyle że włożony do niego klucz był od zamka dolnego. Próbowałem go przekręcić, ale się nie dało.

Teraz Naczyński rzeczywiście musiał się zastanowić.

- Może Witek otworzył dolny zamek, potem coś go rozproszyło, na przykład dzwoniący telefon, i po rozmowie omyłkowo ten sam klucz włożył do górnego, jednocześnie naciskając klamkę. Okazało się, że drzwi na górny zamek wcale nie zamknął, więc wszedł do środka, zapominając o kluczach.

Tym razem jednak to wydumane wyjaśnienie nie przeszło. Kolonko po półminucie poszukiwań wydobyl z kieszeni swojego prochowca pęk kluczy, położył je na stoliku między filiżankami z kawą i wskazał na kolorowe nakładki.

- Widzi pan?

- Co?

- Te nakładki. Zielona, fioletowa, żółta, niebieska. Zielona - górny zamek, fioletowa - dolny, żółta - do bramy, niebieska - śmietnik. Pana kolega nie mógł się pomylić, bo miał klucze oznaczone kolorami. Nie, to zabójcy nie przyszło do głowy, że będziemy sprawdzać, czy klucz pasuje do zamka. Zresztą nie musiało, zapewne niejeden śledczy by to przeoczył, niewiele brakowało, bym i ja tego nie zauważył, w sumie przypadek, że stało się inaczej.

Naczyński zaczął kląć w duchu. Na siebie za własną głupotę i na szczęśliwe przypadki porucznika. Potem podjął jeszcze jedną próbę sprowadzenia Kolonki na manowce.

- Coś komuś może przyjść lub nie przyjść do głowy tylko wtedy, gdy daną kwestię rozważa. Kiedy rozmawialiśmy poprzednim razem, powiedział pan, że użycie lampy jako narzędzia zbrodni wskazuje na spontaniczne działanie. Gość zabił, spanikował i robił nieprzemysłane rzeczy.

Ale porucznik nie był tego dnia nastawiony na przyjmowanie teorii Naczyńskiego.

- Nie sądzę i moim zdaniem ten klucz obala tezę, że zabójstwo było spontaniczne. Można powiedzieć, że przesłania lampę. Wskazuje na planowanie, na to, że zabójca chciał, by zwłoki zostały szybko znalezione.

- Ale w jakim celu?

- W celu zapewnienia sobie alibi.

- Nie rozumiem - powiedział Naczyński, chociaż doskonale rozumiał.

- Podejrzewam, że zabójca zorganizował sobie doskonałe alibi i musiał mieć pewność, że czas zgonu zawężymy do tego przedziału godzinowego, na jakie ma alibi. Tak z ciekawości, pan gdzie wtedy był?

- Co, ja? Jestem podejrzany?! - udał oburzenie Naczyński.

- Ależ skąd. Mimo to proszę odpowiedzieć.

- Hm. A o jakim przedziale godzinowym mówimy?

- Między dziesiątą pięćdziesiątą a jedenastą trzydzieści.

- W zeszłą środę?

- W zeszłą środę.

Naczyński zadając te pytania, zastanawiał się, jaką taktykę obrać. Czy udawać, że nie ma alibi, skoro porucznik powiedział, że morderca zapewnił sobie doskonałe? Nie, w ten sposób by się podłożył, bo przecież później musiałby je sobie „przypomnieć”.

- Obawiam się, że według pana teorii jestem potencjalnym mordercą, bo byłem wtedy na rozprawie, czyli moje alibi jest niepodważalne. Ale jaki miałbym mieć motyw, żeby zabijać

Witka?

Kolonko wykonał rękami gest, pokazujący, że pytanie było całkowicie zbyteczne.

- Ależ żaden. Chciałem panu pokazać, że przeciętny człowiek na ogół nie pamięta, co robił tydzień wcześniej, i powiedzieć, że morderca będzie wiedział to doskonale, ale pan okazał się wyjątkiem.

- No cóż, tłumaczenie na rozprawie jest tak rzadkim wydarzeniem, że to z zeszłego tygodnia zapamiętuję. Normalnie o tej porze w dzień powszedni siedziałbym w domu i stukał w klawiaturę, i nie miałbym żadnego alibi.

- Rzadkim wydarzeniem? - zdziwił się Kolonko. - Przecież wcześniej powiedział pan, że tłumaczy dość często.

- No tak, ale w przypadku tłumacza szwedzkiego częste tłumaczenie w sądzie to jest jedno, dwa w miesiącu, a nie pięć tygodniowo. To dzisiejsze jest drugie we wrześniu i ostatnie, nie mam więcej wezwań. Są tacy co tłumaczą raz na pół roku albo raz na rok. Szwedzi popełniają niewiele przestępstw, a spory starają się najpierw załatwić polubownie.

- To znowu mi się nie zgadza. Czy nie mówił pan, że Stypuła nie umiał sobie wypracować mechanizmów, pozwalających mu unikać tłumaczeń urzędowych? Po co te mechanizmy, skoro takich tłumaczeń jest mało? Komisarz Goliński, ten, który pilotował podsłuchy, powiedział mi, że gang na pewno nie wyeliminował Stypuły, żeby je utrudnić, bo w Warszawie jest kilku przysięgłych szwedzkiego i byłoby go kim zastąpić. No, ale jeśli jest was kilku, to czy ta niewielka liczba tłumaczeń dodatkowo nie rozkłada się między was?

Przejście z grząskiego gruntu, jakim nagle stało się żelazne alibi, na tematy zawodowe, o których Naczyński, jak większość, lubił mówić, sprawiło, że poczuł się dużo pewniej.

- Pisemnych jest znacznie więcej niż ustnych, a tłumaczy tylko w teorii jest kilku, konkretnie ośmiu, w praktyce dla wymiaru sprawiedliwości pracuje czy raczej pracowało zaledwie trzech: Witek, ja i Rzepecki. Reszta to martwe dusze, w tym sensie, że tak skutecznie migali się od tłumaczeń dla sądów, że te przestały im cokolwiek przysyłać.

- Skoro oni się migają, to czemu wy nie możecie?

- Bo nie chcemy. Tamci to nie zawodowi tłumacze, tylko ludzie mający jakąś inną pełnoetatową pracę, a przy okazji uprawnienia przysięgłego. Dla nas pisemne tłumaczenia dla sądów nie są złe, jeśli nie kolidują z prywatnymi. Klienci mają to do siebie, że chodzą falami, i w przerwach między tymi falami zlecenia dla wymiaru sprawiedliwości są jak znalazł. Mimo że dużo gorzej płatne, mają swoje zalety. Na przykład żaden klient prywatny nie zleci mi tłumaczenia dwudziestu dokumentów, w których inna jest tylko data, bo będzie mu za drogo i dojdzie do wniosku, często słusznego, że dwa wystarczą mu do załatwienia sprawy. Sądy płacą pieniędzmi podatników, więc w ogóle nie myślą, by w ten sposób selekcjonować papiery.

Wyjaśnienia przerwała kelnerka, która podeszła do nich z pytaniem, czy jeszcze coś podać.

- Rachunek - powiedział Naczyński. - Jeśli pan pozwoli - zwrócić się do Kolonki - zapłać kartą, bo mam trzy procent zwrotu, a pan odda mi gotówkę. Dwadzieścia trzy osiemdziesiąt.

- Skąd pan wie? - zdumiał się porucznik. - Przecież jeszcze nie przyniosła rachunku.

- Z cen w karcie. Kawa trzynaście dziewięćdziesiąt, drożdżówka dziewięć dziewięćdziesiąt.

- Dużo - zmartwił się Kolonko. - Nie wiem nawet, czy tyle mam, nie myślałem, że tak tu drogo.

- Drogo? Przecież to są normalne ceny, powiedziałbym nawet, że jak na warszawską kawiarnię nieco niższe od normalnych.

- Naprawdę? Chyba dawno w żadnej nie byłem - wyjaśnił Kolonko swój brak orientacji, jakby zapomniawszy, że wcześniej deklarował częste zachodzenie do tego właśnie lokalu.

Ponieważ płaszcz po wyjęciu z niego kluczy przewiesił przez krzesło, poszukiwania portfela zaczął od spodni i dzięki temu od razu go znalazł. Przejrzał jego zawartość i wyciągnął banknot dziesięciozłotowy, a z drugiej przegródki masę drobnych, z których jednak uzbierało się trzynaście osiemdziesiąt.

- Przepraszam, gdybym miał grubsze...

- Nie szkodzi, pieniądż to pieniądż - oznajmił Naczyński i wcale nie silił się na kurtuazję, tylko szczerze tak myślał.

- Te może damy jako napiwek - Kolonko wskazał na parę pozostałych monet. - Tylko nie wiem, czy takie grosze wypada.

- Pieniądz to pieniądz - powtórzył swoje credo Naczyński. - Kto gardzi groszami, ten się nie dorobi. I dlatego właśnie nie migam się od urzędowych tłumaczeń. Ale kiedy mnie nimi zaleją, muszę nieco przykręcić kurek. A czasami zalew jest duży, bo to nie tylko sądy, lecz także policja, prokuratura i na przykład jakieś starostwa, nie tylko Warszawa, lecz także Łódź i Radom.

- Łódź i Radom?

- W Łodzi uprawnienia ma jedna tłumaczka i się nie wyrabia, w Radomiu nikt.

- Rozumiem. O której godzinie miał pan tę rozprawę?

- Co? Jaką rozprawę?

Przejdzie z powrotem do tematu alibi było tak nagłe i niespodziewane, że przez chwilę Naczyński rzeczywiście nie wiedział, o co porucznik pyta.

- No, tę, na której pan tłumaczył, kiedy został zamordowany pański kolega.

- O jedenastej. I siedziałem jak ten ciołek pół godziny pod salą, bo rozprawę przełożono, tylko ci idioci nie uznali za stosowne wysłać mi w porę zawiadomienia, a elektroniczna wokanda miała awarię i informacja o rozprawie na niej widniała. Na to, żeby porównać ją z papierową, już nie wpadłem.

- Czyli jednak nie ma pan doskonałego alibi - zauważył Kolonko. - Bo nie tłumaczył pan na rozprawie, co mógłby poświadczyć sędzia, czyli najbardziej wiarygodny świadek, tylko czekał pod salą.

- No... racja. Czy to uwalnia mnie od podejrzeń? - uśmiechnął się Naczyński.

- Uwalniałoby, gdybym jakieś wobec pana miał - zapewnił równie uśmiechnięty Kolonko. - Pożegnaj się już, ale pan niech spokojnie dopije swoją kawę. Ja muszę iść, bo mam raporty do uzupełnienia. Nawet pan sobie nie wyobraża, ile my w policji musimy pisać. Chyba więcej niż pisarze. Do widzenia.

Ruszył w stronę wyjścia, ale minąwszy trzy stoliki, zawrócił i podszedł z powrotem do Naczyńskiego.

- Czegoś pan zapomniał, panie poruczniku?

- Dlaczego Stypule nie podpisał pan książki?

Znowu w pierwszej chwili Naczyński nie wiedział, o co Kolonko pyta, a ten jego wahanie dostrzegł.

- No, tej - porucznik zademonstrował swój egzemplarz „Mężczyzn, którzy nienawidzą kobiet”. - Bo tak właściwie to wcale jej nie kupiłem, tylko wzięłem ją z mieszkania pana Witolda. Wtedy jak zadzwoniłem do pana z jego telefonu i pochwalił mi się pan swoim debiutem. Zobaczyłem ją na stoliku i z ciekawości sobie pożyczyłem. Trochę nieprofesjonalnie, bo nie powinienem zabierać niczego z miejsca zbrodni, ale niecodziennie poznaje się człowieka, którego nazwisko jest wydrukowane w książce.

Chociaż wydawało się, że przez dygresję porucznik odejdzie od tematu i zapomni o swoim pytaniu, to jednak je powtórzył.

- Bo...

- Czy też źle zakładam, że pan mu ją sprezentował?

Otwarta furtka zapraszała, by z niej skorzystać, ale im bliżej prawdy, tym kłamstwo trudniej zdemaskować.

- Nie, nie, rzeczywiście dostał ją ode mnie. A bez autografu, bo o niego nie poprosił. Pewnie nie przyszło mu do głowy, że tłumacz może podpisywać książkę, i mi też nie. Pan jest pierwszy, który o to zapytał i jednocześnie uświadomił mi, że podpis tłumacza może być dla czytelnika atrakcyjny.

- A kiedy pan mu ją dał? Powiedział pan, że odwiedził Stypulę dwa tygodnie przed jego śmiercią, ale wtedy tej powieści jeszcze nie było na rynku. Sprawdziłem.

- Nigdy nie powiedziałem, że dałem mu ją podczas wizyty u niego. Zajrzał do mnie jakiś tydzień przed swoją śmiercią, akurat przyszły egzemplarze autorskie i jeden Witkowi sprezentowałem.

- Jaki tydzień? Pamięta pan dokładniej?

Już miał krótkie „nie” na końcu języka, ale zorientował się, że przez poprzednią odpowiedź będzie ono niewiarygodne: autor, który dostawał swoje pierwsze egzemplarze autorskie w życiu, musiał dokładnie wiedzieć, kiedy nastąpiło to wiekopomne wydarzenie.

- Równy tydzień. W środę.

- Nic pan nie mówił, że Stypuła wtedy pana odwiedził.

Naczyński wzruszył ramionami.

- Nie pytał mnie pan, a mnie nigdy nie przyszłoby do głowy, że to istotne, skoro Witek od czasu do czasu do nas zagładał.

- No, racja - przyznał porucznik. - Nie jest pan policjantem, nie może pan wiedzieć, co jest istotne w sprawie o morderstwo. O czym rozmawialiście?

- O tym samym co dzień przed zabójstwem. O kolacjonowaniu ostatniej części „Millennium”.

- To wymagało aż dwóch rozmów?

- Podczas pierwszej złożyłem mu propozycję i przedstawiłem warunki. Miał się namyślić i dać mi w ciągu tygodnia odpowiedź, stąd mój telefon, krótki, bo Witek tylko potwierdził, że się zgadza.

- Poprzednio powiedział mi pan, że zadzwonił pan, by zapytać go, czy się tego podejmie.

- No tak, ale to było nie wstępne pytanie, tylko końcowe.

Porucznik przyjął to wyjaśnienie i zostawił Naczyńskiego z jego rozważaniami, czy pasuje ono do sformułowań, których użył, gdy Kolonko dzwonił do niego z telefonu Stypuły, a jeśli nie pasuje, to czy Kolonko mógł je zapamiętać, skoro on sam nie potrafił przypomnieć sobie własnych słów.

- Stało się coś?

Podniósł wzrok na żonę, która, trzymając kromkę chleba na wysokości ust, przypatrywała mu się z uwagą.

- Nie, dlaczego?

- Bo zadałam ci trzeci raz pytanie, którego najwyraźniej nie usłyszałaś.

- Tak? A jakie?

- Czy idziemy na pogrzeb Witka?

Wzdrygnął się. Nie znosił pogrzebów. A myśl, że miałby obserwować ten, do którego sam doprowadził, wydała mu się nieznośna. Nie do udźwignięcia. Zabicie człowieka było dużo prostsze niż patrzeć, jak trumna z jego zwłokami znika w ziemi. A podobno mordercy chętnie przychodzą na pogrzeby swoich ofiar. Z tego względu pojawi się tam pewnie ten cały Kolonko. Co on wiedział? Idealnie rozszyfrował go z tym kluczem, ale pytanie brzmiało, czy rzeczywiście jego, czy też nieznanego mu mordercę. Czy te wyjaśnienia do pytania o alibi były prawdziwe i Kolonko naprawdę wcale go nie podejrzewał? Nie bardzo pasowało do nich dopytywanie o godzinę rozprawy. Które już ewidentnie sprawdzało alibi. I Kolonko wrócił się z tym pytaniem, wyskoczył z nim jak filip z konopi. Nie byłoby podejrzane, gdyby padło jako pociągnięcie tematu, można by je uznać za wypełniacz, mający nie dopuścić do milczenia, wypełniacz naturalnie wynikły z poprzedniej kwestii. Ale w tej chwili mówili już o czymś innym. Czyli co, znalazł się na celowniku Kolonki? A może to po prostu jedno z dziwacznych zachowań tego człowieka? Nie powinien uspokajać się na siłę, ale musiał też pamiętać, że strach ma wielkie oczy, i nie zakładać z góry, że porucznik coś wie, bo to doprowadzi go do błędów. Na pewno Kolonko wiedział, że morderstwo było zaplanowane, i skłaniał się do odrzucenia teorii, że zabójstwa dokonali gangsterzy. Ale nie mógł wiedzieć, że to on. Nie dało mu się przypisać żadnego motywu, nie istniał żaden ślad, który by go wiązał z miejscem zbrodni w czasie morderstwa, inaczej porucznik już by go z tym skonfrontował. Te błędy, które on popełnił, mógł popełnić każdy. Czy w tej sytuacji powinien spróbować podsunąć porucznikowi kolejnego podejrzanego? W żadnym wypadku. Byłoby za dużo tego dobrego. Poza tym jeśli Kolonko rozmawiał o śledztwie tylko z nim, zaserwowałby mu się dosłownie na

srebrnej tacy. Byłoby ze wszech miar podejrzane, że w chwili gdy opowiedział mu o zdemaskowanych fałszywych tropach, pojawił się kolejny. No właśnie, dlaczego Kolonko w ogóle rozmawiał z nim o śledztwie? Jednak go podejrzewał, bez dowodów, na wyczucie, i starał się znaleźć punkt zaczepienia? Czy zwyczajnie był gadułą i nie umiał trzymać języka za zębami? Nie chciał wyciągać pochopnych wniosków. Raz już ocenił tego policjanta zbyt nisko, bo umiejętności wyciągania logicznych wniosków nie dało mu się odmówić. Chociaż odkrycie, że klucz nie pasuje do zamka, należało chyba rzeczywiście położyć na karb przypadku, a nie przenikliwości.

Głośne „Zenon!” wyrwało go z tych rozważań. Grażyna musiała być na niego naprawdę zła, bo tylko wtedy używała tej formy imienia.

- Co? Nie, nie sądzę. Niby kolega ze studiów, ale żaden bliski przyjaciel, bardziej współpracownik. Nie wydaje mi się, byśmy byli do tego zobowiązani.

Nie sprzeciwiła się, widział po niej, że też wcale nie miała ochoty iść na ten pogrzeb. Doskonale.

- Uchylam pytanie. - Sędzia pogładził się po kruczoczarnej brodzie i dodał: - Jeśli obedrzeć je z ozdobników, to pan mecenas oczekuje, by świadek potwierdził, że wysłał rzeczonoego maila, tymczasem dwukrotnie padło już zaprzeczenie i sąd nie widzi potrzeby, by powtarzać je po raz trzeci.

Niezadowolony z tego rozstrzygnięcia adwokat chciał zaprotestować, ale przeszkodziły mu w tym otwierające się drzwi. Nikt jednak nie wszedł, wyraźnie zakłopotany mężczyzna tylko wsunął głowę.

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale o której pan kończy?

Sędzia w pierwszej chwili nie zorientował się, że pytanie skierowane było do niego, kiedy to pojął, zirytował się:

- Po pierwsze ma pan wywieszoną wokandę, po drugie proszę się do mnie zwracać per „Wysoki Sądzie”, po trzecie zakłóca pan rozprawę, a po czwarte kim pan w ogóle jest?!

Mężczyzna na tę reprimendę zareagował dosyć dziwnie, bo zamiast się wycofać, wszedł na salę i mamrocząc przeprosiny, zaczął przeszukiwać kieszenie swojego prochowca. Zdumiał tym sędzię, więc zdołał wyciągnąć odznakę, zanim ten zdążył się ponownie odezwać.

- Porucznik Kolonko z Wydziału Zabójstw.

- Coś pan pomylił, poruczniku, tu jest sąd cywilny, nie karny.

- Wiem, wiem, ale chciałbym zapytać o pewnego tłumacza, który dla Wysokiego Sądu tłumaczył - Kolonko zgrabnie dopasował się do wymaganych form.

- Dobrze, ale w przerwie między rozprawami. Tę powinniśmy zakończyć w ciągu... - sędzia popatrzył na adwokata, jakby z jego postawy starał się wywnioskować, ile jeszcze pytań zada - w ciągu pół godziny.

Kolonko wycofał się, kłaniając się i przepraszając, że zakłócił rozprawę. Na korytarzu zatrzymał się przed elektroniczną tablicą, uważnie ją przestudiował, a następnie równie uważnie porównał z kartką wywieszoną na drzwiach. Potem usiadł na ławce i zagłębił się w lekturze kryminału Larssona do czasu, aż uczestnicy rozprawy opuścili salę. Wtedy wszedł do środka.

- Teraz już mogę?

- Proszę. Czego chciał pan się dowiedzieć?

- W środę czternastego września o godzinie jedenastej miał pan, panie sędzio, prowadzić rozprawę, na którą wezwany był niejaki Zenon Naczyński, tłumacz szwedzkiego. - Kolonko zaczął wyciągać pojedyncze kartki z kieszeni płaszcza, aż w końcu znalazł tę, na której zapisał sobie nazwisko. - Sędzia Michał Rybak to pan?

- To ja. Notes nie byłby praktyczniejszy?

- Słucham?

- Czemu nie notuje pan w notesie? Albo w smartfonie?

- W smartfonie można notować?

Sędzia machnął ręką.

- Co z tą rozprawą?

- Została odwołana. Pamięta pan to?

- Akurat pamiętam, bo pan Naczyński miał straszne pretensje, że stawiał się na próżno, przy mnie się jeszcze hamował, ale sekretarki załżyły się, że bardzo na nie nakrzyczał. Choć trzeba przyznać, że miał rację, bo rzeczywiście powiadomienie wysłaliśmy mu za późno. No, ale Szwed uprzedził nas dopiero dziesięć dni przed terminem, że się nie pojawi. Wprawdzie od razu zarządziłem wysłanie zawiadomienia, ale nie zdążyliśmy.

- Poczta nawaliła?

- Dlaczego?

- Przez ponad tydzień nie dostarczyła listu.

- Wbrew temu, co się mówi o naszej poczcie, działa całkiem sprawnie, sądzę raczej, że listonosz nie zastał pana Naczyńskiego w domu i zostawił mu awizo. Trochę pech, no, ale my musimy uwzględnić, że tak się może stać i że adresat ma w sumie dwa tygodnie na odebranie pisma. Kolejny pech, że akurat tego dnia była awaria systemu i rozprawa widniała na wokandzie, więc pan Naczyński spokojnie czekał pod salą w przekonaniu, że rozprawa będzie, tylko się opóźni.

- Widział go pan tam?

- Nie, zacząłem sesję wcześniej, a na przerwy nie wracałem do swojego pokoju.

- Ktoś inny go widział?

- Nie wiem, pewnie protokolantka, która wywoływała sprawy, proszę ją zapytać, nazywa się Ilona Błaszak, znajdzie ją pan w sekretariacie. Myśli pan, że go wcale pod tą salą nie było? Jest o coś podejrzany?

- Powiedzmy, że przewija się w sprawie, a obecność tutaj by go wykluczyła, tylko musiałbym mieć świadka, iż rzeczywiście czekał na korytarzu.

Sędzia zastanowił się nad słowami Kolonki.

- Moim zdaniem świadek panu niepotrzebny, wystarczy logika.

- Jak to?

- Musiał czekać. Jeśli nie odebrał pisma przed rozprawą, tylko później na poczcie, a łatwo pan to sprawdzi, bo na zwrotce będzie data odbioru, nie mógł wiedzieć, że rozprawa została odwołana.

- Może ten Szwed go powiadomił, że nie przyjedzie?

- Takie powiadomienie nic nie daje. Jeśli sąd nie odwołał rozprawy, tłumacz musi się stawić, choćby prywatnymi kanałami dowiedział się, że to zbędne.

- Ale Szwed miał kontakt do Naczyńskiego i wiedział, że to on będzie tłumaczył?

- Mógł to zakładać. Pan Naczyński przełożył wezwanie dla niego i opatrzył je swoją pieczęcią, na której z pewnością jest numer telefonu.

- Potrzebowałbym danych tego Szweda - oznajmił Kolonko.

Sędzia zmarszczył czoło, jakby miał wątpliwości, czy można je policji udostępnić, ale okazało się, że powód jest inny.

- Nic panu nie dadzą.

- Jak to? - zdziwił się Kolonko.

- Bo teraz kojarzę, że całą dokumentację w sprawie przekładał inny tłumacz, nazwiska dokładnie nie pamiętam, coś od rzepey.

- Marek Rzepecki?

- O tak, właśnie. Jednak kiedy wezwaliśmy go na ustne, okazało się, że kolidują mu terminy, miał już wyznaczone tłumaczenie przez jakieś służby, zdaje się, że CBS, więc wzięliśmy innego tłumacza.

- Może będzie to szukanie dziury w całym, ale czy Rzepecki, dowiedziawszy się od Szweda, że rozprawa będzie odwołana, nie mógł powiadomić Naczyńskiego?

- Wykluczone - sędzia pokręcił energicznie głową - przecież nie wiedział, kto go zastąpi. A nawet gdyby wiedział - dodał po chwili namysłu - to z pewnością do Naczyńskiego by nie

dzwonił, bo i po co? Zna procedurę i wie, że taka prywatna informacja nie zwalnia tłumacza z udziału.

- Rozumiem. Czy pismo, które wysłaliście Naczyńskiemu, to była jedyna droga powiadomienia? Bo są jeszcze SMS-y, telefony, e-maile.

Na twarzy sędziego Rybaka pojawiło się zakłopotanie.

- Pan Naczyński też miał o to straszne pretensje, że nie powiadomiliśmy go telefonicznie, ale sekretariat i tak jest przepracowany, gdyby poza sporządzaniem i wysyłaniem pism mieli jeszcze dzwonić i SMS-ować, z niczym by się nie wyrobili.

- Ale skoro wiedzieli, że pismo może nie dojść na czas...

Sędzia rozłożył ręce.

- Dłatego mi głupio. Zadziali trochę bezmyślnie, na zasadzie, skoro nie ma zwyczaju dzwonić, to nigdy nie będziemy tego robić.

- Nic dziwnego, że tak się zdenerwował, skoro przez czyjąś bezmyślność zmarnował czas. Długo czekał pod salą, zanim wszedł?

- Jakies pół godziny. Ale czasu nie zmarnował w tym sensie, o jakim pan myśli, bo tłumacz za jedną godzinę otrzymuje zapłatę bez względu na to, czy tłumaczy, czy nie. A gdyby siedział dłużej, to miałby zapłacone za dwie, bo się stawił i dopóki nie zostanie zwolniony, licznik mu bije.

Kolonko pochwalił się wiedzą o stawkach urzędowych i wyraził przypuszczenie, że tłumacz złożył się, bo mógł ten czas poświęcić na lepiej płatne prywatne zlecenie.

- Tyle że powinien być na to zmarnowanie czasu przygotowany, rozprawy spadają przecież częściej: a to świadek nie przyjdzie, wcale o tym nie uprzedzając, albo nie stawi się któraś ze stron, albo zostaną złożone jakieś wnioski dowodowe, przez które przesłuchanie trzeba odroczyć.

- Ale wtedy wie o tym od razu, a nie dopiero po półgodzinie.

- Jeśli rozprawa zaczęła się punktualnie, to tak, ale wcale nierzadko zdarzają się poślizgi. Do czego pan Naczyński jest zresztą przyzwyczajony, skoro pięć po jedenastej nie zaczął wywiadywać się, dlaczego nie prosimy go na salę, tylko cierpliwie czekał na swoją kolej.

Kolonko podziękował sędziemu i udał się do sekretariatu. Pani Błaszak, której fioletowe pasemka w blond włosach wywarły na poruczniku piorunujące wrażenie, nie kojarzyła, by widziała Naczyńskiego pod salą, ale, jak wyjaśniła, niczego to nie przesądzało.

- Nie znałam go, więc mogłam nie zwrócić uwagi, że jest na korytarzu, mógł zresztą stać za załomem muru albo przesłonięty przez inną osobę.

Potem pokazała mu zwrotkę, kartonik przyczepiany do koperty, który adresat podpisywał na dowód, że pismo dostał, a poczta odsyłała do sądu. Potwierdziło się przypuszczenie sędziego: Naczyński odebrał powiadomienie o przełożeniu rozprawy dopiero dwa dni po tym, jak się na nią stawił.

- Co znaczy „termin 22 listopada”? - Kolonko wskazał tekst na zwrotce.

- Że rozprawa odbędzie się 22 listopada.

- Jaka rozprawa?

- No ta, na którą tłumacz wzywany jest tym pismem.

- Myślałem, że to pismo o odwołaniu rozprawy teraz we wrześniu.

- Jeśli przy odwołaniu rozprawy wyznacza się od razu nowy termin, to wysłał się wezwanie na tę nową i w tym wezwaniu informuje się o odwołaniu starej. Proszę zobaczyć.

Pokazała mu kopię pisma.

Sąd Okręgowy w Warszawie I Wydział Cywilny wzywa Pana jako tłumacza do osobistego stawiennictwa w dniu 22 listopada br. o godz. 10.00 w sali nr 201 w tutejszym Sądzie przy Al. Solidarności 127 w sprawie z powództwa Bernarda Gmocha.

Jednocześnie Sąd informuje, że rozprawa z dnia 14 września br. zostaje odwołana.

Ostatnie zdanie było od właściwego tekstu oddzielone odstępem i podkreślone.

Kolonko przeczytał je dwa razy, po czym wpatrzył się w zwrotkę, obracając ją na wszystkie strony i drapiąc się po brodzie ręką.

- Jak ona przymocowana jest do koperty?

- Przykleja się ją taśmą klejącą.

- Którą stroną? Do góry tą, na której jest informacja o terminie rozprawy?

Sekretarka wzięła zwrotkę do ręki, jakby spodziewała się znaleźć na niej narysowaną sztalukę albo inną instrukcję, wskazującą, co powinno być awersem, a co rewersem.

- Hm, nie pamiętam, ale...

Wzięła plik listów z przygotowanej korespondencji i wyszukała wśród nich wezwanie na rozprawę.

- Nie. Tą drugą stroną.

- Hm. Czyli bez oderwania zwrotki nie można przeczytać, kiedy jest termin rozprawy?

Porucznik wyraźnie nie był zadowolony z tej konkluzji.

- Można przeczytać na kopercie.

- Gdzie? Nie widzę.

Pani Błaszak odwróciła z powrotem do siebie prezentowaną policjantowi kopertę.

- Ojej, zapomniałam wpisać.

Sprawdziła w komputerze sygnaturę akt, wzięła długopis i uzupełniła.

- Może wpisać to pani odręcznie?

- Muszę, jeśli system nie wygeneruje mi daty.

- Jakby powiedziała pani to samo, ale tak, żeby laik zrozumiał...

- Do obsługi poczty i drukowania kopert mamy program, który jednak czasami pomija datę rozprawy i wtedy trzeba ją wpisać ręcznie. Ciągłe obiecują nam załatwienie tej luki, ale jak na razie na obietnicach się kończy.

Tego wyjaśnienia Kolonko już nie skomentował, tylko włożył do ust swojego elektronicznego papierosa i wyszedł z sekretariatu, żegnany protestami, że nie wolno w nim palić.

Janusz Kaliniak opuścił budynek poczty w minorowym nastroju. Jego żona miała urodziny, okrągłe, pięćdziesiąte, co powinien uczcić przynajmniej naszyjnikiem z brylantem. Znalazł bardzo ładny w internecie, z żółtego złota, ale cena zbiła go z nóg. Sześćset czterdzieści dziewięć złotych. Jedna trzecia jego pensji. Normalnie, mimo niskich zarobków, nie narzekał. Syn i córka byli już dorośli i od nastoletnich lat nauczeni, że jeśli chcą sobie coś kupić dla przyjemności, sami muszą na to zarobić. Większego mieszkania we dwójkę po wyprowadzce dzieci nie potrzebowali, starego forda, owszem, przydałoby się wymienić na nowszy model, ale sam go potrafił naprawiać, a części wyszukiwał za pół darmo na szrocie. Doceniał, że ma stałą pracę, urlop co roku, spędzany wprawdzie nad Bałtykiem, ale za granicę wcale nie chcieli z żoną wyjeżdżać. Języków się nie nauczyli, bali się, że sobie nie poradzą. Niby na wycieczce ma się pilota, ale taki pilot nie stoi przecież przy człowieku dwadzieścia cztery godziny na dobę. Byłby to dla nich duży stres, kiedy urlop ma być odpoczynkiem od stresu.

Gdy jednak mężczyzny nie stać na to, by kupić ukochanej żonie prezent, to czuje się podle. Kaliniak westchnął. Swoją pracę lubił, nawet bardzo, ale nie w tym momencie. W innej wziąłby nadgodziny i problem byłby rozwiązany, jako listonosz nie miał takiej możliwości. Jeśli nie zdążył roznieść wszystkich przesyłek, pracował dłużej niż przepisowe osiem godzin, ale nikt mu za te ponadwymiarowe nie płacił. Kiedyś końcówki emerytur i przekazów pieniężnych stanowiły całkiem okazały dodatek do pensji, ale odkad upowszechniły się przelewy, to źródelko było dużo słabiej. Na naszyjnik z pewnością nie uszkłada, także nie z piątków od tego tłumacza. Dzisiaj miał dla niego cztery listy, jak odłoży jeden, będzie dobrze, zostanie do zbierania jeszcze sześćset czterdzieści cztery złote. Ech.

Poprawił torbę i ruszył na rewir, mijając klienta, który zmierzał na pocztę. Mężczyzna był w średnim wieku, ale nosił prochowiec zakupiony najwyraźniej jeszcze w czasach młodości. A buty doskonale do niego pasowały, choć zapewne nie w wyniku świadomej stylizacji.

- Widzisz? - mruknął do siebie Kaliniak. - Nie narzekaj, inni mają jeszcze gorzej.

Zaczął jak zwykle od czteropiętrowego bloku. Kilka osób z działalnością gospodarczą w mieszkaniach dostawało polecone, ale doskonale wiedział, kogo zastanie, a komu praktycznie bez dzwonienia może wypisywać awizo. Rozdzielanie zwykłych listów do przegródki skrzynek też szło mu sprawnie. Kiedy znalazł się przy trzeciej bramie, dogonił go mężczyzna w prochowiecu.

- Pan Kaliniak? Listonosz?

Brak skłonności do sarkazmu sprawił, że od odpowiedzi „nie listonosz, makler giełdowy” był jak najdalszy, i po prostu potwierdził.

- Na poczcie powiedzieli mi, że przy tym bloku powinienem pana znaleźć. Chciałbym zadać panu kilka pytań?

- Jakich? Dlaczego?

- A, przepraszam, nie przedstawiłem się. Porucznik Kolonko z Wydziału Zabójstw.

Sceptyczne spojrzenie na płaszcz sprawiło, że porucznik zaczął w tym płaszczu szukać oznaki. Co trwało na tyle długo, że zniecierpliwiony Kaliniak zerknął na zegarek. Nie zmieści się w ośmiu godzinach. Ale właściwie nie miało znaczenia, czy z policjantem będzie rozmawiał w trakcie pracy czy po, czasu straci tyle samo. Zresztą był ciekaw, o co porucznik chce go zapytać. Czyżby jakiś adresat nie otworzył mu drzwi, bo leżał zamordowany w kałuży krwi?

- Kojarzy pan Zenona Naczyńskiego, tłumacza przysięgłego szwedzkiego, z Woltera 28?

Czyżby to jego zamordowano? Niemożliwe, widział go zaledwie przedwczoraj i Naczyński cieszył się dobrym zdrowiem.

- Tak, dostaje regularnie polecane z sądów, tych, do których przychodzi dużo poczty, kojarzy.

- No, właśnie, wiem od niego samego, że kiedy ma za dużo pracy, nie wszystkie polecane z sądów odbiera od razu.

Kaliniak zaniepokoił się, że policjantowi może chodzić o te pięć złotych, które on miał od każdej nieodebranej przesyłki, ale potem przypomniał sobie, że w filmach detektywów, szukający mordercy, zawsze mówią, że oni nie są z urzędu skarbowego i niezapłacone podatki ich nie interesują.

- Zgadza się. Wypisuję awizo i odbiera później na poczcie.

- Czy w środę siódmego września też nie odebrał wszystkich listów?

- Tak to nie pamiętam, musiałby pan sprawdzić w rejestrze przesyłek.

- To inaczej. Sprawdziłem i wiem, że dwie odebrał, jednej nie. Moje pytanie brzmi: czy wydarzyło się przy tym coś nietypowego?

- Nie, nie sądzę, coś nietypowego bym zapamiętał.

- Może jednak? Proszę się zastanowić - nalegał Kolonko. - To bardzo ważne.

Człowiek zawsze chce pomóc, więc Kaliniak poszukał w pamięci.

- Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie i czy w ogóle to było akurat tego dnia...

- Proszę powiedzieć.

- Najpierw chciał wziąć wszystkie trzy, ale potem się rozmyślił. Normalnie nie zmienia zdania, sprawdza przesyłkę i decyduje od razu. Tutaj dwie podpisał elektronicznie i dopiero wtedy powiedział, że jednak tej trzeciej nie weźmie. Ta miała papierową zwrotkę. Jakby miała elektroniczną, to już by nie mógł się wycofać.

- Chyba nie rozumiem.

- Co to jest zwrotka, to pan jako policjant pewnie wie? Poczta z policji też jest ze zwrotkami.

- Tak, oczywiście - potwierdził Kolonko.

- No więc zwrotki są już teraz po części elektroniczne. I można je podpisać hurtem: trzy albo pięć naraz. I tamte dwie Naczyński podpisał hurtem. Pamiętam, bo właśnie sobie wtedy pomyślałem, że miał szczęście, że ta ostatnia była tradycyjna. Ale jak mówię, wcale nie jestem pewny, że to było tego dnia, o który panu chodzi.

Porucznik puścił te zastrzeżenia mimo uszu.

- Czy w tych przesyłkach, które on odkłada, jest coś charakterystycznego?

- Nie, nie wydaje mi.

- Nie jest tak, że odkłada tylko większe i grubsze, skoro w ten sposób chce się chronić przed nawałem pracy?

Nad odpowiedzią listonosz zastanawiał się bardzo długo.

- Teraz, jak pan to mówi, to tak byłoby logicznie, ale nie. Odkłada zupełnie różne, czasami małe i cienkie, czasami duże i grube. Gdyby odkładał tylko te drugie, wiedziałbym, bo...

Kaliniak zamilkł, nie chcąc dodać „Mógłbym z góry oszacować, ile piątek dostanę, a to zawsze jest loteria”.

Porucznik jakby domyślił się, że wyjaśnienie byłoby dla listonosza kłopotliwe, i nie nalegał, by je usłyszeć. Ostatecznie, jeśli ktoś potwierdzał coś wstydliwym dla siebie faktem, to raczej nie zmyślał.

- Powiedział pan, że on sprawdza przesyłkę przed zadecydowaniem, czy ją weźmie. Jak to robi? Otwiera ją?

- Broń Boże! Otwartej nie mógłbym awizować. Patrzy po prostu, co jest na kopercie.

- Porównuje to z jakimiś swoimi notatkami, z jakimś wykazem?

- Nie, tylko czyta.

- Jest pan pewien? Z telefonem też nie?

- Nie, z telefonem też nie. Czasami, kiedy otwiera mi drzwi, rozmawia akurat przez telefon, ale nigdy do niego zaglądał.

- To jak się orientuje, z czym chce zaczekać?

- Nie mam pojęcia, nigdy mi nie opowiadał. Nie jest zbyt rozmowny. Mam jeszcze jednego tłumacza szwedzkiego w swoim rewirze, zaraz obok Naczyńskiego, tyle że nie w domkach jednorodzinnych, w blokach, i tamten jest znacznie sympatyczniejszy. Zawsze zagada, jakąś anegdotkę opowie, zapyta, jak urlop mi się udał, co u żony... Kurczę, dawno już u niego nie byłem, mam nadzieję, że nic się stało.

- Stało się. Sąsiedzi nic panu nie powiedzieli?

- Nie, to jest taka brama, że pocztę noszę tylko panu Stypule, reszta do skrzynki, a inni, którzy dostają polecane, są o tej porze w pracy. Co się stało?

- Pan Stypuła nie żyje. Został zamordowany, to właśnie w jego sprawie prowadzę śledztwo.

- O, Jezu!

Listonosz z wrażenia aż musiał oprzeć się o ścianę budynku.

- Taki sympatyczny człowiek... Kto mógł go zamordować?

- Właśnie próbuję to ustalić.

- Podejrzewa pan tego Naczyńskiego?

- Dlaczego pan tak myśli?

- Bo wypytuje pan o niego.

Kolonko zaprzeczył, mówiąc, że to rutynowe sprawdzanie środowiska, w którym obracała się ofiara.

- Ten sam zawód, dlatego pytam o ich nawyki.

- Ale to odkładanie poczty... pan Stypuła tego nie robił, zawsze odbierał wszystkie listy.

Akceptujemy pańskie poprawki do umowy na tłumaczenie trzeciego tomu „Millennium”. Wysłaliśmy panu dwa podpisane egzemplarze, jeden proszę podpisać i nam odesłać.

E-mail z Cymelii był lakoniczny, wściekłość, że muszą przyjąć jego żądania, manifestowała się małą literą przy „panu”, suchym „z poważaniem” zamiast wcześniejszych serdecznych pozdrowień, brakiem nazwiska autora – pod tekstem widniały tylko oficjalne dane wydawnictwa – a przede wszystkim załatwianiem sprawy przez pocztę. Poprzednio na podpisanie umowy zapraszany był do siedziby na Santorskiej, częstowany kawą i zaszczycony rozmową z naczelnym, który za każdym razem co najmniej trzykrotnie powtórzył, że kładzie nacisk na to, by ze swoimi pisarzami i tłumaczami mieć osobisty kontakt. W przeciwieństwie, co z niesłychaną dumą podkreślał, do innych wydawnictw, gdzie tłumacz mógł przez całą karierę pozostać jedynie nazwiskiem na papierze.

- Co, kutasie, cierpisz, że nie masz nade mną władzy? – rzucił Naczyński, przekształcając afront w słodkie zwycięstwo.

Teraz musiał znaleźć kogoś, kto przetłumaczy książkę za niego. Tylko pozornie było to łatwe. Honoraria za przekłady powieści opiewały na żenująco niskie kwoty, wydawnictwa oferowały zwykle 500 złotych za tak zwany arkusz autorski, obejmujący 40 000 znaków.

Przeliczając to na strony, tłumacz dostawał mniej więcej 22 złote za jedną. Jemu jako przysięgłemu nawet sądy płaciły dużo więcej. To spowodowało, że tłumaczeniem literackim zajmowali się albo kompletni nieudacznicy, albo idealisci. Pierwsza grupa z oczywistych względów nie wchodziła w grę. Ani myślał zwracać się do takiej Jasińskiej-Brunnberg, którą Pollak zjechał za nieudolny przekład „Underdoga”. Nie chciał przeczytać w recenzji z tłumaczenia „Zamku”, że znalazły się w nim takie kwiatki jak umieszczenie ryby piły w domowym akwarium, bo tłumaczka pomyliła mieczyka z pięciometrowym drapieżnikiem. Z kolei idealistom rola ghostwriterów z pewnością by nie odpowiała. Bez trudu potrafił sobie wyobrazić reakcję Pollaka na propozycję podpisania jego przekładu nazwiskiem Naczyńskiego. „Spierdalał pan” byłoby zapewne ledwie kurtuazyjnym wstępem do dłuższej tyrady. Z facetem, który strona po stronie z oryginałem w rękę analizował denny przekład, bo uważał, że taka fuszerka nie powinna się ukazywać, choć nie miał z tego ani grosza, a ściągał na siebie jedynie niechęć środowiska, nie dałoby się sensownie pogadać. A nie znał drugiego Stypuły: kogoś utalentowanego, kto po latach nieudanych prób spragniony był literackiego debiutu, choćby pod cudzym nazwiskiem, skoro pod własnym jawił mu się jako nieosiągalny. To jak z kobietami, kiedy dostrzegasz, że te o urodzie modelek cię nie chcą, zadowolasz się przeciętnymi, a gdy i u takich nie masz powodzenia, związujesz się z ciężarną prostytutką. Przynajmniej van Gogh tak zrobił.

Ale na straconej pozycji nie stał, miał w rękę potężny argument: pieniądze. Tych chce każdy. Jednemu brakuje na rachunki, drugiemu na luksusy. *Money makes the world go around*. Od Cymelii zażądał – i dostał – 1250 złotych za arkusz. Tajemnicą poliszynela w światku literackim było, że niektórzy z przekładających najpoczytniejszych amerykańskich autorów tyle właśnie dostawali. Naczyński uznał, że Larsson w niczym nie ustępuje takiemu Grishamowi czy Ludlumowi, a skoro inne wydawnictwa mogły wysupłać honorarium tej wysokości, to Cymelia również. Naczelnym nie miał powodu, by rezygnować z bestsellerowej książki, unosząc się honorem, podszeptującym: nikt tyle nie płaci, więc nie daj się gnojowi szantażować.

Z tej kwoty zamierzał odpalić podwykonawcy tysiąc złotych. Podwójne wynagrodzenie w stosunku do standardowego to aż nadto, by mieć poczucie, że złapało się Pana Boga za nogi, nie widział powodu, by oddawać całe honorarium ani tym bardziej dokładać z własnej kieszeni. Pieniądże miał dlatego, że nimi nie szastał i nie przepuszczał żadnej okazji do zarobku, nawet małych sum. Zawsze zachęcał klienta do wzięcia drugiego egzemplarza tłumaczenia, podczas gdy taki Stypuła nie dość, że czekał, aż klient sam poprosi, to potem jeszcze odradzał, mówiąc, że ksero wprawdzie nie będzie drugim oryginałem, ale jednak wyjdzie taniej.

Z programu pocztowego przeszedł do przeglądarki, żeby wynotować sobie tłumaczy, do których potencjalnie mógłby się zwrócić. Po kilku wyszukiwaniach zorientował się jednak, że internet w tym przypadku nie będzie pomocny. Jeden Pollak założył sobie stronę, na której skrupulatnie wyliczał swoje przekłady i zamieszczał ich fragmenty. Reszta o podobną reklamę czy raczej ekspozycję własnego ego się nie zatroszczyła. Tyle że chwalebna skromność niekoniecznie ułatwiała innym życie, w tej chwili potrzebował od każdego takiej wizytówki.

Po namyśle otworzył katalog Biblioteki Narodowej i zaczął w nim szperać. Tu poszło lepiej. Dzięki podziałowi literatur na kraje bez trudu wypełnił swoją listę nazwiskami aktywnych tłumaczy szwedzkiej prozy, a dzięki możliwości wyszukiwania po nazwisku tłumacza, ustalił, kto ma jaki dorobek. I w tym punkcie się zatrzymał. Musiał poczytać te przekłady, żeby zobaczyć, które są dobre. Czasy, w których wydawcy dbali o jakość i publikowane tłumaczenia poniżej pewnego poziomu nie schodziły, dawno już minęły. Książkę sprzedawały sprawnie marketing i szeroko zakrojona promocja, a nie dobra polszczyzna czy zgodność z oryginałem. Bibliotekarze zaś tak właściwie prowadzili magazyn: przy „Underdogu” Torbjörna Flygta nie było żadnej adnotacji, że to nie tłumaczenie, lecz kpina z tłumaczenia.

Nie bardzo miał ochotę jechać aż na Pole Mokotowskie, jednak alternatywę, by skorzystać z osiedlowej biblioteki, musiał odrzucić. Znalazłby w niej tylko najpoczytniejsze pozycje albo w ogóle informację, na kiedy można się na nie zapisać.

Siedząc już w samochodzie, poczuł jednak zadowolenie, że wypadła mu przejażdżka. Jazda lexusem była prawdziwą przyjemnością, tymczasem pracował głównie w domu i jego wypasiona bryka większość czasu stała w garażu. Często z Grażyną wychodzili, ale wtedy jechali zwykle jej mazdą, gdyż jemu trudno było sobie wyobrazić spotkanie towarzyskie bez drinka czy dwóch. A chociaż był święcie przekonany, że lekki rausz ani na jotę nie pomniejszył jego umiejętności jako kierowcy, to po alkoholu nigdy nie prowadził. Przyłapany, straciłby uprawnienia przysięgłego, gdyby miał we krwi ponad 0,5 promila, bo to uznawano już za przestępstwo.

Próg biblioteki przekroczył z lekkim sentymentem. To w niej poderwał Grażynę. Studiował w Poznaniu, ale kiedy przyjeżdżał do domu na weekend, nieraz przychodził tu w soboty, by się pouczyć i uciec od rodziców. Nie trawił ich oboje, ale wprost z nimi zerwać nie chciał, żeby nie przestali go utrzymywać przed ukończeniem studiów. Po części to za ich sprawą zdecydował się na skandynawistykę. Gdzieś od połowy liceum wiedział, że pójdzie na filologię, bo chciał tłumaczyć książki, ale myślał, że będzie to anglistyka albo germanistyka. Pomysł „egzotycznej” filologii przyszedł mu do głowy, kiedy dowiedział się, że baśnie Andersena zostały przetłumaczone nie z duńskiego, lecz z niemieckiego. Postanowił studiować duński, żeby być pierwszym, który przełoży na polski utwory słynnego baśniopisarza bezpośrednio z oryginału. Chciał złożyć podanie o przyjęcie na Uniwersytet im. Adama Mickiewicza, który jako jedyny w Polsce miał prowadzić nabór na tę filologię, kiedy ku jego rozczarowaniu uczelnia w ostatniej chwili zastąpiła ją szwedzką. Nie udało im się zatrudnić lektora Duńczyka, natomiast mieli chętną do nauczania Szwedkę. Tymczasem Astrid Lindgren przekładano ze szwedzkiego, więc kariera tłumacza w tym języku nie zapowiadała się tak spektakularnie. Ale też w żadnym innym, więc Naczyński po namyśle się na niego zdecydował. Nastawił się już na coś ciekawszego niż „zwykła” filologia i na UAM, który miał też zaletę, że nie znajdował się w Warszawie. A że Uniwersytet Warszawski skandynawistyki w ogóle nie prowadził, jej wybór umożliwił mu wyprowadzkę z rodzinnego domu pięć lat wcześniej.

Grażyna dla odmiany ze swojej uczelni – Szkoły Głównej Handlowej – do czytelnicy Biblioteki Narodowej miała dwa kroki i – podobnie jak inni studenci ekonomii – chętnie z niej korzystała. Był od niej starszy o trzy lata, więc na początku nawet nie musiał się wysilać, by jej zaimponować, a kiedy powiedział po szwedzku, że ją kocha, zostali parą. Kochał ją oczywiście i do dziś się to nie zmieniło, co nie znaczy, że nie miałwał przygód. Nie widział w tym nic naganego, był facetem, potrzebował odmiany, a facet po wszystkim się umyje i nie ma śladu, nic w nim nie zostaje. Polował głównie wśród protokolantek sądowych, czasami jakaś klientka nie miała nic przeciwko szybkiemu numerkowi przy odbiorze tłumaczenia. Najmilej wspominał dziewczynę, której przetłumaczył świeży akt ślubu.

Wyrobił sobie kartę i poszedł do katalogu, żeby zamówić książki. Na początek wybrał tytuły, których oryginały miał na swoim czytniku. Liczył na to, że już wśród nich natrafi nie tylko na dobry przekład, lecz także stylem bliski temu, jakim posługiwał się Stypuła. Analizowanie przekładu bez oryginału pozbawione było sensu, więc gdyby miał odbyć drugą turę, musiałby dokupić książki po szwedzku, a nie uśmiechało mu się wykładanie dalszych pieniędzy na tę inwestycję. Niewielkich wprawdzie w porównaniu z kosztem amfetaminy, ale właśnie dlatego, że wydał na nią majątek, czuł niemal fizyczny ból na myśl, że ma ponownie sięgnąć do portfela.

Kiedy w czytelnicy odebrał plaketkę z numerem miejsca od dyżurującej bibliotekarki, radosne powitanie za jego plecami sprawiło, że wypadła mu z ręki. Odwrócił się rozszłoszczony.

– Śledzi mnie pan?!

Bezgranicznie zdumiona mina porucznika Kolonki wskazywała jednak, że palnął piramidalne gupstwo w tym przybytku wiedzy.

– Śledzę? Dlaczego miałbym pana śledzić? Śledzimy podejrzanych, pan nie jest o nic podejrzany. Zresztą skąd miałbym wiedzieć, że mam pana szukać w tej bibliotece?

Nerwy były złym doradcą, co Naczyński poniewczasie sobie uświadomił: jeśli nie będzie się pilnował, w końcu powie coś, co go zdradzi. Już częściowo się odsłonił, niewinnemu rzeczywiście raczej nie przyszłoby do głowy, że jest śledzony.

- Przepraszam, ale ostatnio tak często na siebie wpadamy, że to spotkanie trudno było mi złożyć na karb przypadku. - Miał nadzieję, że tym wyjaśnieniem ograniczył albo w ogóle zniwelował szkody. - Co pan tu porabia?

- Pewnie to samo, co pan, chcę wypożyczyć książkę. Mógłby mi pan w tym pomóc, bo nie bardzo się orientuję, jak mam to zrobić? Ale wyjdźmy na korytarz, bo tu chyba nie wolno rozmawiać, pani bibliotekarka krzywo na nas patrzy.

Po krótkim wewnętrznym pojedynku Naczyński zdecydował się pójść za Kolonką. Na książki musiał jeszcze zaczekać, więc dziwnie by wyglądało, gdyby odmówił, a potem beczynnie siedział przy stole.

- Nie wypożyczy pan tutaj żadnej książki, można korzystać tylko na miejscu. I jak pan tu trafił? Z całym szacunkiem, ale z Biblioteki Narodowej korzystają studenci, naukowcy i ludzie zajmujący się zawodowo literaturą jak ja. Pana spodziewałbym się raczej w bibliotece miejskiej.

- Byłem w miejskiej, ale odesłali mnie z kwitkiem. Powiedzieli, że mam sprawdzić w Narodowej, że tu na pewno wypożyczę książkę, której szukam, bo wydawca musiał sprzedać Bibliotece Narodowej siedemnaście egzemplarzy. Ta miła pani bibliotekarka tłumaczyła mi nawet dlaczego, ale obawiam się, że nie do końca zrozumiałem. Pan wie, skąd się to siedemnaście wzięło? Jakaś równa liczba, piętnaście albo dwadzieścia, byłaby przecież logiczniejsza.

Naczyński nie miał wątpliwości, że bibliotekarka wytłumaczyła to porucznikowi jasno i przejrzysto, a fakt, że temu udało się wszystko pomieszać, po raz kolejny kazał mu się zastanowić, jakim cudem tego człowieka przyjęto do policji i awansowano do wydziału zabójstw. I dlaczego żywił jakiegokolwiek obawy, że zostanie przez niego zdemaskowany.

- Siedemnaście jest dla wszystkich bibliotek, nie dla Narodowej.

Kolonko zakoałsał się na piętach, co dla podeszew jego butów stanowiło mniej więcej takie zagrożenie jak sztorm dla rozklekotanego statku, po czym z zafrasowaną miną oświadczył:

- Dalej nie rozumiem.

Naczyński lekko westchnął, najwyraźniej musiał powtórzyć za bibliotekarką całe wyjaśnienie.

- Wydawcy muszą dać - nie sprzedać - piętnastu bibliotekom w kraju, głównie uniwersyteckim, tak zwany egzemplarz obowiązkowy każdej wydanej książki. Chodzi o to, żebyśmy jako naród mieli kompletne zbiory i żeby obywatele w różnych miejscach mogli z nich korzystać.

- Ale jeśli biblioteki dostają po jednym egzemplarzu i jest ich piętnaście, to nie wychodzi siedemnaście - zauważył porucznik i akurat tej jego arytmetyce nie dało się nic zarzucić.

- Narodowa i Jagiellońska są uprawnione do dwóch - wyjaśnił Naczyński. - Jakiej książki tak intensywnie pan poszukuje?

Porucznik nie odpowiedział, tylko sięgnął do lewej kieszeni swojego prochowca, potem do prawej, do wewnętrznej, aż wreszcie klepnął się w czoło i z tylnej kieszeni spodni wyciągnął zmiętą kartkę.

- Przemysłny system. Czyli mówi pan, że dostanę tu każdą książkę wydaną w Polsce? Nawet z jakiegoś małego wydawnictwa na przykład na Podlasiu? Niesamowite!

- Powiedzmy, że nie wszyscy skrupulatnie przestrzegają tego obowiązku, ale generalnie tak. I tu najprędzej, bo nawet jeśli jakiemuś wydawcy szkoda siedemnastu egzemplarzy, to do Narodowej te dwa jednak pośle.

- Wspaniale!

Na tym wykrzyknieniu się skończyło, więc zniecierpliwiony Naczyński wskazał na kartkę.

- Panie poruczniku.

- Co? Aha, tak. Tu sobie wypisałem, czego szukam.

Kolonko nie przeczytał jednak żadnego tytułu, tylko podał kartkę rozmówcy. Ten przebiegł ją oczyma.

- Widzę, że na dobre zainteresował się pan literaturą szwedzką. Żle pan na tym nie wyjdzie, po szwedzku pisze bardzo wielu ciekawych twórców. I w mojej opinii, nie jako swedysty, lecz kogoś, kto sięga po tłumaczenia nawet z najrzadszych języków, dystansują

większość Amerykanów. Problem polega na tym, że średnia powieść po angielsku ma znacznie większe szanse zaistnieć w świecie niż wybitna skandynawska czy środkowoeuropejska.

- Dlaczego? - zapytał Kolonko, ale nie dostał odpowiedzi, bo uwagę Naczyńskiego przykuł jeden z zapisanych tytułów.

- O, nie wiedziałem, że „Pölsan” Lindgrena ukazała się po polsku, choć tytuł „Kaszanka” mnie nie zachwyca. To trochę inna potrawa. Ale Torgny Lindgren to genialny pisarz, polecam panu jego „Drogę wężową na skale”. Thylwe przełożyła. Halina Thylwe. „Boże miłosierdzie” Kerstin Ekman też musiało wyjść niedawno. Czyli Ance udało się w końcu namówić jakieś wydawnictwo. Ance Węgleńskiej, znamy się osobiście i opowiadała mi, że szuka wydawcy dla trylogii „Wilcza skóra”, a „Boże miłosierdzie” to pierwsza część. Hjalmara Söderberga też pan sobie wypisał. „Doktor Glas”, rewelacyjna powieść, niestety, nie w tłumaczeniu Pawła Pollaka, a on Söderberga zna najlepiej i najlepiej go oddaje. Sam tak twierdzi, bo to skończony bufon, ale, znowu niestety, trudno temu zaprzeczyć.

- Czyli tłumaczenie pana kolegi będzie niedobre?

- Jakiego mojego kolegi?

- No, Witolda Stypuły.

Słyszając nazwisko swojej ofiary, Naczyński na nowo zrobił się czujny. Dał się nabrać na rzekome zainteresowanie śledczego literaturą, kiedy ten w rzeczywistości próbował go podejść?

- Wittek wcale nie tłumaczył „Doktora Glasa”, to była Ewa Gruszczyńska. Ktoś panu źle powiedział.

„Albo powiedział dobrze, a pan źle zrozumiał”, chciał dodać Naczyński, ale w ostatniej chwili zrezygnował z tej złośliwości.

- Jak nie tłumaczył, kiedy tłumaczenie było w jego komputerze? - zdziwił się Kolonko. - Podpisane nawet „Przełożył ze szwedzkiego Witold Stypuła”.

- Aha, rozumiem. - Naczyński szeroko się uśmiechnął i rozluźnił. - I te pozostałe tytuły też ma pan z komputera Witka?

- Tak, ale nie lubię czytać na ekranie, dlatego chcę pożyczyć sobie jego powieści. Znaczący się przez niego przetłumaczone. To było niesamowite przeczytać książkę z pana nazwiskiem, kiedy pana znam, nawiasem mówiąc, żona kazała podziękować za autograf i dedykację, pokazuje ją wszystkim gościom.

Porucznik zamilkł, choć jak raz Naczyński nie miał nic przeciwko jego dygresji i chętnie posłuchałby na przykład o umieszczeniu podpisanego egzemplarza „Mężczyzn, którzy nienawidzą kobiet” na eksponowanym miejscu na półce.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Co do Witka, to obawiam się, że książki z jego nazwiskiem pan nie przeczyta. Bo żadnej nie opublikował. - Podniósł rękę, uprzedzając protest Kolonki. - Przełożenie powieści to dopiero pierwszy etap, później trzeba znaleźć na nią wydawcę, a Witkowi tego drugiego etapu nigdy nie udało się pokonać.

- Dlaczego? Źle tłumaczył?

- Przeciwnie, miał wielki talent. Ale brakło mu umiejętności akwizytorskich, które mocno się przydają, jeśli chce się doprowadzić do wydania książki. Trochę też szczęścia. Z tego, co wiem, posłał „Doktora Glasa” do Cymelii, ale Gruszczyńska zrobiła to przed nim i z nią zawarli umowę. Wydawcom jest generalnie wszystko jedno, kto daną powieść tłumaczył. Bo gdyby ktoś w wydawnictwie porównał te przekłady, wybrałby Witka. Gruszczyńska tłumaczy powieść jak tekst użytkowy, w którym liczą się fakty, a styl ma drugorzędne znaczenie. Poza tym na tych faktach też się wyklada, bohaterowie spotykają się u niej pod zegarem na jakiejś wieży Tornberga, tymczasem to jest zegar Tornberga, bo tak nazywał się fabrykant, a nie wieża.

Kolonko przesunął ręką po rozwichrzonych włosach.

- Czyli gdyby Stypuła posłał „Mężczyzn, którzy nienawidzą kobiet” przed panem, czytałbym jego przekład, nie pański?

Dobrej chwili potrzebował Naczyński, by uświadomić sobie, skąd wzięło się to pytanie. Potem ogarnęła go wściekłość na Stypułę, że wbrew umowie zachował sobie przekład, zamiast go skasować. Ale wystarczyło potwierdzić domniemanie porucznika, by zamknąć temat. Już

chciał to zrobić, kiedy oblał go zimny pot. Równie dobrze mógłby się przyznać, że zabił Stypułę. Przecież gdyby Kolonko porównał książkę z tekstem w komputerze, stwierdziłby, że są identyczne, a nawet on nie dałby sobie wmówić, że dwóm tłumaczom może wyjść co do słowa taki sam przekład. Niby nie miał powodu, by tego porównania dokonywać, ale obstawianie, że go zaniecha, byłoby przyjęciem zakładu z wysokim ryzykiem przegrania wolności.

- Nie mógł posłać „Mężczyzn” przede mną, bo w ogóle tej książki nie tłumaczył.

- Ale...

- Tekst, na który pan się u niego natknął, to mój przekład, Witek, jak już panu mówiłem, robił mi kolacjonowanie.

- A tak, pamiętam. Ale czy nie mogło być tak, że też przetłumaczył tę powieść, a potem pan się do niego zwrócił o... kolację?

Znowu potrzebował więcej czasu na odpowiedź, choć teraz pewnie wyglądało to naturalniej, jakby zastanawiał się, czy taka sytuacja jest możliwa, w rzeczywistości sprawdzał, czy kłamiwa konstrukcja będzie miała ręce i nogi.

- Kolacjonowanie. Teoretycznie to możliwe, ale przecież by mi powiedział, że ma swój przekład, bo z jakiego powodu miałby to przede mną zatajać? Nie sądzę też, żeby wówczas zgodził się zrobić mi kolacjonowanie. Witek był uczciwym człowiekiem, ale nie świętym, w sytuacji podbramkowej umiał działać zgodnie ze swoim interesem. Nie pomagałby konkurentowi w publikacji, bo przecież wydanie innego tłumaczenia oznaczało, że jego praca szła na marne.

- Jakiś przykład?

- Na co?

- Że w sytuacji podbramkowej interes przeważał nad uczciwością.

Naczyński wyteżył pamięć, ale poza szantażem, do którego mimowolnie się odniósł, nic mu nie przyszło do głowy. Uświadomił sobie, że Witek najprawdopodobniej nie byłby w stanie zrealizować swej groźby, że jego wewnętrzny strażnik moralności nigdy by mu na to nie pozwolił. Swoją szantaż postrzegał pewnie jako dopuszczalny nacisk czy blef, by uzyskać to, co w jego mniemaniu (i obiektywnie zresztą też) mu się należało, ale nie ujawniłby tajemnicy, której dobrowolnie zobowiązał się przestrzegać. Czyli co? Powinien był go po prostu zignorować? Zabił niepotrzebnie? Nie. Witek był zdeteminowany, pragnął zaistnieć jako tłumacz literatury i zacząłby szukać innej drogi, by przepchnąć przekład Larssona pod własnym nazwiskiem. A pierwszym krokiem byłoby zablokowanie możliwości tłumaczenia przez innego murzyna. Zagroziłby po prostu demaskacją, jeśli Naczyński opublikowałby cudzy przekład „Zamku” pod swoim nazwiskiem, i nie miałby przed nią oporów, bo demaskację usprawiedliwiałaby wcześniejsze ostrzeżenie i brak zobowiązania do zachowania tajemnicy.

- W tej chwili nie potrafię żadnego przykładu przytoczyć, proszę wybaczyć, ale ja naprawdę nigdy nie zamierzałem pisać biografii Stypuły.

- Oczywiście, tak tylko zapytałem. Wie pan co, teraz rzeczywiście kojarzę, że przy „Mężczyznach” i jeszcze jednej powieści nie było tej adnotacji, że przełożył Witold Stypuła.

Przechera, pomyślał Naczyński, od początku zdawał sobie sprawę, że to nie były przekłady Witka. Pytanie, czy domyślał się, że w rzeczywistości właśnie nimi były, czy też szukał po omacku, pukając do różnych drzwi i patrząc, które mu się otworzą. Raczej to drugie, bo niby jak miałby odgadnąć, że Naczyński opublikował tłumaczenie zamordowanego? Na głos powiedział:

- Tak, ta druga to „Dziewczyna, która igrała z ogniem”. Ją Witek też mi kolacjonował.

Kolonko spróbował powtórzyć, jednak znowu wyszła mu „kolacja”, skomentował, że dziwne słowo, potem powiedział, że się pożegna, z żalem, chętnie posiedziałyby w tej ładnej czytelnicy, no ale skoro Stypuła niczego nie wydał... Skierował się do wyjścia, oklepując kieszenie płaszczem w poszukiwaniu elektronicznego papierosa. Co Naczyński zobaczył, bo pod samymi drzwiami porucznik się zatrzymał, rękę z papierosem uniósł do góry, a drugą klepnął się w czoło. Zastygł w tej pozycji na niesłychanie długi czas – przynajmniej z perspektywy Naczyńskiego – po czym do niego wrócił.

- Jedna rzecz jest dziwna.

- Tak?

- Stypuła miał wszystkie tłumaczenia, także pańskie, w folderze „Przekłady literackie”.

- I co z tego?

Szorstkę pytanie jakby nieco zbiło Kolonkę z pantałyku.

- No, bo... jeśli to był inny tekst... mam na myśli cel, że nie do wydania, tylko do sprawdzenia... to czemu nie założył osobnego folderu?

- Pewnie nie widział sensu, by robić to dla dwóch plików. Normalnie nie zajmował się kolacjonowaniem, nie ma takich zleceń na rynku. Wydawnictwa jeśli nie mają na etacie redaktora znającego dany język, po prostu z tego rezygnują. Ja zapłaciłem Stypule, bo chciałem mieć perfekcyjny przekład, ale dla mnie tłumaczenie literackie to kwestia prestiżu, ci, którzy parają się tym zarobkowo, nie mogą sobie pozwolić na wykładanie pieniędzy z własnej kieszeni.

- Tak, oczywiście. Proszę się nie gniewać, że sam na to nie wpadłem, ale ten wydawniczy świat to dla mnie zupełna nowość. Jasne, dla dwóch plików nie ma sensu, potem, jak człowiek ma za dużo folderów, to nie może się w nich zorientować, wiem sam po sobie. Jeszcze raz przepraszam, do widzenia.

Kolonko tym razem do drzwi się wycofywał, kłaniając się wpół. Naczyński odprowadzał go wzrokiem, spodziewając się, że przypomni mu się jeszcze jakieś pytanie, ale tak się nie stało. Kiedy porucznik ostatecznie opuścił bibliotekę, Naczyński stwierdził, że nie wie, czy tego człowieka rzeczywiście ma się bać, ale z całą pewnością wiedział, że mało kto go tak nieziemsko wkurzał.

- Dzień dobry, panie Zenonie. Dzisiaj aż pięć listów, bierze pan wszystkie?

Jedna koperta C6 była w sprawie o alimenty, w której dwa miesiące temu tłumaczył, więc musiała zawierać postanowienie o płatności, bo sądy rodzinne zwykle tyle czasu dawały sobie na jego wydanie. Na drugiej, z Radomia, widniała data rozprawy, co oznaczało wezwanie na tłumaczenie. Za jedenaście dni. Miał dwa tygodnie na odebranie przesyłki, więc postanowił udawać, że nie dotarła do niego na czas. Ani myślał tłuc się ponad sto kilometrów po kosztach paliwa. Jak minister sprawiedliwości zacznie mu płacić za czas przejazdu, to on przestanie wykorzystywać, że sądy spóźniają się z wysyłaniem wezwań. Grubą kopertę C4 zdecydował się wziąć, nadawcą była prokuratura, a prokuratorzy w przeciwieństwie do sędziów zwykle nie mieli nic przeciwko temu, by przesunąć wyznaczony termin tłumaczenia. Odłożył za to cienką tego samego formatu z wydziału gospodarczego sądu rejonowego. Niby zaledwie jedna czy dwie strony do przełożenia, ale regularnie w tej sprawie dawali mu na tłumaczenie trzy dni. Niech więc sobie poczekają. Nawet gdyby nie był na nich cięty, nie planował w najbliższych trzech dniach wyjścia na pocztę i nie miał zamiaru biegać na nią z jednym listem, bo jakaś sędzia uważała, że tłumacz przysięgły to coś w rodzaju chłopca pańszczyźnianego. Ostatnia przesyłka przyszła od notariusza, więc nie mogło chodzić o tłumaczenie, bo sami notariusze takowych nie zlecali. Owszem, w kancelariach notarialnych tłumaczył często, ale zawsze wynajmowali go Szwedzi, którzy na przykład chcieli założyć spółkę czy kupić mieszkanie.

- Nie, poproszę o odłożenie tych dwóch – powiedział, oddając list z Radomia i z wydziału gospodarczego.

- Oczywiście.

Listonosz, nieco rozczarowany, że gruby list nie załapał się do odłożonych, podsunął Naczyńskiemu tablet.

- Dwa są do potwierdzenia elektronicznie, jeden tradycyjnie. Przez to, że poczta nie przestawiła się na elektronikę za jednym zamachem, my mamy więcej roboty, ale co szefostwo będzie się przejmować, że dołożyło listonoszom nadgodzin. Niepłatnych zresztą.

Naczyński nie skomentował tych narzekania. Niskie zarobki listonoszy i takich na przykład nauczycieli obchodziły go dokładnie tyle, co honoraria riksarzy w Indiach i pensje szwaczek w Bangladeszu.

Najpierw sprawdził postanowienie o płatności, czy sąd przyznał mu tyle, ile zażądał. Ministerialne rozporządzenie w sprawie stawek przewidywało różne dodatki, na przykład za specjalistyczne słownictwo, i Naczyński starał się jak najczęściej te dodatki do rachunku dopisywać, podczas gdy sędziowie w miarę możliwości mu je obcinali. Tym razem jednak liczby na postanowieniu i w arkuszu w Excelu, zatytułowanym „OWS – dług” (OWS znaczyło „organa wymiaru sprawiedliwości”), były identyczne, co wprawiło go w dobry humor. Który natychmiast zepsuła mu wiadomość od notariusza. Mało powiedziane, zepsuła. Przyprawiała go o prawdziwe przerażenie.

„Notariusz Stanisława Romantowicz zawiadamia, że w dniu 20 października br. o godz. 10.00 w Kancelarii Notarialnej przy ul. Żwirki i Wigury 107 nastąpi otwarcie testamentu Witolda Stypuły. Obecność jest dobrowolna”.

Dlaczego dostał to zawiadomienie? Witek zapisał mu coś w spadku? Co? Przecież nie miał żadnego majątku poza mieszkaniem. A mieszkanie z pewnością dziedziczyła siostra. Tylko po co wtedy testament? Dziedziczyła je przecież tak czy tak, była jedyną krewną Witka. Kto w ogóle spisuje testament w wieku czterdziestu dwóch lat, ciesząc się dobrym zdrowiem? Kiedy zadawał sobie te pytania, czuł, jak przerażenie rozlewa się po całym ciele. Czyżby Stypuła przewidział, co mu grozi, i się zabezpieczył, demaskując swego zabójcę w ujawnianym pośmiertnie oświadczeniu?

Poszedł do łazienki i przemył twarz zimną wodą.

– Uspokój się, myśl logicznie. Pamiętaj, że strach ma wielkie oczy.

Jeśli ktoś boi się, że zostanie zamordowany, to w pierwszej kolejności stara się ująć z życiem, a dopiero w drugiej przypilnować, by złapano mordercę. Gdyby Witek obawiał się śmiertelnego ciosu, za nic nie odwróciłby się do niego plecami. Może więc rzeczywiście chodziło o jakiś legat. Na przykład księgozbiór. Witek miał dużo książek po szwedzku, skrupulatnie gromadził też tłumaczenia z literatur skandynawskich, nie tylko współczesne, ale również dziewiętnasto- czy nawet osiemnastowieczne. Dla większości ta kolekcja była jednak bezwartościowa, jego siostra z pewnością nie wiedziałaby, co z nią począć, i Witek może wolał dać ją komuś o podobnych zainteresowaniach.

Sporządzenie testamentu też dało się wyjaśnić. Przypomniał sobie, jak Stypuła opowiadał mu o tłumaczeniu przy sprawie spadkowej, przebiegającej bardzo gładko dzięki temu, że Polka, która zginęła w Szwecji w wypadku samochodowym, zostawiła testament.

– A miała zaledwie trzydzieści cztery lata. Prawniczka. Świadoma, że wypadki chodzą po ludziach i potem jest dużo problemów.

Pewnie idąc za jej przykładem, spisał swoją ostatnią wolę. I wymyślił sobie, że książki zostawi w spadku temu, kto będzie je w stanie przeczytać. A przy szwedzkim nie miał zbyt dużego wyboru. Tak, tak musiało być. Zupełnie niepotrzebnie wpadł w panikę.

Niewysoki mężczyzna z grubym plikiem kartek w dłoniach zatrzymał się przed kremową willą w stylu włoskim. Popatrzył na nią niepewnie, czy nie jest zbyt mała, jak na siedzibę prężnie działającej firmy, ale szylde był stylizowanym na antyczny napisem „Wydawnictwo Cymelia” rozwiął jego wątpliwości. „Cymelia” znaczyło zresztą, jak sprawdził w słowniku, „rzadkie druki, cenne rękopisy”.

Mając zajęte ręce, łokciem otworzył sobie furtkę i wszedł do ogrodu. Drzwi wejściowe okazały się trudniejszą do pokonania przeszkodą, ale kiedy mężczyzna zaczął rozglądać się za miejscem, gdzie mógłby odłożyć maszynopis, ze środka wyszedł młody człowiek z niezapalonym papierosem w ustach. Gdy tylko znalazł się na ganku, przytknął do tytoniu ogień zapalniczki i dopiero kiedy z lubością się zaciągnął, obrzucił gościa pełnym dezaprobaty wzrokiem. Ten, zakłopotany, usiłował sprawdzić, czy manewrując przy furtce, nie poplamiał sobie płaszcz, niepotrzebnie, bo gdy młodzieniec, szczupły blondyn z kozią bródką, się odezwał, okazało się, że jego dezaprobatą dotoczyła maszynopisu.

- Nie przyjmujemy wydruków. Propozycje wydawnicze wyłącznie e-mailem. Urwałby się nam sufit, gdybyśmy magazynowali to, co nam grafomani przysyłają. I nie będę panu robił złudzeń: te, lekko licząc, tysiąc stron, które pan taszczy, przemawia za tym, że to skończona grafomania. Tylko beztalencia tak się rozpisują i nie potrafią zamknąć powieści w sensownych ramach. No, chyba, że nazywa się pan Żulczyk. Nazywa się pan Żulczyk?

- Nie - zaprzeczył mężczyzna. Potem podał wydruk zaskoczonemu pracownikowi wydawnictwa i zaczął przeszukiwać kieszenie swojego prochowca.

- No, właśnie. Więc od razu jako redaktor powiem panu, że te wycpiny nadają się do kosza. Mogę zrobić panu tę przysługę i je tam ciepnąć. I w zasadzie może się pan uważać za szczęśliwca, że nie będzie czekał na odpowiedź pół roku. Albo że w ogóle ją dostał, bo grafomanię kasujemy i nie bawimy się w odpisywanie pseudoautorom. Nawet autorom nie odpisujemy, jeśli nie mamy zamiaru ich wydawać. Taka wyższa kultura wydawczości.

Młodzieniec zaśmiał się, uznając nawiązanie do hasła reklamowego Alior Banku za nad wyraz udane, gdy tymczasem mężczyzna z sukcesem zakończył eksplorację swoich kieszeni i pokazał mu odznakę.

- Porucznik Kolonko z Wydziału Zabójstw.

- I co z tego? Uważa pan, że jak Severski napisał dobrą książkę, to pan też będzie potrafił? To tak nie funkcjonuje. Ciekawą pracę albo ciekawe życie ma cała masa ludzi, ale ledwie znikomy promil z nich potrafi o tym z sensem napisać. Powiem więcej, dużo lepiej piszą ci, którzy wiodą nudną egzystencję, bo oni wyżywają się wyobraźnią i dzięki temu ją rozwijają.

- Ale...

- Nie ma żadnego „ale”. Zresztą mogę to panu od razu udowodnić.

Redaktor odsunął kilka wierzchnich kartek i odczytał tekst ze środka strony.

Dlaczego miłość to zaczarowane złoto, które następnego dnia przemienia się w zwiędłe liście, brud albo cienkusz? Z tęsknoty człowieka za miłością wyrosła przecież cała ta kultura, która nie odnosi się bezpośrednio do zaspokajania głodu czy obrony przed wrogiem. Nasze poczucie piękna nie ma innego źródła. Czerpała z niego wszelka sztuka, poezja, muzyka. Najpospolitszy obraz historyczny podobnie jak Madonny Rafaela i drobne paryskie robotnice Steinlena, „Anioł śmierci” Wallina, tudzież „Pieśń nad pieśniami” i „Buch der Lieder”, chorały i walce wiedeńskie, ba, każdy gipsowy ornament tego nędznego domu, w którym mieszkam, każda figura na tapecie, forma tamtej porcelanowej wazy i wzór na moim szaliku, wszystko, co pragnie ozdabiać i upiększać, czy mu się udaje, czy nie, stamtąd się bierze, choć czasami podążało krętymi drogami. I nie są to jakieś moje nocne wymysły, udowodniono to po stokroć. / Z tym że owo źródło zwie się nie miłość, lecz marzenie o miłości.

Wzrok, który czytający przeniósł z kartki na porucznika, był pełen zdumienia.

- Sam pan to napisał?

- Nie, nie...

- No to na jedno wychodzi. Kawał mięsistej literatury, ale nie publikujemy tekstów od ghostwriterów. U nas Wałęsa i wszelkiej maści celebryci są bez szans.

- Kto to są ci gołstrajstrzy? - zapytał Kolonko, jakby uznał, że dalsze próby dojścia do głosu, by wyjaśnić, skąd ma maszynopis, z góry skazane są na niepowodzenie.

- Ghostwriterzy. Jeden ghostwriter. To taki gość, którego się wynajmuje, żeby napisał ci książkę, kiedy masz znane nazwisko i każde wydawnictwo z pocałowaniem ręki przyjmie twoje wspomnienia albo rozważania o defekacji, ale sam nie potrafisz przenieść ich na papier.

Tym razem na zdumionego wyglądał Kolonko.

- Naprawdę można wydać cudzą książkę jako swoją?

- Teoretycznie nie można, bo polskie prawo nie zezwala na ghostwriting, ale polskie prawo nie nadaje za życiem, więc nie dziwnego, że większość tego narodu ma je gdzieś.

- A państwo przestrzegacie prawa i dlatego nie wydajecie ghostwriterów?

Młodzieniec zaśmiał się, jakby usłyszał dobry żart.

- Gdyby naczelny przestrzegał prawa, nie przerzynałby paru procesów z pisarzami. Nie, on uważa, że to kwestia szacunku dla autorów, potrafisz pisać, publikujemy cię pod twoim nazwiskiem. Ktoś nazwałby podwójną moralnością, że ich później kantuje, ale jemu najwyraźniej się to nie kłóci.

Porucznik przesunął ręką po kilkudniowym zaroście, najwyraźniej usilnie się nad czymś zastanawiając.

- No właśnie, a czemu ktoś, kto umie pisać, nie publikuje pod swoim nazwiskiem, tylko zgadza się być ghostwriterem?

- Bo podwójna moralność jest częstszą przypadłością wśród naczelnych: biadola w prasie, że nie dostają dobrych tekstów, ale później patrzą, czy nazwisko jest odpowiednio nośne i powieść sprzedaje, jeśli ich zdaniem nie, bez żalu odrzucają nawet doskonałe utwory. I takiemu pisarzowi nie pozostaje nic innego, jak wysługiwać się półdebiłom, którzy załapali się do mniej lub bardziej durnego programu telewizyjnego.

Kończąc zdanie, młodzieniec zgasił papierosa, wyrzucił niedopałek do prowizorycznej popielniczki, za którą służyła puszka po piwie, i od razu sięgnął po następnego.

- Muszę się nachapać nikotyny, bo to ostatnia moja przerwa dzisiaj. Stertę papierów do przerobienia mam pod sufit. Wirtualny oczywiście. Szczęśliwi tacy jak pan, którzy nie wiedzą, co to głód nikotynowy.

Na to dictum Kolonko wyciągnął swojego elektronicznego papierosa i też zapalił.

- A jak jest z tłumaczami? - zapytał.

- Co ma z nimi być?

- Czy jeśli tłumacz nie może opublikować własnego przekładu, to też zostaje ghostwriterem?

- Ciekawe pytanie. - Na dowód namysłu nad odpowiedzią młody redaktor wypuścił ustami kilka kółek dymu. - Nie zetknąłem się. I nie ma większego sensu. Tłumacz nie jest niewolnikiem swojego nazwiska jak autor. Zawsze może wziąć do tłumaczenia kogoś poczytniejszego. Jeśli tylko trzyma pewien poziom, prędzej czy później opublikuje pod swoim nazwiskiem.

- A ja mam tu przykład, że nie. - Kolonko pokazał na wydruk, który tymczasem znalazł się na murku. - To są przekłady niejakiego Witolda Stypuły, a nigdy nic nie wydał.

- Z jakiego języka?

- Ze szwedzkiego.

- Ze szwedzkim to ciężko. Mało się wydaje. Próbowaliśmy serii skandynawskiej, padliśmy po czwartym tytule, garstka to kupowała.

- Czyli tłumacz szwedzkiego prędzej byłby skłonny zostać ghostwriterem niż tłumacz angielskiego?

- Niby tak, ale nie widzę zleceniodawców. Książki celebrytów są bestsellerami, więc ci mają z czego piszącemu odpalić.

- Tłumaczenie nie może być bestsellerem?

- Szwedzkiej powieści? Raczej wątpliwe. Teraz niby mamy hit, trylogię kryminalną, która robi furorę na świecie, ale ja to kiepsko widzę. U nas już niejeden światowy hit poległ. Zresztą nawet gdybyśmy dobrze ją sprzedali, tłumacz nie będzie miał z tego ani grosza.

- A to czemu? - zdziwił się Kolonko.

- Bo tłumaczom płaci się ryczałtem, a nie procent od sprzedaży jak pisarzom. I niech mnie pan nie pyta, skąd ta różnica. Tak się po prostu uitarło. Ale wzięwszy pod uwagę, że znakomita większość książek sprzedaje się nędznie, nie jest to dla tłumaczy zły układ.

- Skoro większość książek sprzedaje się nędznie, to czemu wydawnictwo nie bankrutuje?

Redaktor uniósł palec wskazujący ku górze.

- Cud, proszę pana. To jest katolicki kraj, a w katolickim kraju muszą dziać się cuda. Czytelnictwo leży, sprzedaż książek dołuje, hurtownie zdzierają, księgarnie padają, a naczelny Cymelii ma dwa domy i wczasy spędza na Bahamach. Cud.

Ironię trudno było komentować, więc porucznik się nie odezwał.

- Nic, muszę wracać, inaczej naczelny urwie mi coś mało szlachetnego, ale bardzo przydatnego. - Tym razem do puszkę powędrował papieros wypalony ledwie w połowie. - Co pan chce z tymi przekładami Stypuły? Jest pan jego agentem?

Kolonko chciał przypomnieć, że przedstawił się jako policjant, ale nie musiał.

- Jasne, że nie, glina! przecież. Zabił kogoś ten Stypuła?

- Jego zabito. Chciałem porozmawiać z właścicielem wydawnictwa, bo wydaliście książkę, którą on ma w tych swoich przekładach, ale tłumaczył ktoś inny - wyjaśnił trochę nieskładnie porucznik.

- Właściciel i naczelny to jedna osoba. Walerian Drukarczyk. Proszę za mną. O jaką książkę chodzi?

- „Mężczyźni, którzy nienawidzą kobiet”. I od razu o następną z tej serii, bo też była w komputerze, a od tego drugiego tłumacza wiem, że i tę następną wydacie w jego przekładzie.

- To jest właśnie ten potencjalny hit, o którym mówiłem. Nawet go redagowałem, niestety, wiem o tym tylko ja, bo w tym wydawnictwie redaktorów się nie szanuje i gubi ich nazwiska przy drukowaniu książki.

- Przykre. Kolacjonowanie też pan robił?

Użycie tego terminu wyraźnie zaimponowało redaktorowi.

- Nie, tylko redakcję polonistyczną, nie znam szwedzkiego. Ale nie mamy u siebie takiego tuza. Zbyt rzadki język.

Przecięli korytarz i weszli do średniej wielkości pomieszczenia z sześcioma biurkami. Przy czterech siedzieli pracownicy wpatrzeni w ekrany laptopów, jeden właśnie się oderwał, żeby odebrać telefon. Przeciwległą do drzwi ścianę przesłaniał regał zastawiony książkami, pozostałe zdobiły tablice korkowe z przyczepionymi karteluszkami i plakaty reklamujące powieści lub wydarzenia literackie.

- Gdzie macie resztę książek? - zapytał Kolonko.

- Jakich książek?

- No, tych, które wydajecie.

Blondyn uśmiechnął się.

- W komputerach. Tu jest wydawnictwo, nie drukarnia. Paki z książkami jadą z drukarni do hurtowni, my ich nie składujemy. Wystarczą te egzemplarze okazowe - pokazał na regał - przykładowe, to nie jest cała nasza produkcja.

- Aha. - Porucznik sprawiał wrażenie zawiedzionego, że wydawnictwo przypomina wyglądem przeciętne biuro.

- Okej, ja tu zostaję i walczę dalej z tym tekstem. - Młodzieniec zatrzymał się przy jednym z pustych biurek i wcisnął klawisz spacji na klawiaturze laptopa. - Pan wejdzie w te drzwi obok plakatu z MTK w Krakowie, tam rezyduje naczelny.

Jednak kiedy redaktor zasiadł w fotelu, Kolonko nadal przy nim stał, wpatrując się w ekran.

- Co to jest? - zapytał.

- Tekst powieści, którą redaguję. Autor jest z polszczyzną na bakier, stąd tyle poprawek.

- Ale dlaczego one są takie kolorowe? I podkreślone?

- Chyba nie do końca rozumiem pytanie.

- Tutaj - porucznik pokazał palcem - przekreślił pan „po najmniejszej linii oporu” i napisał obok na czerwono „po linii najmniejszego oporu”.

- No tak, bo opór jest najmniejszy, a nie linia, o czym, nawiasem mówiąc, ktoś mający pisarskie ambicje powinien wiedzieć.

Okazało się jednak, że Kolonkę interesują nie językowe niuanse.

- Ale dlaczego zostawił pan przekreślone, zamiast po prostu wyrzucić zły zwrot i zastąpić go właściwym?

- A, teraz łapię. Bo autor musi widzieć, gdzie naniósłem zmiany. Chodzi o to, że on decyduje, czy poprawkę przyjmie. Ja mu posyłam tekst z takimi widocznymi poprawkami i on przy każdej ma dwie możliwości do wyboru, „odrzuć” albo „zaakceptuj”. Proszę spojrzeć. Podświetlam poprawkę, wciskam „zaakceptuj”, przekreślone „po najmniejszej linii oporu” znika, wprowadzone przeze mnie „po linii najmniejszego oporu” zostaje i ma już taki kolor, jak reszta tekstu. Teraz się wróćmy, wciskam „odrzuć”, moja poprawka znika, zostaje po staremu.

- No, dobrze, ale jeśli „po najmniejszej linii oporu” jest złe, to czemu autor miałby odrzucać poprawkę?

- Bo mógł ten błąd zrobić celowo. To jest kwestia dialogowa i niewykluczone, że autor chce, by bohater mówił z błędami, choć moim zdaniem niepoprawna polszczyzna do tej postaci nie pasuje. Poza tym poprawki muszę zaznaczać, bo nie wszystkie są takie oczywiste, często polegają nie na poprawieniu błędu, tylko na wygładzeniu stylu. Ale pisarz na przykład uznaje, że zmieniłem na gorzej, i chce, żeby została pierwotna wersja. I wtedy zostaje. Taka jest po prostu zasada, że to autor decyduje, jak ma wyglądać jego tekst. Dlatego po redakcji powieść wraca do pisarza, on analizuje poprawki i wskazuje, na które się zgadza, a na które nie. To się nazywa korekta autorska.

Porucznik, kołyszac się na piętach, dłuższą chwilę przetrawiał to wprowadzenie w wydawniczą kuchnię.

- Czy przy tłumaczeniach robi się tak samo?

- Chodzi panu o to, czy redakcję przeprowadza się tą samą techniką?

- Nie redakcję, kolacjonowanie.

- Kolacjonowanie to rodzaj redakcji. I tak, robi się dokładnie tak samo. Włącza się funkcję „Śledź zmiany”, o tutaj, dzięki której nowy tekst nie zastępuje starego, tylko jest widoczny jako zmiana, a potem te poprawki daje się tłumaczowi, by powiedział, które chce mieć. Innymi słowy, żeby zrobił korektę autorską. Tłumacz jest autorem przekładu, więc on decyduje, jak ostatecznie ten przekład będzie wyglądał.

Dalsze kołysanie się na piętach świadczyło o tym, że odpowiedź nie rozwiała wszystkich wątpliwości porucznika, co potwierdziło kolejne pytanie.

- A czy może być tak, że tłumacz ma nieograniczone zaufanie do redaktora i w ciemno przyjmuje wszystkie jego poprawki? I mówi mu, że nie musi ich uwidaczniać?

- Może tak być, bo różni idioci chodzą po tym świecie. Ale ja osobiście nie zetknąłem się z taką sytuacją. Bo dobry tłumacz wie, że nawet w najlepszej redakcji nie przyjmie więcej niż siedemdziesiąt procent. Bo jednak wszedł głębiej w tekst i lepiej wyczuwa i wyłapuje niuanse, bo ludzie są omylni, więc i ten redaktor czasami się rąbnie: tam, gdzie było dobrze, poprawi na źle, bo to są rzeczy subiektywne, a przy subiektywnych nigdy odczucia dwóch osób nie pokrywają się w pełni i tak dalej. Dla odmiany żaden dobry tłumacz nie odrzuci wszystkich poprawek *en bloc*, chociaż takie prawo też ma. Bo wie, że kompetentny redaktor zawsze coś wniesie. Ale i tutaj miałem szczęście i taki idiota nigdy mi się nie trafił.

Teraz Kolonko się rozpromienił, uściśkał zaskoczonemu młodzieńcowi dłonie, z emfazą mu dziękując, potem chwycił mocniej kartki, które były już bliskie rozsypania się, i pośpieszył do wyjścia.

- Nie idzie pan do naczelnego?

Porucznik podniósł tylko rękę, nie odwracając się.

- Dziś już nie.

Przy drzwiach jednak stanął, po czym wrócił do młodzieńca.

- Zmienił pan zdanie?

- Nie, jeszcze jednej rzeczy chciałem się dowiedzieć. Czy dobrze pana zrozumiałem, że pana nazwisko jako redaktora powinno być podane w książce?

- Musowo.

- A czy dobrze rozumiuję, że skoro kolacjonowanie to rodzaj redakcji, to nazwisko kolacjonującego też powinno być w książce?

- Bezbłędnie.

- Ty kretynie!

Naczyński popatrzył na swoją opuchniętą od snu twarz i splunął ze złością w lustro. Pierwszy raz w życiu wściekał się na siebie, że przeleciał jakąś babkę. Bo nie chciał się po prostu zabawić, tylko coś jej udowodnić. Potraktowała go z góry i pragnął jej pokazać, kto tu rządzi, że mogła mieć ponad dwadzieścia przetłumaczonych książek na koncie i z uśmiezkiem pobażania przyjąc, że on swoją jedną puszy się jak paw, ale kiedy leżała pod nim i jęczała pod jego pchnięciami, nie było najmniejszych wątpliwości, kto dominuje.

Działanie z mało szlachetnych pobudek wcale nie musi źle się skończyć, twierdzą tak tylko religijni naprawiacze ludzkiej natury, ale akurat w tym przypadku kończyło się źle. Z relacji biznesowej wpadali w emocjonalną, której zawsze unikał. Dzięki czemu jego liczne zdrady

pozostały bez konsekwencji. Żadna rozszluszczona kochanka nie wydzwaniała do jego żony z żądaniem, by oddała mu wolność, bo tak naprawdę ich małżeństwo od dawna jest wydmuszką. Nie obiecywał, że się rozwiedzie, nie grał zakochanego, zazwyczaj po pierwszej nocy przyznawał, że chodziło mu jedynie o seks, i kończył znajomość. Bo chociaż coraz więcej kobiet też szukało tylko seksu, a przynajmniej tak twierdziły albo im się wydawało, to babki już są tak skonstruowane, że z czasem seks przeradza się u nich w uczucie, które biorą za miłość. Co niosło za sobą duże niebezpieczeństwo. Jednorazową zdradę żona mogła mu wybaczyć – nie teoretyzował, asystentka prokuratora, którą poderwał przy tłumaczeniu w sprawie kradzieży samochodów, nie chciała przyjąć do wiadomości, że ich łóżkowe igraszki były tylko *one night stand*, i zemściła się, donosząc Grażynie – gdyby uznała, że zaangażował się emocjonalnie, zostawiłaby go.

Oczywiście mógł Janinie powiedzieć: zabawiliśmy się, było super (wcale nie było super, ruszała się z gracją kłody drewna), ale teraz każde z nas pójdzie w swoim kierunku. Wątpił jednak, by po takim postawieniu sprawy nadal chciała mu przetłumaczyć książkę. A że dwóch pierwszych tłumaczy odmówiło, jej rezygnacja stawiała go pod ścianą. Liczba osób, do których mógł się zwrócić, gwałtownie się kurczyła, bo przekładających literaturę szwedzką była w Polsce garstka. Do tego wcale nie miał tak finansowo atrakcyjnej oferty, jak mu się wydawało.

– Tysiąc złotych za arkusz? Za ghostwriting? Tysiąc złotych to ja mam za tłumaczenie pod własnym nazwiskiem.

– Jakim cudem? Przecież wydawnictwa płacą pięćset.

– Dzięki dotacji z Instytutu Szwedzkiego. Dogaduję się z wydawnictwem, żeby pisało wniosek o tysiąc, bo tyle Szwedzi na dofinansowanie tłumaczenia dają bez żadnych oporów, a wydawnictwo jest szczęśliwe, bo moje honorarium nie kosztuje ich ani grosza.

– Okej. To poproszę Cymelię, żeby wystąpiła o tę dotację, dostanie pan tysiąc z instytutu i tysiąc ode mnie.

– Przecież Cymelia nie dołoży panu do honorarium z instytutu. A nawet gdyby, to nic z tego, na kryminala Szwedzi nie dadzą ani korony, a już na pewno nie na taki, który schodzi jak świeże bułeczki.

Teraz Naczyński skojarzył, że Pollak mu o tej możliwości dofinansowania mówił, ale ponieważ właśnie podkreślił, że dotyczy to przede wszystkim literatury niekomercyjnej, rzecz wyleciała mu z pamięci.

– Zresztą Larssona nie wziąłbym nawet pod własnym nazwiskiem. Chcę się załapać na stypendium z ichniego Funduszu Pisarskiego, można dostać dobrą kasę na spokojne pracowanie aż na pięć lat. Oczywiście za odpowiedni dorobek, czyli za przekłady klasyków i laureatów Nagrody Augusta, a nie gościa, którego opisy przypominają katalog Ikea.

Drugi tłumacz, któremu Naczyński wyjaśnił, że musi podzlecic tłumaczenie, gdyż z powodu choroby dziecka nie zdąży zrobić go w terminie, a za spóźnienie czy zerwanie umowy grozi mu drakońska kara, nie mógł mu pomóc właśnie ze względu na brak czasu.

– Ja bym to przekładał co najmniej półtora roku. Jestem inżynierem, pracuję w Siemensie, często mam nadgodziny albo delegacje, tłumaczę tylko dla rozrywki i dotąd miałem takie tempo. Przyzwyczajony stosik uzbierał się wyłącznie dlatego, że dłużej w tym już długie lata.

Zdeprymowany wynikiem tych dwóch rozmów, dał ogłoszenie na Oferii. Liczba ofert, i to błyskawicznie złożonych, pozytywnie go zaskoczyła, mina mu zrzedła, kiedy bliżej im się przyjrzał. Połowa była od biur tłumaczeń, które od razu skreślił. Tłumacza szukaliby tam gdzie i on, ale za słoną prowizję, gdyby znaleźli pierwsi. Takóż do kosza powędrowały zgłoszenia pań dwojga nazwisk, pierwszym polskim, drugim szwedzkim. Nie podzielał przekonania nudzących się przy mężach emigrantek, że skoro umieją na targu poprosić o pietruszkę, to doskonale poradzą sobie z przekładem książki. Odsiał oferty po trzy pięćdziesiąt za stronę, tanie mięso psy jedzą. Z pozostałych wybrał dwie dobrze rokujące i przesłał próbkę do zrobienia. Pocztą zwrotną dostał jedną odpowiedź, że próbka może sobie wsadzić, choć było to sformułowane dużo bardziej elegancko, a ta kandydatka, która nie miała nic przeciwko temu, by ją wykonać, przesłała mu idealny przekład – nie zrobiła w nim ani jednego błędu! – za to całkowicie wyprany z literackości. Tak to umiał sam tłumaczyć.

Usłyszał otwierające się drzwi i po chwili objęły go od tyłu chude ramiona.

No, pięknie, pomyślał, już jesteście na etapie wchodzenia sobie do łazienki bez pukania.

- Hej, kotku, co tam? - zapytał na głos. Musiał grać na czas. Dziś był umówiony z jeszcze jedną tłumaczką. Jeśli i ta miała w życiu inne priorytety niż przekładanie literatury albo doila na tym Szwedów, będzie musiał pociągnąć romans do czasu dostania książki. Cztery miesiące czy pięć się przemęczy.

- Miau.

Naczyński zachował dla siebie obserwację, że kiedy miauczy czterdziestopięcioletka, to facetowi nie staje, tylko robi mu się niedobrze. Odwrócił się do niej, a kiedy zobaczył tę szpetną twarz w świetle dziennym, pomyślał, że będzie naciskał, by wyrobiła się z przekładem w cztery miesiące.

Warszawskie Laboratorium Kryminalistyczne, choć jedno z najnowocześniejszych w Europie, nie wyglądało spektakularnie i osoba postronna, podobnie jak porucznik w wydawnictwie, mogłaby być zawiedziona, że badania, dzięki którym przestępcy trafiają na ławę oskarżonych, przeprowadza się wśród zwykłych probówek i laptopów. Tyle że ktoś, kto nie był członkiem maszyny wymiaru sprawiedliwości, nie miał tu prawa wstępu. Przy wejściu siedział portier, który dopiero po sprawdzeniu legitymacji zwałniał przyciskiem elektroniczną blokadę drzwi. Chyba że odwiedzającego doskonale znał jak porucznika Kolonkę.

Ten, na wpół zaspany, do środka bardziej się wtoczył, niż wszedł, a oczy otworzył na pełną szerokość dopiero wtedy, kiedy usłyszał „dzień dobry” od jednego z techników.

- Dobry. Macie tu kawę? Rano potrzebuję kawy, a moja żona jeszcze spała, kiedy wychodziłem. Ma delikatny sen, więc nie chciałem tłuc się po kuchni. Dlatego też się ogoliłem.

Technik Robert Moryn przyjął to wyjaśnienie, choć ogolonego porucznika jeszcze nie widział, zaprowadził go do kantyny i wskazał mu automat do kawy. Zakłopotany Kolonko podrapał się po głowie.

- A jak to działa? Bo u siebie w domu to ja kawę robię w ten sposób, że gotuję wodę w czajniku, kawę wsypuję do kubka i zalewam. Mamy też ekspres, ale jego to już żona obsługuje. Od biedy bym umiał, ale tej kosmicznej technologii w żadnym razie.

Moryn ani myślał uczyć Kolonkę obsługi, zrobił to poprzednim razem, by teraz usłyszeć, że bez efektów, i sam sięgnął do pojemnika z kapsułkami.

- Mocna kawa, słabsza?

- Mocną, poproszę, jak najmocniejszą.

Czarna kapsułka trafiła do automatu, po krótkotrwałym buczeniu ciemna struga popłynęła do kubka.

- Mleko, cukier?

- Nie, nie. Kiedyś słodziłem, ale lekarz powiedział mi, że mam zacząć uprawiać jogging albo przestać sypać cukier do herbaty. To przestałem sypać cukier. I dobrze zrobiłem, ostatnio musiałem przesłuchiwać świadka, biegnąc koło niego, i o mało ducha nie wyzionąłem.

- Dlaczego musiał pan biec koło świadka?

- Bo strasznie nalegał na formalności.

Z prośby o dodatkowe wyjaśnienie Moryn zrezygnował, wyglądało na to, że dopóki porucznik nie napije się kawy, żadnego sensownego nie udzieli. Technik założył też, że podobnie będzie z percepcją, więc kiedy usiedli w jego boksie, cierpliwie odczekał, aż z kubka ubędzie połowa zawartości. Dopiero wtedy sięgnął do laptopa i kilkoma kliknięciami wywołał ekran, na którym czerwone punkty tworzyły podłużną linię. Przy każdym widniał zapis godziny.

- Namierzyłem numer telefonu, który mi pan podał. Te czerwone punkty to stacje BTS, w których logowała się karta SIM z tym numerem, co oznacza, że znajdowała się w promieniu kilkudziesięciu metrów. Jeśli punkty połączymy, wynik jest jednoznaczny. Czternastego

września ta karta SIM przemieszczała się od godziny dziesiątej siedemnaście do dziesiątej czterdzieści osiem z ulicy Woltera albo jakiejś sąsiedniej w okolicy Alei Solidarności. Tempo wskazuje na jazdę samochodem, więc bez trudu odtworzę dokładną trasę. Potrzebna ona panu?

- Nie, chcę wiedzieć, dokąd Naczyński dojechał. Tak się nazywa właściciel numeru.

- Z tym gorzej. Jak powiedziałem, wiemy, że karta znajduje się w promieniu kilkudziesięciu metrów od stacji bazowej.

- Czy w tym promieniu jest sąd okręgowy?

Moryń sprawdził.

- Tak.

- Ale czy Naczyński do niego wszedł, już mi pan nie powie?

- Nie, precyzyjnie nie da się ustalić.

Mina Kolonki wskazywała, że nie bardzo chce się pogodzić z tym stanem rzeczy.

- A moja szwagierka dzięki komórce kontroluje swoją córkę i mówi, że cały czas dokładnie wie, gdzie ona jest.

- To co innego. Dziewczynka ma w smartfonie aplikację, która pozwala ją zlokalizować za pomocą GPS-u. Domyślam się, że Naczyński jest przestępcą, a ci nie będą sobie na smartfonach instalować aplikacji, pozwalających ich wysledzić. Zresztą namierzamy kartę, a nie telefon.

- To jakaś różnica?

- Zasadnicza. Kartę można włożyć do różnych telefonów. Kiedy zmieniał pan ostatnio komórkę?

- Półtora miesiąca temu, żona kupiła mi smartfona.

- Powiedzmy, że jest pan przestępcą, a policja o tym, że żona zrobiła panu prezent, nie wie i namierza pana przez poprzedni telefon. Ustali, że siedzi pan w domu, bo jak znam życie, starą komórkę wrzucił pan do szuflady w przekonaniu, że jeszcze kiedyś się przyda. Jeśli będzie szukać po numerze, który oczywiście pan sobie zostawił, przyjedzie tutaj, bo numer jest zapisany na karcie SIM, a tę przełożył pan do nowego smartfona.

- No dobrze, to proszę sprawdzić, czy telefon jechał tą samą drogą co karta.

- Musiałbym znać numer IMEI tej komórki.

- A skąd można go wziąć?

- Najprościej zarekwirować komórkę właścicielowi.

Kolonko pokręcił markotnie głową.

- Nie mam podstaw. Prokurator nie chciał mi dać nawet nakazu na billingi z tego numeru, mówi, że nie interesują go logiczne konstrukcje, mam mu dostarczyć dowody. A ja właśnie potrzebuję billingów, żeby zdobyć dowody. Błędne koło.

Dźwięk domofonu rozległ się tak natarczywie i niespodziewanie, że Naczyński – całkowicie skupiony na tłumacznym zdaniu – wzdrygnął się z przestrachu. Spojrzał na zegarek: na listonosza było za późno, kuriera się nie spodziewał, pewnie nieumówiony klient. Liczba takowych przez lata skurczyła się praktycznie do zera, bo na swojej stronie internetowej nie podawał adresu, ale niedobitki się zdarzały. Nie przeszkadzały mu, jeśli pojawiały się w godzinach pracy, problem polegał na tym, że ci, którzy nie uznawali telefonów, nie uznawali również prawa tłumacza do odpoczynku i nachodzili go o wszelkich możliwych porach z niedzielami włącznie. To dlatego przestał podawać adres. Który jednak wciąż znajdował się w ewidencji działalności gospodarczej i najwyraźniej ten dzwoniący skojarzył, że go tam znajdzie. Albo wiedział o istnieniu listy tłumaczy przysięgłych, dostępnej na stronie Ministerstwa Sprawiedliwości, co stanowiłoby małą sensację, bo nawet pracownicy sądów i prokuratorów często nie mieli o niej pojęcia.

Podniósł się, podszedł do drzwi i podniósł słuchawkę domofonu. Zamiast spodziewanego „ja do tłumacza” (przychodzący bez zapowiedzi nie mieli w zwyczaju przedstawiać się czy

mówić „dzień dobry”), usłyszał jednak głos Kolonki, przeproszającego, że przeszkadza, ale on tylko na chwilę.

Naczyński zirytował się nie na żarty.

– Co pan sobie wyobraża?! Ja pracuję, mam pilne tłumaczenie, dla policji zresztą. Słyszał pan o takim wynalazku jak telefon, żeby uprzedzić o wizycie? Powinien pan słyszeć, bo opatentowano go jeszcze w dziewiętnastym wieku!

– Nie mam pańskiego numeru, ale jeśli jest pan zajęty, przyjdę później. – Intonacja nie pozostawiała wątpliwości, że porucznik stara się ulagodzić rozszłoszczonego gospodarza, ale ten to zignorował.

– Jak to nie ma pan mojego numeru? Przecież dzwonił pan do mnie!

– Z komórki Stypuły, ale zabrali ją technicy, a numeru sobie nie spisałem, bo i po co, nie jest pan w kręgu naszego zainteresowania.

– To dlaczego mnie pan nachodzi?!

– Chciałem zapytać o coś w laptopie Stypuły, a nikt inny mi nie wyjaśni.

Naczyński teatralnie westchnął, po czym otworzył furtkę. Kiedy wpuścił Kolonkę do domu, ten miał minę zbitego psa.

– Strasznie pana przepraszam, nie zdawałem sobie sprawy, że aż tak przeszkodzę. Poproszę funkcjonariusza, dla którego pan robi tłumaczenie, żeby dał panu dłuższy termin. Na pewno się zgodzi, śledztwa w sprawie o morderstwo mają priorytet.

– Nie trzeba, wyrobię się, ale na przyszłość mam oczywiście prośbę, żeby pan najpierw zadzwonił.

– Tak, tak, oczywiście, już sobie notuję numer.

Porucznik odstawił na podłogę reklamówkę z Biedronki, w której najwyraźniej przyniósł laptopa zamordowanego, i wysuwał z kieszeni prochowca karteluszek papieru. Radość Naczyńskiego, że tym razem nie wymagało to długotrwałych poszukiwań, ustąpiła miejsca irytacji, kiedy okazało się, że Kolonko nie może znaleźć długopisu.

– Chyba jednak nie mam, musiałem zgubić.

– Dlaczego nie zapisze pan sobie tego numeru bezpośrednio w komórce?

– W komórce? Aha? Czemu nie? Komórkę mam! – Kolonko z dumą zaprezentował swojego nowego smartfona. – Tylko jak?

– Jezu! Proszę wejść do pokoju, zadzwonię do pana i będzie mnie pan miał w połączeniach. Jaki jest numer do pana?

Już ze swoim smartfonem w rękę, wziętym z biurka, Naczyński spojrzał wyczekująco na porucznika. Ten rozpaczliwie wpatrzył się w wyświetlacz.

– W domu, jak mieliśmy telefon z tarczą, to na dole była taka plastikowa szybka i za nią wsuwało się karteczkę z numerem, ale tutaj...?

– Nie zna pan swojego numeru?!

– To służbowy telefon, nikomu nie muszę podawać, dzwonią do mnie tylko współpracownicy, a oni mają numer z rozpiski na...

– Jaka to jest sieć?

– T-Mobile.

– Taka sama jak moja. Dawaj pan ten telefon, wiem, jak się sprawdza numer.

Ponaglający ton głosu sprawił, że Kolonko rękę wysunął gwałtownie, zawadzając o smartfona Naczyńskiego. Ten wyleciał tłumaczowi z dłoni, zahaczył o biurko i w częściach rozsypał się na podłodze. Porucznik rzucił się, by je pozbierać.

– Zostaw pan to! – ryknął Naczyński.

Ponieważ Kolonko nie posłuchał, tłumacz bez ceregieli go odepchnął i drżącymi rękami poskładał telefon, dokładnie oglądając każdy element.

– Masz szczęście, człowieku, że wyświetlacz nie poszedł. Buliłyś za niego ciężką kasă, bo to markowy samsung, a nie żadne tanie gówno z Allegro.

– Bardzo pana przepraszam, nie chciałem...

Naczyński wykonał zamaszty gest, dając wyraźny znak, że nie chce słuchać kolejnych przeprosin ani wyjaśnień. Ze spuszczoną głową porucznik wyszedł z pokoju. Wrócił po półminucie, niosąc reklamówkę z Biedronki. Rzeczywiście wyciągnął z niej laptopa, postawił

go na biurku i uruchomił. Gospodarz przyglądał się tym poczynaniom z rozdziawionymi ustami.

- Z pana to jest ewenement.

Kiedy na ekranie pokazały się czarne litery na białym tle, Kolonko obrócił go w stronę tłumacza.

- Widzi pan?

- Widzę, tekst w Wordzie. Co w nim sensacyjnego?

- To są „Mężczyźni, którzy nienawidzą kobiet”. Ale bez kolorów. Domyśla się pan, dlaczego Stypuła je usunął?

- Nie rozumiem.

- Rozmawiałem z redaktorem w wydawnictwie, który objaśnił mi, jak się robi tę kolację...

- Kolacjonowanie.

- O, właśnie. Że poprawki nanosi się tak, żeby były widoczne. Tutaj włącza się funkcję „Śledź zmiany” i teraz, kiedy skasuję słówko „wysoki”, to ono nie zniknie, tylko zostanie przekreślone, a jak napiszę obok „rosły”, to będzie na czerwono, i pan teraz może sobie wybrać, czy chce mieć po swojemu, czy jednak „rosły” jest lepsze.

Naczyński przez dłuższą chwilę wpatrywał się w ekran, nie żeby zrozumieć, o co porucznikowi chodzi, bo to już wiedział, lecz żeby zyskać na czasie, którego potrzebował, by znaleźć jakieś wyjaśnienie. W tym samym celu zapytał:

- Ja się w tym wszystkim doskonale orientuję, po co pan mi to opowiada?

- No, bo jeśli Stypuła zrobił panu kolację...

- Kolacjonowanie na miłość boską, przecież nie ukończył pan edukacji na szóstej klasie szkoły podstawowej, żeby nie móc zapamiętać jednego trudniejszego słowa!

Całkowicie sztuczny wybuch też był grą na czas, ale Naczyński miał nadzieję, że zdolnościami aktorskimi przewyższa odtwórców postaci w „Klanie”.

- Tak, tak, przepraszam. No więc po tym kolacjonowaniu Stypuła powinien mieć tekst pokreślony i na kolorowo, a skoro nie ma żadnych skreśleń ani kolorów, znaczy się, że je usunął. Ma pan pomysł dlaczego?

- No, dobrze, on niczego nie usunął, przyłapał mnie pan.

- Na czym?

- Na ignorancji. Ja nie wiedziałem, że to się tak robi, Witek też nie. Jak panu mówiłem, on nie opublikował żadnego przekładu książki, dla mnie był to pierwszy. Dałem mu tekst, a Witek po prostu pozmieniał w nim te słowa i zwroty, które jego zdaniem źle przetłumaczyłem. W efekcie musiałem żmudnie porównywać jego wersję ze swoją, żeby wyłapać, gdzie naniósł poprawki. Głupiego robota, ale tak już jest, że debiutanci płacą frycowe.

- Naprawdę? Pracowaliście przecież obaj jako przysięgli, to jak mogliście nie wiedzieć o takiej funkcji Worda?

Niespodziewane powątpiewanie najpierw zelektryzowało Naczyńskiego, ale w trakcie pytania odetchnął z ulgą. Przynajmniej raz nie musiał niczego wymyślać, mógł powiedzieć szczerą prawdę.

- Przysięgli nie korzystają z tej funkcji. Nikt trzeci nie sprawdza tłumaczeń poświadczonych przed oddaniem ich klientowi.

- To mogą być z błędami? - zdumiał się Kolonko.

- Z błędami jak z błędami. Niezgrabne sformułowanie w urzędowym dokumencie nie jest takim grzechem jak w powieści. Poza tym duża część formularzy to nazwy własne i liczby, wystarczy być uważnym. A jeśli się nie jest, to urzędnik nie przyjmie tłumaczenia i człowiek będzie świecił oczami.

- Czy to nie przemawiałoby za tym, że przysięgli też powinni mieć redaktora?

- Czy ja wiem? Na całą swoją karierę miałem może z pięć reklamacji, gdzie musiałem uderzyć się w pierś, że zrobiłem błąd, który uniemożliwił klientowi załatwienie sprawy. Z czego ze dwie, gdzie redaktor tego błędu i tak by nie wyłapał. Wyłożyłem się na przykład na dyplomie czeladniczym cieśli, bo miałem do wyboru dwa równoważne słowa i zdecydowałem się na niewłaściwe z punktu widzenia firmy, w której on starał się o pracę.

Porucznik zadowolili się tym wyjaśnieniem, jednak Naczyński dodał:

- Czasami biuro tłumaczeń sili się na poprawki, ale wtedy są dwie na krzyż, bo w przeważającej większości dokumenty liczą nie więcej niż kilka stron. Biuro przysyła je więc wyliczone w mailu, nikt nie bawi się w żadne „Śledź zmiany”. Może pan popytać innych przysięgłych, zapewne wybałuszą oczy ze zdziwienia, że coś takiego istnieje.

- Nie muszę, wiem po sobie, że gdyby przenieśli mnie do wydziału kradzieży, to też nie miałbym pojęcia o oczywistych dla kolegów rzeczach. O tym, że nazwisko redaktora podaje się w książce, też nie wiedzieliście?

- Słucham?

- No, czy nazwisko pana Stypuły nie powinno być wymienione w książce, skoro robił coś, co jest rodzajem redakcji?

Nie tylko nieszczęścia chodzą parami, Naczyński po raz drugi mógł odpowiedzieć szczerze.

- W sumie powinno być. Nie pomyśleliśmy o tym, ani on, ani ja. A wydawnictwo z własnej inicjatywy nie mogło zamieścić, bo nie wiedziało, że prywatnie zrobiłem kolacjonowanie. Przegapiliśmy, że powinniśmy byli się o to upomnieć.

- A czemu był pan skłonny płacić za nie z własnych pieniędzy?

Tu odpowiedź byłaby szczerą, gdyby Naczyński sam przełożył książkę.

- Już panu mówiłem, chciałem mieć idealny przekład. Tymczasem tłumacz zawsze się na czymś wyłoży, taka już natura przekładu literackiego. Leonard Neuger w znakomitym tłumaczeniu jednej z elegii romantycznego poety Erika Johana Stagneliusa pomylił sztylet z lalką. Czy raczej, jak sam opowiadał, zobaczył lalkę zamiast sztyletu, bo przecież doskonale wie, jak oba słowa po szwedzku brzmią i je rozróżnia. Jego mózg natychmiast dorobił właściwą interpretację, że ta lalka idealnie pasowała. I rzeczywiście pasowała, skoro nie zwrócił na nią uwagi redaktor polonista. Tymczasem każdy znający szwedzki wyłapałby ten błąd za pierwszym spojrzeniem.

- A pan nie chciał mieć podobnych błędów w swoim tłumaczeniu?

- Otóż to. Wolę zapłacić, niż ryzykować takie kwiatki.

Porucznik zamknął laptopa zabitego, schował go do reklamówki i skierował się do wyjścia. Nauuczony doświadczeniem, Naczyński oczekiwał, że Kolonko zastygnie w drzwiach, nie odwracając się i unosząc rękę do góry, ale nic takiego nie nastąpiło. Również odgłosy w przedpokoju świadczyły o tym, że zamierza wyjść bez dodatkowych pytań. Najwidoczniej szczerością była bardzo skuteczną bronią. Zadowolony i rozluźniony Naczyński poszedł za porucznikiem, by go pożegnać, i omal nie zderzył się z nim w drzwiach pokoju.

- O, przepraszam. - Wracający Kolonko zatrzymał się. - Jedna rzecz jest dziwna.

- Mianowicie?

- „Dziewczyna, która igrała z ogniem” w komputerze Stypuły też jest na czarno, bez kolorowych poprawek. A przecież za drugim razem musieliście już wiedzieć, jak to działa. Redaktor z Cymelii powiedział mi, że robił redakcję „Mężczyzn”, więc musiał ją panu przesłać na kolorowo i wytłumaczyć, jak się na takim tekście pracuje, jeśli dotąd pan się nie orientował.

Po takim ciosie, mimo zamroczenia, nie można opuścić gardy, bo następny będzie nokautujący. Synapsy Naczyńskiego chyba jeszcze nigdy tak rozpaczliwie nie przekazywały impulsów, by stworzyć wiarygodne wyjaśnienie.

- Wiedzieliśmy, jak to działa, tyle że Wittek nie chciał się do tego stosować. Ludzie generalnie unikają nowinek i wolą robić po staremu, a u Witka ten konserwatyzm był szczególnie mocno zakorzeniony. Dał mi po prostu listę poprawek.

- Żadnej takiej w jego laptopie nie ma.

Ten kolejny cios też zmierzał do celu, ale Naczyński dostrzegł, że łatwo go sparuje.

- Pewnie ją skasował po tym, jak mi ją przekazał, do niczego przecież nie była mu już potrzebna. Z tego, co wiem, da się odtworzyć skasowane pliki, więc może pan sprawdzić.

Propozycja zwiększała wiarygodność kłamstwa, a niczym nie groziła. Nieznalezienie pliku nie dowodziło jeszcze, że nigdy go tam nie było.

- A jak ją panu przekazał? Bo jako załącznik do maila nie wyszła.

- Nie komunikowaliśmy się mailem. Do pracy każdemu z nas niezbędny był oryginał, książki Larssona mieliśmy zaś tylko w wersji papierowej i tylko po jednym egzemplarzu.

A skoro musieliśmy sobie przekazywać książkę, to poręczniej było przekazać przy tej samej okazji plik z tekstem na pendrivie, niż wcześniej czy później przysyłać go mailem.

Tak to rzeczywiście wyglądało, tyle że role były inne. To Naczyński kolacjonował tłumaczenie Stypuły. By sprawdzić, czy nie odbiega ono od oryginału, nie musiał mieć literackich umiejętności. Tym bardziej do wyłapania głupich błędów. Poprawki naniósł oczywiście w trybie „śledź zmiany”. Stypuła albo je przyjął, albo odrzucił, więc w jego komputerze nie mogło być „kolorowego” tekstu. Prawdą było też to, że obie książki, „Mężczyzn” i „Dziewczynę”, mieli w jednym egzemplarzu; Stypuła wypożyczył sobie powieść Larssona z biblioteki podczas pobytu w Szwecji i do swoich zbiorów już jej nie zakupił, wołał wydać pieniądze na coś, czego jeszcze nie znał. Ale nie konieczność przekazywania sobie książki stała za tym, że teksty nosili na pendrivie. Była jedynie dla Naczyńskiego dobrym pretekstem, by tego zażądać. W rzeczywistości nie chciał zostawiać śladów, ujawniających prawdziwy charakter ich translatorskiej operacji. Nie myślał wtedy oczywiście o tym, że ta przezorność może zaowocować w śledztwie o morderstwo, zabezpieczał się przed Stypułą. Jak się okazało, słusznie.

- Rozumiem. - Kolonko rozpromienił się w szerokim uśmiechu. - Wszystko jest takie proste i oczywiste, kiedy pan wyjaśni. Proszę mi wybaczyć, ale dla laika to czarna magia i sam bym do tego nigdy nie doszedł. Nie będę więcej zwracał panu głowy.

Naczyńskiego, choć domyślał się, że ta deklaracja dotyczy tylko dzisiejszego dnia, ucieszyło jednak, że na razie pozbywa się poręcznika i że zdołał uciec spod gilotyny.

Kolonko rzeczywiście opuścił dom, wszedł do swojego malucha i odjechał. Tego, że zatrzymał się za rogiem i sięgnął po telefon, tłumacz już nie zobaczył.

- Mam ten numer IMEI. Myślałem, że mnie zabije, gdy mu wytrąciłem smartfona z ręki. Przeraził się, że rozbił się wyświetlacz, i odepchnął mnie, kiedy udawałem, że chcę mu pomóc w pobieraniu. Ale trzy zdjęcia zdążyłem pstryknąć. Wydawało mi się, że cztery, ale teraz sprawdziłem, są trzy, pomyliłem się przez ten wyłączony dźwięk migawki. Na dwóch numer jest zamazany, ale z ostatniego, z trudem, bo z trudem, powinno dać się odczytać.

Dało się odczytać - dla techników nie była to pierwszozna, rzadko mieli do czynienia z wykaligrafowanymi napisami - a sprawdzenie logowań w stacjach bazowych wykazało, że telefon pokonał dokładnie tę samą trasę co karta SIM.

- Z wyjmowaniem karty w każdym razie nie kombinował - skomentował Moryń ten wynik.

- Mówił pan, że tempo wskazuje na samochód i że dałby pan radę odtworzyć, którymi ulicami jechał.

- Tak.

- To jednak bym o to prosił.

Moryń wybrał na klawiaturze jakąś kombinację klawiszy i czerwone punkty na ekranie ustąpiły miejsca żółtej ciągłej linii.

- Voilà!

- Co to jest? - zapytał zdziwiony Kolonko.

- Domniemana trasa przejazdu, panie poręczniku. Ma pan nieco inne metody niż reszta śledczych, ale ostatecznie każdy z was potrzebuje jak najwięcej informacji, pomyślałem więc, że na pewno się panu przyda i zawczasu ją przygotowałem.

- Powiniennem pana ozłocić. Czy na tych ulicach jest monitoring?

- Na wszystkich nie, ale wystarczający, by ustalić, czy dany samochód tą drogą przejeżdżał.

- A czy kierowca mógł wybrać mniej optymalną trasę, tak by uniknąć kamer?

- Bez szans. Możliwe, że gdzieś skręcił w bok i zatrzymał się, żeby wziąć na przykład jakąś paczkę, tego nie jestem w stanie wyłapać, bo, jak mówiłem, BTS obejmuje pewien obszar, na którym może mieścić się główna arteria i boczna uliczka. Czy w tą boczną skręcił, nie ustalimy. Ale samymi bocznymi nie da się pokonać tej trasy, a nawet gdyby się dało, to nie w tym czasie, w którym on ją przejechał.

- Ma pan dostęp do tego monitoringu?

- My jesteśmy policja, mamy dostęp do wszystkiego - uśmiechnął się Moryń. - Ale nie od ręki, chwilę potrwa, zanim dostanę płytki. No i trochę też będę potrzebował na ich przejrzenie. Jakiego samochodu mam szukać?

- Złotego lexusa LS, numer rejestracyjny panu podeślę.
- Myśli pan, że potrzebny? Ile złotych lexusów mogło wtedy jechać?

Pryszczata farmaceutka nie zachowała zawodowej wbojności i kąciki jej ust wygięły się w lekkim uśmiechu, kiedy poprosił o viagrę. Może sam się do tego przyczynił, bo zrobił większe zakupy, jakby ten właściwy chciał przykryć. I tak rzeczywiście było, owszem, plastry, witamina C i środki przeciwbólowe zawsze się przydadzą, ale domową apteczkę uzupełniała Grażyna.

Gdybym ciebie miał zerznąć, też potrzebowałbym viagry, pomyślał w odwiecie.

Niestety, z ostatnią kandydatką się nie dogadał, wprawdzie chciała się podjąć przekładu Larssona, ale za sumę, na którą nie mógł przystać, i teraz musiał wykazywać się jako kochanek. A mężczyzna nie jest w stanie udawać podnieconego, albo ma erekcję, albo jej nie ma. Z jakiegoś powodu, którego ewolucjoniści wciąż nie odkryli, natura pozbawiła go tutaj możliwości oszukiwania, z nawiązką wyposażając w tę umiejętność drugą płeć.

Ale Janina wcale nie musiała pod nim udawać, jęczała z prawdziwej rozkoszy, tyle że w nim wzbudzało to jedynie chęć włożenia sobie do uszu stoperów. Próba ograniczenia ich miłosnych igraszek spaliła na panewce. Powiedział jej, że żona podejrzewa go o kochankę i musi więcej czasu spędzać w domu, żeby rozwiać te podejrzania. Odbiją to sobie w późniejszym czasie. Przejrzała go i zwolniła tempo tłumaczenia. Szczegółowo opowiadając o trudnościach językowych, na jakie się natyka, ale nie miał wątpliwości, że zawołany komunikat brzmiał: albo się ze mną kochasz, albo dostaniesz przekład z dużym opóźnieniem, jeśli w ogóle. To ultimatum kazało mu się zastanowić, czy uda mu się bezboleśnie wycofać, gdy złoży książkę w wydawnictwie. I doszedł do wniosku, że nie. Skoro Janina posuwała się do szantażu, nie będzie miała obiekcji, by stosować go również później. Będzie go trzymała w szachu, grożąc, podobnie jak Stypuła, ujawnieniem, kto jest prawdziwym autorem przekładu. A na to, że znudzi się jej jako kochanek, nie mógł liczyć. Bo w jej przypadku alternatywa brzmiała: albo ten i to dobry, albo żaden.

Oczywistość, przed którą stanął, wcale go nie przerażała. Zamordował raz, zrobi to po raz drugi. Kwestia tylko praktycznych rozwiązań. Drugi zabity tłumacz szwedzkiego, mający w komputerze przekład powieści Larssona, który Naczyński opublikował, pozwoliłby Kolonce wczepić się w niego pazurami i już nie puścić. Laptopa musiał podmienić – zabranego policja by szukała – a jednocześnie zasugerować motyw niezwiązany z życiem zawodowym. Jasne, że ten fałszywy trop powinien podłożyć znacznie zgrabniej niż w przypadku Witka, ale przecież na tym polegało uczenie się na błędach.

Nie było pośpiechu, tłumaczenie miało jeszcze potrwać, później – jeśli Janina rzeczywiście domagałaby się dalszego romansu – też nie działałby pod presją czasu, ale musiał przygotować grunt. Stał się jeszcze dyskretniejszy, o ich romansie nie tylko Grażyna nie mogła się dowiedzieć, lecz także postronni. Zapędy Janiny, która chciała się nim pochwalić, na początek przyjaciółom, ukrocił w zarodku: jest żonaty, a każdy wtajemniczony zwiększa ryzyko wpadki. Nawet nieznający jego żony, bo wystarczy sześć osób, by dotrzeć od jednej do drugiej w dowolnych zakątkach świata, a co dopiero w takim grajdole jak Warszawa. Zaczął wypytywać Janinę o jej prywatne sprawy, żeby wytypować potencjalnego mordercę, którego mógłby podsunąć Kolonce. Odbierała to jako ogromne zainteresowanie z jego strony i opowiadała o nich nader chętnie. Wyraźnie sprawiało jej to nie mniejszą przyjemność niż seks. A on, nudząc się często niemilośnie, snuł różne scenariusze, jakie zapewnić sobie alibi i jak dokonać samego zabójstwa.

Opuścił aptekę i skierował się do odległego o trzysta metrów wieżowca. Janina miała w nim kawalerkę, odziedziczoną po babci i w odczuciu Naczyńskiego dalej tą babcią śmierdzącą. A w każdym razie starą kobietą. I papierosami. Bo na domiar złego Janina paliła na potęgę. Usiłował ją nakłonić, by przestała, sięgając po całą gamę argumentów, od zdrowotnych po estetyczne, ale łatwiej przekonać świadka Jehowy do ateizmu niż wyperswadować komuś blisko trzydziestoletni nałóg. Jedynym mikrym sukcesem, jaki osiągnął, było to, że zamieniła ohydne paczki – z obrazkami, które każdego normalnego człowieka, ale nie palaczy, przyprowadziły do mdłości – na eleganckie etui.

Z domofonu nie musiał korzystać, bo akurat wychodzili jacyś sąsiedzi, co o parę minut odwlekło wątpliwą przyjemność usłyszenia skrzeczącego głosu narzuconej przez okoliczności kochanki. Wjechał windą na siódme piętro i zadzwonił do drzwi.

Stanąła przed nim, wdzierając się jak nastolatka, bo nikt jej nie powiedział, że nie jest to sexy, kiedy kobietę mniej czasu dzieli od emerytury niż od jej licealnych lat.

- Hej, kochanie.

- Hej. Jak idzie tłumaczenie?

- Świetnie. Dzisiaj przełożyłam dziesięć stron i jestem z nich bardzo zadowolona. Mam nadzieję, że dalej utrzymam tak wysoki poziom.

Naczyńskiemu przypomniał się szwedzki film pod tytułem „Adam i Ewa”, w którym para małżonków leży w łóżku i prowadzi na pozór neutralną rozmowę, ale napisy u dołu ekranu informują, jaka jest rzeczywista treść wypowiedzianych kwestii. W ich przypadku napisy wyglądałyby następująco:

- Hej. Długo jeszcze będę się z tobą męczył?

- Dzisiaj zaśluziłam na czule słówka, ale jeśli ich nie usłyszysz, to możesz się niemile zdziwić.

Dała mu do przeczytania i musiał przyznać, że nie pochwaliła się na wyrost. W każdym razie jak na jej możliwości. Nie miała talentu Stypuły, w jej przekładzie brakowało iskry, prądu, który przenosiłby go z poziomu bardzo dobrej rzemieślniczej roboty na wyżyny sztuki, ale nie mógł narzekać. Do tłumaczenia literatury garnęło się niewiele mniej grafomanów niż do pisania, a że wydawcom jakość przekładów nie leżała na sercu i płacili za nie grosze, sporo fuszerów miało szansę załapać się do zawodu. Na tle ich wypocin solidny warsztat błyszczał i tak.

Wyraził swoje uznanie, co miało ten skutek, że jej głowa zanurkowała pod laptopa – trzymał go w rękach, siedząc na kanapie – i poczuł, jak niecierpliwe dłonie dobierają mu się do rozporoka. Odsunął je, siłąc się na delikatność.

- Zjedźmy najpierw kolację, umieram z głodu.

Na monitorze zobaczył wymyślony napis:

- Muszę połknąć tabletkę i godzinę odczekać.

W kancelarii notariusz Stanisławy Romantowicz Naczyński raz tłumaczył. A przynajmniej ten jeden raz pamiętał, bo klient go oszukał. Polak ze Szwecji, który kupował mieszkanie od dewelopera w Warszawie. Ponieważ jego szwedzka partnerka miała być współwłaścicielką, musiała podpisać się na akcie notarialnym, przetłumaczonym jej w obecności notariusza przez przysięgłego. Naczyński za taką usługę nie kazał sobie płacić gotówką, nie odpowiadało mu, że większa kwota przechodzi z rąk do rąk na oczach ciekawskich. Spokojnie czekał na późniejszy przelew, ale tamtym razem się nie doczekał. Jego przekonanie, że emigrujący na północ Polacy przesiąkają skandynawską kulturą uczciwości albo właśnie dlatego tam emigrują, że za taką kulturą tęsknią, uległo wtedy poważnemu zachwianiu.

Zgłosił w recepcji, że przyszedł na otwarcie testamentu Witolda Stypuły, i usiadł w poczekalni wraz z dwiema kobietami w średnim wieku. Jedna z nich mogła być siostrą Witka, ale równie dobrze obie mogły załatwiać zupełnie inną sprawę. I raczej załatwiały inną sprawę, mało kto fatygowałby się specjalnie z Niemiec, skoro nie musiał, a nieobecność nie niosła za sobą negatywnych konsekwencji. I Naczyński doszedł do wniosku, że będzie na otwarciu sam, skoro Witek żadnej innej rodziny w Polsce nie miał.

- Przepraszam, ja w związku z testamentem.

- Chce pan spisać testament?

- Nie, nie, broń Boże.

Naczyński skrzywił się na ten dialog, który dobiegł go z recepcji. To samo miał ciągle w swojej pracy. Ludzie wyrażali się nieskładnie, a potem dziwili się, że odczytuje z ich słów

inny komunikat, niż zamierzali przekazać. A najgorsi kładli to na karb jego braku koncentracji albo wręcz niewystarczającej inteligencji.

- Czy ja wyglądam na umierającego? Nie, ma się tu odbyć otwarcie testamentu niejakiego Witolda Stypuły...

- Otwarcie.

- Co?

Wyjaśnienia różnicy między otwarciem a otwarciem Naczyński nie usłyszał, bo rozpoznał głos mówiącego. Z takim opóźnieniem, bo w ogóle się go tu nie spodziewał i skojarzenie przyszło dopiero, kiedy padło nazwisko Stypuły. Reakcją były jednocześnie wściekłość i przerażenie. Ta pierwsza poderwała go z krzesła, ale przypomniał sobie sytuację w bibliotece i z powrotem na nie opadł. Wziął kilka głębokich oddechów, napominając się w duchu: „Spokój. Zachowaj spokój, nerwy są złym doradcą”.

- Pan też tutaj? Co za niespodzianka! Myślałem, że tylko rodzina będzie.

Już opanowany Naczyński spostrzegł, że z nich dwóch, obiektywnie rzecz biorąc, to on nie miał oczywistego powodu, by tu przychodzić. A Kolonko tak. Ostatnia wola zabitego nieraz naprowadzała na trop sprawcy. Klasyka w kryminale: dziedziczący majątek mogli postarać się, by to dziedziczenie przyspieszyć. Co z kolei oznaczało, że obecność porucznika powinna go ucieszyć: jeśli interesował się testamentem, wciąż rozglądał się za podejrzanymi. I on był tylko jednym z wielu potencjalnych kandydatów. Albo nawet nie, sam się za takiego uznał, bo wiedział, że jest mordercą. Tymczasem Kolonko rzeczywiście mógł go traktować jako swego rodzaju konsultanta z racji wykonywania identycznego zawodu co zabity. A przy jego beładności nie dziwiło, że rozszerzał te konsultacje na sprawy ściśle związane ze śledztwem.

- Dostałem zawiadomienie od notariusz, domyślam się, że Witek coś mi zapisał, najpewniej swoje książki.

Własna odpowiedź go zmroziła. „Zawiadomienie od notariusz”. Wątpliwe, by stanowiło tajemnicę, komu te zawiadomienia wysłano, a jeśli nawet, to z pewnością w śledztwie dotyczącym morderstwa dającą się uchylić i Kolonko łatwo mógł ustalić, kto przyjdzie. Pojawił się zatem ze względu na niego, mając nadzieję, że testament Stypuły coś mu powie o relacjach między nimi. Inni spadkobiercy go nie interesowali, nie mogli, przecież Stypuła milionów się nie dorobił, nie zostawił majątku, dla którego warto mordować.

- Zaraz się dowiemy. - Kolonko usiadł obok niego i popatrzył na czekające kobiety. - Wygląda na to, że będziemy tylko my dwaj, siostra pana kolegi nie przyjechała.

- Skąd pan wie, może to któraś z nich? - zapytał Naczyński, ale nie ściszył wystarczająco głosu i za tę obcesowość spotkały go spojrzenia pełne dezaprobaty.

Porucznik pokręcił głową.

- Poznałem ją, kiedy przyjechała zorganizować pogrzeb. Z rodziną musimy porozmawiać, a wiadomo, że najlepiej osobiście. Nawiasem mówiąc, nie wyrażała się o panu zbyt pochlebnie.

- O mnie? Dlaczego rozmawialiście o mnie? I co takiego powiedziała?

Zamiast odpowiedzieć, Kolonko zaczął przeszukiwać kieszenie swojego prochowca. Naczyński był przekonany, że ten chce mu coś zacytować z jednego ze swoich karteluszków, ale porucznik wyjął elektronicznego papierosa. Kiedy próbował go zapalić, napotkał bazyliżkowate spojrzenia obu kobiet. Pod ich wpływem utensylia nałogowca ponownie zniknęły w kieszeni jego płaszcza.

- No i? Co powiedziała? - przypomniał się Naczyński, widząc, że Kolonko najwyraźniej odpyłnął gdzieś myślami.

- Co? Aha. Nazwała pana fałszywym przyjacielem. Twierdziła, że pan go wykorzystywał. Że podzlecał mu co trudniejsze tłumaczenia i brał za to słońa prowizję.

- Nie co trudniejsze, tylko nadmiarowe, i nie słońa, tylko normalną.

- Mówiła, że głównie medyczne, a te podobno są najtrudniejsze.

- Trudne, panie poruczniku, jest to, czego człowiek nie potrafi zrobić. Witek dokumentację medyczną przekładał niemal od ręki, bo miał w tym duże doświadczenie, świeka bym mu zabił, gdybym próbował mu przepisać na kogel-mogel.

- Mówiła też, że inni tłumacze odstępują sobie takie zlecenia nieodpłatnie.

- Jedni wykonują pracę w ramach wolontariatu, a inni za pensję i nie ma w tym nic nagannego. Biura tłumaczeń biorą prowizję za pośrednictwo, nie wiem, dlaczego miałbym z tego rezygnować. Witek nie był moim przyjacielem od serca, tylko kolegą po fachu.

- A mimo to zrobił pana swoim spadkobiercą.

- Jak powiedziałem, panie poruczniku, myślę, że zapisał mi książki. Po szwedzku, czyli takie, które dla pozostałych jego spadkobierców są makulaturą.

- No, tak, to zmienia postać rzeczy. Zresztą ja nie przywiązuję większej wagi do uraz żywionych przez rodzinę ofiary - oznałm Kolonko, jakby przed chwilą nie cytował z całą powagą zarzutów. - Jeszcze chyba w swojej karierze nie miałem przypadku, by ten najbardziej znieawidzony okazał się mordercą.

Sprzeciwu, że mówienie o nienawiści jest przesada, prędzej by to można nazwać uprzedzeniami, Naczyński nie zdążył wygłosić, bo w drzwiach poczekalni stanął asystent, zapraszając ich do salki konferencyjnej.

Rzeczywiście tylko oni pojawili się na otwarciu testamentu, co notariusz, apodyktyczna siwa dama zbliżająca się do sześćdziesiątki, odnotowała w protokole. Informację, że porucznik jest z wydziału zabójstw, przyjęła skrzywieniem ust, niezbyt rzucającym się w oczy, bo taki wyraz przyjęły już na widok jego prochowca. Eleganckiego Naczyńskiego zaszczyliła spojrzeniem bez żadnych grymasów, co musiało w jej przypadku świadczyć o pozytywnym wrażeniu.

Po załatwieniu wstępnych formalności suchym głosem zaczęła odczytywać treść testamentu. Okazało się, że wszystko - w praktyce mieszkanie - dziedziczy siostra, z tym że zmarły prosił ją, jako osobę „już ustabilizowaną finansowo”, by część pieniędzy z wynajmu lub sprzedaży tego mieszkania przeznaczyła na wydanie jego przekładów; chciał zaistnieć jako tłumacz literacki chociaż pośmiertnie. Ten passus sprawił, że Naczyński zmienił swoje przewidywania co do tego, dlaczego został zaproszony na otwarcie testamentu. Zapewne miał pomóc w tym wydaniu. Doprowadzenie do publikacji Larssona najwyraźniej przekonało Stypułę, że jest macherem, który będzie w stanie znaleźć wydawcę na zalegające w komputerze teksty. Testament musiał powstać najwcześniej podczas tłumaczenia „Mężczyzn, którzy nienawidzą kobiet”.

Ledwie doszedł do tej konkluzji, Stypuła potwierdził ją zza grobu zdaniem, którego Naczyński bynajmniej nie chciał usłyszeć. A na pewno nie w obecności porucznika z wydziału zabójstw.

„W podziękowaniu dla Zenona Naczyńskiego, że pozwolił mi zaistnieć jako tłumacz literacki chociaż częściowo, zapisuję mu cały mój księgozbiór”.

Przestał, oczywiście, dalej słuchać i gorączkowo rozważał, jak te podziękowania wyjaśnić Kolonce. Na szczęście odczytywanie trochę jeszcze trwało, bo znalezienie w miarę wiarygodnego wyjaśnienia nie było proste, a gdyby utrzymywał, że nie ma błędnego pojęcia, o co Stypule mogło chodzić, potwierdziłby podejrzenia Kolonki, że to zabity jest autorem przekładów Larssona. Bo przecież takie właśnie podejrzenia Kolonko zgłaszał, kiedy rozważał, dlaczego w rzekomo sprawdzanych przez Stypułę tekstach nie zostały uwidocznione poprawki.

Miał wątpliwości, czy wyjaśnienie, które wymyślił, zasługiwało na etykietkę „w miarę wiarygodne”, ale lepszego nie znalazł. I kiedy na korytarzu Kolonko zapytał go, za co konkretnie te podziękowania, odparł:

- Szczerze powiedziawszy, nie bardzo wiem. Może chodziło mu o to, że zachęcałem go, by dalej tłumaczył, chociaż wydawcy mu odmawiali. Załamywał się, każdy by się załamał, gdyby go z taką regularnością odrzucano, a ja starałem się podtrzymywać go na duchu. Przekonywałem, że prędzej czy później dostanie swoją szansę, a wtedy będzie miał sporo gotowych tekstów. Że nie ma prawa nie wykorzystywać swojego talentu, chociaż na razie nikt tego talentu nie docenia. I zresztą później wprost powiedział, że „Kaszankę” Lindgrena przełożył dzięki mnie.

- Naprawdę?

- Tak. Kiedy się zalił „ile można próbować”, wypaliłem, że do śmierci. Potem Witek podkreślał, że jakkolwiek szokująco by to brzmiało, to przecież trafiłem w dziesiątkę.

- Dobry z pana przyjaciel – skomentował Kolonko. – A ja chyba pofatygowałem się tu na próżno.

Kiedy Naczyński rozważał, czy te słowa miały znaczyć „Kupuję to wyjaśnienie”, czy też „Nie zwiedzisz mnie tym wyjaśnieniem, ale obalić się go nie da”, porucznik dodał:

- Utknąłem ze śledztwem i miałem nadzieję, że może testament wskaże mi jakiś trop, niestety, nie wskazał. Chociaż, prawdę mówiąc, wielka ta nadzieja nie była, wiedziałem przecież, że pan Stypuła żadnego znaczącego majątku nie zostawił.

Wyszli z kancelarii i skierowali się na niewielki parking, przeznaczony dla interesantów. Swojego malucha porucznik postawił obok lexusa, co podkreślało różnicę klasy między samochodami.

- Nie przestanę się dziwić, że pan jeździ tym gruchotem.

Kolonko pieszczotliwie przesunął ręką po dachu, jakby chciał wynagrodzić fiatowi ten deprecjonujący epitet.

- To bardzo porządny samochód, nawet Australijczycy go kupowali.

„Porządny samochód” znowu nie zapalił i Naczyński wyjechał pierwszy. Wykręcił, stając bokiem przed Kolonką, który, zaabsorbowany próbami uruchomienia silnika, tego nie spostrzegł. Maluch szarpnął nagle do przodu i kiedy Naczyński w wyobraźni słyszał już huk zderzenia, zatrzymał się w odstępie patyczka do lodów od blachy lexusa. Na szerokość tego patyczka, nie na długość. Wściekły Naczyński wyskoczył ze swojego auta.

- Co pan wyprawia!?

Kolonko też wysiadł i przyjrzał się miejscu potencjalnego zderzenia.

- Utrzymał pan, że nie byliście przyjaciółmi.

- Co?! O czym pan mówi? O mało nie rozwalił mi pan samochodu!

- Przecież nie uderzyłem. Podtrzymał pan Stypułę na duchu, co wskazuje na przyjacielskie więzy, choć wcześniej podkreślał pan, że łączyły was właściwie tylko relacje zawodowe.

- Brakuje tyle – roztrzęsiony Naczyński zademonstrował odległość lekko rozchyłonymi palcami, wskazującym i kciukiem. – Tyle!

- Ale brakuje. Dlaczego roztrząsa pan zdarzenie, które nie nastąpiło?

- Bo już drugi raz nie zachowuje pan ostrożności!

- Przepraszam. Jakże zatem łączyły was relacje?

Chociaż Kolonko przeprosił, to wyłącznie werbalnie, zakłopotanie, cechujące dotąd jego postawę, ulotniło się bez śladu. Naczyński zadał sobie pytanie, dlaczego. Czy zapis w testamentie pozbawił go wątpliwości, kto jest mordercą? Nawet jeśli, to stanowił zaledwie poszlakę, która w świetle niepodważalnego alibi nie miała żadnej wartości. A może chodziło o zmianę taktyki, skoro swą wcześniejszą uległością nic z niego nie wyciągnął? Czy też chwilowe wypadnięcie z roli, bo ileż można grać półdidiotę?

- Dokładnie tak jak powiedziałem. Bardziej zawodowe niż przyjacielskie. Przecież zachęcałem go, by dalej tłumaczył, a nie by dalej podrywał kobiety, chociaż na tym polu też nie miał żadnych sukcesów.

- A skąd pan o tym wiedział, skoro bliżej się nie przyjaźniliście?

- Wszyscy wiedzieli. Tajemnica poliszynela.

- Rozumiem. Proszę wybaczyć z tym samochodem. Zaczekam, aż pan odjedzie, żeby znowu nie sprowokować jakiejś groźnej sytuacji.

- Jest lexus, panie poruczniku! – oznajmił zadowolony Moryń, ale zaraz spostrzegł, że ta wiadomość wcale Kolonki nie ucieszyła.

- Niemożliwe, jaki numer rejestracyjny?

Moryń podyktował, a Kolonko porównał go z zapisanym na kartce, którą tym razem bezbłędnie wyłowił z właściwej kieszeni prochowca.

- Ten sam. Niech to dunder świśnie. Jedzie trasą z Woltera do sądu?

- Tą trasą i o tej godzinie, co logowania. A co, miało go nie być?
- Moim zdaniem kierowca był wtedy gdzie indziej. Można rozpoznać, kto prowadzi?
- Rysów twarzy nie. To są kamery monitorujące ruch pojazdów, a nie fotoradary, do tego kierowca opuścił osłonę przeciwsłoneczną.

- Osłonę opuścił...

Obaj policjanci pomyśleli jednocześnie o tym samym i Moryń przeklikał się do serwisu pogodowego.

- Co o niczym nie świadczy, czternastego września Warszawa była skąpana w słońcu, żadnych chmur na nieboskłonie.

- Tyle słońca w całym mieście / Nie widziałeś tego jeszcze... - zanucił Kolonko, ściągając na siebie zdziwione spojrzenie technika.

- Przepraszam, ale kiedyś to były piosenki. Lata siedemdziesiąte to moje ulubione, jeśli chodzi o piosenki i filmy. Da pan radę cokolwiek powiedzieć o kierowcy?

- Mężczyzna w garniturze, raczej w średnim wieku, choć tu już zbliżamy się do spekulacji.

- Pasuje do właściciela.

- Może poprosił kogoś, żeby pojechał za niego - zaproponował rozwiązanie Moryń. - Zdjęcia z fotoradarów też często nie są jednoznaczne i ludzie wymigują się od mandatów, twierdząc, że pożyczili samochód znajomemu.

- Najprawdopodobniej. Problem, jak to udowodnić. Musiałbym najpierw tę osobę znaleźć, co samo w sobie jest szukaniem igły w stogu siana, a potem nakłonić ją do zeznań.

Moryń przyznał, że to trudne zadanie.

- No, tak, współnicy w przestępstwie są zwykle milkliwi. Zwłaszcza tacy, którzy biorą cudzą komórkę.

Ta konkluzja nie spotkała się już z żadnym komentarzem Kolonki, który nad czymś usilnie się zastanawiał.

- Czy byłby pan w stanie ustalić, jakie pojazdy pokonały ten odcinek w ciągu następnej godziny? Od dziesiątej pięćdziesiąt do jedenastej trzydzieści. Może jedenastej czterdzieści pięć dla pewności.

Reakcją na pytanie było dość wyraźne westchnienie.

- Strasznie żmudna robota. Musiałbym przejrzeć film z pierwszego skrzyżowania, porównać z następnym i wyłapać te same samochody, potem powtórzyć całą procedurę w kolejnym punkcie. Rzecz do zrobienia, ale będzie długo trwało.

- Ile?

- Trudno powiedzieć, im więcej samochodów będzie jechało tą trasą, tym dłużej. No i nie będę w stanie skupić się wyłącznie na tym. Traktuję pana priorytetowo, skoro szuka pan mordercy, ale inni też chcą sprawnie doprowadzić swoje śledztwa do finału. A ja wykonuję pracę za trzech. Kolega wziął zwolnienie, bo pensji nie starcza mu na utrzymanie rodziny i zarabia w nocnym klubie jako wykidałło, i mamy jeden wakat, bo odkąd obcięli przywileje emerytalne, ludzie przestali się garnać do pracy w policji.

Narzekania na braki kadrowe wydawały się nie docierać do Kolonki, który wpatrywał się w technika proszącym wzrokiem. Ten ponownie westchnął.

- Byłby pan w stanie trochę zawęzić, jakich samochodów mam szukać?

W pierwszej chwili porucznik pokręcił przecząco głową, ale po namyśle powiedział:

- Na pewno taksówek...

- To już coś.

- Jeśli uda mi się jeszcze bardziej zawęzić, wtedy się do pana zgłoszę.

Anna Fornalczyk przesuwiała sukienki na wieszaku, czując wzbierające w niej emocje. Nigdy wcześniej nie zachodziła do takich eleganckich sklepów, w przekonaniu, że są bardzo drogie i na żaden ciuch i tak nie będzie jej stać. A cukierki za szybko nie nęciły jej nawet, kiedy była brzdącem. Jeśli nie możesz czegoś dostać, to od tęsknego wlepiania wzroku w upragnioną

rzecz wcale lepiej się nie poczujesz. Nie wiedziała, czy tę mądrość wpoili jej rodzice, czy sama intuicyjnie ją pojmowała (bo wtedy oczywiście nie potrafiłaby ubrać jej w słowa), ale była to jedna z norm, których się konsekwentnie w swoim życiu trzymała.

Ostatnio jednak do tego sklepu zaciągnęła ją koleżanka. I Anna, ku swemu zdumieniu, odkryła, że ceny, chociaż znacznie wyższe niż w lumpeksie, gdzie normalnie się ubierała, wcale nie były z kosmosu. Zdaniem koleżanki dlatego, że firma należała do Polaków, aczkolwiek nazwa marki brzmiała obco. Anna nie zdecydowała się z miejsca na zakupy, musiała pomyśleć i policzyć. Po czym wróciła, na jedną sukienkę i jakieś dodatki spokojnie mogła sobie pozwolić. I chciała sobie pozwolić. Ubrania były bardzo ładne, a metka z zagraniczną nazwą dodawała im splendoru. Bo Anna pewnie wcale nie należała do wyjątków, takich jak ona, którzy nie wiedzieli, że to polska firma, musiało być sporo.

Wybrała dwie sukienki do przymierzenia, kiedy poczuła na sobie czyjś wzrok. Przyglądał się jej niewysoki mężczyzna po czterdziestce z rozwichrzoną czupryną i trzydniowym zarostem. Zaniepokoiła się, że naruszyła jakieś reguły. Może nie było wolno samemu brać ubrań, lecz należało poprosić sprzedawcę? Ale ten mężczyzna nie wyglądał na sprzedawcę. Raczej na klienta. I to nie tego sklepu, tylko lumpeksu. Płaszcz w każdym razie z pewnością nabył tam i bynajmniej nie świeżo po dostawie. Może gapił się na nią właśnie dlatego, że już się spotkali. Nie pamiętała go, ale to o niczym nie świadczyło, na ogół koncentrowała się na swoich sprawach i nie zwracała większej uwagi na otoczenie.

Nieznajomy ruszył w jej stronę, co napeniło ją paniką. Może to podrywacz. Był wprawdzie jakieś dziesięć lat młodszy od niej, ale świat od dawna już stał na głowie i mężczyźni uganiali się też za starszymi kobietami. Tymczasem ona była szczęśliwą mężatką. Zadowoloną w każdym razie, słowo „szczęśliwy” niekoniecznie pasuje do trzydziestoczteroletniego małżeństwa. Nie akurat ich, ogólnie.

- Pani Fornalczyk?

- Tak?

- Pani mąż powiedział mi, że tu panią znajdę.

Aha, to dlatego dzwonił i pytał, gdzie jest.

- Nazywam się... - Żeby się przedstawić, mężczyzna najwyraźniej potrzebował czegoś ze swojego znoszonego płaszcza, bo zaczął przeszukiwać kieszenie. Metodycznymi tych poszukiwań nazwać się nie dało, więc dopiero po dłuższej chwili wyciągnął i pokazał odznakę. Anna odczytała napis „Policja” i przerażała się. Dlaczego nasyłają na nią policję? Przecież nic nie ukradła. A to, że ma na sobie ciuchy ze szmateksu, wcale nie znaczy, że chce coś ukraść. Chce kupić. Ma pieniądze, może pokazać.

- Porucznik Kolonko z Wydziału Zabójstw. Pani pracuje dla państwa Naczyńskich?

Uspokoila się. Nawet jeśli za punkt honoru stawiała sobie dyskrecję, a do tego oczywiście nie obchodziło jej prywatne życie chlebobadców, to nie mogło umknąć jej, że ich sąsiad i przyjaciel padł ofiarą zabójstwa.

- Tak.

- Chciałbym zadać pani kilka pytań.

Przyjrzała się niepewnie sukienkom na ręku.

- Tutaj? Teraz?

- Jeśli ma pani chwilę czasu. Wiem, że normalnie trzeba przesłuchiwać świadków w komisariacie, zaprotokołować, co mówią, i w ogóle wypełnić masę papierków, ale ja gubię się w tych wszystkich formularzach. Sierżant spisze później pani zeznania, jeśli będzie w nich coś potrzebnego dla sądu.

Lekko westchnęła. Po raz pierwszy od wieków sprawiła sobie odrobinę przyjemności, a mimo to nie pozwalają się jej tym rozkoszować. Zaraz jednak zganila się za tę myśl. Przecież zginął człowiek, jeśli tylko może pomóc w znalezieniu mordercy, to własne zachcianki musi odłożyć.

- Proszę pytać.

- Czy pracowała pani u państwa Naczyńskich czternastego września?

- Nie wiem, nie pamiętam. Jaki to dzień tygodnia?

- Środa.

- To nie pracowałam. Sprzątam u nich w piątki. Chcą mieć czysto na weekend.

Rozczarowanej miny policjanta nie mogła przeoczyć, ale nie sądziła, że z powodu tej odpowiedzi zakończy przesłuchanie, mówił przecież o kilku pytaniach. Kiedy jednak tak zrobił, ucieszona ruszyła w stronę przebieralni. Po dwóch krokach zwolniła, bo coś jej się przypomniało, i stoczyła ze sobą krótką wewnętrzną walkę. Na jednej szali leżały sukienki, na drugiej sprawiedliwość dla zamordowanego człowieka. Odwróciła się.

- Panie poruczniku.

- Tak? - Wolno zmierzający do wyjścia Kolonko zatrzymał się.

- We wrześniu raz kazali mi przyjść w środę. Nie pamiętam, czy akurat w tą, ale to możliwe.

- „Możliwe” na razie mi wystarczy. Jak mówiłem, jeszcze nie zbieram dowodów dla sądu, tylko informacje. Jaki powód podali?

- Powód?

- Dlaczego chcieli, żeby przyszła pani wcześniej?

- Aha. Bo w czwartek mieli gości.

- Kogo?

- Tego nie wiem. Nie opowiadają mi się z takich rzeczy. Pan Naczyński zadzwonił i powiedział, że potrzebuje mnie w środę.

- Naczyński? Nie jego żona? Czy to normalne?

- Co?

- Że dzwoni on, a nie ona.

Anna musiała się nad tym pytaniem dłużej zastanowić.

- Nie wiem, czy normalne, bo oni nigdy do mnie nie dzwonią. To był pierwszy raz.

- A długo już pani u nich pracuje?

- Będzie z kilka lat.

- A co w sytuacji, gdy chcą panią odwołać? Wysyłają SMS-a?

- Nigdy mnie nie odwoływali. Mam klucze, więc nawet jak nikogo nie ma, mogę wejść i sprzątać. Tak zresztą bardziej lubię, ale zwykle pan Naczyński pracuje w domu.

- I nigdy przez te kilka lat nie poprosili pani o przyjście wcześniej, bo przyjmowali w tygodniu gości?

- Nie.

- O której pani zaczyna?

- O dziewiątej rano.

- W tę środę też zaczęła pani o dziewiątej?

- Tak, tylko dzień się zmienił.

- Mogła pani tak po prostu przyjść? Nie miała pani innych zajęć?

- Miałam inne sprzątanie, musiałam przelożyć, ale...

Urwała, nie wiedziała, czy powinna wyrażać się negatywnie o swoim pracodawcy, ale porucznik inaczej zinterpretował jej wahanie.

- Proszę śmiało mówić, wszystko zostanie między nami.

- Panu Naczyńskiemu się nie odmawia. Nie powiedział tego wprost, nawet nie zasugerował, ale i tak miałam wrażenie, że gdybym odmówiła, to mógłby mnie zwolnić. A miałabym problem, żeby sobie to sprzątanie uzupełnić, za dużo Ukrainek na rynku.

- Czy wydarzyło się coś nadzwyczajnego?

- Nie, nic. Pani Naczyńska była jeszcze w domu, jak przyszedłam, ale może w środy zaczyna później niż w piątki.

- Poza tym naprawdę nic? Interesuje mnie każde wydarzenie, które normalnie nie miewa miejsca. Czy pan Naczyński kazał pani zrobić coś ekstra?

- Ze sprzątania nie.

- A poza sprzątaniem?

- Też nie. Chociaż zaraz. Pani Naczyńskiej zepsuł się samochód i miałam dać kluczyki mechanikowi, który po niego przyjechał. Ale to nic wielkiego.

- A czemu Naczyńscy sami nie dali mu kluczyków?

- Pani Naczyńska wzięła taksówkę i pojechała do pracy, a pan Naczyński miał tłumaczenie w sądzie. Wyszłedł później od żony, ale na mechanika nie miał już czasu czekać.

- O której wyszedł?

Pokręciła głową.

- Nie wiem.

- Mniej więcej.

- Nie wiem, nie zauważyłam, kiedy wychodził. Nie pożegnał się ani nic.

- To normalne?

- Co?

- Że się nie żegna.

- Tak. Dla niego jestem czymś w rodzaju automatycznego odkurzacza. - Dzięki uchylonej wcześniej furtce Anna nie miała już obiekcji, by skrytykować Naczyńskiego. - Nie bywa grubiański czy coś, ale widać, że gardzi ludźmi, którzy nie mają wykształcenia i wykonują proste prace. A przecież dopóki człowiek nie żebrze i uczciwie zarabia na swoje utrzymanie, to zasługuje na szacunek. Nie sądzi pan?

- Oczywiście, że tak. Mechanik o której przyjechał?

Anna nie umiała powiedzieć, skąd wiedziała, jak wtedy, gdy oglądając „Jednego z dziesięciu”, znała prawidłową odpowiedź, ale wiedziała.

- Tuż przed jedenastą.

Kolonko przetrawił tę informację i coś wymamrotał, wyraźnie niezadowolony.

- Proszę opisać, jak wyglądało przekazanie kluczyków.

- Co tu opisywać? - Anna wzruszyła ramionami. - Zadzwoił do drzwi, powiedział, że po samochód, dałam mu kluczyki, i tyle.

- Jest pani w stanie dokładniej przytoczyć jego słowa? Całą wypowiedź?

- „Ja po samochód”. Albo „Przyjechałem po samochód” czy „Miałem odebrać samochód”. Jakoś tak.

- Nic więcej nie powiedział?

- Nie.

- Jak wyglądał? Jak był ubrany?

- Taki ciapowaty w pana wieku, w garniturze.

- Jest pani pewna? Mechanik w garniturze? Nie zdziwiło to pani?

Annę dopiero teraz uderzyło, że to nie pasuje.

- Nie. To znaczy, jestem pewna, że był w garniturze, ale się nad tym nie zastanawiałam.

Dla mnie garnitur to naturalny strój mężczyzny, uważam, że w mniej eleganckich, takich..., no, w mniej eleganckich powinni chodzić nawet po domu.

Słowa, od których się powstrzymała, brzmiały „jak pański”, więc Anna poczerwieniała ze wstydu, ale porucznik ani na zająknięcie, ani na jej rumieniec nie zwrócił najmniejszej uwagi.

- Widziała pani, jak on ten samochód zabierał? Był jakąś lawetą?

- Nie, nie widziałam, zaraz wróciłam się do środka.

- Jakiej marki jest auto pani Naczyńskiej?

- Oj, o takie rzeczy proszę mnie nie pytać. W ogóle się na tym nie znam.

- A te kluczyki? Jaki miały brelok?

- Brelok?

- Często przy kluczykach samochodowych jest brelok z logo marki.

- To i tak bym nie rozpoznała. Ale te akurat nie miały breloka. Pamiętam, bo pomyślałam, że to dziwne jak na panią Naczyńską. Ona lubi ozdóbki, jej pokój sprzątam najdłużej, bo muszę wszystkie powycierać.

- Ten mechanik z jakiego był warsztatu?

- Nie mam pojęcia, pan Naczyński po niego dzwonił.

- Kiedy?

- No, wtedy. Pani Naczyńska chciała pojechać do pracy, okazało się, że samochód jej nie zapalił, mąż zadzwonił do warsztatu, a ona wzięła taksówkę.

- Gdzie pani Naczyńska pracuje?

- W banku ING. Jest szefową oddziału na Zamoyskiego. Kiedyś namawiała mnie, żebym tam do nich podeszła i założyła konto, ale ja nie potrzebuję konta. Wszyscy płacą mi przecież na rękę.

W geście namysłu porucznik przesunął dłonią po rozczochranej czuprynie, ale nie poszły za tym żadne dalsze pytania. Kiedy oczekiwanie się przedłużało, zniecierpliwiona Anna chrząknęła.

- Co? Aha, tak. Na razie to wszystko, proszę spokojnie pójść przymierzyć te sukienki. Bardzo sztywne. Muszę żonie powiedzieć, że znajdzie tutaj ładne rzeczy. Ostatnio ciągle narzeka, że nie ma co na siebie włożyć.

Po wypowiedzi świadka zapadła cisza. Prokurator i adwokat popatrzyli wyczekująco na tłumacza. Ten pierwszy z optymizmem, bo świadka powołało oskarżenie, więc spodziewał się zeznań, które doprowadzą do wyroku skazującego, ten drugi z niepokojem, zdawał sobie sprawę, że obciążających faktów nie będzie w stanie zakwestionować i jego klient trafi do więzienia.

Ale tłumacz milczał. Z początku wyglądało na to, że zbiera myśli, więc nikt go nie poganiał, po dwóch minutach jednak sędzia uznał, że trzeba interweniować.

- Panie Naczyński?

- Tak?

- Proszę przetłumaczyć, co powiedział świadek.

- Co?

- Zeznania świadka. Wygłosił dłuższą wypowiedź i chcielibyśmy się z nią zapoznać.

Naczyński uświadomił sobie, że nie ma bladego pojęcia, co Szwed zeznał, cały czas był myślami przy Kolonce i otwarciu testamentu. Jak miał interpretować zmianę w zachowaniu policjanta? Czy słowa uzasadniające legat naprowadziły go na myśl, że to on jest mordercą, czy ostatecznie o tym przekonały? Jeśli ostatecznie przekonały i wcześniej żywił takie podejrzenie, to nie miał powodu, by zmieniać swoje zachowanie. Bo wtedy służyłoby ono temu, by coś od niego wyciągnąć, skłonić go, by się zdradził. Uzyskać przyznanie się, które zastąpiłoby brakujące dowody i obaliło niepodważalne alibi. Z tego by wynikało, że dopiero nieszczerse podziękowania Witka sprawiły, że podejrzenie padło na niego. I wtedy Kolonko dał wyraz swojej niechęci do mordercy. Mało profesjonalne, ale pasowałoby do pierwszej oceny, jaką sformułował o tym człowieku, że to nieudolny glina. Niby nie należy opierać się na pierwszych wrażeniach, ale właśnie one bardzo często są trafne. Zasluga milionów lat ewolucji: od decyzji podjętej na podstawie pierwszego wrażenia mogło zależeć, czy człowiek przeżyje. I czy on właśnie nie znajdował się w takiej sytuacji, że walczył o przeżycie, więc zaufanie instynktowi wcale nie było złym rozwiązaniem? Poza tym Kolonko mógł być też zły na siebie, że wcześniej nie brał go w rachubę jako podejrzanego. I wyladował swoją złość na nim. Człowiek, który uświadamia nam własne błędy, choćby mimowolnie, często staje się naszym kozłem ofiarnym. Ale przecież Kolonko wydawał się pewny, że to Stypuła był autorem opublikowanego przekładu. Zaraz! Przecież to nie musiało doprowadzić go do konkluzji, że Naczyński jest mordercą. Odkrył oszustwo i chciał to oszustwo zdemaskować, bo mordercy nie potrafił znaleźć. Zawsze lepszy drobny sukces od kompletnej porażki. Ale w sumie podziękowania Stypuły dowodziły tylko oszustwa, więc nic nowego nie wносиły. Poczul, że goni w piętke, i ostre napomnienie sędziego, by się w końcu odezwał, przyjął nawet z ulgą jako odrywające go od nieprowadzących do żadnej konkluzji rozważań.

- Przepraszam, Wysoki Sądzie, ale świadek mówił tak nieskładnie, że muszę go prosić o powtórzenie, żeby wylać sens jego wypowiedzi.

Z miny sędziego wywnioskował, że ten mu nie uwierzył, ale na szczęście nie miał żadnej możliwości udowodnienia kłamstwa. Ot, zaleta tłumaczenia z rzadkiego języka.

- To niech pan to zrobi. Tylko teraz poprosimy o tłumaczenie zdaniem, tak jak wcześniej, a nie dopiero całej odpowiedzi.

- Oczywiście, Wysoki Sądzie.

Mimo że starał się skupić, mylił poszczególne frazy i chociaż uczestnicy procesu Szweda nie rozumieli, z poprawek, które musiał zgłaszać po pytaniach uzupełniających, zorientowali się, że Naczyński źle tłumaczy.

- Co się z panem dzieje? - zirytował się sędzia.

Przez chwilę rozważał, czy po prostu nie przyznać się do rozkojarzenia z powodu niewyspania, kłopotów rodzinnych lub przepracowania, ale uznał, że takie banalne usprawiedliwienie w sądzie nie zostanie przyjęte. Był profesjonalistą i oczekiwano od niego, że nawet nie będąc w formie, zdoła zachować odpowiednio wysoki poziom.

- Przepraszam, Wysoki Sądzie, ale świadek mówi dialektem z południowej Szwecji, skańskim, który ma więcej wspólnego z duńskim niż szwedzkim, bo Skania należała swego czasu do Danii, i mam kłopoty, żeby go zrozumieć.

Kłamstwo było półprawdą: świadek rzeczywiście pochodził z południa Szwecji i mówił po skańsku. Tyle że Naczyńskiego los na różne stypendia w trakcie studiów i po nich kierował do Malmö lub w okolice Malmö, dzięki czemu akurat ten dialekt nie był dla niego w żaden sposób niezrozumiały.

- Czemu się pan od razu nie przyznał, tylko naraża sąd, że zaprotokółuje inną odpowiedź, niż świadek udzielił?

- Bo zwykle, jak tylko przyzwyczaję się do idiolektu rozmówcy, to znaczy jego indywidualnego sposobu mówienia, dość szybko ten skański chwytam. Myślałem, że tu też tak będzie, ale nie. Nie wiem, co przeszkadza.

- Może to - wtrącił się prokurator - że świadek, jak wynika z dokumentów, pracuje w Danii.

- Tak, to by mogło być wyjaśnienie - przyznał Naczyński, ciesząc się w duchu ze szczęśliwego zbiegu okoliczności. Może w kontaktach z Kolonką też powinien bardziej polegać na swojej szczęśliwej gwieździe i nie zakładać z góry czarnych scenariuszy. Przyglądać się rozwojowi wypadków i dopiero na nie reagować. Tak postępował w życiu i dobrze na tym wychodził; ludzie, którzy zabezpieczają się przed wszelkimi potencjalnymi katastrofami, zwykle nic nie osiągają.

- Wydawało mi się, że duński jest bardzo podobny do szwedzkiego - stwierdził adwokat, chociaż kłopoty z tłumaczeniem powinny być mu na rękę: dopóki proces się nie skończył, dopóty jego klient, który odpowiadał z wolnej stopy, mógł cieszyć się wolnością.

- Rzeczywiście jest - potwierdził Naczyński - ale w piśmie, nie w mowie. Artykuł z duńskiej gazety zrozumiał w jakichś siedemdziesięciu procentach, kiedy jednak przeczyta mi go Duńczyk, wyłapie tylko pojedyncze słowa.

- Będziemy musieli odroczyć rozprawę - przerwał te filologiczne dywagacje sędzia - i powołać kogoś innego z listy, kto lepiej od pana zna ten dialekt. Czy może pan nam polecić jakąś osobę?

Naczyński przebiegł w myślach nazwiska migających się od tłumaczenia w sądach i wybrał niejako Rafalskiego.

- Damian Rafalski - powtórzył sędzia i zwrócił się do protokolantki: - Proszę zapisać i przygotować dla niego wezwanie na dzień...

Sędzia przejrzał kalendarz, wymienił datę i spojrzął na prokuratora i adwokata.

- Stronom pasuje?

Obaj prawnicy skinęli głowami, że tak.

- W takim razie to nowy termin, wam już wezwań wysyłać nie będziemy.

Mrukliwie potaknięcia potwierdziły, że procedura jest znana.

Znalazszy się przed sądem, Naczyński odetchnął głęboko. Zaczepnął w ten sposób wprawdzie głównie pyłów PM2,5 i PM10, ale i tak poczuł się lepiej. Wysupiał z kieszeni garnitur smartfona i przełączył go z trybu samolotowego na zwykły. Miał jedno nieodebrane połączenie, oddzwonił, by dowiedzieć się, że klient chciał u niego przetłumaczyć dokumenty szwajcarskie, po czym sprawdził w notatniku listę spraw do załatwienia. Najpierw musiał zrobić zdjęcie do dowodu osobistego, termin ważności starego niebawem upływał. Poszukał

w Google Map's najbliższego fotografa, a że ten znajdował się w odległości trzystu metrów, poszedł na piechotę.

Mając zdjęcia w rękę, stwierdził, że do zarezerwowanego terminu na złożenie wniosku zostało mu akurat tyle czasu, by wypić w kawiarni kawę. W samym urzędzie natknął się na gęsty tłum i zaniepokoił, że internetową rezerwację anulowano, zmuszając petentów do czekania w zwykłej kolejce. Okazało się jednak, że to Ukraińcy załatwiający w innych okienkach przedłużenie pozwolenia na pobyt. Dla nich rezerwacja internetowa była niedostępna, bo polskie władze szanowały imigrantów i troszczyły się o ich prawa tylko wtedy, gdy byli to Polacy zamieszkujący za granicą.

Po złożeniu wniosku Naczyńskiemu na liście zostało już tylko odebranie awizowanej korespondencji i nadanie przekładów wykonanych dla prokuratury. Na poczcie czekały na niego cztery przesyłki, których nie wziął od listonosza. Z czego jedna bardzo gruba, co oznaczało, że zajmie mu ona sporo czasu. Z wydziału gospodarczego, grubość wskazywała na pozew, bo do niego wnoszący sprawę musiał załączyć wszystkie dokumenty potwierdzające roszczenie i sporo całkiem zbędnych, jak na przykład swój wyciąg z KRS-u. Szwedzkie pozwy były o połowę cieńsze, bo powód nie musiał udowadniać, że jest firmą, za którą się podaje, dopóki pozwany tego nie kwestionował.

Przed samym budynkiem poczty wszystkie miejsca parkingowe były wprawdzie zajęte, ale granatowa toyota akurat wyjeżdżała. Naczyński zatrzymał się, żeby ją wypuścić, i włączył kierunkowskaz, sygnalizując, że chce stanąć na zwalnianym miejscu.

Na poczcie, podobnie jak w urzędzie, kłębił się tłumek. Nic dziwnego, skoro z sześciu okienek pracowały dwa. Tak było zawsze, więc Naczyński przyjął to ze spokojem i wyciągnął z teczki książkę. Poza regularnym czytaniem przed snem to właśnie kolejki przyczyniały się do imponującej liczby jego lektur. Dzisiaj miał ze sobą Mankella, oczywiście po szwedzku. Znanе nazwisko przyciągało wzrok innych czekających, którzy potem ze zdumieniem odkrywali, że książka jest w oryginale. To dla tego efektu nosił ze sobą papierowe egzemplarze, a nie czytnik. Uwielbiał te nieśmiałe pytania, czy się uczy, czy czyta dla przyjemności. I ten nieklamany podziw, że zna tak oryginalny język. Nauczenie się szwedzkiego nie wymagało większego wysiłku czy talentu niż nauczenie się niemieckiego albo angielskiego, a wzbudzał zachwyty, jakby biegle posługiwali się trzema chińskimi dialektami.

Tym razem jednak nikt nie zwrócił uwagi na jego książkę. Przez co śledztwo komisarza Wallandera całkowicie go wciągnęło i inny kolejkowicz lekkim szturchnięciem musiał dać mu znać, że może załatwić swoją sprawę.

Podszedł do okienka, wręczył awiza i... wrócił do powieści. Z doświadczenia wiedział, że odszukać czterech listów może zająć dobrą chwilę. Pani z obsługi jednak mile go zaskoczyła, bo uwinęła się w try miga. Schował książkę i po kolei podpisywał zwrotki, które kładła mu na blacie.

- Pan jest leworęczny? Moja siostra też.

Niemal jednocześnie z tym pytaniem podniósł i oddał jej zwrotkę prawą ręką, i spostrzegł, że odczytała to jako demonstrację, że irytują go takie komentarze. Niesłusznie, bo zrobił to machinalnie, prawej ręki używał nierzadko, a do tego, że ludzie zwracają uwagę na mańkuctwo, już przywykł.

Przy ostatniej zwrotce się zatrzymał i uważnie ją przestudiował, marszcząc czoło.

- Jakiś problem? - zapytała pracownica.

- Zła sygnatura akt. Przesyłka powinna być z wydziału cywilnego, a sygnatura ma sprawę gospodarczą. Wygląda na to, że ktoś przykleił złą zwrotkę.

- To nie my - zastrzegła się przedstawiicielka poczty, jakby chciała bronić honoru swojej instytucji. - Zwrotki przyklejają w sądzie.

- Wiem, nic przecież państwu nie zarzucam. Mogę zobaczyć kopertę?

Naczyński porównał numery, stwierdził, iż rzeczywiście się różnią, i sfotografował je, by wyjaśnić sprawę w sekretariacie sądu. Potem podał listy, które miał do nadania.

- Oba ekonomiczne. Płacę kartą.

- Pan też tutaj?!

Dźgnięcie nożem nie wywołałoby równie piorunującego efektu. Naczyński gwałtownie odwrócił głowę i zobaczył stojącego z boku porucznika Kolonkę. Zdumiał się, bo z jakiegoś powodu założył, że po zmianie zachowania u notariusza Kolonko z takich nieformalnych spotkań zrezygnuje. Ale nie pozostawało mu nic innego, jak obserwować porucznika i dopasować się do jego postępowania.

- Jak to też? Przecież to moja rejonowa poczta, regularnie odbieram tu listy. To raczej ja powinienem się zdziwić, że pana tu widzę. Z tego, co wiem, nie mieszka pan w tej okolicy.

- Tak właściwie to pan tego nie wie - zauważył Kolonko. - Ale rzeczywiście nie mieszkam. Zdziwiłem się tylko, że znaleźliśmy się tutaj w tym samym czasie, bo ja na tej poczcie normalnie nie bywam.

Z nasuwającym się pytaniem Naczyński musiał chwilę zaczekać, bo ekspedientka oznajmiła, że terminal jest gotowy do przyjęcia płatności.

- To co pan robi tu dzisiaj?

- Kupuję znaczki - wyjaśnił beztrzesko porucznik. - Moja żona kazała mi kupić znaczki, wie pan, ona jest tradycjonalistką, jak list, to żaden e-mail, tylko elegancka papeteria, solidna koperta, ofrankowana. Za bardzo się pod tym względem nie różnimy, ja też...

- Panie poruczniku!

Kolonko zamrugnął oczami.

- Co?

- Nie musi mi się pan tłumaczyć, dlaczego kupuje pan znaczki, nie chcę być niegrzeczny, ale mało mnie to interesuje. Bardziej dlaczego akurat na tej poczcie.

- Bo przesłuchiwałem świadka w pobliżu. Czy raczej chciałem przesłuchać.

- W sprawie Stypuły? Jakiego świadka?

Naczyński zreflektował się, że pytanie zadał zbyt pośpiesznie, nie miał się czego obawiać, nie istniał taki świadek, który mógłby go obciążyć. Żeby wskazać na inną motywującą pytania niż ta obawa, dodał:

- Mam nadzieję, że dzięki niemu uda się panu w końcu dopaść mordercę Witka.

- To zupełnie inne śledztwo, nie prowadzę przecież tylko jednego. Na szczęście, bo w przypadku pana kolegi chyba będę musiał przyznać się do porażki i gdybym nie miał sukcesów gdzie indziej, ta porażka położyłaby mi statystykę.

- Wstydziłby się pan - Naczyński postanowił zagrać moralistę. - Zabity człowiek nie znajduje zadośćuczynienia, a panu statystyka w głowie.

Porucznik przybrał minę pełną skruchy.

- Ma pan rację, oczywiście, statystyka powinna być nieważna, ale z niej rozliczają mnie przełożeni. Nie tylko, ile spraw rozwiążę, lecz także jak szybko. Nabruzdziłem sobie, że nie zastałem tego świadka, bo zamknąłbym już śledztwo, ale bez jego zeznań nie mogę tego zrobić. Formalnie, bo zabójcę mam już w areszcie, tyle że do statystyki liczy się właśnie formalnie. No, ale sam jestem sobie winien, że nie mam w zwyczaju najpierw dzwonić.

- Widzi pan, nie tylko tym pan innych irytuje, lecz także sam sobie szkodzi.

- Też pan do sądu nie zadzwonił, więc proszę mi nie wypominać - odciął się zupełnie niespodziewanie Kolonko.

- O czym pan mówi? - zdumiał się Naczyński. - Gdzie nie zadzwoniłem?

- Przed rozprawą czternastego września miał pan nieodebrane listy z sądów, mógł się pan telefonicznie upewnić, czy któryś z nich nie dotyczy tej rozprawy. I oszczędzić sobie jeżdżenia na próżno.

Wzięcie za dobrą monetę zapewnień porucznika, że liczy się z porażką w śledztwie, okazało się zbytnią łatwością. Tym dziwniejszą, że Naczyński zwykle krytycznie podchodził do tego, co mówili inni. Czy tu chciał w te zapewnienia uwierzyć, bo bardzo mu zależało na tym, by były prawdziwe?

- Nie miałem podstaw, by zakładać, że któryś z tych listów dotyczy rozprawy, normalnie sądy wysyłają korespondencję z odpowiednim wyprzedzeniem. A gdybym tak zakładał, poszedłbym po te listy na pocztę. Na telefonowanie do sądu nie mam czasu. Bo to nie odbywa się w ten sposób, że człowiek zadzwoni i porozmawia. Najpierw trzeba wysłuchać komunikatu, że nagrywają, potem odczekać, aż panie w sekretariacie raczą podnieść

sluchawkę, a one za punkt honoru stawiają sobie, żeby przetrzymać większość dzwoniących. Kiedy w końcu podniosą, okazuje się, że ta odpowiedzialna protokołuje akurat na rozprawie, wzięła wolne na dzieci albo wyszła do toalety, przy czym do tej toalety wychodzą na tak długo, że podejrzewam stałą epidemię grypy jelitowej wśród personelu pomocniczego Sądu Okręgowego w Warszawie.

- Oj, to nic dziwnego, że niechętnie pan telefonuje. - Kolonko wykazał się pełnym zrozumieniem. - Żona poprosiła mnie raz, żebym zadzwonił na infolinię do banku, i powiedziałem sobie „nigdy więcej”. Moim zdaniem sprawy powinno się załatwiać z drugim człowiekiem, a tam siedzi automat i każe wciskać cyferki, i jak powciskałem, to zaczął do mnie mówić po angielsku, a mógłby równie dobrze po chińsku, bo wstyd powiedzieć, ale nigdy się tego angielskiego nie nauczyłem. Próbowalem, bratanek żony powiedział, że najlepiej oglądać kryminały w oryginale, bo prosty język, więc oglądałem taki z lat siedemdziesiątych, bo lata siedemdziesiąte lubię, o detektywie z Nowego Jorku, nie to nie był Nowy Jork, z Los Angeles, niby nierozgarniętym, a łapiącym przestępców, ale nie rozumiałem ni w ząb. Zna pan ten film?

Naczyński, który powoli zaczął tracić nadzieję, że uda mu się wbić w ten słowotok i porucznikowi przerwać, odetchnął z lekką ulgą.

- Nie znam, nie oglądam ramotek, a pańskie problemy z nauczeniem się języka niespecjalnie mnie interesują.

- Szkoda, myślałem, że jako fachowiec udzieliliby mi pan jakiejś rady.

- Moja rada jest taka, żeby pan sobie odpuścił. Dopóki pan języka nie będzie naprawdę potrzebował, to się go pan nie nauczy. Mówiąc dosadniej, wcale się pan angielskiego nie chce nauczyć, tylko o tym głędzi.

Kolonko nie wyglądał na obrażonego tym sformułowaniem, raczej zaskoczonego, że jego chęci zostały zdemaskowane jako nieszczerze i że wcale nie odbiegało to od prawdy.

- Nic, stanę w kolejce po te znaczki. - Odwrócił się i popatrzył na wijący się ogonek. - O, rany!

- Wezmę je dla pana - zaofiarował się Naczyński. - Jakich pan potrzebuje?

Proste pytanie zdeprymowało Kolonkę, który zaczął z kieszeni swojego prochowca wyciągać pobazgrane karteluski.

- Gdzieś tu sobie zapisałem...

Krzywa mina wskazywała, że Naczyński pożałował swojej uczynności.

- Wie pan co, niech pan jednak stanie w tej kolejce, myślę, że nie zajmie to panu dłużej niż szukanie właściwej karteczki.

- Mam! - Kolonko nie zwrócił uwagi na złośliwość. - Trzy na zwykły list bez priorytetu.

Naczyński powtórzył te słowa do ekspedientki, ignorując fakt, że już odsunęli się od okienka i że obsłużyła następnego klienta. Usprawiedliwił to, poprzedzając je partykułą „jeszcze”. Potem oboje patrzyli, jak Kolonko szuka po kieszeniach pieniędzy.

- Niech pani też zrobi płatność kartą.

Ale i tym razem porucznikowi udało się w porę znaleźć, czego szukał, i podał przez ladę wymięty dziesięciozłotowy banknot. Kiedy odebrał resztę, zaczął się rozpyliwać w podziękowaniach dla Naczyńskiego, że ten oszczędził mu stania w kolejce.

- Proszę przestać - zniecierpliwził się w końcu tłumacz. - Nadmierne wyrazy wdzięczności wcale nie są przyjemne.

- Tak, ma pan rację. - Kolonko się zmieszał. - Bardzo pana przepraszam.

- Z tym też niech pan przestanie. Do widzenia.

Naczyński ruszył długim krokiem z zamiarem zostawienia porucznika z tytułu. Ten, zaskoczony, rzeczywiście został przed ladą, a później mimo podbiegania nie mógł nadrobić dystansu.

- Dlaczego się pan tak zdenerwował?

Przekonany, że pytanie dotyczy jego nagłego odejścia, Naczyński je zignorował i nie zwolnił kroku.

- Sędziowie mówią, że normalnie się pan nie denerwuje.

To oświadczenie sprawiło, że stanął jak wryty.

- Co?

- Z tego, co popytałem u sędziów – wyjaśnił Kolonko, kiedy lekko zadyszany zatrzymał się przy Naczyńskim – kojarzą pana jako człowieka cierpliwego, nieskorego do awantur, ze zrozumieniem przyjmującego, że sprawy wymagają procedur, nawet jeśli czasami te procedury są kłopotliwe czy wręcz absurdalne. Tymczasem w dniu zabójstwa Stypuły wpadł pan niemal w niepohamowaną wściekłość, że rozprawę odwołano. Z jakiego powodu, skoro nie było to żadne nadzwyczajne wydarzenie?

- Dlaczego wypytuje pan o mnie sędziów?

Zamaszyste gesty rąk w wykonaniu Kolonki miały najwyraźniej oddalić niesłuszny zarzut.

- Ależ nie o pana. Pytałem o Stypułę, muszę mieć pełen obraz ofiary. I sami sędziowie wskazywali pana jako tłumacza, z którego Stypuła powinien był brać przykład, zamiast ciągle z przekąsem komentować różne niedociągnięcia.

Trudno było w to wyjaśnienie uwierzyć, bo tłumacze języka generującego mało spraw raczej nie trafiali na tych samych sędziów, ale Naczyńskiemu nie pozostawało nic innego, jak przyjąć je za dobrą monetę.

- Nie wpadłem w niepohamowaną wściekłość, tylko się zdenerwowałem, i nie odwołaniem rozprawy, lecz faktem, że mnie o tym w porę nie poinformowano.

- Poinformowano. Zawiadomienie listonosz awizował panu siódmego września.

- Skąd ta wiedza? Dlaczego sprawdza pan korespondencję do mnie? Nie powie pan, że to przy okazji sprawdzania korespondencji Witka.

- Nie – przyznał porucznik. – Do raportu. Jak mówiłem, śledztwo zmierza do umorzenia, a w takiej sytuacji muszę mieć bez cienia wątpliwości wykluczonych jako sprawców wszystkich z najbliższego kręgu pana Witolda. Inaczej przełożeni nie zaakceptują mi umorzenia, tylko każą ponownie sprawdzać, z argumentem, że w dziewięciu przypadkach na dziesięć zabójcą jest ktoś, kogo ofiara dobrze znała.

Wyjaśnienie było równie kłamliwe jak poprzednie, ale Naczyński musiał przyznać, że nie ma go jak podważyć, że w tej grze pozorów Kolonko jest lepszy od niego.

- No tak, listonosz rzeczywiście zostawił awizo siódmego września, tylko to bez znaczenia, bo sąd, wysyłając mi pismo, musi brać pod uwagę, że listonosz nie zastanie mnie w domu, i doliczać tydzień, który mam na odebranie pisma z poczty. Czy właściwie dwa, bo po pierwszym awizie poczta wystawia powtórne i dopiero potem zwraca przesyłkę do nadawcy. Czyli wina pracowników sądu, powinni byli policzyć, że zawiadomienie może nie dojść w porę, i do mnie zadzwonić. Numer telefonu mają, bo jeśli czegoś potrzebują, to wtedy łapią za słuchawkę bez żadnych oporów. Tak więc moje zdenerwowanie było w pełni uzasadnione.

- Skąd pan wie?

- Skąd wiem co?

- Że awizo zostało zostawione siódmego września?

- Nie wiem, pan to powiedział, a ja powtórzyłem.

- Dodając słówko „rzeczywiście”.

- Bo założyłem, że skoro pan sprawdził, to rzeczywiście było to siódmego września, a nie szóstego czy ósmego – odparował Naczyński, ale poczuł złość, że dał się na tym złapać. Gdyby przesyłka nie wiązała się z zabiciem Stypuły, nigdy by tej daty nie przechował w pamięci.

- To ma sens – zgodził się Kolonko. – Mogło się panu zresztą tylko tak powiedzieć, mowa to nie pismo, zresztą w piśmie też nie wszyscy są precyzyjni, u mnie na przykład...

- Mogę już sobie iść? – przerwał mu Naczyński, tonem niemal kipiącym od irytacji. – Czy też jeszcze coś wpadnie panu do głowy?

- Oczywiście, że może pan iść, nie śmiałym pana zatrzymywać – zapewnił pokornie porucznik. – Jeszcze raz dziękuję za kupienie znaczków.

Naczyński wyminął go, nie będąc wcale pewnym, czy Kolonko nie pobiegnie za nim z kolejnym pytaniem. Nie wiedział, czy zdola utrzymać nerwy na wodzy i nie skończy się tym, że pójdzie siedzieć za uderzenie policjanta. Ale Kolonko jakby wyczuł mocno napiętą atmosferę, bo dalszych pytań rzeczywiście nie miał.

- Prosił pan, poruczniku, o sprawdzenie taksówek i ciemnozielonej mazdy o numerze rejestracyjnym...

Kiedy Moryń sięgnął do notatek, żeby przytoczyć numer, spostrzegł, że Kolonko nie słucha, tylko wpatruje się w swojego elektronicznego papierosa.

- Panie poruczniku?

- Myśli pan, że mogę zapalić bez śniadania? Nie zdążyłem zjeść, za dużo razy włączałem sleeper. Moja żona mówi, że palenie na pusty żołądek jest niezdrowe, ale może chodzi jej o stare papierosy, te są przecież nieszkodliwe.

- Na dole mamy kantynę.

- Kantynę? A ile takie śniadanie tam kosztuje?

- Zależy, co chce pan zjeść. Za jajecnicę płaciłem chyba cztery złote.

- Cztery...

Kolonko oddał się tradycyjnemu oklepywaniu kieszeni swojego prochowca, co trwało nieco dłużej niż normalnie, gdyż portfel, którego szukał, wyłowił dopiero ze spodni. Przejrzał jego zawartość.

- Hm, mam tylko dwa... - Na dowód pokazał żółtą monetę. - Miałem dziesięć, ale kupiłem wczoraj znaczki na pocztę dla żony.

- Kartą też można zapłacić.

- Żona ma kartę od naszego konta, ja nie. Kiedy potrzebuję pieniądze, to mi wypłaca.

Technik podarował sobie uwagę, że najwyraźniej nie dopilnowała mężowskich potrzeb.

- Pożyczę panu te brakujące dwa złote.

- Nie, nie - zaprotestował gwałtownie Kolonko. - Pożyczki poróżniają ludzi. Jeszcze zapomniałbym oddać, panu głupio byłoby się upominać i pożyczka dla złej krwi jak znalazł. Po prostu wstrzymam się z paleniem, mam wprawę, bo ciągle mi gdzieś zabraniają, chociaż to elektroniczny papieros. Co z tą mazdą i taksówkami?

Pytanie ujawniło, że jednak słowa Morynia porucznik usłyszał.

- Wyląpałem jedną taksówkę na tej trasie, z Radio Taxi Syrenka, i rzeczywiście tę ciemnozieloną mazdę. Mazda melduje się na pierwszym skrzyżowaniu, na którym jest monitoring, o jedenastej sześć, taksówka o jedenastej dwadzieścia trzy.

- Ile czasu trzeba, żeby dojechać do tego skrzyżowania z Woltera?

- Osiem, dziesięć minut.

- Kto prowadzi mazdę?

- Nic panu nie powiem poza tym, że mężczyzna. Też miał opuszczoną osłonę przeciwśoneczną jak ten w lexusie.

Kolonko skrzywił się, a Moryń to dostrzegł.

- Sorry, ale praw optyki nie przeskoczę.

- Nie, nie, krzywię się, bo mi ta mazda nie pasuje do teorii. Pasuje natomiast do tego, co mówi świadek.

- Z tego by wynikało, że ma pan złą teorię - zauważył technik.

- Albo że sprytny przestępca wodzi mnie na manowce. Mówi pan, że mazda dojechała w okolice sądu?

- Tak.

- Jest tam w pobliżu jakiś warsztat?

- Już sprawdzam.

Okazało się, że warsztaty są nawet dwa. Porucznik zapisał sobie ich nazwy i adresy, podziękował Moryniowi za dodatkowy trud i opuścił Laboratorium. Z parkingu dla pracowników, gdzie zostawił swojego małego fiata, wyjechał na ulicę i skierował się do centrum. Ponieważ nie korzystał z nawigacji, na miejscu dobrą chwilę krążył, zanim udało mu się wjechać we właściwe podwórko. Napis na szyldzie warsztatu zżuszczył się, a resztki liter przykryła warstwa brudu, ale rozbebeszony ford przed bramą powiedział Kolonce, że trafił tam, gdzie chciał.

Umorusany mechanik, grzebiący w fordzie, ze sceptycyzmem przyjrzał się maluchowi i wysiadającemu z niego porucznikowi.

- Od razu panu powiem, że jakakolwiek naprawa wyjdzie drożej, niż to pańskie cudo jest warte. Radzę pojechać na złomowanie, coś pan za to zapłaci, ale na dłuższą metę zaoszczędzi.

Kolonko obejrzał się na swojego malucha, jakby zdziwiony tym, że ktoś podejrzewa go o chęć naprawy samochodu, który podjechał o własnych siłach.

- Kiedy ja nic nie chcę reperować.

- I rozsądnie - pochwalił mechanik. - Ale samochodów na części też nie skupujemy. Zresztą komu potrzebne części od malucha. Jak mówię: tylko złomowanie.

- Nie jestem tu w związku z samochodem. W każdym razie nie z moim.

Jeśli mechanik myślał, że od razu usłyszy, jaki jest cel wizyty właściciela mocno przestarzałego auta, to się pomylił, bo ten urwał i zajął się przeszukiwaniem kieszeni swojego prochowca. Z wyglądu tego samego roku produkcji co rzeczony pojazd. W końcu wysuwał policyjną odznakę.

- Porucznik Kolonko z Komendy Wojewódzkiej. Mam pytanie, czy czternastego września naprawialiście tu mazdę niejakiej pani Naczyńskiej? Grażyny Naczyńskiej, naprawę zlecał jej mąż Zenon.

- A skąd ja mam takie rzeczy pamiętać? Nasz dzienny przerób to kilka, w porywach kilkanaście dużych napraw i dziesiątki dupereli typu żarówki czy uszczelki.

Kolonko chciał poprosić o sprawdzenie w fakturach za naprawy, ale spojrzał na szyld, i się rozmyślił. Zakład należał z pewnością do takich, które pierwszą fakturę wystawiały gdzieś w marcu mimo wspomnianego dziennego przerobu.

- To może inaczej: czy państwo Naczyńscy są waszym stałym klientem? Albo pani Naczyńska? - uściślił Kolonko, uznając, że lexusy podobnie jak maluchy nie znajdowały się na liście reperowanych tu marek, choć z diametralnie odmiennych powodów.

Pytanie spotkało się z wymownym milczeniem. No, jasne. Żeby poznać nazwisko klienta, trzeba mu wystawić fakturę. A faktura ma tę wadę, że wymienioną na niej kwotę bezlitośnie okrawa urząd skarbowy.

- Klient zadzwonił do was, że samochód nie chce mu zapalić i pojechaliście go odebrać. Tak przynajmniej twierdzi. Oferujecie taką usługę?

- Oczywiście. Jak samochód komuś się rozkraczy, to ściągamy go do warsztatu. Jeśli nie da się uruchomić, na holu.

- A jeśli da się uruchomić, to kto kieruje, mechanik czy właściciel?

- Zależy od sytuacji. Jeśli właściciel jest pod ręką, to on. Ale częściej spycha samochód gdzieś na bok, przywozi nam tramwajem albo taryfą kluczyki i my już troszczymy się o resztę.

- Rozumiem, że dotyczy to awarii w mieście. A co wtedy, kiedy właściciel nie zdoła wyjechać z własnego garażu?

- To samo. Jak jest w domu, to on. Jak poszedł do pracy, a kluczyki dostajemy od żony, to my.

- Pamięta pan może, czy tamtego dnia nie jechaliście po tę mazdę na Woltera? Takie wyjazdy są pewnie rzadsze i łatwiejsze do zapamiętania.

- Rzadsze i łatwiejsze, ale to było już tyle czasu temu, że za Chiny sobie nie przypomnę.

Rozczarowany Kolonko podziękował i pojechał szukać drugiego warsztatu, w którym uzyskał identyczne odpowiedzi.

- Wie pan co, takiego skąpego klienta jak pan, jeszcze nie miałem. Proszę sobie poszukać innego tłumacza.

Rzucił słuchawką i dopiero wtedy zreflektował się, co zrobił. Owszem, klient przeholował, usiłując wymóc, by nazwy własne nie zostały policzone jako płatna część tekstu. Owszem, był pierwszym, który na taki absurdalny pomysł wpadł. Za to nie był wcale pierwszym inteligentnym inaczej, nieprzyjmującym do wiadomości żadnych argumentów ani wyjaśnień. Dlaczego więc tak go zirytował? Przecież przynajmniej jedna piąta zleceniodawców wydziwiała, nie pozwalając na gładkie i sprawne przeprowadzenie transakcji. A on cierpliwie

ich znosił i to bez specjalnego trzymania się w ryzach. Wystarczała świadomość, że nie da się tego uniknąć, że to nieodłączna część pracy, z której będą pieniądze i to bardzo przyzwoite. A teraz zachował się jak Stypuła. Czyżby duch Witka się na nim mścił?

Otrząsnął się z tej myśli. Nonsens. Z prochów człowieka nie uwalnia się żadna energia, krążąca po świecie i nękająca żywych. Po prostu nerwy miał napięte jak postronki i byle co wyprowadzało go z równowagi. Teraz zaczął pojmwować wysoki Stypuły. Łatwo być wyrozumiałym, kiedy wszystko ci się układa, kiedy stać cię na luksusy, a wieczorem czekają figle z ładną żoną. Co innego, gdy po raz kolejny dostałeś kosza, brakuje ci do pierwszego i prosisz się o wydanie książki jak żebrak o jałmużnę. Wtedy nawet nie musi cię drażnić żaden palant, żebyś stracił panowanie nad sobą.

Podniósł się od komputera i poszedł do kuchni. Nastawił wodę na herbatę, po czym przejrzał szafkę z lekami. Miał nadzieję znaleźć jakieś środki uspokajające, ale się rozczarował. Najwidoczniej również Grażyna nigdy nie prosiła o ich przepisanie. On nie potrzebował tabletek nawet bezpośrednio po dokonaniu zabójstwa, dopiero ten upierdliwy porucznik doprowadził go do takiego stanu, że warczał na klientów.

Co ten irytujący człowiek wiedział? Czego się domyślał? Co był w stanie udowodnić? Na pierwsze dwa pytania Naczyński nie umiał odpowiedzieć. Kiedy rozważał sytuację na poczcie, kiedy analizował dociekania i zachowanie Kolonki, co kwadrans dochodził do innych wniosków. Raz, że porucznik jest przekonany o jego winie, a przynajmniej na dobrym tropie, a raz, że to faktycznie irytujący ciamajda. Przy tej drugiej teorii sam wcielał się w rolę *advocatus diaboli*, by wykluczyć, że jest ona rezultatem jego myślenia życzeniowego. Ale nie była. Kolonko mógł sprawdzać różne rzeczy, włącznie z jego alibi, bez sprecyzowanych podejrzeń. Działać tak, jak nauczono go w akademii czy też jaką tam szkołę skończył. Jeśli zabójcy nie ujęto z zakrwawionym nożem w rękę, pochylającego się nad ofiarą, i nie było jednoznacznych śladów, należało szukać wśród bliskich znajomych zamordowanego, bo to dawało dziewięćdziesiąt procent szans na sukces. I nic dziwnego, że porucznik zahaczał przy tym o rzeczy, które wzbudzały w winnym niepokój. Tymczasem to, co on momentami brał za świadome zmierzanie do celu, mogło być jedynie przypadkowym postawieniem stopy we właściwym miejscu w błędzeniu po omacku. A po omacku raczej trudno trafić tam, gdzie się chce, nawet jeśli dobrze robi się parę kroków. I tej teorii nie wykluczano wcale, że Kolonko interesował się przekładami książek. Mogło to służyć pokazaniu, że przeprowadził szeroko zakrojone śledztwo. Naczyński ciągle się z tym stykał, tłumaczył niejedno przesłuchanie, podczas którego policjant roztrząsał kwestie niepowiązane z przestępstwem. Na przykład, w którym hotelu nocował pobity cudzoziemiec, chociaż do zdarzenia doszło w klubie nocnym. Bo zależało mu na wykazaniu, że wnikliwie zajął się sprawą, a nie na zdobyciu informacji, pozwalających ją rozwiązać. Żeby mieć alibi, kiedy postępowanie umorzy.

No, właśnie. Może to, że słowa Kolonki o umorzeniu śledztwa wziął za dobrą monetę, wynikało z doświadczenia, a nie z naiwności. Dwa razy złożył zawiadomienie o przestępstwie, kiedy klienci usiłowali podsunąć mu fałszywe dokumenty do tłumaczenia. Później takich posyłał już tylko do diabła, bo do obywatelskiej postawy skutecznie zniechęciła go prokuratura. Nie tym, że postępowania z obu zawiadomień umorzyła, ale tym, że wyraźnie dążyła do tego umorzenia. Uzasadnienia przypomniały wywód napisany przez obrońcę, bo wszelkie fakty zinterpretowano na korzyść podejrzanych, a kłócące się z tezą o ich niewinności naciągnięto lub na bezczelnego pominięto milczeniem. Za pierwszym razem Naczyński pomyślał, że natrafił na lesera, który w ten sposób pozbywa się bliźszych spraw, ale za drugim razem zrozumiał, że to reguła. Umorzenie było preferowane jako najmniej pracochłonne rozwiązanie, jeśli tylko dało się je jako tako uzasadnić. Tę obserwację potwierdziło umorzenie pobicia w klubie nocnym. Bo nie wykryto sprawców. Dopiero sąd, do którego Szwed złożył zażalenie, musiał wskazać, że policja sprawców nawet nie próbowała wykryć, skoro nie obejrzała nagrań z monitoringu.

A jeśli organy ścigania nie angażowały się nie tylko w sprawy lżejszego kalibru, lecz nawet w pobicia, to czemu zakładać, że z morderstwami jest inaczej? Dlaczego akurat ta kategoria miałyby być wylączona z polskiej bylejakości i powszechnego markowania pracy? Bo to najcięższe przestępstwo? I co z tego? Mentalność lesera nie rozróżnia, z jakim zadaniem ma

do czynienia. Nie jest tak, że architekt sknoci szopę, bo to zadanie poniżej jego godności, ale jeśli będzie miał okazję zaprojektować muzeum w Nowym Jorku, to wszystkim pokaże, na co go stać. Pokaże tylko ten, który przyłoży się i do szopy. Zresztą nie musiał nawet teoretyzować, mało to było śledztw, w których policja brała się do szukania mordercy z pełnym zaangażowaniem dopiero wtedy, kiedy rodzinie udało się zrobić raban w mediach?

Tak się zagłębił w swoich rozważaniach, że dzwonek telefonu dotarł do niego dopiero, kiedy już umilkł. Naczyński zaparzył herbatę i z filiżanką wrócił do biurka. Oddzwonił pod numer widniejący na wyświetlaczu i już po pierwszych słowach zestresowanego klienta zorientował się, że będzie miał duże zlecenie. Ten musiał złożyć w szwedzkim sądzie odpowiedź na pozew, gonił go termin, a polski adwokat, do którego się zwrócił, bo szwedzcy byli pięć razy drożsi, sporządził pismo na dwadzieścia stron. Pismo sformułowane tak zawiłym językiem, że dwóch tłumaczy nie chciało się podjąć przekładu. Naczyński odebrał je mailem w trakcie rozmowy i przejrzał, odkrywając, że twierdzenia o zawiłym języku musiały pochodzić od pseudo tłumaczy, którzy poza dowodami rejestracyjnymi i metrykami urodzenia niewiele więcej potrafili przełożyć. Potem podał słoną cenę za ekspres, wiedząc, że w tej chwili klient nie będzie się liczył z pieniędzmi, szczęśliwy, że w ogóle ktokolwiek chce mu pomóc. Żeby nie zakłócać jego błogostanu, zrezygnował z ostrzeżenia, że składanie tego rodzaju odpowiedzi do szwedzkiego sądu jest kontrproduktywne. Merytoryczna argumentacja mieściła się na dwóch stronach, pozostałych osiemnaście wypełniał zbędny prawniczy bełkot.

Ale to znowu podbudowało Naczyńskiego, jeśli chodzi o Kolonkę. Bo najwyraźniej wszyscy przedstawiciele polskiego wymiaru sprawiedliwości stawiali na ilość, jakość pozostawała w cieniu. Dlaczego porucznik miałby więc być wyjątkiem? Zresztą jeśli nawet nim był, jeśli na pytania, co Kolonko wiedział i czego się domyślał, Naczyński nie umiał odpowiedzieć, to przy trzecim, co porucznik jest mu w stanie udowodnić, nie mógł mieć żadnych wątpliwości. Odpowiedź brzmiała: dokładnie nic. Nie na darmo zabezpieczył się na wszelkie możliwe sposoby. Jeśli zatem Kolonko go podejrzewał i świadomie zmierzał do celu, nie znaczyło to jeszcze, że ten cel osiągnie. Co z tego, że wiesz, gdzie jest meta, kiedy dzieli cię od niej potężny mur zwieńczony drutem kolczastym? A on taki mur śledczym na drodze przecież postawił.

Popił herbaty, z zadowoleniem zauważając, że środki uspokajające już mu niepotrzebne. Zamiast nich wystarczył logiczny wywód, podobnie zadziałały wnioski z przeprowadzonego rozumowania. Zamknął dotychczasowy plik z tłumaczeniem na odległy termin i w dobrym humorze zabrał się za ekspresowe zlecenie.

Reklama pożyczek na niski procent przyciągnęła uwagę przechodnia, który zatrzymał się przed pomarańczową witryną z białym lwem i z uwagą zaczął studiować ofertę. Kredytu potrzebował najwyraźniej na wymianę ubioru, ale jego stan wskazywał, że właściciel na pożyczkę raczej nie może liczyć. To chyba było powodem, że ociągał się z wejściem i niepewnie spoglądał na drzwi. I pewnie dlatego odsunął się, kiedy wyszła z nich kobieta w eleganckim płaszczu, jakby chciał uniknąć jej wzroku i porównania wypadającego na jego niekorzyść.

Kiedy jednak wsiadła do samochodu i odjechała, najwyraźniej zdecydował się chwycić byka za rogi. Czy też lwa za grzywę. Jego wejście nie wywołało wprawdzie entuzjazmu wśród pracownic, ale zachowały profesjonalizm i jedna zapytała, w czym może mu pomóc.

- Chciałbym porozmawiać z kierowniczką.

Młoda dziewczyna w białej bluzce rozłożyła ręce.

- Niestety, właśnie wyszła. Ale jeśli ma pan jakąś skargę, to proszę złożyć reklamację na piśmie, na pewno rozpatrzymy.

- Nie, nie... - Klient pokręcił głową z energią, która miała podkreślać, że wcale nie należy do ludzi mających ciągle o coś pretensje. - Nie chcę składać żadnej reklamacji. Jestem z...

Informacja, skąd jest, nie padła. Do tego mężczyzna zastygł w bezruchu, jakby musiał się maksymalnie skoncentrować, by to sobie przypomnieć. Potem klepnął się w czoło, sięgnął

bezpośrednio do tylnej kieszeni spodni i wyjął z niej odznakę.

- Jestem z policji. Mamy na oku szajkę napadającą na takie małe filie i chciałbym porozmawiać o procedurach bezpieczeństwa.

- No, niestety, dzisiaj pani Naczyńska wyszła wcześniej. Ale właśnie dlatego, że miała do odebrania nadgodziny za konferencje w centrali w sprawach bezpieczeństwa. Tak że mogą pana zapewnić, że jesteście doskonale przygotowani na każdy napad.

- Hm... - policjant nie wydawał się przekonany. - Oni działają dosyć nietypowo. Jednemu z kierowników zepsuli na przykład samochód, żeby nie mógł dojechać do pracy i wesprzeć swoich podwładnych w krytycznej sytuacji. I dokonali udanego rabunku.

- Co pan powie? Jakis czas temu naszej kierownicze też zepsuł się samochód. Ale sam z siebie, bo żadnego napadu nie mieliśmy. Zresztą to nie była poważna usterka, bo już następnego dnia przyjechała nim do pracy.

- Już następnego dnia? Skąd pani wie?

- Widziałam przez okno, parking jest tu obok - pokazała przez witrzynę. - Poza tym kazała mi taksówkę rozliczyć jako wydatek służbowy i były tylko dwa przejazdy.

- Bank jej zwrócił za przejazd taksówką do pracy? - zdziwił się policjant.

Pracownica skinęła głową.

- To czemu nie jeździ tak codziennie? Wyszłoby jej taniej niż prywatnym samochodem.

- Samochód nie jest prywatny, tylko służbowy. Dlatego mogła odliczyć taksówkę.

Policjant nad czymś dobrą chwilę się zastanawiał.

- Skoro samochód jest służbowy, to bank powinien również zapłacić za naprawę. Zgadza się?

Ponowne skinięcie głową potwierdziło, że rozumowanie jest prawidłowe.

- Zapłacił?

- Nie pamiętam, ale możemy sprawdzić w dokumentacji.

- To sprawdzmy.

Rzeczony faktury nie udało się jednak odnaleźć.

- Hm, dziwne - zafrapowała się pracownica. - Jak tak teraz sobie myślę, to dziwne jest też to, że nie dała faktury za przejazd taksówką do warsztatu po samochód.

- Może mąż ją podwiózł do warsztatu.

- Trochę wątpię. Kiedyś kłócili się o to przez telefon, ona chciała, żeby coś załatwił, on odmawiał, mówiąc, że jest w pracy, a to, że wykonuje ją w domu, nie ma znaczenia i że jak będzie się odrywał z powodu każdej drobnostki, to potem będzie musiał siedzieć do późna w nocy.

- Całkiem sporo jego słów pani usłyszała, biorąc pod uwagę, że był po drugiej stronie linii - zauważył Kolonko.

- Bo kiedy odrzucała jego argumenty, to je częściowo powtarzała.

Porucznik przyjął to wyjaśnienie i zainteresował się inną kwestią.

- Czy ten samochód był wcześniej w naprawie?

- Nie, to całkiem nowy samochód... To znaczy raz był, ale się nie zepsuł, tylko kierowniczka zawadziła na parkingu o barierkę.

- Znajdzie mi pani fakturę za tę naprawę?

- Już znalazłam, kiedy szukałam tamtej. Zaraz wydrukuję.

Drukarka cicho zaszumiała i po chwili Kolonko dostał do ręki papier, na którym uważnie przestudiował nagłówek autoryzowanego warsztatu.

- Mogę ją sobie wziąć?

- Oczywiście.

Porucznik schował kartkę do kieszeni prochowca, wyjąwszy z niej najpierw elektronicznego papierosa. Widząc, że dziewczyna chce zaprotestować, uspokoił ją:

- Już się żegnaj, zapalę na dworze. Bardzo pani dziękuję za pomoc.

Opuściwszy filię, rzeczywiście zapalił i skierował się do zaparkowanego malucha. Nie udało mu się jednak do niego wsiąść, gdyż zacięły się drzwi. Szarpanie jedną ręką nic nie dało, puściły dopiero, gdy, trzymając papierosa tylko ustami, Kolonko pomógł sobie drugą. Każdy inny właściciel kopnąłby pewnie drzwi ze złości, ale porucznik był od tego jak najdalszy.

Niezrażony przeszkodą, wsiadł w samochód i włączył się do ruchu. Droga do warsztatu, który też znajdował się na Pradze, a więc z dala od sądu, zajęła mu dwadzieścia minut.

Autoryzowany serwis z punktu widzenia przeciętnego kierowcy miał tę wadę, że kazał sobie płacić dużo więcej niż „pan Józek”. Przyczyną drożyzny było nie tylko błogosławieństwo producenta, lecz także skrupulatne opłacanie VAT-u. Na każdą usługę wystawiano paragon bądź fakturę, ku radości fiskusa i porucznika Kolonki. Kiedy zapytał o naprawy mazdy pani Naczyńskiej, serwisant, młody mężczyzna w firmowym uniformie, nie rozłożył bezradnie rąk, tylko wpisał numer rejestracyjny do wyszukiwarki i po sekundzie miał ich kompletną listę. Bardzo krótka.

- Jedna. Wymiana błotnika i nadkola po rozbiciu o barierkę na parkingu. Nie wiem, jak to zrobiła, bo ten model ma czujniki parkowania, na dodatek walnęła z przodu. Tak to jest, jak się posadzi kobietę za kierownicą. Jeśli pyta mnie pan o zdanie, to najlepsze regulacje pod tym względem ma Arabia Saudyjska.

Mizoginistyczne uwagi nie zainteresowały Kolonki.

- Jedna? Nie dwie? Z tego, co wiem, samochód zepsuł się jej też czternastego września.

- Jeśli tak, to nie naprawiała go u nas. Co jednak bytoby dziwne. Tu widzę, że to służbówka i za naprawę płacił bank. A bank ma umowę z nami, gdzie indziej musiałaby bulić z własnej kieszeni.

- Może wzięła tylko paragon, a nie fakturę?

Serwisant zaprzeczył energicznym ruchem głowy.

- Bez sensu z tego samego powodu, musiałaby wyłożyć kasę z własnej kieszeni.

- Samochód zepsuł się jej w domu i nie mogła w ogóle nim ruszyć. Może mechanik od państwa do niej podjechał, okazało się, że to drobnostka, którą naprawił w dwie minuty, więc machnął ręką na formalności?

Ta teoria zasłużyła jedynie na dalsze kręcenie głową.

- Nasi mechanicy nigdzie nie jeżdżą. Hołowanie załatwia assistance.

- Kto?

- No, firma ubezpieczeniowa. Czy raczej laweciarz, który ma z nią podpisaną umowę na przywożenie nam takich uziemionych wozów.

Szukanie dziury w całym nie dało efektu i Kolonko podziękował za informację, po czym opuścił lśniąca od chromowych wykończeń halę.

Doszedł do swojego samochodu, ale zamiast do niego wsiąść, oparł rękę na dachu i stukając weń palcami, zaczął coś do siebie mrużyć. Postronny obserwator mógłby uznać, że jest sfrustrowany kontrastem między posiadany wozem a eleganckimi autami, wystawionymi przez salon na sprzedaż, ale Kolonko myślami był zupełnie gdzie indziej. Oderwał go od nich dopiero telefon. Dzwonił Moryn z laboratorium kryminalistycznego.

- Panie poruczniku, przysiadłem jeszcze do tego filmu z mazdą, na mój gust kierowca ubrany jest w kurtkę, jeśli to coś panu pomoże.

- Nie w garnitur?

- Nie.

- To by się zgadzało, gdyby to był mechanik, powinien mieć na sobie garnitur.

- Chyba odwrotnie - sprzeciwił się Moryn. - Mechanicy chodzą w kurtkach, nie w garniturach.

- Prawdziwi tak. Ale on udawał mechanika i nałożył kurtkę, a zapomniał, że ten podstawiony był w garniturze. Bo kazał mu wystąpić w dwóch rolach, do których trzeba było różnych strojów, i o tym już nie pomyślał.

- Kto? Komu? W jakich rolach?

Kolonko pytał albo nie usłyszał, albo nie miał zamiaru na nie odpowiadać.

- Nic się nie zepsuło, to oczywiste. Ale nie ma jej co pytać, będzie kryła męża. Świadomie albo mówiąc to, co on jej powiedział. Na przykład, że zdołał sam naprawić.

- To ja się pozęgnam - oznajmił zrezygnowany technik.

- Janina Cedro, słucham?

- Porucznik Kolonko z Komendy Wojewódzkiej. Czy pani jest tłumaczką szwedzkiego?

- Tak, ale nie przysięgła, więc chyba nastąpiła jakaś pomyłka.

- Nie, nie, szukam tłumaczy literatury.

- Policja? Tłumaczy literatury? - zdumiała się rozmówczyni. - Do czego?

- Usiłuję znaleźć osobę, której pan Zenon Naczyński podzlecił tłumaczenie książki, kryminału Stiega Larssona.

- To jest sprawa dla policji?

- Samo tłumaczenie nie, to jest odprysk innego śledztwa i musimy ustalić tę osobę. Podejrzewamy, że grozi jej niebezpieczeństwo i najlepiej dla niej samej byłoby, gdyby nas o tym poinformowała.

- A dlaczego państwo w ogóle zakładają, że to tłumaczenie podzlecił? Mam duże doświadczenie w tłumaczeniu książek, a przyznam się, że o takim podzleceniu nie słyszałam.

- Nie zakładamy, tylko wiemy. Rozmawiałem już z kilkoma osobami, którym to proponowałem, ale odmówiły. Jak jest z panią?

- Nie miałam takiej propozycji. Zresztą też bym odmówiła.

- A to jestem zaskoczony.

- Czym? Tym, że nie zajmuję się ghostwritingiem?

- Że panią pominął. Z ludzi, do których dzwoniłem, nie złożył tylko propozycji panu Pollakowi, pani jest druga.

- Może dlatego, że ja uchodzę za najlepszą tłumaczkę, a Pollak dotrzymuje mi kroku. Naczyński pewnie uważał, że u najlepszych nie ma czego szukać.

- Pewnie tak. Zna go pani?

- Naczyńskiego? Tylko z nazwiska. Z zawodowej ciekawości śledzę ukazujące się przekłady szwedzkich powieści i patrzę, kto tłumaczył.

- Taki późny debiut pani nie zdziwił? Ostatecznie Naczyński jest już po czterdziestce.

- Tego nie wiedziałam, ale nie ma w tym nic niezwykłego. Zygmunt Łanowski, który razem z Marią Olszańską tworzył najbardziej płodny duet w czasach PRL-u, zadebiutował mając czterdzieści sześć lat. Tłumaczenie literatury to nie sport, zasada, że im wcześniej, tym lepiej, tu nie obowiązuje, wręcz przeciwnie.

- Rozumiem. Nic, dziękuję pani.

Część II

Tym razem o egzemplarze autorskie musiał się upomnieć. Choć wydawnictwo na nich zarabiał, bo, jak poprzednio, gratisowych dostawał ledwie pięć, a za pozostałe musiał zapłacić. Rzekomo nie dotarły z winy drukarni, która mimo zlecenia nie wysłała mu paczki, ale nie miał wątpliwości, że takie zlecenie nigdy z Cymelii nie wyszło. I że nie było to przeoczenie, lecz czysta złośliwość. Potwierdził to fakt, że książki przysły dopiero, kiedy zapowiedział, że pofatyguje się po nie osobiście do wydawnictwa. Ale wtedy już błyskawicznie. Naczelnemu myśl o oglądaniu nielubianego tłumacza musiała być do tego stopnia wstrętna, że jeszcze tego samego dnia kazał dzwonić po kuriera. Albo wręcz sam chwycił za słuchawkę.

Mimo tych perypetii, przeglądając egzemplarz „Dziewczyny, która igrała z ogniem”, Naczyński był w wyśmienitym nastroju. Z powodu swojego nazwiska na stronie tytułowej i spodziewanych zysków. Pierwsza część trylogii sprzedawała się znakomicie, druga wychodziła w idealnym momencie, po pół roku, dzięki czemu korzystała z zainteresowania pierwszą, a jednocześnie jej nie kanibalizowała. Przy czym wcale nie było przesądzone, że wydawnictwo zachowa taki odstęp: przekonanie, że ludzie w danej branży znają się na swojej robocie i potrafią podejmować optymalne decyzje, należało włożyć między bajki.

Do tego wszystko wskazywało na to, że bez zakłóceń będzie mógł cieszyć się zarówno renomą tłumacza, jak i pieniędzmi. Kolonko przestał go nachodzić, od spotkania na poczcie ponad cztery miesiące temu już się nie pokazał. Odpowiedź na pytania, które Naczyński sobie zadawał, stała się bezprzedmiotowa. Nawet jeśli porucznikowi wydawało się, że odkrył mordercę Stypuły, to musiał przelknąć tę gorzką pigułkę, że nie uda mu się zebrać wystarczających dowodów.

A wisienką na torcie był koniec romansu z Janiną. Zerwanie po oddaniu przez nią tłumaczenia „Zamku z piasku, który runął” przebiegło tak gładko, że mógł porzucić swoje mordercze plany. Przyjęła rozstanie spokojnie, dorośle, chciałoby się powiedzieć. Jak raz ucieszył się, że miał do czynienia z kochanką posuniętą w latach. Jednak piąty krzyżyk na karku pod wieloma względami wychodzi ludziom na dobre, czterdziestopięcioletniej kobiecie nie grają już tak hormony, by histeryzowała jak nastolatka, potrafi dopuścić do głosu rozsądek. A ten musiał podpowiedzieć jej, że z utrzymanego na siłę faceta pożytek może być tylko do czasu. I że lepiej rozejść się, kiedy jeszcze pozory, jakoby stanowili udaną parę, są zachowane, niż pozwolić, by zrobiło się naprawdę nieprzyjemnie.

Sięgnął po pieczętkę z napisem „egzemplarz autorski tłumacza”. Wydawnictwo w żaden sposób nie podkreślało odrębnego statusu książek, które mu przysyłało, więc sam ją sobie wyrobił. Żeby zaspokoić własną próżność, ale zauważył też, że opieczetowane egzemplarze miały dla obdarowanych znacznie większą wartość niż tylko opatrzone dedykacją.

Kiedy skończył stemplować, wziął na kolana laptopa, żeby przeczytać recenzje. Sporo już w sieci zamieszczono, pierwsze zresztą w dniu premiery, gdyż przy książkach, na które czekano – a na tę czekano – dziennikarze i blogerzy dostawali tekst przed wydaniem. W większości były entuzjastyczne, natknął się tylko na jedną krytyczną. Autorka bloga „To i owo w kryminale” zarzucała Larssonowi dłużyzny i szcegółarstwo, parodiując jego styl: *Mikael Blomkvist otworzył w swoim laptopie marki Acer z twardym dyskiem o pojemności 2 giga program Outlook w wersji 4.0 firmy Microsoft. W folderze „Skrzynka odbiorcza” miał 234 wiadomości, z tego pięć odebranych wczoraj, dwie dziś i trzy nieprzeczytane. Napisał maila czcionką Ariel 9 i umieścił w folderze „Skrzynka nadawcza”. Potem wcisnął przycisk „Wyślij/Odbierz”, wysyłając maila, który został przeniesiony do folderu „Elementy wysłane”.*

Kretynka, mruknał. Trochę zrehabilitowała się w jego oczach, skrupulatnie podając jego nazwisko. Adresy tych, którzy byli mniej skrupulatni, Naczyński sobie wynotował, potem otworzył Outlooka i zredagował do nich wiadomość. *Z tego, co wiem, Larsson nie pisał po polsku, a translator Google'a jeszcze nie potrafi przekładać literatury. Pominięcie nazwiska tłumacza jest tym bardziej karygodne, że podała Pani* (większość blogerów piszących o książkach była płci żeńskiej) *wszystkie dane redakcyjne książki, włącznie z numerem ISBN*. Wysyłając to mało grzeczne upomnienie, za jednym zamachem ściągnął pocztę i zobaczył, że wrócił do niego e-mail z tekstem do korekty autorskiej dla Janiny.

Forwardował ponownie maila od wydawnictwa ze zredagowanym tłumaczeniem „Zamku”, następnie utworzył nową wiadomość, a w końcu posłał ją ze swojego rezerwowego adresu. Za każdym razem jednak rezultat był ten sam: serwer odbiorcy odrzucał jego pocztę. Sięgnął po telefon. Dochodzące sygnały nie skłoniły nikogo do odebrania połączenia i włączyła się poczta głosowa. Do tego z automatycznym komunikatem, a pamiętał, że wcześniej Janina miała nagrany własny.

Zaklął. Najwyraźniej zmieniła maila i numer telefonu. Żeby uniemożliwić mu kontakt i nie dać się w chwili słabości namówić na zrobienie korekty autorskiej. Czyli to była jej zemsta. Złośliwość kiepsko nadająca się na szekspirowski dramat.

- Pierdol się, sam zrobię, tyle umiem.

Otworzył plik z poprawkami i aż mu się zaświeciło w oczach, tak było w nim kolorowo. Na pierwszej stronie redaktor – najwyraźniej inny niż przy dwóch pierwszych książkach – postanowił udowodnić albo swoje kompetencje, albo indolencję tłumacza. Naczyński przewinął tekst w dół. Na dalszych stronach zapał poprawiającego wcale nie gaśł. Janina oczywiście tak źle nie tłumaczyła, dodatkowo do wydawnictwa poszła wersja przez niego skolacjonowana. Trafili na redaktora, który postanowił stworzyć własne tłumaczenie. Czy raczej własną powieść, bo analiza zaledwie kilku wprowadzonych zmian nie pozostawiała cienia wątpliwości, że nigdy oryginału na oczy nie widział. A jeśli widział, to rozumiał z niego dokładnie tyle, ile z książki wydanej po chińsku. Co pewnie jeszcze podsycalo jego twórcze zapędy, niekrępowane pierwowzorem. Szkopuł w tym, że twórcze ambicje z miejsca dyskwalifikowały każdego redaktora: on miał pełnić rolę podrzędną, dzieło poprawić, a nie napisać czy przetłumaczyć je zamiast pisarza i tłumacza.

Dyskwalifikacja nie oznaczała jednak, że wszystkie jego poprawki pozbawione były sensu. Tam gdzie zmieniał słowa czy frazy na bliskoznaczne, nie odchodził od oryginału, a te zaproponowane mogły podnosić tekst na wyższy poziom. Szkopuł w tym, że przy takiej ilości zmian Naczyński nie umiałby tych właściwych wybrać. Był wyrobionym czytelnikiem, ale wyrobiony czytelnik jest jak fachowy kibic: świetnie wie, jakie zagranie doprowadziłoby do strzelenia bramki, gdyby jednak postawiono go na boisku, przewróciłby się na piłce. Przy punktowych poprawkach Naczyński mógłby mieć do redaktora zaufanie, że dobrze je przemyślał, i w razie wątpliwości je przyjmować. Przy takiej masówce musiał polegać na własnym wyczuciu, a gdyby nim dysponował, tłumaczyłby książki samodzielnie, a nie podzlecał.

To stawiało go przed alternatywą: albo odrzuca wszystkie poprawki en bloc, albo jednak próbuje dotrzeć do Janiny. Pierwsza opcja wcale nie była zła: błędów w tłumaczeniu ten redaktor i tak nie poprawiał, zresztą przy solidności Janiny i jego kolacjonowaniu żadne znaczące z pewnością nie zostały. Rezygnował wprawdzie ze szlifu polonistycznego, ale tekst nie pochodził od nowicjuszek, przy której taki szlif był niezbędny, lecz od doświadczonej i bardzo sprawniej językowo tłumaczki. Tyle że szkoda poprzestać na tekście znakomitym, skoro można mieć idealny. Przeciwno tej opcji przemawiały też względy pozajęzykowe: miał prawo odrzucić poprawki hurtem, ale istniało ryzyko, że Cymelia, czy to rozmyślnie, czy przez przeoczenie potraktuje to jako niewykonanie korekty autorskiej, a w takiej sytuacji do druku szedł tekst przesłany do korekty. Wtedy mógłby zareagować jedynie awanturą i sprawą sądową. Którą, owszem, by wygrał, tyle że za pięć lat, gdy książka będzie już rozprowadzona i pozostanie mu gołe odszkodowanie, bo sąd stwierdzi, że upłynęło zbyt dużo czasu, by wymiana sprzedanych egzemplarzy na właściwe miała sens. Nie teoretyzował, tłumaczył już w sprawach, gdzie sąd się grzebał, a później wydawał taki wyrok, jakby zwłoka była winą

któreś ze stron. Mógł żądać wstrzymania dystrybucji do czasu rozstrzygnięcia sporu, ale na takie zabezpieczenie powództwa szanse miał dużo mniejsze, wydawnictwo wskazywałoby, że korekty autorskiej nie dostało, więc jest mało prawdopodobne, by racja była po jego stronie. A w każdym razie nie na tyle prawdopodobne, by zamrazać im gigantyczną inwestycję i pozbawiać pewnych zysków. Do tego proces niósł za sobą inne niebezpieczeństwo: na sali sądowej sprawa bierze się pod lupę, więc nie powinien na nią wchodzić ktoś, kto miał coś do ukrycia. A on zdecydowanie miał coś do ukrycia.

Wyglądało na to, że bez ponownego osobistego kontaktu z Janiną się nie obejdzie. Zrobił błąd, że zapłacił jej zaraz po dostaniu tłumaczenia. Chęć uniknięcia dalszych spotkań przeważała nad rozsądkiem. Gdyby honorarium dostawała po korekcie autorskiej, zrobiłaby ją bez fochów.

Zaklął, co w ostatnich miesiącach było normą, kiedy myślał o tej kobiecie. Nic dziwnego, nie nawykł, by ktoś miał nad nim taką władzę. A jego złość zwiększało to, że w dużej mierze sam jej tę władzę oddał.

- Jeszcze ten ostatni raz. A potem znikniesz z mojego życia na zawsze.

Pojechał do niej, zastanawiając się po drodze, co zrobi, jeśli Janina nie otworzy mu drzwi. Ale najwyraźniej celem elektronicznej blokady było skłonienie go do osobistej wizyty, bo wcale nie musiał się dobijać.

- No, proszę, kogo ja widzę. Przypadkiem ze mną nie zerwałeś?

- Nie jestem tu, żeby się godzić, tylko mam plik do korekty autorskiej „Zamku”.

Mimo tak jasnego postawienia sprawy wpuściła go do środka, co odczytał jako dobry znak. Niesłusznie.

- A mógłbyś mi podać chociaż jeden powód, dlaczego miałabym ją wykonać?

- Bo zależy ci na tym, żeby tłumaczenie było optymalne?

- Jako komu? Nic nie stracę na tym, jeśli nie będzie optymalne.

- Twoja duma zawodowa nie ucierpi? Nikt wprawdzie się nie dowie, że to twój przekład, ale ty przecież będziesz o tym wiedziała.

- I tu się mylisz.

- Tak? Naprawdę będzie ci obojętne, że zostaną niedociągnięcia, których w korekcie z łatwością mogłabyś się pozbyć?

- Mylisz się, że nikt się nie dowie, że to mój przekład.

Doznał déjà vu. Bardzo nieprzyjemnego déjà vu. Kolejny szantażysta. Czy ci ludzie nie mieli za grosz przyzwoitości?

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał, siłąc się na spokój.

- Rozmyślałam się. Chcę opublikować „Zamek...” pod własnym nazwiskiem.

- Nie możesz! Wzięłaś pieniądze...

- ...które oddaję. Są w tej kopercie na stole. Co do grosza, możesz przeliczyć.

Ze zdumieniem popatrzył na wypchaną kopertę formatu C5, opartą o wazon z kwiatami. Oczekiwała jego wizyty.

- Łamiesz umowę!

- Jako oszust jesteś śmieszny z tym swoim moralnym wzmożeniem.

- A jak niby mam to przedstawić wydawnictwu, że dałem im nie swój przekład? Przepraszam, nastąpiła mała pomyłka, to nie ja przetłumaczyłem książkę, tylko pani Cedro. Będą państwo tak mili i wpiszą jej nazwisko. Uważasz, że tak po prostu to przełkną?

- Przełkną, kiedy im powiesz, że podzleciliś tłumaczenie, bo nie miałeś czasu sam go robić. Z tego, co opowiadałeś, szef Cymelii cię nie cierpi, więc tylko się ucieszysz, że nie będzie musiał podawać twojego wrażego nazwiska.

- A potem z tej radości ścignie mnie o odszkodowanie, bo w umowie zapisano wprost, że przetłumaczyć muszę sam.

- To już nie mój problem.

Owszem, kurwa, to jest twój problem, pomyślał. Nawet nie wiesz, jak wielki.

Musiał wrócić do zarzuconych morderczych planów. Ciekawe, ile ofiar zabójstw w ten właśnie sposób położyło głowę pod topór, choć mogło uniknąć tragicznego losu. Większa

wstrzemięźliwość i poskromiona pazerność stanowiły najlepszą receptę na dożycie podeszłego wieku.

Zabrał kopertę, dając tym samym znak, że przystaje na jej żądania, ale emocje tak w nim kipiały, że na odchodnym nie mógł się powstrzymać od groźby.

- Mocno tego pożałujesz

Śmiechem, którym go pożegnała, przypieczętowała swój los.

- Rak - powtórzył. - Guz daje przerzuty, jeśli nie, często pozostaje niewykryty. Tak samo jest w niektórych śledztwach, to miałem na myśli. Na przykład w tym dotyczącym syna komisarza... na razie jasne?

- Na razie tak.

- Świetnie. Dowiedzieliśmy się wszystkiego, czego tylko można było się dowiedzieć o tych wydarzeniach. A jednak nie mamy żadnego punktu zaczepienia, co raczej kiepsko rokuje, że sprawę rozwiążemy... chyba że nastąpi pączkowanie.

- Pączkowanie?

- Przerzuty. Musi wydarzyć się coś więcej. Właśnie to próbuję wyjaśnić. Jeśli popełnisz tylko jedno przestępstwo - zabijesz kogoś, obrabujesz bank, cokolwiek - i na tym poprzestaniesz, masz spore szanse wymknąć się wymiarowi sprawiedliwości. Zwłaszcza jeśli poza tym jesteś „miarą praworządnym obywatelem. Ale zazwyczaj nie kończy się na tym pierwotnym guzie... przestępstwo daje przerzuty, my je odkrywamy i ustalamy, skąd się wzięły. W ten sposób docieramy do gówna. Rozumiesz?

Winnifred westchnęła.

- Błyskotliwa metaforyka - stwierdziła, poruszając palcami u nóg pod jego pachami. - Przystępność jako rak na żywej tkance społeczeństwa... oryginalne, przynajmniej. Nie słyszałam nic równie trafnego od kilku godzin.

- Głównie chodziło mi o te przerzuty.

- Okej. Musi nastąpić pączkowanie, inaczej nie znajdziecie mordercy Ericha, to jest konstatacja?

- Mniej więcej. Obecnie drepczemy w miejscu... nawet nie na stałym gruncie, tylko w wodzie, jeśli chcesz mieć bardziej trafny...

Urwał, bo Winnifred ugryzła go w tydkę.

- Aj.

- Czy coś przemawia za tym, że pączkowanie nastąpi?

Reinhart zastanowił się.

- Skąd, do cholery, mam wiedzieć? Rak jest nieprzewidywalny¹.

Kiedy Kolonko dotarł do tego fragmentu „Karambolu” Håkana Nessera, odłożył książkę na biurko i zamyślił się. Tego się właśnie obawiał. Że Naczyński uderzy po raz drugi. I że nastąpi to wkrótce. W wydawnictwie porucznik dowiedział się, że prace nad tłumaczeniem „Zamku z piasku, który runął” dobiegały końca. To oznaczało, że niedługo podwykonawca przestanie być Naczyńskiemu potrzebny. Nie musiało się to równać automatycznie decyzji o jego likwidacji. Stypuła zginął po wykonaniu dwóch przekładów, choć Naczyński chciał zlecić jeszcze jeden, a zatem motywy musiał być inny niż likwidacja świadka przekrętu. Szkopuł w tym, że ten skutek uboczny morderca mógł uznać za bardzo korzystny i wart ponownego ryzyka, skoro pierwsze zabójstwo uszło mu płazem.

Z jednej strony dawało to szansę na ujęcie go, pojawiał się przerzut nowotworu, o którym pisał Nesser, z drugiej strony on jako policjant powinien zrobić wszystko, by do przestępstwa nie dopuścić. Zwłaszcza do zabójstwa, któremu nie da się w żaden sposób zadośćuczynić. Skradzione mienie można oddać, życia nie. Próbował ostrzec potencjalną ofiarę, ale nikt nie zareagował. Mimo że ostrzeżenie dobrze przemyślał: wyraźny komunikat, że przekręty z tłumaczeniem go nie interesują, rezygnacja ze wskazania, że z ręki Naczyńskiego grozi śmierć. Ktoś będący z nim w dobrych relacjach - a w czasie tłumaczenia takie musiały być -

uznałby to za nonsens, którym nie można się przejmować. Do tego sugestia, że niebezpieczeństwu, jako pochodzącemu z zewnątrz, da się zapobiec bez naruszania ich układu, powinna skłonić podwykonawcę do reakcji. Jednak nie skłoniła. Co przemawiało za tym, że nie udało się do niego dotrzeć. Naczyński musiał zlecić przekład komuś podobnemu do Stypuły: człowiekowi z talentem, ale bez dorobku. Może jakimś uzdolnionemu studentowi.

Czy jednak się mylił i Naczyński wcale nie był mordercą, lecz tylko zwykłym oszustem? Czy nawet nie oszustem, bo najwyraźniej korzystanie z ghostwritingu nie uchodziło w branży wydawniczej za coś nagannego. A w takim przypadku Naczyński nie miał czego się wstydzić i upadał motyw związany z opublikowaniem cudzego przekładu jako własnego. Za to dysponował niepodważalnym alibi. Może wcale nie zgrabnie spreparowanym, lecz rzeczywistym. Ostatecznie wszystko, co udało się przeciwko niemu zebrać, składało się jedynie na logiczną konstrukcję. Stabilną, wręcz perfekcyjną, pozbawioną słabych punktów. Za to bez cienia dowodu. A nie bez kozery liczyły się dowody. Historia знаła niejednego gline, który żywił niezachwiane przekonanie, że wie, kto jest mordercą, co gorsza, doprowadzał do jego skazania, a człowiek okazywał się niewinny. Co tu zresztą daleko szukać, miał na świeżo sprawę Komendy, który odsiedział osiemnaście lat za gwałt i zabójstwo, choć nie on się ich dopuścił.

Gdyby się mylił co do Naczyńskiego, oznaczało to, że tłumacz ostatniego tomu trylogii jest bezpieczny. Ten potężny plus był wszakże jedynym. Bo poświęcił masę czasu na rozpracowywanie Naczyńskiego, podczas gdy tropy prowadzące do rzeczywistego mordercy blakły.

Kiedy ustąpiła początkowa wściekłość, dostrzegł, że paradoksalnie żądanie Janiny postawiło go w całkiem niezłej sytuacji. Przy czym nie doszukiwał się dobrych stron na siłę, by osłodzić sobie porażkę. Przede wszystkim dostał z powrotem pieniądze, bardzo konkretna, wymierna korzyść. Ponadto Janina bez dalszego ociągania się zrobiła korektę autorską, solidnie, bo w przekonaniu, że robi ją dla siebie. I nie domagała się za to okazywania jej względów, zemsta jest całkiem niezłą rekompensatą za nieodwzajemnione uczucie. Jedyne, co musiał zrobić, by utrzymać te zdobycze, to ją zamordować. Bardzo umiarkowana cena. Właściwie żadna, biorąc pod uwagę, że całkowicie eliminował ryzyko szantażu również na przyszłość.

Nie zabrała się oczywiście do pracy na piękne oczy, najpierw musiał dać jej umowę z wydawnictwem. Z tego powodu rozważał, czy jednak z korekty nie zrezygnować i nie zabić Janiny od razu, ale mimo że plany zabójstwa snuł już wcześniej, to żadnych nie miał gotowych. Potrzebował czasu, zapewnienie sobie żelaznego alibi okazywało się nadspodziewanie trudnym zadaniem, nadspodziewanie, bo za pierwszym razem wpadł na nie bez żadnego wysiłku. Najwyraźniej był to przebłysk geniuszu, jaki miewa się rzadko, jeśli nie jeden raz życiu. Taki przebłysk, który pozwala uporządkować pierwiastki w jednej tabeli albo wyjaśnić, dlaczego jabłko spada na ziemię. Albo – co stanowi małe osiągnięcie dla ludzkości, ale wielkie dla danego człowieka – uniknąć dożywotniego więzienia. Z kolei spreparowanie umowy dla Janiny, choć zapowiadało się skomplikowanie, nie nastręczyło większych trudności. Pieczęć firmowych w odróżnieniu od pieczęci tłumacza przysięgłego nie wyrabiało się w państwowej mennicy, a w punkcie usługowym nikogo nie zainteresowało, czy rzeczywiście jest przedstawicielem wydawnictwa. Nie musiało, wbrew panującemu w Polsce kultowi pieczętki z prawnego punktu widzenia służyła ona jedynie do powielania tekstu, znaczenie miał podpis. Ten Naczyński podrobił, wzorując się na swoich umowach z Cymelią. Jego zdaniem na tyle dobrze, że różnicę wyłapałby mało kto poza biegłym grafologiem, a na dodatek Janina nie miała materiału porównawczego, bo w Cymelii jeszcze nie publikowała. Stąd nie wiedziała też, że naczelny lubi umowy podpisywać osobiście, i nadane przez pocztę w najmniejszym stopniu jej nie zdziwiły. Także żądanie, by egzemplarz umowy po jego podpisaniu odesłała na skrytkę pocztową, a nie do siedziby wydawnictwa, było całkowicie naturalne. Skrytkę Naczyński

musiał wynająć na swoje nazwisko, inaczej się nie dało, ale wysłał sam sobie list, jako adresata podając Cymelię. Ku jego zadowoleniu list nie został zwrócony, tylko trafił do skrzynki, najwyraźniej poczta miała doświadczenie, że nadawcy znacznie częściej myślą nazwisko niż numer. Albo wychodziła z założenia, że nie ma pośpiechu z odsyłaniem, można spokojnie zaczekać, aż klient odda nie swoją korespondencję.

Owszem, pozostawało ryzyko, że pracownik poczty się pomylił i powinien przesyłkę dać do zwrotu, ale nawet jeśli, to Janina nie odesłała umowy od ręki, tylko zaczęła ją negocjować. Było to zresztą do przewidzenia, że zechce powalczyć o jeszcze lepsze warunki, niż on uzyskał, bo mogła wykorzystać położenie wydawnictwa, któremu – gdyby to rzeczywiście Cymelia z nią korespondowała – nie opłacałoby się zlecać nowego tłumaczenia. Stąd skrytka stanowiła jedynie dodatkowe zabezpieczenie, a na potrzeby spodziewanych negocjacji Naczyński zarejestrował domenę wyd-cymelia.pl i e-mailem z tej domeny, podając się za przedstawiciela wydawnictwa, przesłał jej informację o nadaniu umowy. Sama „cymelia” z wszystkimi możliwymi końcówkami była zajęta właśnie przez wydawnictwo, ale Janina nie miała żadnego powodu, by to sprawdzać. Jej podejrzenia mógł wzbudzić ogólnodostępny adres typu [gmail.com](mailto:) czy [onet.pl](mailto:), ale nie doskonale pasujący do domniemanego nadawcy.

Teraz, podszycując się pod wydawcę, mógł przeciągać negocjacje do czasu, aż opracuje plan jej zabicia. Z czym, jako się rzekło, miał kłopot. Tworzył dziesiątki różnych scenariuszy, ale sam od razu dostrzegał ich luki. Prowadzące go wprost do celu. Nawet jeśli obecnie nie była to już cela śmierci, to i tak wcale ta perspektywa mu się nie uśmiechała. W końcu uznał, że żadnego wyrafinowanego planu nie wymyśli. Ale doszedł do wniosku, że skoro przy jego inteligencji mu się to nie udało, musi tę porażkę potraktować jako sygnał od swojej podświadomości, że chciał wybrać złą drogę. Nawet gdyby podsunał Kolonce domniemanego mordercę na srebrnej tacy, ten mógłby się na to nie nabrać. Opcję, że porucznik jest dużo inteligentniejszy, niż wskazywałyby na to jego wygląd i zachowanie, musiał cały czas brać pod uwagę. Poza tym nie miał technicznych możliwości, żeby swego kozła ofiarnego śledzić przez dobę na okrągło i dobrać odpowiedni czas zabójstwa. A nawet wtedy jakieś przypadkowe zdarzenie mogłoby mu zapewnić alibi. Zbyt wiele elementów musiało się tu zgrać, by wszystko dało się przewidzieć. A skoro nie dało się wszystkiego przewidzieć, oznaczałoby to poleganie na szczęściu. Tymczasem ludzie, którzy polegali na szczęściu, okupowali kasyna i kolektury totolotka i niemal w stu procentach przypadków źle na tym wychodzili.

Nie, musiał wybrać znacznie prostszą drogę. Inaczej skierować Kolonkę na manowce. Odsunąć od siebie podejrzenia przez sam sposób zabójstwa. Kiedy doszedł do tej konstatacji, przypomniał sobie końcowe sceny z „Dziewczyny, która igrała z ogniem” i wiedział, jak ma zamordować Janinę.

W teorii, bo w praktyce już pierwsza przeszkoda wydawała się niepokonywalna. Powróciła konkluzja, którą usprawiedliwił niewłaściwy – w kontekście podsuniętego policji motywu zabójstwa Stypuły – dobór narzędzia zbrodni: pistoletu nie miałby skąd wziąć. Tyle że teraz musiał uznać tę konkluzję za nieprawdziwą i wymyślić sposób na jego zdobycie. Zaczął wertować powieść Larssona w nadziei, że skoro znalazł w niej inspirację, jak dokonać morderstwa, to znajdzie również praktyczne wskazówki. Ale nie był ani zawodowym przestępcą, ani pracownikiem służb specjalnych, nie miał też zdolności Lisbeth Salander do unieszkodliwiania swoich wrogów i przy okazji zabierania im niebezpiecznych zabawek.

Odłożył książkę i próbował sam coś wykombinować, ale musiał samokrytycznie przyznać, że jego pomysły nawet w powieści zostałyby uznane za zbyt mało realistyczne, nie mówiąc o zastosowaniu ich w prawdziwym życiu.

Zniechęcony położył się na kanapie i wpatrzył w sufit. Po raz pierwszy przyszła mu do głowy myśl, żeby się poddać. Pójść do Kolonki, przyznać się do wszystkiego, złożyć, jak to ujmował w tłumaczeniach protokołów z przesłuchań, szczegółowe i obszerne wyjaśnienia. Ale natychmiast ją odrzucił, poderwał się na nogi, zły na siebie.

– Co ty, kurwa, wyprawiasz?! Załamujesz się na pięć minut przed metą? Przebiegłeś prawie cały maraton i chcesz się poddać na ostatnim kilometrze? Wysil mózgowicę, musi być jakiś sposób!

W szukaniu rozwiązania przeszkodził mu jednak telefon.

- Tak, słucham.
- Pan Zenon Naczyński?
- Tak.

- Dzwonię z firmy Printer Financial Company.

Pytanie o nazwisko, a nie o to, czy jest tłumaczem, i słówko „financial” wskazywały, że rozmówca będzie próbował wcisnąć mu jakiś kredyt.

- Czy chcą państwo zlecić mi tłumaczenie?

Już przymierzał się do rzucenia słuchawką po spodziewanym „nie”, ale ku swojemu zdumieniu usłyszał:

- Jak najbardziej. Planujemy sprowadzenie ze Szwecji partii drukarek 3d i potrzebujemy tłumacza szwedzkiego, który przełoży nam dokumentację. Jakies sto stron.

- Dokumentację importową czy techniczną?

- Techniczną.

- W takim razie nie pomogę panu. Nie specjalizuję się w tego rodzaju tłumaczeniach.

- Szkoda... Czy mógłby pan nam kogoś polecić?

- Przykro mi, ale nikogo nie znam.

Nie do końca była to prawda, wiedział o istnieniu Mateusza Mroczkowskiego, prawdziwego koryfeusza tłumaczeń technicznych, ale ten nie przyjmował zleceń od pośredników, a Naczyński nie widział powodu, by załatwiać mu pracę, jeśli sam nic z tego nie miał. Poza Mroczkowskim rzeczywiście nie znał nikogo godnego polecenia, inaczej przyjąłby tłumaczenie i podzlecił. Raz zrobił ten błąd – i ani myślał go powtarzać – że wziął taki tekst techniczny i dał tłumaczowi, który zadeklarował, że ma odpowiednie doświadczenie i bez trudu sobie z nim poradzi. Pozornie dobrze wykonany przekład przekazał klientowi i dopiero wtedy sprawa się ryła: dla fachowca był to stek bzdur.

- Trudno, dziękuję panu za rozmowę.

Ostatnia fraza świadczyła o tym, że dzwoniący do firmy handlującej drukarkami rzeczywiście trafił po zakończeniu kariery pośrednika finansowego.

Ten telefon tylko pogłębił podły nastrój Naczyńskiego. Chociaż był przyzwyczajony, że jedynie część zapytań kończy się zleceniami, to akurat teraz takie duże na poprawę humoru by mu się przydało. Może odmówił zbyt pochopnie, zamiast przynajmniej spojrzeć na tę dokumentację. Ostatecznie drukarki 3d to nie jakieś specjalistyczne maszyny z częściami o tak hermetycznych nazwach, że znało je kilku fachowców w Polsce, i funkcjach niepojętych dla przeciętnego śmiertelnika. Wiedział, jak taka drukarka działa, a jeśli tłumacz wie, jak działa urządzenie, którego opis ma przełożyć, to połowę roboty ma za sobą. Ale z kolei nowa technologia oznaczała nowe słownictwo i musiałby je pewnie dużym nakładem pracy wyszukiwać. Na dobrą sprawę nie miał nawet pojęcia, jak nazywa się masa, z której wyrabia się przedmioty na takiej drukarce. Czy raczej drukuje. Mogła zresztą mieć różne nazwy w zależności od rodzaju, bo przecież chyba zabawkę dla dziecka drukowało się z innej niż na przykład pistolet.

Pistolet! Potrzebował aż trzech sekund, by uświadomić sobie, do czego doprowadził go tok myślowy, mający potwierdzać, że słusznie nie przyjął zlecenia. Pistolet mógł wydrukować! Nie była to hipoteza, wiedział, że tak jest, gdzieś z zakamarków pamięci wychynęła korespondencja radiowa z USA, w której dziennikarz opowiadał o przepisach nakazujących wyposażać pistolety z drukarek 3d w metalowe elementy, by można je było wykryć na lotniskach.

Wszedł od razu z komórki do internetu, żeby znaleźć więcej informacji. Były zachęcające. Wydrukowany pistolet miał wprawdzie to ograniczenie, że pozwalał maksymalnie na dwa bezpieczne strzały, przy trzecim niebotycznie wzrastało ryzyko, że wybuchnie strzelającemu w rękę. Ale nie potrzebował więcej niż dwóch. Celność takiej broni pozostawiała podobno wiele do życzenia, co też nie stanowiło przeszkody, bo zamierzał zabić Janinę z bliska, praktycznie przykładając jej pistolet do głowy. Koszty mieściły się w normie, ceny odpowiednich drukarek zaczynały się od tysiąca złotych, szpulę materiału, tak zwanego filamentu (odnotował, że miał rację, jeśli chodzi o specjalistyczne terminy), można było nabyć nawet za pięćdziesiąt.

Dotarł też do instrukcji, jak wydrukować i złożyć poszczególne elementy. Zamieścił ją pewien Amerykanin, któremu władze z początku nakazały tę instrukcję usunąć. Posłuchał, ale zwrócił się do sądu, a ten orzekł, że taki zakaz narusza zasadę wolności słowa. Co otworzyło drogę do ponownego jej zamieszczenia, bo w Stanach nikt nie pozwalał sobie na ignorowanie wyroków czy wytaczanie sędziom postępowań dyscyplinarnych, kiedy orzekali nie po myśli rządzących.

- Ciekawe, czy ten naród kiedyś pojmie, jaka jest rola sądów, i żaden polityk nie odważy się ich atakować, bo z miejsca będzie skończony.

Czego nie znalazł, to informacji kryminalistycznych. Czy technicy potrafiliby ustalić, że zabójstwa dokonano z wydrukowanego pistoletu. Ale doszedł do wniosku, że tak, że drobiny tego filamentu, zwłaszcza przy strzale oddanym z przyłożenia, musiały osiąść na skórze głowy czy włosach ofiary. Nie niweczyło to jednak jego planów, wymagało po prostu zachowania ostrożności.

Po drukarkę i filament pojechał więc do stacjonarnego sklepu, bo zakupów przez internet nie dało się zrobić anonimowo. Nie do pierwszego lepszego, najpierw udał się na rekonesans, po czym wybrał największy bez kamer monitoringu. Model miał już upatrzony, jeden z tańszych, nie tylko z oszczędności, im powszechniejszy w użyciu, tym trudniejszy do wyśledzenia. Chwilę pooglądał, jakby podejmował decyzję, potem wziął karton i podszedł do sprzedawcy, mówiąc, że chce go kupić. Zadał pytanie o gwarancję, żeby ten nie zapamiętał go jako milczka, ale żadnych więcej, by na coś charakterystycznego nie zwrócił uwagi. Zapłacił gotówką.

Większy problem miał w domu, gdzie tę drukarkę postawić, żeby nie zainteresowały się nią żona ani dzieci. Nie chciał ich w to wciągać, ani myślał przyznawać się przed nimi, że zabił człowieka i ma zamiar zabić drugiego, przeciwnie zrobiliby wszystko, by nigdy się nie dowiedzieli. W przypadku Grażyny w grę mogła wchodzić też współodpowiedzialność, gdyby była wtajemniczona i wbrew wszelkim jego przewidywaniom zostałaby złapany. Stąd ta szopka z zepsuciem samochodu, zamiast zwykłej prośby o pożyczanie. I kłamstwo, że autoryzowany serwis nie mógł uzgodnić transportu z ubezpieczalnią, więc prywatnie ściągnął mechanika, który naprawił samochód na miejscu.

Po krótkim namyśle schował drukarkę do szafy w swoim gabinecie. Z tego, co kojarzył, nikt mu do niej nie zaglądał, więc kryjówkę należało uznać za pewną. Drukować musiał pod nieobecność domowników, co bynajmniej go nie ograniczało, bo przez ponad pół dnia był w domu sam. Z instrukcji wynikało, że druk potrwa kilkanaście godzin, więc musiał go rozłożyć na dwa, trzy dni, ale że skutecznie przeciągał negocjacje z Janiną, czasu mu nie brakowało.

Ze smętną miną Janina Cedro przeglądała korespondencję e-mailową. Jedna propozycja przełożenia powieści dla kobiet za stawkę urągającą wszelkiej przyzwoitości i z umową, której zapisy dało się streścić stwierdzeniem „tłumacz nie ma żadnych praw, a wydawnictwo żadnych obowiązków”. Jedna propozycja napisania recenzji wewnętrznej beletryzowanej biografii Greta Garbo, żeby ocenić, czy książka znalazłaby nabywców w Polsce. Przy czym dowiedziała się, że można zaproponować mniej niż „stawkę urągającą wszelkiej przyzwoitości”, wydawnictwo chciało jej bowiem zapłacić w barterze, mogłaby sobie wybrać z ich oferty całe dwie książki.

Zredagowała odpowiedzi odmowne i wysłała z poczuciem, że walczy z wiatrakami. Nie miała złudzeń, że znajdują się ludzie bez kręgosłupa, którzy na tak obraźliwe warunki przystaną. A wydawnictwa bez mrugnięcia okiem zaakceptują ich pracę, choć pierwsze dostanie przekład z translatora Google'a, poprawiony tak, by zataić źródło, a drugie recenzję napisaną nie po lekturze biografii, lecz na podstawie opinii w internecie.

Westchnęła. Było coraz gorzej. Od początku jej kariery stawki nie drgnęły, choć pensje i ceny rosły, a teraz problemem okazywało się dostanie nawet tych zamrożonych. Przy coraz

krótszych terminach, na coraz gorszych warunkach. Kiedyś nie pracowała w weekendy, teraz nawet poświęcając soboty i niedziele nie miała na przykład tyle czasu, by go odpowiednio wyszlifować. Kiedyś mogła liczyć na dodatkowe pieniądze, za dodruki czy wznowienia, teraz takie bonusy już się nie zdarzały. Kiedyś w negocjacjach z wydawnictwami miała w rękę argument „poza mną dobry przekład jest w stanie dostarczyć państwu może z pięć osób w Polsce”. Teraz na nikim nie robił wrażenia, nie dlatego, że liczba literacko uzdolnionych tłumaczy szwedzkiego z odpowiednim doświadczeniem wzrosła do pięćdziesięciu, lecz dlatego, że „dobry” przestało być warunkiem *sine qua non*. Nie w sposób jawny, oficjalnie wydawnictwa wymagały przekładów na wysokim poziomie i deklarowały, że tylko takie publikują, ale w praktyce przy zlecaniu tłumaczeń kierowały się zasadą „byle kto, byle jak, byle szybko”.

To właśnie zmusiło ją do poważnego rozważenia propozycji ghostwritingu, choć nie do końca skłamała temu policjantowi, że ktoś z taką ofertą nie ma u niej czego szukać. Bo ostatecznie przyjęła ją dlatego, że się w Naczyńskim zakochała i chciała mu pomóc, a nie, by zarobić. Ciekawe, o jakim niebezpieczeństwie ten glina mówił. Wtedy nie potraktowała tego poważnie, była przekonana, że węszy, by odegrać się na Naczyńskim. Zenek w każdym razie ostrzegł ją, że podpadł pewnemu porucznikowi, gdyż nie tylko odmówił bycia w gotowości podczas meczu Polska – Szwecja, ale jeszcze zadbał, by nie udało się go wezwać. Tłumacz przysięgły miał obowiązek się stawić, jeśli został wezwany na tłumaczenie, ale nie miał obowiązku dyżurować pod telefonem. Gdyby Naczyński zaplanował w weekend wyjazd, alkoholowe libacje albo odcięcie się od świata, żeby medytować, to wcale nie musiał zmieniać swoich planów z racji tego, że do Warszawy przylatywała piłkarska reprezentacja Szwecji. I rzeczywiście odciął się od świata, wyłączając telefon. Ponieważ szwedzcy kibice narozrabiali, a porucznik nie mógł się do niego dodzwonić, złożył na niego oficjalną skargę. Którą oddalono. Przepisy może i nie miały większego sensu, ale takie uchwalono i trudno było karać tłumacza za to, że stosował się do tych obowiązujących, a nie do tych, które, zgodnie z logiką, powinny obowiązywać. Skoro drogą urzędową się nie udało, policjant szukał innego sposobu, by się na nim zemścić.

Wtedy w tę opowieść Naczyńskiego Janina uwierzyła bez zastrzeżeń, teraz zaczynała mieć wątpliwości. Ostatecznie groził jej podczas ich ostatniego spotkania. No tak, ale jeśli ten policjant rzeczywiście prowadził jakąś sprawę, a nie szukał haka na Zenka, to – według jego słów – niebezpieczni byli ludzie zamieszani w tamto przestępstwo. Tak przynajmniej zrozumiała. Mogłaby się upewnić, dzwoniąc do tego porucznika, ale nie pamiętała jego nazwiska, a przychodzącego numeru po tak długim czasie nie byłaby w stanie zidentyfikować. Niewykluczone, że w ogóle się nie wyświetlił. Kiedyś pytała Zenka, dlaczego odbiera telefony z zamaskowanych numerów, nacinając się na wszelkiej maści akwizytorów, i wyjaśnił jej, że mogą być z policji albo z innych służb.

Zresztą po co miałyby się upewniać? Sama ta myśl stanowiła przejaw paranoi, która zawsze była jej obca. Bo co Naczyński mógł jej zrobić? Zgwałcić ją? Nie musiał, oddałaby mu się nader chętnie. Wywieźć do lasu i uwięzić w jakimś opuszczonym bunkrze? Co by mu to dało? Opublikowałby w tym czasie jej przekład jako swój? A co potem? Przecież musiały ją w końcu wypuścić? Zabiłby ją? Klasyczny inteligent w roli kilerka? Śmiechu warte. Tym bardziej że wszystkie te działania straciły rację bytu w momencie, gdy ujawnił Cymelii, że to ona przełożyła „Zamek z piasku, który runął”.

No właśnie. Popatrzyła na ostatniego maila z wydawnictwa. Negocjacje szły mocno ospale i rozważała, czy nie powinna zacząć naciskać na ich zakończenie. Tylko po co? Na pieniądze mogła jeszcze zaczekać, miała odłożoną wystarczającą poduszkę finansową. Jako freelancerka musiała: nie dość, że wydawnictwa płaciły dopiero po oddaniu przekładu, a zaliczki też już należały do przeszłości, to nieraz z dużym poślizgiem. Podpisanie umowy z Cymelią nie dawało jej też pracy, bo tę już wykonała, czyli powinna raczej skupić się na szukaniu nowego zlecenia. Na razie nie miała zajęcia, a przerwy między kolejnymi tłumaczeniami stawały się coraz dłuższe. Jak tak dalej pójdzie, będzie musiała pomyśleć o pracy poza branżą tłumaczeniową albo drastycznie oszczędzać.

Westchnęła ponownie. W Szwecji ze swoim dorobkiem żyłaby na przyzwoitym poziomie ze stypendium. Fundacje, stowarzyszenia literackie i samorządy nieustannie wspierały rodzimych pisarzy i tłumaczy. Jako obcokrajowiec mogła liczyć jedynie na stypendium z Funduszu Pisarskiego, ale pierwszeństwo mieli tłumacze literaccy na szwedzki, a nie ze szwedzkiego. Dwa razy je dostała, ale w najniższej wysokości i zaledwie na rok, choć starała się o dwu- i pięcioletnie. Państwo polskie, które powinno ją wspierać, bo przecież swoimi przekładami nie tylko promowała kulturę szwedzką, lecz także wzbogacała polską, uważało, że artyści mogą przymierać głodem. Przez lata pisała do Ministerstwa Kultury podania o stypendium i było to pisanie na Berdyczów. Przestała, kiedy minister z liberalnej rzekomo partii przeznaczył grube miliony na budowę kościoła (formalnie na kościelne muzeum, żeby obejść przepisy), bo w tej sytuacji odmowne odpowiedzi z uzasadnieniem, że ministerstwu brak środków, nabrały szyderczego charakteru.

Przejrzała przygotowane przekłady fragmentów powieści, wybrała jeden z nich i zredagowała propozycję wydawniczą. Trzy akapity: o książce, o autorze i o sobie. Na wydanie tej akurak powieści niezbyt liczyła, wydawnictwa z jakiegoś powodu nie chciały kierować się rekomendacjami tłumaczy. Był to bardziej sposób na przypomnienie się, żeby zleciły jej przekład książki, którą miały w planach. Działał, więc takie oferty wysyłała regularnie, a że od każdej reguły są wyjątki, zdarzało się, że i wybrana przez nią powieść trafiała na księgarskie półki.

Przy wysyłaniu maila ściągnęła jednocześnie pocztę i zobaczyła, że wśród spamu jest korespondencja z Cymelią. Otworzyła ją.

- No, wreszcie.

Wydawnictwo akceptowało jej żądania, prosiło, by naniosiła poprawki na umowie i odesłała ją ze swoim podpisem. Natychmiast się za to zabrała. Kiedy drukowała ostateczną wersję, z komórki rozległa się melodia przychodzącego połączenia. Ze zdziwieniem zobaczyła, że na wyświetlaczu pojawiło się słowo „Skurwysyn”, które zastąpiło pieszczotliwe „Zenus”.

- Cześć. Czego chcesz?

- Też miło cię słyszeć. Chciałem zapytać, czy załatwiłaś z Cymelią sprawę tłumaczenia „Zamku”.

- A co cię to obchodzi?

- No... chciałbym po prostu wiedzieć, na czym stało. Nie musisz być dla mnie taką wroga, przecież spełniłem twoje żądania.

Ostatnie zdanie zabrzmiało miękko, niemal żałośnie, co nastroiło ją nieco przychylniej.

- Właśnie zakończyłam negocjacje i odsyłam im umowę.

- Uzyskałaś, co chciałaś?

- Można powiedzieć.

- Super, trzeba by to jakoś uczcić. Zapraszam na lampkę wina w mieście dziś wieczorem. Co ty na to?

Zaniemówiła, bo spodziewałaby się wszystkiego, ale nie takiej propozycji. Jednak stłumiła w sobie nadzieję, że chciał do niej wrócić. Coś, czego nie potrafiła zdefiniować, wskazywało, że nie z tego powodu do niej zadzwonił.

Ponieważ milczała, Naczyński powtórzył zaproszenie.

- To jak? Wybierzemy się.

- Nie, nie mam ochoty.

- Daj spokój. Wszystko poszło po twojej myśli, możesz chyba schować urazę i mi wybaczyć. Bardzo mi na tym zależy. W mojej filozofii życiowej nie leży krzywdzenie ludzi i nie chciałbym mieć poczucia, że mnie nienawidzisz, kiedy nasze drogi się rozjedną.

Już miała na końcu języka ponowną odmowę, zwłaszcza że potwierdził, iż wcale nie chciał się godzić, kiedy zmieniła zdanie. W sumie miał rację. To ona wygrała, zabrała mu tłumaczenie, którym tak bardzo chciał zabłysnąć. On ją wprawdzie zostawił, ale jeśli zdoła mu pokazać, że niespecjalnie ją to obeszło, sprowadzi to porzucenie do najzwyklejszego w świecie rozstania. I czyż takie spotkanie nie będzie właśnie doskonałą okazją, by zademonstrować mu, że przeszła nad tym do porządku? I czy wtedy nie zabolą go jeszcze bardziej, że przekład nie ukaże się pod jego nazwiskiem? Zemsta jest rozkoszą bogów. Skoro może mu popsuć smak

wina wzmiankami o wydaniu trzeciego tomu „Millennium” w jej tłumaczeniu, dlaczego miałyby sobie tego odmawiać?

- No, dobrze. Mam czas o ósmej. Jaka restaurację proponujesz?

Zapisała sobie nazwę i podniosła się od biurka. Smętny nastrój się ulotnił, zwycięstwo w negocjacjach z wydawnictwem i myśl, że pognębi byłego kochanka, dodały jej skrzydeł. Postanowiła, że wyszukuje się tak, by Zenek pożałował, że z nią zerwał. Facet jest tylko facetem i na widok mocno umalowanej i skąpo ubranej kobiety komendę nad mózgiem przejmując jego mały przyjaciel. A jak zachce mu się seksu, to spotka się z odmową. Wyobrażając sobie tę scenę, do łazienki weszła, niemal tańcząc. *Między wzniesioną dłońią a owocem drzew / Śpi szczęście, co najłodsze dreszcze daje tonu***, jak pisał poeta, nawiasem mówiąc, też tłumacz literatury skandynawskiej, choć nie z języków oryginalnych.

Restauracja Saska, którą Naczyński wybrał po rekonesansie w okolicy Lasu Kabackiego, kryterium przytulności spełniała w ten sposób, że część sali podzielono na boksy. Chowały się w nich zakochane pary, chcące uniknąć ciekawskich oczu, a przyszedłemu mordercy zależało dokładnie na tym samym. A było przed kim się chować, bo restauracja cieszyła się wśród warszawiaków dużą popularnością. Co Naczyński jednak uznał za zaletę: im więcej gości, tym szybciej wylatywali kelnerom z pamięci.

Z niezadowolaniem przyjął za to strój Janiny, jaskrawoczerwoną sukienkę z dużym dekoltem. Czerwień i biust stanowiły magnes dla każdego męskiego oczu. Tak mu się przynajmniej wydawało, ale szybko okazało się, że był w błędzie. Młodego chłopaka, przyjmującego zamówienie, bardziej podnieciłyby warszawska Syrena. Przesunął po Janinie tak obojętnym wzrokiem, że Naczyński się uspokoił: sama czerwona sukienka nie wystarczała, trzeba by ją jeszcze wypełnić młodym i atrakcyjnym ciałem.

Nie wiedział, czy Janina dostrzegła tę porażkę, raczej nie, musiała być już przyzwyczajona, że przystojni młodzieńcy się za nią nie oglądali, i zamawiając najdroższe wino, wcale się za to nie odgrywała, tylko robiła na złość jemu. Poznała go wystarczająco, by zdawać sobie sprawę, jak zirytuje go tą rozrzutnością. Zwłaszcza że on sam nie pił (dlatego że prowadził i dlatego że planował morderstwo – oczywiście drugiego powodu nie ujawnił). Ale musiał swoją irytację opanować, za nic nie mógł pozwolić, by przedwcześnie zakończyła ich spotkanie.

- No? - Podniosła kieliszek, kolistym ruchem wprawiając wino w lekkie wirowanie, by chłonąć jego bukiet. - Czemu nagle chcesz świętować moje sukcesy, które są przecież twoją klęską?

Postarał się, by werbalne zaprzeczenie wesprzeć mową ciała.

- Źle mnie oceniasz. Ale jeśli chcesz mnie źle oceniać, to nie mówimy przecież o rozgrywce między tobą a mną, tylko tobą a Drukarczykiem. W której od początku ci kibicowałem, wróg mojego wroga jest moim przyjacielem.

- Masz Drukarczyka za wroga?

- Raczej on mnie za swojego.

- Z jakiego powodu?

Naczyński wzruszył ramionami.

- Musiał ustąpić moim żądaniom, a wręcz go skręca, kiedy tłumacz nie tańczy, jak on mu zagra.

- Czyli mnie też znieawidzi?

- Niby dlaczego? - Jeszcze w trakcie tego odruchowego pytania, Naczyński zauważył, że popełnił błąd, bo zdziwił się, że zła krew może narodzić się między ludźmi, którzy nie mają ze sobą kontaktu, i natychmiast postarał się go zatuszować. - Aha, chodzi ci o to, że też jesteś górą w negocjacjach?

- Tak, dostałam siedemset pięćdziesiąt złotych za arkusz.

- Powiedzmy, że ja wyciągnęłam od niego dużo więcej.

- A jak ci się to udało?

- Bardzo chciał, żeby trylogię przekładał ten sam tłumacz, więc miałem mocną pozycję przetargową.

- Chcesz powiedzieć, że dawałeś mu gwarancję podjęcia tego samego murzyna?

Naczyński uśmiechnął się. „A co tam? Zostały jej maksymalnie dwie godziny życia, nikomu już nic nie powie”.

- Tak.

- To czemu nie podnająłeś go przy trzeciej części?

Musiał jednak ograniczyć swoją szczerość, jeśli nie chciał jej wystraszyć i spowodować, by miała się na baczności.

- Bo zginął w wypadku. Zasnął za kierownicą.

Popiła wina, nad czymś usilnie się zastanawiając.

- Hm, dziwne.

- Co w tym dziwnego? Dostyc często przyczyna śmierci na drodze.

- Dziwne jest to, że o tym wypadku nie słyszałam. Nasze środowisko, mam na myśli tłumaczy literatury szwedzkiej, jest bardzo małe, musiałyby do mnie dotrzeć, że ktoś z nas zabił się w ten sposób. Pamiętam, jak Andrzej Chojecki popełnił samobójstwo, wszyscy o tym mówili, mnie powiedział sam Anders Bodegård. Brałam wtedy udział w seminarium przekładu literackiego na Uniwersytecie Sztokholmskim, Anders prowadził tam grupę odwrotną do naszej, czyli tłumaczącą z polskiego na szwedzki.

Naczyński musiał przed sobą przyznać, że ogromnie mu zaimponowała: poznała osobiście legendarnego tłumacza literatury polskiej, tego, któremu, jak wieść niesła, Szyborska zawdzięczała Nobla. W mniej dobrym przekładzie jej poezja nie zachwyciłaby akademików. Choć sam Bodegård w wywiadach temu zaprzeczał, mówiąc, że wie o takim przekonaniu Polaków, ale nie odpowiada ono prawdzie.

- To nikt ze środowiska. Ogromny talent, ale nie zdołał nic wydać.

- Przykre to. Fuszerzy pokroju Jasińskiej-Brunnberg publikują, bo godzą się na grosze, a ceniący się tłumacze nie mogą konkurować jakością, bo wydawnictwo poziom przekładów nie obchodzi. Czytałeś „Marsjanina”? Niejaki Marcin Ring to tłumaczył. Błąd na błędzie.

- Nie czytałem, nie przepadam za science-fiction. Ale nie obilo mi się o uszy, że fatalne tłumaczenie, a przy takim bestsellerze powinno. Przecież nawet film nakręcono.

- Na tym właśnie polega problem – zauważyła Janina – poza samymi tłumaczami nikogo nie rusza, że to parodia przekładu, czytelnicy i recenzenci nawet tego nie zauważają.

- Nic dziwnego, kiedy nie znają angielskiego i nie mają możliwości porównania z oryginałem.

- W tym wypadku nie trzeba, Ring tłumaczy bełkotliwą polszczyzną i tak fatalnie, że poszczególne sceny tracą sens. Na przykład w centrum kontrolnym orientują się, że ktoś przestawił łazik na Marsie, bo stał przodem do stacji, a stoi tyłem. A Ring przełożył, że się zorientowali, bo stał przodem, a stoi przodem.

- Naprawdę? – Intonacja Naczyńskiego wyrażała pełne niedowierzanie. – Nawet na studiach na technice tłumaczeń najslabsi z nas nie popełniali takich błędów.

- I tego typu kwiatki są co kilka stron.

Kiedy je zgłębiali, kelner podał im potrawy. Swoim zamówieniem Janina nie uderzyła tutaj Naczyńskiego po kieszeni, bo z dbałości o linię ograniczyła się do bezmięsnej sałatki. On sam wzięł dobrze wysmażony stek. Zazwyczaj jadał krwisty, ale zależało mu na wydłużeniu wizyty w restauracji. Im bliżej północy, tym bardziej wydudniony Las Kabacki i malejące ryzyko natknięcia się na świadków. Z tego względu namówił Janinę, by spotkali się nie o ósmej, a dopiero o dziewiątej. Restauracja i tak pracowała do ostatniego gościa.

Przy jedzeniu od neutralnej rozmowy o przekładowych bublach – i w sumie przyjemnej, skoro temat ich oboje interesował – Janina przeszła ponownie do celu ich spotkania, pytając o niego wprost.

- Nadal nie wiem, dlaczego mnie tu ściągnąłeś. Sorry, ale nie kupuję tej gadki, że chciałeś mi pogratulować.

- To nie gadka, naprawdę nie ma w tym drugiego dna. Po prostu uważam, że w życiu zbyt często dochodzi do sytuacji, w których ludzie stają się wrogami. Godne ubolewania, zwłaszcza że kilkoma prostymi, przyjaznymi gestami można temu zapobiec. I to zaproszenie jest pomyslane właśnie jako taki przyjazny gest.

Popatrzyła na niego, nieprzekonana, i sięgnęła po papierosy. Naczyński wskazał tabliczkę z zakazem palenia.

- Wyjdziemy później na zewnątrz, to zapalisz.

Odłożyła etui na stół.

- Od kiedy to jesteś taki ugodowy? Dotąd jakoś ta twoja cecha charakteru się nie ujawniała.

- W pewnych momentach rzeczywiście mnie poniosło, za co przepraszam. Ale, jak widzisz, staram się pracować nad sobą.

Posiłek dokonczyli już w milczeniu, nie licząc zdawkowych uwag o restauracji i obsłudze.

- Wytrzymasz jeszcze trochę bez papierosa? Mam ochotę na deser.

Skinęła głową.

- Wezmę kawę.

Przywołał gestem ręki kelnera, ale tak, żeby ten nie miał szans go zauważyć. „Udało się” dopiero za trzecim podejściem. Dla siebie wziął rozbuchany puchar lodowy: nawet jeśli przygotowanie nie potrwa zbyt długo, to długo będzie go jadł.

- To też nowość, nie pamiętam, byś kiedykolwiek brał lody na deser.

- Czy człowiek nie rozwija się właśnie dzięki temu, że chce próbować nowych rzeczy?

Zobaczył, że zrobił na niej wrażenie tą sentencją – nic dziwnego, że się w nim zakochała, kobiety zakochują się uszami.

Pomyślał, jak zwlekać z płatnością za kolację, Naczyński nie miał – mógłby zmniejszyć limity na kartach, żeby terminal po kolei je odrzucał, ale płacenie kartą zostawiłoby ślady – tak więc zaraz po deserze opuścili restaurację. Ale zrobiło się już wystarczająco późno. Samochód zaparkował tak, że musieli przejść przez nieoświetloną i odludną część lasu, gdzie poprzedniej nocy wykopał grób. Odkrycia się nie bał, nie ozdobił go przecież krzyżem, każdy, kto natrafiłby na wykop, uznałby, że przeprowadzane są jakieś roboty.

Szli w milczeniu. Janina zrezygnowała z dociekania, dlaczego chciał się z nią spotkać, albo mu uwierzyła, albo doszła do wniosku, że nic z niego nie wyciągnie, a on po raz ostatni przechodził myślą poszczególne etapy morderstwa. Jeśli nie da się czegoś przeciwczyć w praktyce, trzeba chociaż na sucho.

- Przepraszam, ale muszę na stronę – powiedział, kiedy zbliżyli się do wykopu.

- Nie mogłeś w restauracji? Normalnie jak małe dziecko...

Wzruszył ramionami i wszedł w zarośla. Odetchnął z ulgą, odnajdując ukrytą w krzakach broń. To był słaby punkt planu, ale wydrukowany pistolet miał gabaryty dużej zabawki i do żadnej kieszeni ani saszetki by się nie zmieścił.

Wziął go i wrócił na ścieżkę. Janina wyciągała właśnie z etui kolejnego papierosa, najwyraźniej jeden nie zaspokoił głodu nikotynowego po przeciągającej się kolacji.

- Co tam takiego znalazłeś?

Wycelował w nią. W głowę.

- Przykro mi, ale za dużo wiesz. Musisz umrzeć.

Zaśmiała się, co trochę go zdeprymowało.

- Rzeczywiście jak małe dziecko. Ale wcale mnie nie dziwi, że nie wyrosłeś jeszcze z bawienia się plastikowymi pistolecikami.

Nie zdawała sobie sprawy, że wymierzył w nią prawdziwą, śmiercionośną broń. Dobra nasza. Przysunął wylot lufy do jej czoła.

- Przestań!

Podniosła rękę, by odepchnąć pistolet, i uderzyła w niego tuż przed strzałem. Kula rozorała skroń, ale nie powaliła Janiny na ziemię, rana musiała być powierzchowna. Za to huk, ból i krew zalewająca oczy powiedziały jej, że to nie żarty. Rzuciła się do ucieczki. Naczyński zaklął i pognał za nią. Nie dość, że miał jeszcze tylko jedną kulę, to po kilkunastu metrach zorientował się, że musi strzelić w biegu. Bo Janinę albo napędzała adrenalina, albo po prostu była w lepszej kondycji od niego i pierwotny zamiar, by ją dopaść i przewrócić na ziemię, okazywał się niewykonalny.

Zdobył się na ostatnie przyspieszenie, by znaleźć się możliwie blisko, uniósł rękę z pistoletem i wystrzelił. Oddechu nie musiał wstrzymywać, bo i tak ledwie go łapał, ale z napięciem wyczekiwał efektu strzału. Gdyby Janina pobiegła dalej, był załatwiony; nie tylko

w tym sensie, że wyszłyby na jaw przekręty z przekładem, poszedłby siedzieć za próbę zabójstwa. I najpierw rzeczywiście wyglądało na to, że zrobi dalsze kroki, ale ten obraz chyba podsunęła mu wyobraźnia, bo jednak pod Janiną ugięły się nogi i runęła na ziemię. Dopadł do niej, uradowany, że ją trafił. Potem przyszło rozczarowanie. Straciła przytomność, bo nie jęczała ani nie wykonywała żadnych ruchów, jednak słaby powiew z ust, który wyczuł, kiedy oglądał jej głowę, żeby znaleźć drugą ranę, nie pozostawiał wątpliwości: oddychała.

Ale ta druga rana go uspokoiła. Poświeciwszy sobie smartfonem odkrył, że kula weszła poniżej ucha, kanał wlotowy odsłaniał mózg, nikt po takim postrzale nie mógł przeżyć, jeśli nie trafił od razu do szpitala. Tym bardziej jeśli został pogrzebany żywcem. Może poza Lisbeth Salander, ale to była powieść, nie rzeczywistość.

Schował pistolet do przygotowanej reklamówki, dzięki czemu nieporęczny przedmiot nie krępował mu ruchów, złapał Janinę za nogi i pociągnął z powrotem w stronę wykopu. Zanim skręcił ze ścieżki w zarośla, zobaczył, że coś na niej bieleje. Papierosy, które wypadły z również porzuconego etui. Zebrał wszystko i położył na bezwładnym ciele, które dociągnął do przyszłego grobu.

Następny etap musiał przeprowadzić w rękawiczkach i kiedy je nakładał, uświadomił sobie straszny błąd. Papierosów i etui dotykał gołymi rękami. Na szczęście, skoro zorientował się w porę, konsekwencją była tylko strata czasu, którego mu nie brakowało, noc miała być jeszcze długa. Nakazał sobie spokój, wytarł odciski palców i zastanowił się, czy nie zostawił ich jeszcze gdzie indziej. Potem wyciągnął z torebki Janiny smartfona i przełożył kartę SIM do nowej komórki. Zablokował ją PIN-em i wrzucił razem z torebką do wykopu. Ponieważ ten miał około metra głębokości, nie musiał do niego wskakiwać, żeby wyjąć zostawiony na dnie szpadel.

Upewniwszy się, że wykonał wszystkie punkty swojego planu, zepchnął Janinę do dołu. Wydawała się przytomnieć, ale grudy ziemi, które poleciały jej na twarz, powinny szybko ją uduśić.

Nie maskował śladów kopania, skuteczne ich zakrycie nie było możliwe. Rzucił za to na świeżo wzruszoną ziemię biało-czerwoną taśmę gradzącą. Teraz każdy, kto by się tu zabląkał, uznałby, że to pozostałość robót gazowych czy wodociągowych, po których robotnicy nie raczyli posprzątać. Sam wziął ją ze śmieci po opuszczonej budowie. Wrócił na ścieżkę, zabierając szpadel i reklamówkę z pistoletem. Rozejrzał się, czy coś jeszcze nie zostało, i wtedy uświadomił sobie, że zostało, jednak nie miał szans tego odnaleźć: pierwsza kula. Ale chyba nie stanowiła większego zagrożenia. Nie wiedział wprawdzie, jakie dokładnie procesy fizyczne zachodzą przy strzale, ale pocisk musiał rozgrzewać się do temperatury, która niszczyła wszelkie DNA w osiadłych na nim fragmentach skóry i drobkach krwi. Poza tym ewentualny znalazca niekoniecznie musiał rozpoznać, że to wystrzelona kula, a nawet gdyby rozpoznał, prawdopodobieństwo, że pójdzie z nią na policję, było znikome. W krzakach buszowały przede wszystkim dzieciaki, dziewczynki kawałkiem metalu się nie zainteresują, dla chłopaka atrakcją będzie pokazywanie znaleziska kolegom.

Naczyński wstał roztrzęsiony po nocy pełnej majaków, rwanego snu, przewracania się z boku na bok, aż zniecierpliwiona Grażyna rzuciła „Co się tak wiercisz?”. Reakcja własnego organizmu go zaskoczyła, bo raz już zabił i nie pociągnęło to za sobą większych emocji. Za drugim razem powinien być całkowicie spokojny, tymczasem znajdował się niemal na granicy hysterii.

Przejrzał domową apteczkę, chociaż wiedział, że żadnych środków uspokajających w niej nie znajdzie. Potem wziął długi prysznic, biczując się na przemian strugami gorącej i lodowatej wody.

Na śniadanie nie miał najmniejszej ochoty. Zrobił sobie tylko kawę, która może nie jest najlepszym napojem, kiedy człowiek się trzęsie, ale wiedział, że bez codziennej dawki kofeiny

potrafił poczuć się tylko gorzej. Jeśli nie wypił rano kawy, intensywny ból głowy pojawiał się po dwóch godzinach jak na zamówienie.

Samo krzątanie się wokół ekspresu trochę go uspokoiło, a później próba chłodnej analizy, dlaczego tak źle zareagował. Nie mogło chodzić o to, że zabił człowieka. Wtedy również zabójstwo Witka wytrąciłoby go z równowagi. Nie wytrąciło, bo przebiegło zgodnie z planem, bez komplikacji. To musiał być powód: mordując Janinę, stracił kontrolę. Był o krok od przegranej. Nie od przegranej, od klęski. Od życiowego Waterloo.

Ale wygrał tę bitwę. Odwrócił jej losy i zwyciężył, więc mógł się uspokoić. Nie sztuka wygrywać, kiedy ma się przewagę, a okoliczności sprzyjają. Prawdziwy charakter pokazuje się, stojąc pod ścianą, zwalczając przeciwności. I pokazał go. Z pistoletu o dużym rozrzucie trafił idealnie w pełnym biegu. Można powiedzieć, że szczęśliwie, ale nie strzelał na oślep, tylko maksymalnie się skoncentrował. Pomógł swojemu szczęściu.

Myśl o pistolecie uświadomiła mu, że musi się go pozbyć wraz z drukarką. Dopił kawę, zabrał drukarkę, zrzuciwszy ją uprzednio kilka razy ze stołu, i szedł do garażu. Broń miał w bagażniku, z konieczności, bo pod siedzeniem się nie zmieściła. Tymczasem policjant kontrolujący samochód do bagażnika mógł zajrzeć zawsze, ale nigdy nie przyszedłoby mu do głowy zaglądać pod siedzenie. Musiałby mieć informację, że kierowca przewozi coś nielegalnego, i dokonać regularnego przeszukania. Naczyński pocieszył się jednak tym, że prawdopodobieństwo samej kontroli było nikłe, a jeszcze mniejsze, że policjant każe otwierać bagażnik kierowcy, który nie wyglądał na bandytę. A nawet gdyby te wszystkie nieprawdopodobieństwa się ziściły, to zapewne podobnie jak Janina uznałby, że pistolet jest dziecięcą zabawką. Wyczułby wprawdzie zapach prochu, gdyby go obwąchał, ale co miałyby go skłonić do wążania zabawki?

Naczyński sprawdził wcześniej, że wydrukowane przedmioty podlegają idealnemu recyklingowi: można je z powrotem przerobić na filament. Przynajmniej w teorii, bo w praktyce topiony i utwardzany na przemian plastik tracił swoje właściwości i po jakimś czasie nie bardzo dało się z niego drukować. Ale on tego filamentu z odzysku nie zamierzał do niczego wykorzystywać.

Do całej operacji potrzebował dwóch dodatkowych maszyn: niszcarki i wytłaczarki, a nie chciał ich kupować. Też ze względu na koszty, ale przede wszystkim ich obecność od razu powiedziałyby śledczym, że filament, który ma na szpuli, mógł być wcześniej pistoletem. W tym nieprawdopodobnym przypadku, gdyby do niego zawitali, ale cały jego plan morderstw opierał się na tworzeniu wielostopniowych zabezpieczeń. Po pokonaniu wydawałoby się niepokonywalnej przeszkody śledczy mieli stanąć bezradni przed następną. I to skutkowało: Kolonko niby coś tam wywęszył, a i tak kręcił się w kółko jak bączek puszczony przez dziecko.

Maszyny można jednak przed kupnem obejrzeć i wypróbować i na takie właśnie oglądanie był w sklepie umówiony. Nie zdołał wprawdzie wymyślić, jak pozbyć się ekspedienta, który mu będzie przy tym asystował, ale doskonale mógł improwizować. Jeśli nie nadarzy się okazja, by niepostrzeżenie wrzucić pistolet do niszcarki, po prostu zostawi go w torbie. A później spróbuje w innym sklepie albo rozważy inne możliwości pozbycia się broni.

Okazało się to niepotrzebne, ekspedient musiał zajmować się też innymi klientami, a że proces rozdrabniania starego plastiku i wytłaczania nowych zwojów filamentu trwał dosyć długo, nie mógł przy Naczyńskim tkwić cały czas. Pokazał mu, jak maszyny obsługiwać, a potem zostawił, żeby sam je sobie przetestował. I przez nikogo nieobserwowany Naczyński zmielił pistolet w drobny mak. To znaczy w drobny plastik. Na wypadek, gdyby policja jakimś cudem tu za nim trafiła, wytłoczył też trochę filamentu, by sprzedawca nie zeznał, że klient, choć deklarował zainteresowanie odzyskiem, ograniczył się do rozdrabniania starego plastiku.

Po zniszczeniu pistoletu pojechał do punktu odbioru śmieci. Zniszczona drukarka wyładowała na stosie zużytego elektronicznego sprzętu.

- Powodzenia w jej szukaniu - mruknął, wyjeżdżając za bramę i kierując się w stronę osiedla Janiny.

Drzwi do jej mieszkania otworzył sobie kluczem, który potajemnie dorobił, kiedy zaczął snuć plany jej zabójstwa i uznał, że będzie musiał podmienić laptopa. Wtedy zakupił także dublet. Używany, bo tańszy, ale też lepiej się na taką podmianę nadający. Teraz wyciągnął go

z torby i połączył kablem USB z laptopem Janiny, żeby przekopiować dane. Wszystkie poza tłumaczeniem „Zamku, który runął”. No i mailami, które między sobą wymieniali. Prywatnymi oraz tymi, w których udawał wydawnictwo. Ponieważ Janina przekierowywała sobie kopie maili na smartfona, temu też służyła zamiana komórek, a nie zatajeniu rozmów telefonicznych. Do uzyskania billingów policja nie potrzebowała aparatu.

Kiedy był gotowy ze sprzętem, zabrał się za metodyczne wycieranie odcisków palców. Ze względu na billingi nie mógł zaprzeczyć, że się z nią kontaktował, ale nic nie stało na przeszkodzie, by usunął dowody na głębszą zażyłość czy w ogóle znajomość. Wątpił, by w takim anonimowym wieźowcu ktoś zapamiętał go jako regularnego gościa, więc poza odciskami palców nic jej nie potwierdzało. A wyjaśnienie swoich kontaktów z Janiną miał dla Kolonki przygotowane: dowiadywał się u niej, jakie są szanse na wydanie tłumaczeń Witka, bo chciał spełnić pośmiertne życzenie kolegi, i prosił ją o pomoc w doprowadzeniu do publikacji.

Praktyczne działanie uspokoiło go jeszcze bardziej i do domu wrócił niemal całkowicie rozluźniony. Po drodze zastanawiał się nad swoją sytuacją i doszedł do wniosku, że jest idealna. Kolonko, usiłujący znaleźć jakiś punkt zaczepienia w sprawie śmierci Stypuły, doznał tak dotkliwej porażki jak Polska w meczu z Senegalem. Janina nie przejęła przekładu, a teraz spoczywała metr pod ziemią. I trochę potrwa, zanim ktoś w ogóle zacznie jej szukać. Praca na własny rachunek i niezbyt zażyłe więzi rodzinne skutecznie chroniły (jego, nie ją) przed natychmiastowym alarmem o zaginięciu. Ponadto po takich alarmach policja i tak nie była zbyt aktywna, jeśli zgłoszenia dotyczyły dorosłych. Statystyki mówiły bowiem, że w znakomitej większości cieszyli się dobrym zdrowiem i życiem, tyle że chcieli się nim cieszyć z dala od dotychczasowego środowiska. Co innego, kiedy na powierzchni pojawiał się trup. Takiej sytuacji nie mógł oczywiście wykluczyć, ziemia to nie beton, mogą ją drażnić robotnicy czy zwierzęta. Ale to oznaczało jedynie śledztwo w sprawie morderstwa, a do udowodnienia mu tego morderstwa było bardzo daleko.

Tylko dwie osoby wiedziały, że nie on przełożył „Millennium”, i obie zamilkły na wieki. W sumie na własne życzenie, nie miał takich planów, że pozbędzie się ich po zakończeniu tłumaczenia, przymusiły go do tego swoim szantażem. Mógł jednak być bardzo zadowolony, że tak się ułożyło. Ryzyko ujawnienia tajemnicy rośnie wprost proporcjonalnie do liczby znających ją ludzi. Nawet jeśli uchodzą za godnych zaufania. A skoro znał ją tylko on, nie było najmniejszego ryzyka, że kiedykolwiek zostanie zdemaskowany.

Poczuł euforię. Jak po pierwszym seksie, po zrobieniu prawa jazdy, po dostaniu się na studia, zdobyciu Grażyny, wydaniu pierwszej części trylogii. Zawsze wtedy i teraz miał wrażenie, że świat leży u jego stóp.

Rudy lis wysunął szpiczasty pysk z zarośli, starając się węchem ustalić, czy nieruchome duże stworzenie rzeczywiście jest padliną, którą można będzie się pożywić. Zapachu rozkładu nie wyczuł, ale że nie dostrzegł ani drgnięcia, które wskazywałoby na sen, wyszedł z krzaków i brnąc przez rozkopaną ziemię, zbliżył się do potencjalnego posiłku. Ostrożnie, gotów w każdej chwili do ucieczki, z przeciwnikiem o takich gabarytach nie miał żadnych szans.

Obwąchał kończyny stworzenia, po czym, uspokojony nadal trwającym całkowitym bezruchem, w jednej z nich zatopił zęby.

Przeraźliwy ryk przeszył powietrze i wrażliwego na dźwięki lisa, który nie zwlekając ani sekundy, pognął z powrotem w dające schronienie zarośla. Potencjalna potrawa jednak wcale go nie goniła, tylko zaczęła tarzać się po ziemi, wyjąc z bólu. Potem kiedy ten zelżał i dało się go wytrzymać, z powrotem znieruchomiła, starając się sobie przypomnieć, jak to się stało, że znajduje się w lesie i gryza ją drapieźniki.

Strzał. Nie, dwa strzały. Rozbłyski w mózgu. Ciemność. Ziemia lecąca na twarz. Odruchowe przekręcenie głowy w poszukiwaniu powietrznego bąbla. Ręka gorączkowo macająca za jakimś punktem oparcia, pozwalającym się podnieść. I która coś znalazła.

Janina spojrzała na swoją prawą dłoń. Wciąż zaciśniętą mimo tarzania się po ziemi z bólu. Wciąż trzymającą przedmiot, który uratował jej życie. Jak na ironię prezent od niedoszłego mordercy: etui od papierosów. Mozolnie się nim odkopała. Całą noc to trwało, bo było już jasno. A może nie całą? Ileś czasu leżała przecież nieprzytomna. Teraz też odczuwała zawroty głowy, była bliska zemdenia. Musiała wstać i poszukać pomocy.

Kiedy próbowała wprowadzić ten zamiśl w życie, przez jej czaszkę jakby popłynął prąd. Z elektrowni atomowej. Padła z powrotem na ziemię. Jeśli straciła przytomność, to nie na długo. Spróbowała krzyku. Czy w tej okolicy mogli być jacyś ludzie? I czy będą ją w stanie usłyszeć, kiedy z jej gardła wydobywało się ledwie kwilenie?

Dostrzegła rozchylające się zarośla. Znowu lis? Ten sam, zwabiony smakiem krwi, zagłuszającym strach? Jednak przy jej nadgryzionej stopie stanął może ośmioletni piegowaty chłopiec. Chciała mu powiedzieć, żeby zadzwonił po karetkę, dzieci w jego wieku miały już telefony komórkowe, a rodzice z pewnością nauczyli go, jak się wzywa pogotowie, ale nie potrafiła przełożyć tej myśli na słowa. Coś ją blokowało. Tylko co?

Rany boskie, przeraziła się, przecież on mi strzelił w głowę. Straciłam mowę.

Uniosła rękę, żeby dotknąć skroni i sprawdzić, jak wygląda rana. Ten gest najwyraźniej przestraszył chłopca, bo w reakcji obrócił się na pięcie i pognął w krzaki.

- Cze... kaj.

Jednak mówiła. Ledwo ledwo, ale mówiła. Słabo słyszalne słowa oczywiście nie zatrzymały małego. Fatalnie. Owszem, sama jego obecność napawała nadzieją, bo w pobliżu mogli być też inni ludzie. Tyle że dorośli raczej nie zbaczali ze ścieżek, a krzykiem najwyraźniej nie była w stanie ich ściągnąć. I potrzebowała pomocy teraz, a nie za parę godzin. Została przecież postrzelona w głowę, kilka godzin czekania mogło oznaczać dla niej wyrok śmierci.

Zastanowiła się, gdzie Zenon trafił ją za drugim razem. Chociaż była cała obolała, to ostry ból przeszywał tylko jej stopę i głowę. Do stopy dorwał się lis i bardzo wątpliwe, żeby jednocześnie tkwiła tam kula. Zenon chciał ją zabić, nie celowałby w nogi, a jeśli tak fatalnie spudłował, to nie straciłaby przytomności zaraz po postrzale. Obmacała głowę i ku swemu przerażeniu odkryła, że u nasady czaszki ma dziurę, do której może włożyć palec. Musi natychmiast do szpitala!

Jęcząc, przewróciła się na brzuch i przeczołgała ze wzruszonej ziemi na wilgotny trawnik. Nie dość, że pokonanie kilku metrów zajęło jej całą wieczność, to na dalsze przesuwanie się zabrakło jej sił. Rozpląkała się.

- Gdzie?

- Tam.

Dziecięcy głos odpowiedział na pytanie mężczyzny. Słyszała, że przed śmiercią człowiekowi przesuwają się całe życie przed oczami, a nie, że miewa się halucynacje, ale to pewnie indywidualna kwestia. Nie mówiąc o tym, że dziura w głowie może całkowicie zmieniać wrażenia.

- Nikogo nie widzę.

- Schyl się, bo gałęzie ci zasłaniają. Zobacz, tam leży.

- Rany boskie!

Ktoś przy niej przykleknął, położył jej rękę na plecach.

- Proszę pani, co pani jest?

Chciała wyjaśnić, ale jej słowa gdzieś po drodze przerodziły się w niezrozumiały charkot. Przestraszyła się, że wezmą ją za pijaną i zostawią.

- Boże, pani jest cała zakrwawiona, proszę się nie ruszać, już wzywam karetkę.

Zalecenie, żeby się nie ruszała, było zbędne, nie miała na tyle siły. Świadomość, że jest ratowana, sprawiło, że opadło z niej napięcie i z ulgą sobie zemdłała.

Sierżant Michta odebrał telefon od dyżurnego Komendy Wojewódzkiej, po pierwszych dwóch zdaniach rozmówcy gwałtownie się wyprostował i zaczął pilnie notować. Od razu po

odłożeniu słuchawki poderwał się i wybiegł z pokoju. Choć może nie z taką dynamiką, jak by chciał, bo olbrzymia tusza spowalniała jego ruchy.

- Panie poruczniku!

Kolonko, siedząc w fotelu, wpatrywał się w okno i do biurka obrócił się nieśpiesznie. Albo pochłonięty problemem, który rozważał, albo chcąc dać sierżantowi czas na złapanie oddechu.

- Tak?

- Mamy próbę zabójstwa w Lesie Kabackim. Postrzelona kobieta, zaraz będzie operowana, powiadomiła nas załoga karetki.

- Jak się nazywa?

- Nie wiemy, nie miała przy sobie żadnych dokumentów. A zabrano ją nieprzytomną.

- Czyli nie była też w stanie powiedzieć, kto do niej strzelał?

Micha przytaknął, że od nieprzytomnych rzeczywiście trudno się czegokolwiek dowiedzieć.

- To skąd załoga karetki wie, że próba zabójstwa, a nie samobójstwa?

Pytanie zaskoczyło sierżanta, wyraźnie o takiej alternatywie nie pomyślał i nie zaopatrzył się w informacje, które by ją wykluczały.

- Na ile poważne są jej obrażenia?

- Zagrożające życiu. Ranna w głowę. Najbardziej prawdopodobne jest, że nie przetrzyma operacji albo zostanie po niej wazywem.

- No, nic, obejrzymy sobie najpierw miejsce zamachu. Albo zdarzenia. - Kolonko podniósł się z fotela. - Technicy już w drodze?

- Zaraz ich posyłam.

- W porządku, spotkamy się na dole.

Kiedy Micha się oddalił, żeby powiadomić techników, porucznik nałożył płaszcz i wyciągnął z kieszeni elektronicznego papierosa. Zapalił, ignorując zakazujące tego tabliczki, i skierował się do windy. W jego ruchach nie było cienia ekscytacji, wyraźnie uznał sprawę za rutynową, myślami krążył gdzie indziej. Do tego stopnia, że po usadowieniu się w maluchu chciał ruszyć, zapomniawszy o sierżancie. Ten jednak zmaterializował się przed maską, machając rozpaczliwie rękami.

- Panie poruczniku, nie prywatnym. Radiowozem na sygnale.

- Moim też możemy na sygnale.

Kolonko sięgnął po syrenę leżącą na podłodze przed siedzeniem pasażera i chciał pokazać sierżantowi na dowód, ale zahaczył kablem o dźwignię ręcznego i ten urwał się tak lekko jak przetarta nitka. Zdeprymowany porucznik popatrzył na lampę, która została mu w ręku.

- Sparciał - zauważył Micha. - Chyba lepiej będzie radiowozem.

Już bez dalszych protestów Kolonko się przesiadł, a sierżant ciężką nogą i pewną ręką poprowadził policyjnego passata ulicami stolicy. Do samego Lasu Kabackiego dotarli przed technikami, ale ci szybciej odnaleźli miejsce, z którego ranną zabrał ambulans. Kiedy Micha parkował obok ich furgonetki, wyciągali z niej właśnie swój sprzęt.

Tym poczynaniem niepewnie przyglądał się błądy mężczyzna z ośmioletnim chłopcem u boku i sztykował się do zadania jakiegoś pytania, ale uznał, że lepszym adresatem będzie kierowca passata.

- Panowie z policji? To ja ją znalazłem, a właściwie mój syn, i wezwałem pogotowie, sanitariusze kazali mi tu na państwa zaczekać.

Zanim Micha zdążył odpowiedzieć, ubiegł go szef techników.

- Pan ją znalazł? Gdzie dokładnie? Proszę nam pokazać.

- Tam w krzakach.

- Niech pan nas zaprowadzi. Tą samą drogą, którą wrócił pan na ścieżkę.

Mężczyzna wykonał polecenie, a technicy i policjanci ruszyli za nim gęsiego, żeby do minimum ograniczyć ryzyko zdeptania śladów. Kiedy wyszli z zarośli, prowadzący wskazał na rozkopaną ziemię.

- Tutaj leżała.

Podczas gdy technicy zabrali się do pracy, Kolonko poprosił go, by dokładnie opisał mu całą sytuację. Z uwagą wysłuchał relacji, zadał kilka dodatkowych pytań, po czym odesłał go do domu, każąc najpierw podać personalia sierżantowi.

- Zalecam, by chłopiec porozmawiał z naszym policyjnym psychologiem. Na razie chyba odbiera to jako emocjonującą przygodę, ale emocje opadną i przyjdzie mu zmierzyć się ze świadomością, że znalazł bliską śmierci kobietę.

- Dziękuję, nie trzeba.

- Nalegam. Dla dorosłego jest to traumatyczne przeżycie, a co dopiero...

- Przepraszam - ojciec dziecka wszedł porucznikowi w słowo - myśląc panu odpowiedziałem. Adaś jest już pod opieką psychologa, z powodu rozwodu, jego matka niedawno nas porzuciła. Dlatego też staram się spędzać z nim jak najwięcej czasu i stąd ten nasz spacer po lesie przed szkołą.

- Aha, skoro on się nim zajmie...

- Ona, to kobieta.

Płeć psychologa była już porucznikowi obojętna i zwrócił się ku technikom, którzy ku jego zaskoczeniu zaczęli kopać dół. Zagadnięci o to dziwne działanie, z triumfem pokazali Kolonce damską torebkę.

- Wygląda na to, że ona była pogrzebana.

- Torebka?

- Też, ale przede wszystkim ta kobieta. To jest świeżo zasypyany wykop o wymiarach grobu. A torebka dowodzi, że ofiara w nim leżała. Sprawca zepchnął, jak mu się wydawało, zwłoki do wykopu i wrzucił torebkę, żeby nie zostawiać jej na wierzchu.

Na chwilę zapanowało przygnębiające milczenie, bo wszyscy pomyśleli o tym samym, że niedoszły morderca wcale nie musiał być przekonany o śmierci ofiary, że mógł ją pogrzebać żywcem.

- Ale jak zdołała się wydostać? - To pytanie, też nurtujące wszystkich, zadał sierżant.

Szef techników wzruszył ramionami.

- Człowiek walczący o życie jest zdolny do wszystkiego, niemal do pokonania praw fizyki.

- Zarzućcie na chwilę to kopanie, drugich zwłok tam raczej nie ma, i zdejmijcie najpierw ślady z torebki - nakazał porucznik. - Bardzo mnie interesuje jej zawartość.

Kolonko liczył na to, że w środku będzie dowód osobisty ofiary, i nie zawiodł się.

- Janina Cedro. - Obrócił w rękę plastikowy prostokącik. - Skądś znam to nazwisko. Tylko skąd?

Przejrzenie pozostałych przedmiotów nie pomogło pamięci porucznika.

- Do diaska. Mam wrażenie, że to istotne.

- Może myśląc - Michta chciał odwrócić przełożonego od bezproduktywnych rozważań. - Zwykle, jak nie możemy sobie czegoś przypomnieć, myślimy, że to coś ważnego, a potem okazuje się, że duperela.

Ta konkluzja zrobiła większe wrażenie na samym sierżancie, który normalnie nie potrafił wygłaszać tego rodzaju mądrości, niż na Kolonce, nadal skupionym na próbach przypomnienia sobie, gdzie zetknął się z nazwiskiem ofiary.

- Bardzo charakterystyczne... i raczej rzadkie... żaden celebryta tak się nie nazywa... moja żona w każdym razie żadnego nie wymieniała, a ona jest na bieżąco... zresztą wiedziałbym, co słyszałem od żony, a co przewinięło mi się w jakiejś sprawie...

Na dłuższą chwilę zapanowało milczenie, przerywane tylko odzywkami techników. W końcu porucznik westchnął.

- Nie przypomnę sobie. Musimy wejść do jej mieszkania. - Podał dowód Michcie. - Niech pan ustali adres, sierżancie.

- Już się robi.

Ominięcie biurokratycznych procedur zajęło sierżantowi aż dwadzieścia minut. Albo tylko z punktu widzenia kogoś, kto nie miał jowialnego sposobu bycia - który wcale nie wiązał się automatycznie z tuszą, jak większość ludzi była skłonna zakładać - i przez lata służby nie zdołał zyskać rzeszy przyjaciół w strategicznych miejscach policyjnej maszyny.

W ciągu tych dwudziestu minut technicy znaleźli komórkę ofiary, ale i tu czekało Kolonkę rozczarowanie: była zabezpieczona PIN-em i musiała trafić najpierw w ręce informatyka. Kiedy więc znaleźli się w radiowozie i Michta uruchomił syrenę, nie mieli jeszcze nic w ręku.

Na osiedle dotarli bez przeszkód, raz tylko sierżant, który jechał bardzo szybko, nie zdołał skręcić w porę zgodnie ze wskazówkami nawigacji i musieli zawracać. Do bramy i mieszkania dostali się dzięki kluczom zabranym z torebki.

Kolonko, choć po drodze wydawał się nadal zastanawiać, skąd zna nazwisko ofiary, zatrzymał się w drzwiach, jakby nagle przestało go to interesować. Michta spojrzął na niego ze zdziwieniem.

- Panie poruczniku...

- Zastanawiam się od czego zacząć.

- Najlepiej od laptopa. Można w ogóle popatrzeć, co o sobie pisze na fejsie. Sprawdziłbym od razu w swoim telefonie, ale pan porucznik kazał szukać adresu, a potem jechać i nie było czasu.

- Moja żona ma konto na Facebooku, ja nie, więc nie wszyscy są. Ale niech pan sprawdzi, sierżancie, ja rozejrzę się bardziej tradycyjnie.

Michcie nie trzeba było dwa razy powtarzać, zasiadł do laptopa, jednak po dwóch minutach musiał przyznać się do porażki.

- Nie ma jej na Facebooku. Sprawdzę, czy Google będzie o niej coś wiedział.

Kolonko przyjął to tylko aprobującym mruknięciem, bo akurat przeglądał półkę z książkami.

- Wiedziałem!

- Co, panie poruczniku?

Zapytany nie odpowiedział, tylko wyciągnął jedną z książek i otworzył na stronie tytułowej.

- Wiedziałem!

- Co takiego?

- To tłumaczka. Literatury szwedzkiej. Tak jak Stypuły.

Michta podniósł się przed komputera i podszedł do przełożonego, który wyciągał kolejne książki, sprawdzając, kto je tłumaczył.

- Dobrze zapamiętałem, kiedy zainteresowałem się szwedzkimi powieściami po tamtym morderstwie. Ona sporo przełożyła, a że nazwisko ma nietypowe, zostało mi w pamięci, bardziej pospolite pewnie by mi umknęło.

- Myśli pan, że ktoś nie chce, żeby szwedzkie powieści były po polsku i dlatego morduje tłumaczy?

Pytanie nie doczekało się odpowiedzi, co bynajmniej nie zdeprymowało sierżanta. Raz, że nie zdawał sobie sprawy z jego absurdalności, a dwa, że Kolonko zazwyczaj nie odpowiadał na pytania, kiedy coś go zaaferowało. Tym czymś był w tej chwili laptop Cedro, opuszczony przez Michtę. Porucznik otworzył Worda i zaczął przeglądać pliki.

- Ale ma bałagan w tym komputerze. U Stypuły wszystko było elegancko posegregowane.

Z tego względu poszukiwania zajęły dość dużo czasu.

- Nie ma - stwierdził Kolonko wyraźnie rozczarowany, kiedy je zakończył.

- Czego nie ma?

- Tłumaczenia Larssona.

Nic to sierżantowi nie wyjaśniło, ale porucznik dodał:

- Wiązałoby to próbę zamordowania pani Cedro z zabójstwem Stypuły. Ale i tak podejrzewam, że te dwie sprawy się łączą. Ofiary mają identyczny, bardzo rzadki zawód, więc trudno mi uwierzyć w zbieg okoliczności... Cholera!

- Co się stało?

- Ja do niej dzwoniłem. I ostrzegałem, że grozi jej niebezpieczeństwo. Zlekceważyła to. Nie przyznała się przede mną, że tłumaczy Larssona.

- Czy... - Michta zawahał się. Wydawało mu się, że wychwycił sprzeczność w słowach Kolonki, ale jawiło mu się to jako skrajnie nieprawdopodobne: ostatecznie to porucznik był mózgowcem, a on od wykonywania prostych zadań. Na dodatek nie rozumiał całej sytuacji,

więc sprzeczność mogła być pozorna, mimo to dokończył pytanie: – Czy nie powiedział pan właśnie, że u niej tego tłumaczenia Larssona nie ma?

– Rzeczywiście nie ma, tylko obawiam się, że o niczym to nie świadczy, że on je usunął.

– Kto?

– Naczyński. Nie mógł go zostawić po tym, jak moja uwaga skupiła się na książce Larssona w komputerze Stypuły.

– Nie da się tak łatwo usunąć plików, nasz informatyk je znajdzie.

– Co tylko potwierdzi, że dało się temu zabójstwu... tej próbie zabójstwa zapobiec. Mogłem ją bardziej przycisnąć.

– Niekoniecznie z lepszym efektem – zauważył Michta. – Jeśli nie chciała się przyznać do tego tłumaczenia, to widocznie miała swój powód.

– Mhm. – Kolonko zgodził się z sierżantem, jakby niezbyt skory, żeby samego siebie obwiniać. – Dzwoniłem zresztą też do innych i nie miałem żadnych wskazówek, kto mógł być tą właściwą osobą.

Po tej konkluzji porucznik podniósł się, włożył do ust elektronicznego papierosa i z założonymi na plecach rękami zaczął szybkim krokiem przemierzać pokój. Tam i z powrotem, od ściany do ściany. W końcu zatrzymał się na samym środku dywanu.

– Nowotwór dał przerzut – stwierdził. – A mimo to może pozostać niewykryty.

– Słucham? – zdumiał się sierżant Michta. – Ma pan raka?

– Jeśli ona się nie obudzi i nie zezna, że strzelała do niej Naczyński, to kicha, bo ślady zatarł pewnie równie starannie jak za pierwszym razem. A jeśli się obudzi, to będzie można go pociągnąć do odpowiedzialności tylko za próbę zabójstwa, bo przy morderstwie Stypuły nie potrafię obalić jego alibi.

Michta nie wiedział, co na to powiedzieć, ale porucznik najwyraźniej też żadnego komentarza nie oczekiwał.

– Niech pan spakuje ten laptop, sierżancie, zabieramy go ze sobą.

Język krótkich poleceń i konkretne rzeczy do wykonania to było to, co Michta rozumiał i lubił, więc huknął „tak jest” i zabrał się do odłączania zasilacza.

Kolejne dni nie przyniosły postępu w sprawie. Technicy nie znaleźli w lesie żadnych śladów, wskazujących bezpośrednio na sprawcę. Natrafili na drugą kulę i łuski, dzięki czemu można było przeprowadzić badanie balistyczne – ta wydobyta podczas operacji uległa takiemu zniekształceniu, że do badania się nie nadawała – ale nic ono nie wniosło. Nie dość, że tej broni nigdy wcześniej nie użyto do żadnego przestępstwa, to balistyk miał kłopoty z bliższym jej określeniem.

– Coś mocno nietypowego. Zgaduję, że ktoś wyciągnął z piwnicy jakiś złom porzucony w czasie drugiej wojny światowej.

Nie zgłosił się żaden świadek zdarzenia, a w okolicznych lokalach obsługa nie widziała pani Cedro albo jej nie pamiętała, siłą rzeczy nie potrafiła też powiedzieć, w jakim ewentualnie towarzystwie poszkodowana lokal odwiedziła. Żmudnie przejrzone nagrania z monitoringu powiedziały śledczym, że w okolicy Lasu Kabackiego dotarła komunikacją miejską, ale jechała sama, więc nic z tej wiedzy nie wynikało.

W taki sam ślepy zaulek zaprowadziło badanie laptopa. Informatycy wprawdzie bez trudu ustalili, że wszelkie pliki, których treść wskazywała na powiązania z ofiarą, pojawiły się w nim w dzień po próbie zabójstwa, ale kto dokonał tej manipulacji i co chciał w ten sposób ukryć musiało pozostać domysłem. Który, nawet jeśli uprawniony, nie był dowodem.

Cały czas zresztą ważyło się, czy śledztwo nadal toczyć będzie się w sprawie o usiłowanie zabójstwa, czy przekształci się w ściganie mordercy. Po skomplikowanej operacji usunięcia kuli z mózgu pacjenta zapadła w śpiączkę i lekarze szacowali pół na pół jej szanse na ocknięcie się. Bez pewności, że po odzyskaniu przytomności będzie cokolwiek pamiętała,

mówiła czy rozumiała. Operujący ją neurochirurg odmówił formułowania jakichkolwiek prognoz:

- Teorie, co wyjdzie po grzebaniu w mózgu, są o kant dupy rozbić, możemy to sprawdzić jedynie empirycznie.

Porucznik Kolonko zrezygnował z przesłuchania Naczyńskiego. Oceniał, że do aresztowania to nie doprowadzi, a jedynie ostrzeże go, żeby miał się na baczności. Zresztą trudno byłoby takie przesłuchanie uzasadnić. Nikt z rodziny ani przyjaciół Cedro nie kojarzył Naczyńskiego, nie mówiąc o przypisaniu mu zbrodniczych zamiarów.

- Tak trudnej sprawy jeszcze nie miałem - westchnął Kolonko, zwracając się do sierżanta Michty, który, nieprzyzwyczajony do podobnych zwierzeń ze strony przełożonego, z zakłopotaniem potarł czoło swoimi serdelkowatymi palcami.

- Na pewno go pan dopadnie.

- Przestaję być optymistą. Co ucieszy moją żonę.

- Chce, żeby był pan pesymistą? - zdziwił się sierżant.

- Ona nazywa to realizmem, nie pesymizmem. Mówi, że brakuje mi zdrowej dawki realizmu. I pewnie ma rację, żony zwykle mają rację. Muszę więc spojrzeć na sprawę realnie. Co w tym przypadku oznacza pogodzenie się z faktem, że morderca nam się wymknie. Tak, jak przewidywałem, jeśli ona nie obudzi się w dobrej formie, to znaczy, na tyle dobrej, by móc zeznawać, Naczyński nie trafi za kraty.

- Na jej komórce była tego dnia rozmowa między nimi.

- Która nie dowodzi, że się spotkali. Moja żona ma przyjaciółkę w Karpaczu, wiszą ciągle na telefonie, a widziały się raz w życiu.

- Dłaczego tak?

- Poznały się w spa w jakiś weekend, polubiły, a odległość utrudnia spotkania osobiste - wyjaśnił porucznik, sięgając po elektronicznego papierosa na biurku.

Michta przyglądał się temu bez słowa, bo żaden komentarz nie przyszedł mu do głowy.

- I najprawdopodobniej to koniec przestępczej kariery Naczyńskiego. Bardzo wątpię, by dalej podzlecał tłumaczenia, a potem usuwał podwykonawców. Szybko by ich zabrakło, bo tłumaczeniem książek ze szwedzkiego nie zajmuje się cała armia ludzi. Nikt rozsądnie myślący nie wierzyłby też, że ujdzie mu na sucho podobna seria morderstw. Najwyraźniej jego celem była tylko ta trylogia i na niej poprzestanie. Z jednej strony wspaniale, bo nikt więcej nie zginie, ale z drugiej strony jeśli nie dopadniemy go za te dwa przestępstwa, więcej okazji nie będziemy już mieli. Dalszych przerzutów nie będzie.

- Co pan porucznik z tym rakiem?

Jeśli nawet Kolonko chciał wyjaśnić, przeszkodził mu telefon dzwoniący na biurku. Porucznik podniósł słuchawkę, przedstawił się, informując rozmówcę, że po drugiej stronie linii jest właściwa osoba, i wysłuchał wiadomości. A przynajmniej jej początku, bo od razu się poderwał, zostawił telefon, chwycił za płaszcz przewieszony na poręczy fotela i rzucił w stronę sierżanta:

- Obudziła się! Jedziemy!

- Det är inte min roll att ta hand om dig! Jag är folk och ingen jävla personlig assistent!

Rozwścieczony Naczyński rozłączył się, nie czekając na odpowiedź czy dalsze prośby.

- Co tak krzyczysz? - zapytała zdziwiona Grażyna, która chyba jeszcze nie słyszała, by jej mąż, mówiąc po szwedzku, podnosił głos. Według jego własnych słów do Szwedów trafiały nie krzyki, lecz racjonalne argumenty.

- Bo palant nie przyjmuje do wiadomości, że to nie moja rola, by się nim zajmować, że jestem tłumaczem, a nie jego osobistym asystentem - przełożył Naczyński, co przed chwilą powiedział, zastępując przekleństwo przed tym ostatnim określeniem epitetem wobec Szweda. Najdziwniejszego, jakiego kiedykolwiek spotkał.

Choć kiedy przed kilkoma tygodniami zadzwoniła policja, że ma przyjechać na odebranie zawiadomienia od okradzonego szwedzkiego biznesmena, nie spodziewał się niczego innego poza rutynowym tłumaczeniem. Pierwszą oznakę, że tak nie będzie, stanowił wygląd owego biznesmena. Naczyński uznał, że nie tylko go okradziono, lecz także pobito, ale brakujące zęby i dziury w ubraniu były nie wynikiem czyjejś brutalności, tylko stylu życia. Potem okazało się, że interesy polegały na handlu obwoźnym starzyzną, a że Szwed nie miał prawa jazdy, bo zabrano mu je za spowodowanie po pijanemu wypadku, do prowadzenia furgonetki wynajął polskiego kierowcę. Zagadką dla Naczyńskiego i śledczego pozostało, jak to zrobił, gdyż nie znał słowa po angielsku ani w żadnym innym języku poza swoim rodzimym. Niczym Polak w latach siedemdziesiątych. Naczyński zaciekał się, jak udało mu się uniknąć szwedzkiego szkolnictwa, dbającego o to, by każdy absolwent swobodnie dogadywał się we współczesnej *lingua franca*, ale wyjaśnieniem była ciągnąca się w nieskończoność, zawiła historia, która nie nic nie wyjaśniała.

Równie długa i mętna była opowieść, jak po okradzeniu go przez właśnie tego kierowcę Szwed trafił do komisariatu, mimo że nie umiał zapytać o drogę ani przeczytać stosownych szyldów, a jego smartfon również padł łupem złodzieja. W końcu wyraźnie zrezygnowany funkcjonariusz oznajmił:

- Wie pan co? Ja po prostu napiszę, że on się do nas zgłosił.

Sama kradzież też była wątpliwa, policjant szybko nabrał podejrzeń, że kierowca porzucił robotę, bo nie dostawał wynagrodzenia, a przy okazji zabrał rzeczy, stanowiące równowartość niewypłaconej pensji. Ewentualne śledztwo byłoby zresztą znacznie utrudnione przez to, że Szwed nie potrafił podać nazwiska zatrudnionego przez siebie kierowcy, znał tylko imię, ani precyzyjnie wymienić przedmiotów, które stracił. Na przykład zabraną wiertarkę opisał słowem „super”, o marce i rodzaju nie potrafił zaś nic powiedzieć. Do tego utrzymywał, że była warta tysiąc złotych, choć nawet przy nowej stanowiło to zdrową przesadę, a co dopiero wyprodukowanej dwie dekady wcześniej. Napomknieniem, że ma podawać ceny, jakie mógłby uzyskać przy sprzedaży swojego towaru, a nie nówek z katalogu pomnożone razy pięć, Szwed się nie przejął i dalej wyliczał, że Polak pozbawił go co najmniej nowego mercedesa.

Gdyby na tym się skończyło, Naczyński uznałby tłumaczenie za ciekawą odmianę w porównaniu z przesłuchaniami innych Szwedów, którzy mieli w zwyczaju odpowiadać rzeczowo i precyzyjnie. Ale nieopatrznie dał temu swoją wizytówkę. Czysto rutynowo, robił tak zawsze, licząc na dalsze, już prywatne zlecenia. Nie pomyślał, że handlarz, którego nie interesują nazwiska zatrudnionych, żadnych dokumentów nie będzie potrzebował, a nawet jeśli, to przy oferowanym towarze na tłumaczenie nie będzie go stać. Zresztą Szwed zaraz po zakończeniu przesłuchania poprosił Naczyńskiego o pożyczkę. Na paliwo, jedzenie i nocleg. Zdecydowaną odmową się nie zraził i w następnych dniach regularnie dzwonił, prosząc, żeby Naczyński przyszedł i pomógł mu w dogadaniu się w miejscu, w którym akurat się znajdował. A trafiał w różne. Między innymi do lokalu, gdzie, jak oznajmił Naczyńskiemu, spotkał ładne dziewczyny, które na niego leciały, więc skorzystał, a teraz paru osiłków czymś mu grozi, a on chciałby się dowiedzieć czym i za co. Groźby osiłków skończyły się szpitalem, gdzie akurat pomocy językowej nie potrzebował, bo jeden z lekarzy pracował wcześniej w Szwecji, ale uważał, że skoro ma dużo wolnego czasu, to może omówić z Naczyńskim swoje plany na przyszłość.

- Czy Warszawa leży nad morzem? Bardzo mi się tu podoba i myślę, żeby się tu osiedlić, ale chciałbym mieszkać nad morzem.

Uniknąć tych telefonów przez zablokowanie numeru się nie dało, gdyż Szwed nie sprawił sobie nowej komórki, tylko regularnie korzystał z czynności innych albo telefonów stacjonarnych.

Po pobiciu w agencji towarzyskiej Naczyński tak czy tak musiał tłumaczyć, bo szpital zawiadomił policję, ale przynajmniej za urzędową stawkę, a nie gołosłowną obietnicę zapłaty w bliżej nieokreślonej przyszłości. Potem musiał zresztą odbierać dalsze telefony od policji, gdyż Szwed wymyślił nowy sposób, jak radzić sobie bez komórki: podchodził do napotkanego patrolu i zarzucał go potokiem słów, pokazując jednocześnie wizytówkę tłumacza. Nie było siły, żeby funkcjonariusze nie zadzwonili pod podany na niej numer. Ostatni patrol odwiózł

Szweda do schroniska dla bezdomnych i telefon, który tak zirytował Naczyńskiego, był prośbą, żeby załatwił mu przedłużenie pobytu „w tym hotelu, bo to bardzo dobry hotel”.

Kiedy Naczyński usiłował dociec, jak można bez pieniędzy pociupciać sobie w burdelu i nie zorientować się, że to burdel, czy wziąć przytułek za hotel, rozległ się dzwonek do drzwi. Grażyna poszła otworzyć i po chwili wróciła z informacją „policja do ciebie”. Gdy to usłyszał, skoczyło mu ciśnienie.

- Ja go zabiję! Jakby tych telefonów było mało, to przysłała mi teraz policję do domu!

- Nikogo już pan nie zabije - oznajmił spokojnym głosem porucznik Kolonko. - Bo aresztując pana za usiłowanie zabójstwa Janiny Cedro. Na razie na czterdzieści osiem godzin, które sąd bez problemu przedłuży do trzech miesięcy, a potem, mam nadzieję, na długie lata.

Dzięki zatrzymaniu Naczyńskiego pod bardzo poważnym zarzutem Kolonko otrzymał billingi jego rozmów telefonicznych. Nadal dążył sprawę zamordowania Stypuły, nie chciał, by ta zbrodnia pozostała nieukarana. Poza tym za usiłowanie zabójstwa groziła jednak niższa kara niż za samo zabójstwo, no i wynik procesu sądowego nie był do końca pewien. Przeszukanie domu Naczyńskiego nic nie przyniosło, nie znaleźli podmienionego laptopa, pistoletu ani drukarki, na której go wydrukował. Trochę trwało, zanim się tego domyślili, z początku opis broni, jaki podała im pani Cedro, uznali za fałszywe wspomnienia podsunięte przez uszkodzony mózg. Ale nie pasowało to do pozostałych jej zeznań, spójnych i logicznych, mimo że złożonych zaraz po wyjściu ze śpiączki. Dzięki temu stanowiły mocny dowód, problem w tym, że jedyny. A sądy na zeznania pokrzywdzonych jako świadków brały poprawkę. Trudno też było przewidzieć, czy za kilka miesięcy pani Cedro wypadnie na sali sądowej również przekonująco, zwłaszcza że wtedy pytać ją mógł nie tylko prokurator, lecz również starający się podważyć jej zeznania obrońca oskarżonego. Optymistycznie w każdym razie nastrojał fakt, że bez żadnych obiekcji sąd zdecydował o umieszczeniu Naczyńskiego na trzy miesiące w areszcie tymczasowym.

Z którego porucznik, oficjalnie działając w imieniu prokuratora, kazał go przyprowadzić. Czekając na aresztanta, przeglądał papiery zabrane podczas rewizji w domu Naczyńskiego. Było tego kilka dużych kartonów, bo tłumacz do pedantów nie należał i zachowywał różne szpargały, których miejsce było w koszu: zawiadomienia o rozprawach, choć te dawno się odbyły, postanowienia o płatnościach, mimo że pieniądze już wypłacono, i koperty od różnych pism, czasami z zawartością, czasami nie. W tym ta kluczowa, w której znajdowało się zawiadomienie o odwołaniu rozprawy z czternastego września. Szkopuł w tym, że uwiarygadniała ona alibi Naczyńskiego na czas zabójstwa Stypuły: na kopercie nie było podanego nowego terminu - najwyraźniej pani Błaszak częściej zapomniała o jego uzupełnieniu, jeśli system zawiódł - a że z przyklejonej zwrotki nie dało się go odczytać, Naczyński bez otwarcia listu nie mógł wiedzieć, że dotyczy on przełożenia rozprawy. Czy mógł się tego domyślić? Z pewnością wiedział, że sąd przysłał mu pismo w tej sprawie, w której miał tłumaczyć - porucznik zorientował się już, jak Naczyński identyfikował przesyłki. Pytanie, czy samo przypisanie przesyłki do właściwej sprawy wystarczało, czy dawało mu stuprocentową gwarancję. Bo przecież taką musiał mieć, nie mógł polegać na najwyższym nawet prawdopodobieństwie. „Najprawdopodobniej” jest dobre w codziennych życiowych sytuacjach, ale nie wtedy, kiedy trzeba sobie zapewnić alibi na czas morderstwa, bo na szali leży dożywotnie więzienie.

A może upewnił się telefonicznie o odwołaniu? Nie, billingi potwierdzały, co Kolonko ustalił już wcześniej, że takiego połączenia nie było. Nie mogło być, bo rozmowy przychodzące w sądzie nagrywano i zostałyby jednoznaczny ślad, że Naczyński wiedział o odwołaniu rozprawy. Z tego względu nie mógł też nikogo poprosić o tę przysługę.

Czy też Naczyński jednak zaryzykował? Uznając, że niebezpieczeństwo nie jest duże, a idealne okazje zdarzają się w filmach, nie zaś w realnym życiu. Może zresztą na wypadek,

gdyby rozprawa jednak się odbywała, miał przygotowany jakiś awaryjny scenariusz. Tylko jaki? Kolonko nie potrafił żadnego dostrzec.

Bezproduktywne już rozważania przerwało wprowadzenie aresztanta. Konwojenci zdjęli mu kajdanki i wycofali się na korytarz.

Kolonko przyjrzał się twarzy tłumacza, szukając na niej oznak rezygnacji, ale takowych nie znalazł. Uwzięnie, zwłaszcza pierwsze, skutecznie łamało wielu przestępców, ale ten najwyraźniej postanowił walczyć i miał do tego odpowiedni charakter. Czego porucznik, co musiał przed sobą przyznać, jednak się po nim nie spodziewał.

- To jak, panie Naczyński, nadal upiera się pan, że Janina Cedro zmyśla?

- Nie upieram się, tylko zmyśla. Gdzie jest mój adwokat?

- Zaraz przyjdzie. Może pan do tego czasu milczeć albo powiedzieć mi, dlaczego miałyby zmyślać.

Widać było, że Naczyński walczy ze sobą, zmuszając się do demonstracyjnego milczenia, ale nie wytrzymał. Najwyraźniej chęć wbiać policjantowi szpilki przemogła.

- Bez względu na to, ile razy powtórzy pan pytanie, odpowiedź będzie taka sama. Mści się za to, że odrzuciłem jej awanse. Czy raczej za sposób, w jaki je odrzuciłem. Nie bawiłem się w dyplomację, że nigdy nie zdradziłbym żony, tylko szczerze powiedziałem, że nie pociągają mnie jej zwiędłe wdzięki.

- I dlatego chroni prawdziwego strzelca, obciążając pana?

- Myślę, że z punktu widzenia kobiety większy afront wyrządza jej ten, kto mówi, że jest brzydka, niż ten, kto do niej strzela. Poza tym pewnie nie wie, kto jest tym prawdziwym.

- Postrzelił ją nieznaną osobnik, który wcześniej przygotował dla niej grób?

- Dlaczego wcześniej? Albo dlaczego właśnie dla niej?

Naczyński nadal nie chciał się przyznać, a że było całkowicie obojętne, jakie alternatywne scenariusze przedstawi, porucznik uznał, że nie ma co ciągnąć tych przepychanek. Zamiast tego wyjął z szuflady zarekwirowanego smartfona.

- Pański markowy samsung.

- Widzę.

- W dniu zabójstwa Witolda Stypuły ma pan na nim dwa nieodebrane połączenia w czasie, kiedy rzekomo był pan w drodze do sądu na rozprawę. Moim zdaniem jechała sama komórka, a pan roztrzaskał wtedy głowę Stypule solną lampą.

- Nonsens. Po prostu nie odbieram telefonów, kiedy prowadzę samochód.

- Nonsens. Pański lexus jest oczywiście wyposażony w zestaw głośnomówiący. Doskonale może pan odbierać telefony.

- Nie chodzi o przepisy, tylko o bezpieczeństwo. Zauważyłem, że po skończeniu rozmowy nie wiem, gdzie jestem ani jak dojechać tam dojechać. I jak sobie trochę na ten temat poczytałem, to okazało się, że nie należę do wyjątków: rozmowa telefoniczna całkowicie rozkojarza kierowcę w odróżnieniu od tej prowadzonej z pasażerem na siedzeniu obok. Dlatego wolę oddzwonić po dojechaniu na miejsce, niż rozbić samochód. Owszem, czasami tracę przez to co bardziej niecierpliwego klienta, ale wychodzę z założenia, że naprawa kosztowałaby mnie dużo drożej.

Na to wyjaśnienie Kolonko nic nie powiedział, tylko wyciągnął z tej samej szuflady wydruki billingów z zaznaczonymi żółtym markerem niektórymi połączeniami.

- To są dni, kiedy tłumaczył pan na rozprawach. Na jedenaście pięciokrotnie odebrał pan telefon w ciągu pół godziny przed rozprawą.

- Skąd pan wie, kiedy tłumaczyłem na rozprawach?!

- Z pańskiego repertorium, w którym jako przysięgli ma pan obowiązek odnotowywać wszystkie tłumaczenia. Godzin rozpraw wprowadził pan w nim nie podaje, ale sygnaturę akt i owszem, a z nią można resztę ustalić.

- Musiałem być w mieście wcześniej i mogłem odebrać te telefony.

- Pięć razy? A po co pan jechał wcześniej do miasta?

- Załatwić różne sprawy, zrobić jakieś zakupy.

- Całkowicie niewiarygodne wyjaśnienie. Bo na tych jedenaście razy nie ma pan żadnych nieodebranych rozmów. Co oznaczałoby, że klienci dzwoniли do pana tylko wtedy, gdy był pan

akurat w mieście. A jak chce się pan przy tym upierać, to z łatwością udowodnię, że pańska komórka przemieszczała się wówczas między pańskim domem a sądem. I pan przecież wie, że mam taką możliwość, skoro zadbał pan o to, by komórka jechała do sądu, kiedy mordował pan Stypułę.

- Sugeruje pan, że zapakowałem smartfona do paczki i dałem jakiemuś taksówkarzowi, który czekał na mnie pod sądem? Odnalazł pan tego taksówkarza?

- Zostawił ją pan w lexusie, którym ktoś inny podjechał do sądu o właściwej porze. Pan przyjechał później rzekomo zepsutą mazdą żony.

- I tego mają dowodzić dwa nieodebrane przeze mnie połączenia? Sąd pewnie zgodzi się ze mną, że istnieją dziesiątki powodów, dlaczego ktoś nie odbiera telefonu.

- Tyle że pan podał akurat kłamliwy.

- Bo uznałem, że prawdziwe wyjaśnienie jest mniej wiarygodne.

- A ono brzmi?

- Że wyciszyłem telefon, a później zapomniałem o przywróceniu głośności, bo normalnie z rana nie wyciszam telefonu.

- Dlaczego więc zrobił to pan tym razem?

- Bo obudziłem się zbyt wcześnie, przyszykowałem do wyjścia i wtedy postanowiłem jednak nadrobić stracony sen, a nie chciałem, żeby telefon mnie obudził.

- A dlaczego w takiej sytuacji nie oddzwonił pan do klientów, kiedy czekał pan na wejście na rozprawę?

- Bo w każdej chwili mogło nastąpić wywołanie, a wchodzenie na salę sądową z telefonem przy uchu jest źle widziane, z kolei klienci źle odbierają przerywanie rozmowy w pół zdania. Do tego przed rozprawą nie załatwiam innych zleceniodawców, tylko skupiam się na czekającym mnie tłumaczeniu. Ustne to nie jest prosta sprawa, wymaga odpowiedniej koncentracji, nie mogę do niego przystępować tak z marszu, oderwany od czegoś innego. Pan jako człowiek roztargniony może potrafi działać w chaosie, ale ja nie. Multitasking to nie dla mnie.

Jeśli Naczyński spodziewał się jakiejś repliki, to się jej nie doczekał, bo Kolonko wbił oczy w blat biurka, jakby nagle pojawiło się na nim coś, co go zafrapowało. Potem poderwał się i ponownie zaczął przeglądać papiery zarekwirowane u Naczyńskiego. Tak szybko, że właściwszym słowem byłoby „przerzucać”.

- No właśnie, chaos do pana niepodobny. Pan jest uporządkowanym człowiekiem! Pan jest uporządkowanym człowiekiem!

Naczyński przytaknął, lekko zdziwiony, że ta cecha jego charakteru wywołała nagle taką sensację, ale Kolonko na to nie zareagował, porwał kopertę zapakowaną w foliową torebkę i wybiegł z pokoju. Minął czekającego pod drzwiami konwojenta – drugi najwyraźniej opuścił posterunek – i zniknął za załomem muru.

I w ten mur przez dłuższą chwilę wpatrywał się konwojent, skonfundowany faktem, że nie dostał żadnych poleceń.

- Pewnie wróci za moment – mruknął. - Gnał tak, że też musiał zjeść coś nieswieżego. Czymś nas dzisiaj trują w naszej kochanej stołówce, dobrze, że tam nie jadam.

Z wdzięcznością pomyślał o żonie, która obrała sobie za cel życiowy uchronić go przed przedwczesną śmiercią przynajmniej z powodu niewłaściwego odżywiania. Podniósł się, żeby przypilnować aresztanta, ale kiedy pchnął drzwi, te stawily opór. Zaskoczony napał z całej siły, ale drzwi nadal się nie poddały.

Szybko przeanalizował sytuację. Byli na trzecim piętrze, ale to nie wykluczało próby ucieczki. Ryzyko skręcenia sobie karku na ogół przestępców nie powstrzymywało. Sięgnął po komórkę.

- Odbieraj, do cholery!

Partner albo już załatwił potrzebę, albo należał do tych, którym nie przeszkadzało to w telefonowaniu, bo odebrał, zanim wezwanie wybrzmiało.

- Co jest?

- Podciągaj portki, nawet jeśli dalej srasz i leć na dół wpatrywać, czy gość nie łązi po jakimś gzymsie. Zabarykadował się w pokoju.

- Jakim cu...

- Leć, wyjaśnienia później.

Odpowiedź na pytanie, jak sforsować drzwi, zależała od tego, w jaki sposób zostały zamknięte. Na klucz raczej nie, w komendach nie praktykowało się zostawiania kluczy w drzwiach. Porucznik był dziwakiem, ale chyba tego też nie robił. Naciśnięcie klamki to potwierdziło, tylko lekko się ugięła, nie schodząc całkiem w dół. Musiała zostać zablokowana krzesłem. Przestrzelenie zamka niewiele by więc dało, zresztą strzelanie na korytarzu i tak było średnim pomysłem. Zwłaszcza że na razie niewiele groziło. Partner pilnował od dworu, on od środka. Jedyne, co aresztant mógł zrobić, to się uzbroid, by później próbować stawiać opór. Pytanie, w co. Porucznik nie był chyba tak lekkomyślny, by zostawić niepilnowanego aresztanta i swoją broń w tym samym pomieszczeniu. Wtedy pozostawały nożyczki, zastrzone ołówki czy rozgięte spinacze. Średnio niebezpieczne, jeśli samemu miało się glocka.

Alternatywą dla stawiania oporu było popełnienie samobójstwa. Najprościej przez wyskoczenie z okna. Co prawda trzecie piętro gwarantowało raczej trwałe kalectwo niż śmierć, ale fizyka z matematyką nie stanowiły mocnej strony potencjalnych samobójców. Jeśli aresztant do nich należał, zaraz się o tym dowie. Dostaną za jego wyskok (w podwójnym znaczeniu) po głowie, ale w daleko mniejszym stopniu, niż gdyby dopuścili do ucieczki.

Rozbrzmiała jego komórka. Zaklął.

- Mokra plama?

- Co? - Pytanie wyjęte z kontekstu myślowych rozważań okazało się dla partnera niezrozumiałe.

- Facet skoczył?

- Nie, nie skoczył. Spaść też nie spadł, chyba w ogóle nie wyszedł na żaden gzyms. Jest zimno, okna są pozamykane, dobrą chwilę by trwało, zanim znalazłby jakiś pusty pokój z uchylonym oknem. Musi dalej siedzieć w środku. Powiesz mi, co się stało?

Po usłyszeniu wyjaśnienia drugi konwojent skonstatował:

- Czyli nie nasza wina. Porucznik powinien nam go przekazać.

- Ty to się, kurwa, z jakiej choinki urwałeś? Nie wiesz, że w policji rację ma ten, kto ma wyższy stopień?

- No, zgoda, ale jak wina porucznika, to nie będzie chciał rozdmuchiwać sprawy. Zresztą Kolonko się nie czepia, bo sam luźno podchodzi do regulaminu. A mamy gościa w potrzasku, co może wywinąć?

Konwojent pod drzwiami przyłożył do nich ucho.

- Chyba telefonuje.

- Przemycił komórkę? Przecież go oklepaliśmy.

- Nic nie przemycił, Einsteinie, stacjonarne telefony wciąż istnieją, a policja jest w nie wyposażona.

Przez chwilę konwojent nasłuchiwał, ale głos był przytłumiony, słów nie dało się rozróżnić. Ze sprawdzeniem, do kogo Naczyński dzwonił, nie będzie problemu, ale szkody nie da się cofnąć. Raczej nie dzwonił do kumpli z bandy, by przybyli mu z odsieczą, ale mógł zastraszać świadka czy instruować swojego znajomka, jak ma zeznawać. Nie bez kozery na wizyty w areszcie tymczasowym trzeba było mieć specjalne zezwolenie.

Konwojent cofnął się i z rozbiegu rzucił się na drzwi. Może krzesło nie zostało wystarczająco dobrze podparte i siła uderzenia je odsunęła, uwalniając klamkę.

Ale te rachuby okazały się płonne. Aresztant wykazał się przytomnością umysłu, mimo że nie miał dużo czasu, blokadę ustawił fachowo. Musiał być przestępcą z dłuższym stażem albo wykonywać zawód, który wymagał umiejętnego reagowania na niekonwencjonalne sytuacje.

- Otwieraj, bo rozwalę zamek strzałami!

Groźba nie wywarła na Naczyńskim żadnego wrażenia i konwojent jej pożałował. Złamał zasadę, że nie należy grozić, jeśli nie ma się zamiaru czy możliwości groźby spełnić.

Z ociąganiem ponownie sięgnął po komórkę. Zdecydowanie wolałby, by nikt więcej nie dowiedział się o zdarzeniu, wtedy może nawet obeszloby się bez sporządzania oficjalnego raportu, ale nie miał wyboru. Musiał wezwać ekipę z taranem do wyważenia drzwi. Kiedy czekał, aż jego połączenie zostanie odebrane, kątem oka dostrzegł, że klamka lekko się

obniżyła. Nie naciśnięta, tylko jakby usunięto podtrzymujący ją przedmiot. Rozłączył się, mimo że właśnie usłyszał zgłaszającego się rozmówcę, i podszedł do drzwi. Po ostrożnym naciśnięciu klamki ustąpiły. Natychmiast wyciągnął broń i otworzył je na oścież kopniakiem. Aresztant siedział jakby nigdy nic przy biurku.

- Dlaczego się pan zamknął? Do kogo pan dzwonił?

- Zamknąłem się? Dzwoniłem gdzieś? Od dawna miewa pan halucynacje?

Pierwszą myślą konwojenta było, że Naczyński kpi sobie z niego w żywe oczy, ale potem zrozumiał, że dostał propozycję przemilczenia sprawy. Przez chwilę nawet kusiło go, by na nią przystać, ale potem uznał, że lepiej odpowiadać za służbowe niedociągnięcia niż za konszachty z przestępcą.

- Ręce do tyłu.

Naczyński wykonał polecenie, a konwojent założył mu kajdanki, po czym go obszukał. Nie znalazł żadnej prowizorycznej broni. Najwyraźniej celem tej akcji było zatelefonowanie do kogoś. Łatwo było sprawdzić, do kogo, korzystając z funkcji ponownego wybierania, ale to konwojent zostawił już porucznikowi.

Kolonko zaparkował malucha koło sądu. Podczas przesłuchania Naczyńskiego zreflektował się, kiedy ten podkreślił swoją niechęć do chaotycznych działań, że taki człowiek nie powinien gromadzić zbędnych papierów. I skojarzył, co potwierdziło ich szybkie przejrzanie, że Naczyński zaczął to robić dopiero od siódmego września. Na tych opatrzonych datą żadna nie była wcześniejsza. Chciał zostawić kopertę, która uwiarygadniała jego alibi, i chciał, by to zostawienie wyglądało na przypadkowe. Ale takie zachowanie – paradoksalnie – dowodziło, że alibi było fałszywe. Że tłumacz sztucznie je skonstruował. Co do tego nie mogło już być najmniejszych wątpliwości. Oczywiście sama ta konstatacja go nie obalała. Jeszcze musiał tę przemyślną konstrukcję podważyć.

A na razie wszystkie siły jakby sprzysięgły się, żeby porucznikowi w tym przeszkodzić. Korki po drodze były znacznie większe niż zazwyczaj, a kiedy chciał wysiąść z samochodu, zablokowały się drzwi. Po dłuższej walce poradził sobie z nimi w ten sposób, że wysiadł od strony pasażera, by następnie utknąć na bramce przy wejściu do sądu. Dwa razy zapiszczała i musiał się wrócić, by wyjąć metalowe przedmioty, które przeczoczył.

Potem, zatopiony w myślach, bo rozważał, jak obalić alibi Naczyńskiego, trafił do złego pokoju.

- Nie ten wydział – poinformowała go uśmiechnięta sekretarka, kiedy zapytał o panią Błaszak, a na zdziwione miny odszukał kopertę w kieszeni prochowca i odczytał sygnaturę akt. – Tu jest karny, a pan szuka cywilnego, pokój dwieście sześćdziesiąt.

I kiedy wydawało się, że już osiągnął cel, pod samymi drzwiami sekretariatu wydziału cywilnego złapał go przez telefon sierżant Michta.

- Panie poruczniku, adwokat Naczyńskiego pilnie pana szuka.

- Tak, domyślam się, chce mnie ostrzec, że nie powiadomiłem go, że będę brał Naczyńskiego za areszt. Niech pan postara się go ułagodzić, powie mu, że pytałem jego klienta i nie domagał się obecności obrońcy.

- Nie o to chodzi. To znaczy o to też, ale podobno Cedro wycofała zeznania i on mówi, że składa zażalenie na areszt, bo ustały prze... no, powód ustał, żeby areszt stosować.

- Co takiego?!

- Powód ustał...

- To zrozumiałem. Skąd on wie, że Cedro wycofała zeznania, i dlaczego to w ogóle zrobiła?

- Wie od klienta, a dlaczego wycofała, to nie powiedział.

- Skąd Naczyński może wiedzieć, co zrobiła Cedro? Przecież o takich zeznaniach adwokat może dowiedzieć się tylko z akt i to on powinien opowiedzieć o nich klientowi, a nie odwrotnie. Nie mówiąc już o tym, że te zeznania to ja powinienem być odebrać, czyli ich w ogóle jeszcze nie ma.

- Może Naczyński dostał od niej gryps - wyjaśnił sytuację Michta - że przestanie go oskarżać.

- Pojadę do niej do szpitala - zdecydował porucznik.

Zawrócił na pięcie spod drzwi sekretariatu, bo zatrzymanie Naczyńskiego w areszcie stanowiło priorytet, sprawa alibi przy zabójstwie Stypuły mogła poczekać. Szybkim krokiem dotarł do malucha, który podczas jazdy na Szaserów spisywał się sprawnie, jakby uznał, że zablokowane drzwi na jeden dzień wystarczą. A że do tego zelżały korki, Kolonko nie potrzebował dużo czasu na dotarcie do szpitala.

- Słyszałem, że ma pani zamiar zmienić zeznania, pani Janino. To prawda? - zapytał ranną bez wstępow, kiedy tylko stanął przy jej łóżku i zobaczył, że nie śpi.

Ta przez dłuższą chwilę nie odpowiadała, wpatrując się jedynie w porucznika szeroko rozszerzonymi oczami.

- Pani Janino?

- Co? A, tak, to wcale nie Zenuś, nie mógł mi tego zrobić, kocha mnie. Pokłóciliśmy się, tuż zanim to się stało, i byłam na niego wściekła, dlatego go oskarżyłam. Ale to nie on, nie jest przecież bandyta, wręcz przeciwnie, trzeba mieć nienaganną opinię, żeby być przysięgłym.

Kolonko rozważył jej słowa i zastanowił się, jaką obrać taktykę. Groźenie sankcjami za fałszywe zeznania może i byłoby spektakularne, ale z pewnością mało skuteczne.

- Już nie jest pani na niego wściekła?

- Nie, przeprosił mnie i zapewnił, że mnie kocha.

Subtelność i wycucie były teraz wskazane, żeby dowiedzieć się najważniejszego.

- Odwiedził panią w szpitalu?

Pytanie było wprawdzie absurdalne, bo na tym właśnie polega areszt, że nie można sobie odpowiedzieć, kogo się chce, ale porucznik liczył na spontaniczne zaprzeczenie z dołączonym wyjaśnieniem. I nie zrelizował się.

- Nie, zadzwonił do mnie.

- Z aresztu?

- Chyba tak, nie wiem.

- Kiedy?

- Parę godzin temu, nie wiem dokładnie, która była.

- Może pani sprawdzić na komórce?

Sprawdziła i porucznik zdał sobie sprawę z własnej niefrasobliwości. Nie pamiętał wprawdzie, o której dokładnie wyszedł z komendy, ale godzina na wyświetlaczu nie pozostawiała wątpliwości. Telefon musiał nastąpić krótko po tym, jak on zostawił aresztanta samego. A jakby tego było mało: nie zabierając ani nie chowając do sejfu jego komórki. Tylko dlaczego konwojent nie przeskoczył mu w rozmowie?

- O co się państwo pokłócili?

- Nic ważnego, normalna kłótnia zakochanych.

- Normalna kłótnia zakochanych zwykle nie kończy się fałszywym oskarżeniem o próbę zabójstwa - zauważył Kolonko. - Jeśli pani chce, bym teraz pani uwierzył, to musi mi o tej kłótni opowiedzieć. Bo jak na razie uważam, że prawdę mówiła pani wcześniej, a teraz nie.

Z początku nic nie odpowiadała, jakby było jej obojętne, co porucznik uważa. Potem jednak zaczęła mówić.

- Obiecywał mi, że odejdzie od żony, ale wciąż z tym zwlekał. Nie był zadowolony, że go przyciskam, a mnie się nie podobało, że robi uniki.

- A teraz obiecał pani definitywnie, że się rozwiedzie? - domyślił się Kolonko.

- Właśnie tak.

- Od dawna mają państwo romans?

Przy pierwszym przesłuchaniu musieli ograniczyć się do samej strzelaniny, gdyż lekarze zezwolili tylko na krótką rozmowę.

- Od jesieni zeszłego roku.

- Jak się państwo poznali?

Znowu potrzebowała dobrej chwili na namysł i dla porucznika stało się jasne, że nie ma wprawy w kłamaniu.

- Zenek opublikował tłumaczenie książki i zadzwoniłam do niego z gratulacjami jako starsza stażem koleżanka. Nasze środowisko, mam na myśli tłumaczy literatury szwedzkiej, jest bardzo nieliczne, więc staramy się nawzajem poznawać i utrzymywać ze sobą kontakty. Umówiliśmy się na spotkanie, które z zawodowego przerodziło się w prywatne. Intymne. Przypadliśmy sobie do gustu i spotkaliśmy się w odpowiednim momencie: on był zmęczony swoim małżeństwem, a ja samotnością.

Wysłuchując tej konfabulacji, Kolonko chciał Cedro przycisnąć, ujawniając, że domyśla się, jaki był prawdziwy powód ich spotkania, ale zatrzymał się na ostatnim słowie.

- Doskwierała pani samotność?

- Strasznie. - Rannej zaszkliły się oczy. - Pan nawet nie wie, poruczniku, co znaczy być niespecjalnie atrakcyjną kobietą po czterdziestce.

Kolonko musiał przyznać, że to doświadczenie jest mu obce.

- Najgorsze, że przestawałam mieć nadzieję. Bałam się, że czeka mnie samotna starość i śmierć. Że nikt mnie nie odwiedzi, kiedy nie będę już w stanie wyjść z domu. A dzieci nie mam.

- Zmieniło się to, kiedy poznała pani Naczyńskiego - bardziej stwierdził, niż zapytał porucznik.

- O, tak! Odżyłam. Przyjaciółki mówiły, że bije ode mnie ciepło szczęścia. Niewidoczne, ale wyczuwalne.

- I tego ciepła za nic nie chce pani stracić?

- Pewnie, że nie.

Pytanie przygotowujące grunt padło, teraz nastąpił czas na atak.

- I dlatego za obietnicę wspólnej przyszłości jest pani skłonna darować mu zamach na swoje życie i pogrzebanie żywcem?

- Co?

Jej twarz wykrzywiła się w płaczkowym wyrazie, jakby ją uderzył.

- Nie, on nic nie zrobił! Czemu mi pan nie wierzy?!

Starła się go przekonać za wszelką cenę. Gorzej, za wszelką cenę starała się przekonać samą siebie. „Miłość ci wszystko wybaczy”, śpiewała kiedyś Hanka Ordonówna. Nie było prawdziwszej piosenki w dziejach ludzkości.

Kolonko musiał się poddać, zresztą i tak zostałby wyrzucony przez lekarza, który zorientował się, że policjant rozmawia z jego pacjentką, nie zapytawszy uprzednio o pozwolenie. Wychodząc ze szpitala, porucznik starał się pocieszać, że przynajmniej Cedro nie czekała z wycofaniem zeznań do sprawy sądowej, bo wtedy doprowadziłaby do uniewinnienia, ale było to słabe pocieszenie. Nie dysponował innymi dowodami, które pozwoliłyby prokuratorowi zatrzymać podejrzanego w areszcie i wnieść oskarżenie. Oparte na poszlakach też nie wchodziło w grę. Co z tego, że Naczyński miał okazję - ze słów Cedro wynikało, że przed próbą zabójstwa byli razem - i motyw, skoro obrona powołałaby na świadka zakochaną kobietę. Ta, zeznając, że strzelał do niej ktoś inny, skutecznie obaliłaby akt oskarżenia.

Gryząc się tą zawinioną przez siebie porażką, porucznik wrócił do sądu. Teraz kiedy waliło się oskarżenie o próbę zabójstwa, konieczność podważenia alibi, jakie Naczyński zorganizował sobie na czas morderstwa kolegi, stawała się nagląca.

Ilona Błaszak rozmawiała akurat przez telefon, więc musiał nieco zaczekać. Nawet dłużej niż nieco, gdyż petent wyraźnie nie rozumiał jej objaśnień i musiała je powtarzać. Co niekoniecznie świadczyło o jego braku inteligencji, gdyby Kolonko słuchał, zamiast wpatrywać się w trzymaną w ręce kopertę, musiałby stwierdzić, że tłumaczyła odrobinę mętnie.

- W czym mogę panu pomóc?

Wyraźnie go nie pamiętała, ale nie było też w tym nic dziwnego, rozmawiali tylko raz. Położył kopertę na kontuarze i zaczął szukać odznaki, jednocześnie się przedstawiając.

- Porucznik Kolonko z Komendy Wojewódzkiej.

Błaszak wzięła kopertę, odczytała sygnaturę akt i podeszła do szafy, by wyszukać akta. Znalazła je szybciej niż Kolonko odznakę.

- O co konkretnie chodzi?

- W tej kopercie tłumacz dostał informację o przełożeniu rozprawy. Chciałbym się dowiedzieć, czy mógł przypuszczać, że będzie to coś innego.

Kolonko najpierw chciał użyć czasownika „obawiać się”, ale zreflektował się, że z perspektywy pracownicy sądu będzie to niezrozumiałe.

- No pewnie. W takiej kopercie może być wszystko.

- Chodzi mi o to, z jakim prawdopodobieństwem na podstawie dotychczasowego przebiegu sprawy mógł szacować, że to coś innego.

- Chyba nie do końca rozumiem... - przyznała się pani Błaszak.

- Wcześniej dostał wezwanie na rozprawę we wrześniu. Prawda?

Sekretarka sprawdziła w aktach i potwierdziła.

- Kiedy więc przyszło kolejne pismo, mógł się domyślić, że to przełożenie rozprawy.

- Nie musiał się domyślać, bo na kopercie jest nowy termin.

- Tu akurat nie ma, ale zostawmy to. Moje pytanie brzmi, czy w sprawie wcześniej działo się coś, w związku z czym mógł spodziewać się jakiegoś innego pisma, czy nie.

- Co na przykład?

- To ja właśnie panią pytam, bo nie wiem, co to mogłoby być.

Błaszak zaczęła przeglądać akta, ale z mocno niepewną miną. Dostrzegła to siedząca przy drugim biurku koleżanka, przynajmniej dwa razy starsza, co mogło świadczyć - choć nie musiało - o znacznie dłuższym stażu.

- Sprawdź, czy nie robił pisemnych tłumaczeń. Wtedy spodziewałby się postanowienia o płatności.

- Nie robił, to wiem od sędziego. Dokumenty w tej sprawie przekładał inny tłumacz, Naczyńskiego poproszono dopiero na ustne. Co jeszcze wchodzi w grę? - Kolonko, pokrzepiony tym, że w końcu został zrozumiany, zwrócił się do drugiej pracownicy.

- Mogło być kolejne tłumaczenie pisemne, bo jedną czy dwie strony pakujemy do takich małych kopert. Przy sprawach zagranicznych często coś przychodzi już po wyznaczeniu terminu rozprawy, co strona zdążyła wysłać, zanim odebrała zawiadomienie o rozprawie. A skoro tłumacz został zmieniony, to zlecilibyśmy je temu nowemu.

- Czyli Naczyński nie miałby podstaw, by zakładać, że takie dodatkowe tłumaczenie trafi do poprzednika?

- Nie. Zresztą wcale nie musiał wiedzieć, że wcześniej ktoś przekładał dokumenty. Nieraz poza tłumaczeniem ustnym na rozprawie żadnego innego nie ma.

- A nie zadzwoniliby państwo do niego, żeby się upewnić, że zdąży je zrobić w tak krótkim czasie?

- No właśnie nie. Jak zadzwonimy, to nam powie, że nie ma czasu, co obędzie się bez konsekwencji, bo odmówił nieoficjalnie. Jak mu dokumenty wyślemy, to ma do wyboru albo się sprężyć i je przetłumaczyć mimo napiętego terminu, albo odesłać z oficjalną odmową, ryzykując gniew sędziego i karę dyscyplinarną, jeśli komisja uzna, że mógł się z tłumaczeniem wyrobić. Proszę mi wierzyć, że mało który się na takie ryzyko decyduje.

Czyli Naczyński, który ze swoim wieloletnim doświadczeniem te mechanizmy z pewnością znał, wiedziałby, że sąd nie uprzedzi go o nagłym tłumaczeniu. A zatem nie był w stanie wykluczyć, że w kopercie znajdowało się pismo do przełożenia.

- Mógł jeszcze przyjąć, że to ewidentna pomyłka, jeśli przeczytał akta.

Tym razem Kolonko musiał oznajmić, że nie rozumie.

- Przy nietypowych sprawach - zaczęła wyjaśniać starsza stażem sekretarka - po wezwaniu na ustne tłumacze czytają akta, żeby zapoznać się ze słownictwem. Jeśli Naczyński tak zrobił, wiedziałby o wcześniejszym udziale innego tłumacza i mógł pomyśleć, że sąd

postanowienie o płatności za te pisemne omyłkowo wysłał jemu, zamiast poprzedniemu tłumaczowi. Pracownicy sądów też są omylni, niektórzy nawet dosyć mocno.

Krytyczne spojrzenie na panią Błaszak nie pozostawiało wątpliwości, kogo dotyczy ostatnia uwaga.

Omyłka wprawdzie do porucznika niezbyt przemówiła, ale już pierwsza możliwość – że list zawierał dokument do tłumaczenia – sprawiała, że skala ryzyka rosła do poziomu, który dla przyszłego mordercy nie mógł być akceptowalny. Skądś musiał mieć pewność, że to odwołanie rozprawy. Tylko skąd? Przecież nie w kopercie nie było daty, na kiedy została przełożona.

Podziękował bez entuzjazmu i skierował się do wyjścia. Ilona Błaszak podążyła za nim z nareczem poczty. Kiedy porucznik to spostrzegł, przytrzymał jej drzwi.

– Pomogę pani!

Chciał od niej wziąć część listów, tworzących spory stos. Sekretarka sprzeciwiła się temu, ale nie słowami, lecz gestem, co spowodowało, że listy poleciały na podłogę. Kolonko rzucił się, żeby je pozbiierać. Zgarnął je i podał pani Błaszak, ale z nieskładnej masy jeden ponownie spadł na ziemię. Porucznik schylił się, podniósł go i zamarł.

– Co to jest? – wskazał na zwrotkę, która, przyklejona taśmą klejącą tylko do jednej krawędzi, opadła w dół, tworząc wraz z kopertą otwartą książeczkę.

– Zwrotka.

– Ale dlaczego przyklejona tylko tu?

– Żeby było szybciej. Dzisiaj jest więcej poczty niż zazwyczaj, nie wyrobiłabym się, gdybym miała przyklejać i z góry, i z dołu.

– Czyli to nie jest przeoczenie i robi pani tak częściej?

– Jeśli jest dużo poczty, tak. Normalnie nie, bo przy klejeniu tylko z jednej strony mimo wszystko może się urwać.

Kolonko rozpromienił się i po odłożeniu koperty na kupkę chwycił zaskoczoną dziewczynę za ramiona i odcisnął na jej czole siarczystego całusa. Ta, skonfundowana jego zachowaniem, ponownie upuściła wszystkie listy. Porucznik jednak już tego nie zauważył, bo oddalał się korytarzem, z lekka pogwizdując.

Tym razem Kolonko nie zlecił przyrowadzenia Naczyńskiego, lecz sam pojechał do aresztu śledczego na Grochowie i poprosił o widzenie z zatrzymanym.

– Musi pan zaczekać, poruczniku, papuga z nim rozmawia – oznajmił strażnik, nie siląc się na ukrywanie, z którym odwiedzającym sympatyzuje.

– Cóż, zaczekam. Sierżant przywiezie tu świadka, którego chciałbym skonfrontować z aresztantem. Wiem, że to trochę nietypowe...

Strażnik machnął ręką, dając jasno do zrozumienia, że nie ma nic przeciwko nietypowym procedurom, jeśli tylko pomogą dłużej trzymać rzeźmieszków za kratami.

– Papuga powinien zaraz wyjść, bo siedzi tam już tyle czasu, że chyba dupa mu w krzesło wrosła. Wtedy dobrze dla pana, bo dłużej trwałoby przyrowadzenie z celi.

Przewidywania strażnika się ziściły i nie minęło nawet pięć minut, jak dostał sygnał, że pierwsza wizyta dobiegła końca. Poprowadził Kolonkę do sali widzeń, która składała się z boksów, wyposażonych w przedzielające rozmówców kraty. Dopiero więźniowie po wyrokach mogli przyjmować gości przy zwykłych stolikach. Tłumacz siedział w jednej z klatek, mimo to przywitał Kolonkę szerokim uśmiechem.

– Nie powiem, że niespodzianka, bo w sumie się pana spodziewałem. Chce mi pan zmyć głowę za niedozwolone telefonowanie z komórki? Ups, przecież to była moja własna komórka!

Porucznik przysunął sobie krzesło i usiadł, ale się nie odezwał, spokojnie czekając na dalsze kpiny.

– A może chciałby pan kilku porad z zakresu kobiecej psychiki? Słyszałem, że był pan u Janiny i nic nie wskórał. Potęga miłości.

- Tak, spostrzegłem, że pana kocha. Szczęściarz z pana, nawet jeśli rodzina się od pana odwróci, ona będzie przychodziła z odwiedzinami do samego końca. Może nawet z wdzięczności odwzajemni pan jej uczucie i wcale nie będzie musiał udawać. Strażników czeka rozczulający widok: dwoje bezzębnych staruszków tulących się i całujących w sali widzeń.

Sarkazm, tak niepodobny do Kolonki, zbił Naczyńskiego z pantaląku, ale tylko na chwilę.

- Ha, ha, niezły pan jest. Rozgryzłem pana, ten cały arsenał sztuczek, który ma pan w zanadrku. Aktorstwo na miarę Oskara, kamuflaż lepszy niż u kameleona. Ale na nic się to panu nie zda, przegrał pan ze mną. Właśnie rozmawiałem ze swoim adwokatem, już złożył wniosek o uchylenie aresztu i mówi, że skoro Janina wycofała zeznania, sąd zwolni mnie jak amen w pacierzu. Bo nic na mnie nie macie.

- W sprawie usiłowania zabójstwa pani Cedro rzeczywiście nie.

Naczyński ponownie się uśmiechnął, nie kryjąc triumfu.

- Nie chce pan chyba wracać do sprawy Stypuły? Ja wiem, że pan uważa, że go zabiłem, ale nie zrobiłem tego. Zresztą pańskie przekonania są bez znaczenia, mam niepodważalne alibi.

- Ma pan sprytne alibi, ale niepodważalnym bym go nie nazwał.

- Odkrył pan metodę, jak udowodnić, że człowiek znajdował się jednocześnie w dwóch miejscach?

- Odkryłem, jak stworzył pan wrażenie, że znajdował się w sądzie w czasie, kiedy mordował pan swojego kolegę.

Naczyński założył ręce za głowę i odchylił się na krześle. Szwy ciemnozielonego więziennego uniformu napięły się pod pachami.

- Powiedzmy, że mnie to interesuje w charakterze czysto intelektualnej rozrywki. A zatem niby jak?

- Kiedy listonosz przyniósł panu pismo o odwołaniu rozprawy, wiedział pan, bez otwierania listu, co to jest.

- Niby skąd?

- Najpierw zidentyfikował pan sprawę...

- Przecież to niewykonalne.

- Tylko z pozorów. W sumie jest to dość proste, choć z początku bez porównywania z jakimś wykazem rzeczywiście wydawało mi się niemożliwe, a listonosz stanowczo zaprzeczał, by pan z takiego wykazu, czy to w telefonie, czy na papierze, korzystał. No, ale później poznałem pana lepiej. W kawiarni spostrzegłem, że ma pan doskonałą pamięć do liczb: zapamiętał pan, ile kosztowała moja drożdżówka, choć tylko rozważał pan wzięcie takiej samej. Po dokonaniu innego wyboru każdemu ta cena wyleciałaby z głowy. Zresztą chyba nikt nie pamięta dokładnych cen nawet własnego zamówienia, bo większość dokonuje wyboru potraw z akceptowalnego dla siebie przedziału, a wahania o złotówkę czy dwie nie mają już na to wpływu.

- Zapamiętałem, bo chciałem zapłacić za pana kartą i dostać trzy procent zwrotu.

- Nieprawdopodobne, by pomyślał pan o tym już przy zamówieniu, poza tym do tej operacji nie musiał pan wcale zapamiętywać ceny, wystarczyłoby ją później sprawdzić na rachunku.

Przez kilkanaście sekund porucznik czekał na replikę, a kiedy nie padła, kontynuował:

- Potem na poczcie zobaczyłem, że ma pan nawyk sprawdzania sygnatury akt, dzięki czemu odkrył pan błąd. Musiało to być pokłosie układu z listonoszem.

- Nawet przy dobrej pamięci do liczb i przy sprawdzaniu sygnatur nie byłbym w stanie skojarczy wszystkich - zaoponował tłumacz.

- Nie, gdyby pisma przychodziły z jednego sądu. Ale sam mi pan opowiedział, że rozrzut jest bardzo duży, że tłumaczenia zlecają panu różne instytucje, też spoza Warszawy. Czyli już nazwa zleceniodawcy zawęża panu zakres spraw, w przypadku danego sądu jest to wydział, z którego pismo przychodzi. Na poczcie zademonstrował pan, że automatycznie rozpoznaje pan, czy sprawa jest karna, cywilna czy gospodarcza. Pamiętał pan też, z jakich wydziałów były nieodebrane przesyłki, bo błędną zwrotkę zidentyfikował pan bez koperty. Wziąwszy to

pod uwagę, nawet częściowo zapamiętane numery muszą panu pozwalać na identyfikację spraw.

- Myślałem, że wpadł pan na mnie na tej poczcie przypadkiem.

- Poniekąd – uśmiechnął się Kolonko. – Zobaczyłem po drodze pański samochód i uznałem, że porozmawianie z panem w innym miejscu niż w domu, może dać mi dodatkowe informacje. Jak widać, nie pomyliłem się. Zwłaszcza że zanim się ujawniłem, mogłem dobrą chwilę pana poobserwować.

- Nawet jeśli zidentyfikowałem sprawę, musiałbym założyć, że sąd przysłał mi jakiś dokument do tłumaczenia, bo na kopercie nie było nowego terminu.

- Sam fakt, że jest pan tego pewien, ujawnia, że wiedział pan, co przyszło. A nowy termin był na zwrotce.

- Której listonosz nie oderwał, bo poprosiłem o odłożenie przesyłki. A bez odrywania nie mogłem go zobaczyć.

- Mógł pan, bo sekretarka przykleiła ją tylko jedną krawędzią. Robi tak, kiedy ma dużo poczty do nadania i kilka dodatkowych sekund przy jednej przesyłce przekłada się na długie minuty.

- Aha. I ona tak panu powiedziała? Że akurat przy tej przesyłce przykleiła zwrotkę jedną krawędzią? Czy też, proszę mnie poprawić, jeśli się myślę, że czasami nie przykleja na obu krawędziach?

- Nie myli się pan.

Naczyński ponownie uniół ręce za głowę, chociaż tym razem bardziej wyglądało to na gest triumfu niż rozluźnienia.

- To o czym my rozmawiamy? Nie potrafi pan mi udowodnić, że wiedziałem o przełożeniu rozprawy, a nawet gdyby pan udowodnił, to przecież niewiele z tego faktu wynika.

- A teraz się pan myli. Wynika bardzo wiele. Skoro pan wiedział o przełożeniu rozprawy, powstaje pytanie, w jakim celu pan na nią jechał i robił awantury, że pana o tym nie uprzedzono. A odpowiedź brzmi: żeby zapewnić sobie alibi na czas zabójstwa Stypuły.

- To nie jest dowód, że Stypułę zabiłem.

- Dowód nie – przyznał Kolonko. – Ale powstaje już logiczny i nierozzerwalny łańcuch poszlak, w połączeniu z motywem wystarczający, żeby skazać pana za morderstwo. Wydał pan dwa przekłady Stypuły jako swoje. Oczywiście mu ich pan nie ukradł, tylko je podzlecił. Kluczowym dowodem jest to, że teksty Stypuły są identyczne z opublikowanymi. Zauważyłem to niemal na samym początku, ale nie byłem wtedy jeszcze wprowadzony w wydawniczą kuchnię i nie zdawałem sobie sprawy, co z tego wynika. Że nie byłyby identyczne, gdyby pan robił korektę autorską po zredagowaniu książki przez Cymelię. W pańskiej wersji, że Stypuła był tylko kolacjonującym, jest luka. Po zrobieniu redakcji polonistycznej wydawnictwo odesłało panu tekst z prośbą o wskazanie, które poprawki pan przyjmuje, a które odrzuca. Fachowo mówiąc, do korekty autorskiej. Gdyby pan był tłumaczem i wykonał tę korektę, powstałaby w tym momencie rozbieżność między pańskim tekstem a tekstem w komputerze Stypuły, bo on na tym etapie nie brałby już udziału w pracach nad książką. Pan jednak tekst z poprawkami od wydawnictwa przekazał Stypule, żeby on się do nich ustosunkował jako rzeczywisty tłumacz. I dlatego wersja identyczna z opublikowaną znalazła się w jego laptopie.

- Co stałoby się również, gdybym wszystkie poprawki z redakcji odrzucił hurtem. A tak właśnie zrobiłem, bo posadzili do niej skończonego niedojdę.

- No cóż, przeczą temu słowa redaktora, który nad tym tekstem pracował: powiedział mi, że nie zetknął się w swojej karierze z takim przypadkiem, by tłumacz odrzucił en bloc wszystkie poprawki.

Takiej riposty Naczyński się nie spodziewał i po raz pierwszy w tej rozmowie stracił rezon. Porucznik to dostrzegł i poszedł za ciosem.

- Zakładam, że trzeciego tomu „Millennium” Stypuła nie chciał już tłumaczyć na pański rachunek. Tyle że nie poprzestał na rezygnacji, musiał grozić ujawnieniem, kto tak naprawdę jest autorem przekładów Larssona, czym podpisał na siebie wyrok śmierci.

Kolonko zamilkł i dłuższą chwilę czekał na odpowiedź aresztanta, a kiedy się jej nie doczekał, stwierdził:

- Znamienne, że nie protestuje pan, że ghostwriting jest dopuszczalny. Najwyraźniej tylko w przypadku publikacji książek pod własnym nazwiskiem, przekładów to już nie dotyczy.

Ponieważ Naczyński zdobył się jedynie na wzruszenie ramionami, porucznik ciągnął:

- W tamtą środę poszedł pan do niego, podczas gdy jakiś mimowolny współnik wiół pana samochód i komórkę w stronę sądu. To był ten rzekomy mechanik, wezwany do niby zepsutego samochodu żony. Jak się domyślam, ktoś, na kogo miał pan haka i przymusił szantażem do pomocy. Przy tłumaczeniu można natknąć się na różne wrażliwe informacje, a pan nie miałby skrupułów, by je wykorzystać.

Kolonko sięgnął po elektronicznego papierosa, ale zaraz go schował, jakby przypomniał sobie, że w tym miejscu zakazywano mu już palenia.

- Roztrzaskał pan Stypule głowę lampą, wziął samochód swojej żony, narzucił na siebie kurtkę mechanika i dotarł do sądu trzydzieści, czterdzieści minut po wyznaczonej godzinie rozprawy. Ale że została przełożona, nikt nie mógł tego stwierdzić. Wystarczyło zrobić awanturę, że przez złą organizację sąd marnuje panu czas, i żelazne alibi gotowe.

- Świetnie – oznajmił Naczyński. – Łańcuch rzeczywiście nierozzerwalny, szkopał w tym, że cały czas brakuje panu pierwszego ogniwa. Dowodu, że faktycznie dowiedziałem się ze zwrotki o przełożeniu rozprawy. Bez tego to czyste spekulacje. Sekretarka nie zezna w sądzie, że akurat ta zwrotka była przyklejona jedną krawędzią, bo zwyczajnie nie byłaby w stanie tego faktu zapamiętać. Listonosz też nie.

Kolonko nic na ten zarzut nie odparł, tylko gestem dał znak strażnikowi, który pilnował przy drzwiach, by więzień mimo krat nie zagroził odwiedzającemu. Strażnik skinął głową, zniknął i po dwóch minutach wrócił, prowadząc ze sobą... listonosza. W pełnym „rynsztunku bojowym”, to jest w uniformie i z torbą.

Zobaczywszy go, Naczyński zachnął się.

- Co to za kretyńskie zagrywki? Mam na jego widok przestraszyć się, że zapamiętał nieprzyklejoną zwrotkę, i do wszystkiego się przyznać?

- Proszę mi nie przypisywać takiej naiwności – uśmiechnął się łagodnie porucznik. – Zrobimy mały eksperyment. Na który będziemy musieli pana wypuścić z tej klatki. Da się? – z tym pytaniem zwrócił się do strażnika. – Wiem, że to trochę nietypowe...

Strażnik ponownie machnął ręką, co miało oznaczać, że w sprawie nietypowych procedur nie zmieniał zdania. Ale stanął na tyle blisko Naczyńskiego, by móc natychmiast zareagować, gdyby coś się działo.

- Bardzo dobrze – skwitował to porucznik, ale następne słowa ujawniły, że wcale nie myśli o potencjalnym niebezpieczeństwie. – Będzie pan świadkiem, proszę dobrze się przyglądać. Albo jeszcze lepiej, gdyby nagrał pan to na komórkę. Umie pan?

Strażnik przytaknął, że oczywiście.

Kolonko ustawił listonosza naprzeciwko Naczyńskiego.

- Chciałbym, żeby odebrał pan dwa listy polecane za potwierdzeniem odbioru. Tak, jak pan to zwykle robi. Sprawdziwszy najpierw, czy nie lepiej byłoby je odłożyć.

- A może ja nie chcę brać udziału w tym cyrku.

- Nie musi pan – przyznał porucznik. – Ale proponuję panu układ. Jeśli eksperyment nic nie dowiedzie, daję panu spokój, nie drażę dalej sprawy.

Odpowiedź na tę propozycję nie padła od razu, Naczyński wyraźnie bił się z myślami. Z jednej strony ryzykował, z drugiej miał szansę wygrać wolność. Kwestia, jak duże było ryzyko. Oszacowanie tego z pewnością nie mogło być proste, nie wiedział, do czego porucznik zmierza.

- Dobra – podjął w końcu decyzję.

Kolonko skinął na listonosza. Ten wyciągnął list z torby i podał Naczyńskiemu ze słowami:

- Bierzemy, panie Zenonie?

Naczyński obejrzał list z obu stron, po czym powiedział, że bierze, i oddał go listonoszowi. Ten oderwał zwrotkę, przyklejoną na obu krawędziach, położył ją na kontuarze, na którym opierała się kręta, i poprosił o podpis. Naczyński pokwitował odbiór. Potem powtórzył procedurę z drugim listem, tyle że tu zwrotka była przyklejona jedną krawędzią.

- Ma pan nagrane? – zapytał Kolonko strażnika.

- Co do sekundy, poruczniku.
- Znakomicie.

Po tej konstatacji nastąpiło dłuższe przeszukiwanie kieszeni prochowca, aż w końcu z jednej z nich porucznik wydobyl zafoliowaną zwrotkę.

- To jest ta od przełożonej rozprawy. Czy mógłby pan wyjaśnić, jak to się stało, że pańskie odciski palców lewej ręki znajdują się po obu jej stronach? Przeszła później wprawdzie przez wiele rąk, w tym i moje, bo w pierwszej chwili nie zorientowałem się, jakie ma znaczenie dla sprawy, ale na szczęście dla nas nikt pańskich odcisków nie zamazał.

- Chyba nie rozumiem – przyznał się Naczyński.

- Odebrał pan teraz dwa listy. Jeden miał zwrotkę przymocowaną przy obu krawędziach. Ustalając, czy go przyjąć, dotykał jej pan tylko z jednej strony, druga przylegała bowiem do koperty. List ze zwrotką przyklejoną tylko na jednej krawędzi rozłożył pan jak książeczkę, przy czym kopertę trzymał pan prawą ręką, a zwrotkę lewą. Co spowodowało, że odciski palców zostawił pan po obu jej stronach. Potem listonosz położył panu zwrotki do podpisu na blacie, tak jak robią to pracownicy na poczcie. Jako mańkut podpisał je pan lewą ręką, przytrzymując prawą, a następnie podał listonoszowi też prawą. Dokładnie tak samo postąpił pan, kiedy poprosiłem o autograf w książce, dedykację napisał pan lewą, a książkę oddał mi prawą ręką. Jak każdy mańkut używa jej pan w wielu sytuacjach, na przykład przy powitaniu czy zmienianiu biegów w samochodzie, bo zmusza was do tego świat zorganizowany pod praworęcznych. Ale skutek uboczny jest taki, że macie ją sprawniejszą niż praworęczni lewą. I jest to efektywne. Podpis lewą, podanie prawą, o sekundę szybciej, bo nie traci pan czasu na odłożenie wpiერw długopisu.

Naczyński milczał.

- Ponieważ z tą zwrotką, jako odbiorca korespondencji, miał pan styczność zaledwie dwukrotnie, odciski palców lewej ręki po obu jej stronach mógł pan zostawić tylko wtedy, gdy była przyklejona jedną krawędzią i gdy oglądał ją pan przy listonoszu, decydując się, czy przyjąć przesyłkę. A wówczas mógł pan przeczytać tekst z obu stron zwrotki i zobaczyć, że jest na niej podany nowy termin rozprawy. Wiedział więc pan o przełożeniu starej i mógł sobie przygotować żelazne alibi. *Quod erat demonstrandum.*

- Nie do końca – zaprzeczył Naczyński. - Nie może pan wykluczyć, że na poczcie jednak nie odłożyłem długopisu i nie podałem tej zwrotki pracownicy lewą ręką. Wtedy też zostawiłbym odciski po obu stronach.

- Mogę wykluczyć, czego właśnie dowiódł ten eksperyment. Człowiek ma to do siebie, że automatyzuje czynności, które musi wykonywać regularnie. A pan regularnie od lat odbiera listy z sądów na poczcie, chociaż listonosz zastaje pana w domu, bo chce pan opóźnić odbiór przesyłek. Pan Kaliniak obsługuje pański rewir od ośmiu lat, a przypuszczam, że i poprzedni listonosz nie miał nic przeciwko temu, by zostawiać awizo. Daliśmy panu dwie zwrotki do podpisania, a nie jedną, i obie, tak jak na poczcie, położone na blacie, choć normalnie listonosz oparłby je o torbę. I dwukrotnie postąpił pan dokładnie tak samo: podpis lewą ręką, oddanie zwrotki prawą. Kiedy spotkaliśmy się na poczcie i obserwowałem, jak odbierał pan listy, też zachował pan ten schemat. Trzeba naprawdę świadomego namysłu, żeby wyłamać się ze swojej rutyny i wykonać jakąś powtarzalną czynność inaczej. Zazwyczaj musi być po temu konkretny powód, a w tym przypadku takiego powodu pan nie miał, ani na poczcie, ani teraz w trakcie eksperymentu, bo nie wiedział pan, co chce wykazać. Do tego dochodzi jeszcze okoliczność, że możliwa jest sytuacja, że w ogóle nie musiał pan oddawać zwrotki pracownicy na poczcie. Nieraz podsuwają zwrotkę na stojąco i same ją zabierają.

Na Naczyńskim ten wywód zrobił duże wrażenie. Pobladł i przytrzymał się ręką kraty, jakby bał się, że upadnie.

- To był szantażysta! – wybuchnął. - Tak jak i ta pizda! Oboje myśleli, że mogą mnie bezkarnie szantażować. Pomylili się!

- Szantaż nie usprawiedliwia morderstwa – zauważył spokojnie Kolonko. - Zresztą sam się pan do niego posuwał.

- Ja? Co pan bredzi?

- Mówię o tym rzekomym mechaniku, który zawiózł pańskiego lexusa do sądu.

- Nikogo nie szantażowałem, człowieku, to był gość podwożący ludziom samochody po imprezach. Zwyczajnie go wynająłem.

- A dlaczego sprzątaczką wzięła go za mechanika?

- Bo mechanika się spodziewała, a on powiedział, że przyjechał po samochód. Proste.

- Gdyby odbyli dłuższą rozmowę, wydałoby się, kim jest – zauważył Kolonko.

- On się śpieszył, ona jest mruk, dłuższa rozmowa była nieprawdopodobna.

Porucznik rozważył to wyjaśnienie, szczypiąc swój kilkudniowy zarost.

- O tym nie pomyślałem i dlatego obstawiłem kogoś, kto z panem świadomie współpracował, choć nie dobrowolnie.

Naczyński uniósł głowę, jakby sprawiło mu satysfakcję, że chociaż w jednym punkcie porucznik go nie zdemaskował.

- Ale i tak pan wygrał. Muszę się przyznać, że pana nie doceniłem.

Z twarzy Kolonki dało się odczytać wręcz coś w rodzaju ubolewania.

- Proszę się nie przejmować, nie był pan pierwszy.

- Trudno się nie przejmować, kiedy będzie mnie to kosztowało co najmniej dwadzieścia pięć lat.

- Myślę, że za jakiś czas spojrzy pan na to inaczej. Dojdzie do wniosku, że uniknięcie kary wcale nie byłoby dobre. Że porządek tego świata zostałby zachwiany, gdyby mordercy nie trafiali do więzienia.

- Nie jestem jakimś tam pospolitym mordercą! – zaprotestował gwałtownie Naczyński.

- To postrzeganie też powinno się panu zmienić. Zabił pan człowieka, jest pan mordercą. Nie da się tego inaczej zdefiniować, bez względu na to, jak bardzo by się pan wybielał.

Tym razem tłumacz nie zareplikował.

- Proszę mi powiedzieć, co się dokładnie między panem a Stypułą wydarzyło, że go pan zabił?

Naczyński spełnił prośbę, Kolonko wysłuchał jego opowieści w milczeniu, po czym oznajmił:

- Chciałbym powiedzieć, że zatrzymuję pana pod zarzutem zamordowania Witolda Stypuły, ale już pan siedzi w areszcie. Wystąpimy oczywiście o formalne aresztowanie za zabójstwo, żeby nie wyszedł pan na wolność, jeśli w sprawie Janiny Cedro sąd zgodzi się na zwolnienie. Choć pośrodku przed chwilą przyznał się pan, że do niej strzelał.

Tłumacz pokiwał głową.

- Tak, tak, przyznaję się. Teraz to już bez różnicy.

- A czym ona panu zawiniła?

- Wycofała się z umowy, że zrobi dla mnie tłumaczenie „Zamku” i chciała go opublikować pod własnym nazwiskiem. Żeby się na mnie odegrać za to, że z nią zerwałem.

- Czyli mieliście romans?

- Niech będzie, że można to nazwać romanssem.

Lekko pchnięty przez strażnika, Naczyński skierował się do drzwi. Przed wyjściem na korytarz obrócił się jednak do Kolonki.

- Proszę mi powiedzieć, co by było, gdybym wtedy, siódmego września, kiedy sprawdzałem, czy wziąć przesyłkę, chwycił kopertę lewą ręką, a zwrotkę prawą? Bo to jednak przypadek, że złapałem odwrotnie.

- Nie udowodniłbym panu morderstwa, w każdym razie nie w ten sposób. Bo wtedy wyjaśnienie, że odciski palców po obu stronach zwrotki pojawiły się dopiero, gdy oddawał pan ją pracownicy na pocztę, byłoby nie do obalenia. Z kolei właśnie dlatego, że to przypadek, nie miało znaczenia, jak złapie pan kopertę i zwrotkę w czasie eksperymentu. Istotne było, czy tę ostatnią odda pan listonoszowi prawą ręką.

Strażnik niemal wypchnął Naczyńskiego za próg, ale ten miał jeszcze jedno pytanie.

- Od kiedy wiedział pan, że to ja?

- W zasadzie od samego początku. Zemsta gangu narkotykowego była nieprawdopodobna nie tylko ze względu na sposób działania mordercy, lecz także charakter Stypuły. Opisał go pan jako człowieka trudnego, który na pierwszym miejscu stawia zasady, nawet jeśli na tym tracił. Ktoś taki nie sprzeciwi się swoim pryncypiom dla pieniędzy. A tym bardziej nie popełni

przestępstwa, jeśli przy znacznie mniejszych ustępstwach wobec swoich zasad, przy lekkim kompromisie, jest w stanie całkiem sporo zarobić. A pański przykład pokazywał, że Stypuła takie możliwości miał. Czyli było jasne, że prawdziwy morderca usiłował podsunąć nam fałszywy trop. Ale tylko w ten sposób się pan zdemaskował, bo ten trop mógł podsuwać wyłącznie ktoś, kto wiedział u udziale Stypuły w podsłuchiowaniu gangu narkotykowego. A takich ludzi spoza służb było zaledwie dwoje: pan i Marek Rzepecki, drugi tłumacz pracujący przy tej sprawie.

- A jak wykluczył pan Rzepeckiego?

- Sprzedawca amfetaminy nie za bardzo potrafił opisać nabywcę, ale jeden charakterystyczny szczegół podał: człowiek stroniący od sportu. Tymczasem Rzepecki zaliczył już dwa maratony i w czasie, kiedy zabito Stypułę, trenował do trzeciego. Poza tym pan usłudźnie z miejsca poinformował mnie, że Stypuła przy tych podsłuchach pracował. Bardzo chciał pan nas skierować na ten fałszywy trop i nie pomyślał, że nie ma siły, byśmy sami nie ustalili tego w trakcie śledztwa. Względnie nie chciał pan na to czekać, by śledztwo jednak nie poszło w innym kierunku. Tyle że w ten sposób ujawnił mi pan swoją wiedzę o tym, czym Stypuła się zajmował. Samemu się odślaniając, bo nie miałem szansy dowiedzieć się z innego źródła, że pan ją ma. Udawanie, że narkotyki w mieszkaniu łączy pan z popadnięciem Stypuły w nałóg, też było mało zgrabne. Zbyt grubymi nićmi szyte przeoczenie tej możliwości, którą chciał pan nam sprzedać jako morderca.

- Nie wyszło mi z tym podłożeniem narkotyku - przyznał niemal markotnie Naczyński. - I jeszcze taką kasę na niego na darmo wydałem.

- Nie wyszło - potwierdził Kolonko. - Dojście do pana okazało się banalnie łatwe, prawdziwe schody zaczęły się później: nie wiedziałem jak ani dlaczego. Miał pan wydawałoby się niepodważalne alibi, za to żadnego wyraźnego motywu.

- Jak więc się pan domyślił, że chodziło o przykład „Millennium”?

- Na podstawie waszej korespondencji mailowej.

- Jakim cudem? Przecież w ogóle nie mailowaliśmy na ten temat.

- I to właśnie było podejrzane. Omawialiście w mailach wszystkie możliwe sprawy, ale rzekomego kolacjonowania nie. Przyznam się, że nie od razu to zauważyłem. Szukałem w mailach jakiegoś punktu zaczepienia i koncentrowałem się na tym, co w nich pisaliście, tymczasem kluczem było to, czego w nich brakło. Ani słowa o książce Larssona, jakby nie istniała. Wyraźnie chcieliście spuścić na nią zasłonę milczenia, a w takich przypadkach zwykle kryje się pod tą zasłoną coś ciekawego. Poszedłem tym tropem i zbierałem kolejne punkty, które potwierdzały, że byłem na właściwym. Na przykład nie potrafił pan wiarygodnie wyjaśnić, dlaczego nie opatrzył pan autografem egzemplarza podarowanego Stypule. Rzekomo nie zakładał pan, że tłumacze mogą podpisywać książki, ale na moją prośbę o autograf zareagował pan tak, jakby to było oczywistością, a wątpliwości należałoby uznać wręcz za obraźliwe.

- Tak - przyznał Naczyński. - Chyba nieźle broniłem się przed pana zasadzkami, ale na tę dobra odpowiedź przyszła mi do głowy dopiero później: że nie dałem mu autografu, bo nie ostrzegaliśmy tej książki jako prezent, tylko jako egzemplarz należny współpracownikowi.

- Nawet kiedy pan odpowiadał zgodnie z prawdą, posuwałem się do przodu. Na przykład kiedy wyjaśnił pan, że po prostu nie pomyśleliście o tym, by podać nazwisko Stypuły w książce. Ale dlaczego nie pomyśleliście? Bo mieliście w tyle głowy, że jego rolę trzeba ukryć.

Zadowolony z siebie Kolonko pokiwał głową, po czym dodał:

- Oczywiście trochę trwało, zanim rozgryzłem, co i jak z tym przykładem, bo z początku nic nie wskazywało, by było inaczej, niż pan mówił. Stypuła na przykład nie napisał, że przetłumaczył te książki, choć na swój użytek w swoim komputerze mógł to zrobić. Inna sprawa, że pośpiech nic mi nie dawał, bo musiałem obalić pana alibi, a to było znacznie trudniejsze niż odkrycie motywu.

Epilog

Na ganku kremowej willi w stylu włoskim młody człowiek palił papierosa, co jakiś czas sprawdzając godzinę na komórce. Kiedy miał go zagasić i wrócić do środka, jego uwagę przykuł niewysoki mężczyzna w pomiętym piaskowym prochowcu, zbliżający się do furtki.

- Witam pana porucznika - zawołał, gdy ten wszedł na dziedziniec. - W naszej firmie aż huczy od plotek o zamknięciu tego tłumacza.

- Tylko w państwa wydawnictwie - zauważył Kolonko, kiedy stanął na ganku. - Zeznawałem dzisiaj na procesie, ani jednego dziennikarza.

- Co pan chce? Tłumacze literaccy to nie jest grupa zawodowa, która porusza wyobraźnię publiki, a jeśli coś nie interesuje publiki, to dziennikarzy też nie będzie interesowało.

- Ale chodzi o tłumaczy bestsellera. Stieg Larsson i „Millennium” są na ustach wszystkich, więc taki dramat rozgrywający się na tle przekładów na polski powinien być chyba wystarczającą sensacją, by o niej pisać.

- A zadzwonił pan do jakiejś gazety, żeby o tym dramacie opowiedzieć?

- Ja? - zdumiał się porucznik. - Ależ skąd! Przecież to byłoby złamanie tajemnicy zawodowej.

- Widzi pan. Pan jest porządny, a kiedy ludzie są porządni, to dziennikarze, podobnie jak adwokaci, nie mogą pracować - stwierdził nieco sentencjonalnie redaktor. - Skąd mają wiedzieć, co się wydarzyło? Zwłaszcza że w książce nadal widnieje nazwisko Naczyńskiego.

- No, właśnie, dlatego tu jestem. Dwa dni temu byłem w księgarni, z ciekawości zajrzałem do trylogii, i chociaż w trzeciej części jest podane, że przełożyła ją Janina Cedro, to w pierwszych dwóch nie zmieniliście państwo Naczyńskiego na Stypułę. Dlaczego?

- Po pierwsze dla kasy, po drugie dla kasy.

Kolonko gestem rąk wyraził całkowite niezrozumienie, ale redaktor i bez tego zdawał sobie sprawę, że jego odpowiedź była zbyt skrótowa, i sam zaczął szczegółowo wyjaśniać, bez dodatkowych pytań.

- Spora część to jest nakład wypuszczony jeszcze, zanim się dowiedzieliśmy, kto naprawdę przełożył książkę. Nikt tego nie wycofa i nie zmieli tylko dlatego, że na stronie tytułowej jest nazwisko niewłaściwego tłumacza. Większość czytelników przecież na nie nawet nie spojrzy.

- Pan mówi część, a dlaczego w nowszych dodrukach jest tak samo? Zmiana strony tytułowej byłaby kosztowna?

- Ani trochę. Podmieniamy jeden pdf na drugi. Kosztowny byłby proces.

- Jaki proces?

- Który zapowiedział nam Naczyński. Jego adwokat wysmażył pisemko i zagroził, że jeśli wycofamy nazwisko Naczyńskiego z książki, pozwie wydawnictwo o słone odszkodowanie za naruszenie praw autorskich. Naczelną się wściekł, przez pół dnia się rzucał i perorował jak to „tego oszusta załatwi”, ale podwinął ogonek. Boi się procesów, bo, jak wspomniałem panu poprzednio, parę już przerznął, a był święcie przekonany, że autorzy albo w ogóle nie odważą się mu ich wytoczyć, albo przegrają z kretesem. A teraz nawet przy swoim przekonaniu, że zjadł wszystkie rozumy i zawsze ma rację, musi dostrzegać, że stoi na straconej pozycji. Nie jest w stanie udowodnić, że to Stypuła przełożył książkę, a nie Naczyński.

- Jak to nie? - zdziwił się porucznik. - Przecież Naczyński się przyznał.

- Do czego?

- Do morderstwa. I ujawnił przy tym motyw: Stypuła przełożył dwie książki na jego konto, ale trzecią chciał wydać pod własnym nazwiskiem i groził Naczyńskiemu demaskacją, jeśli się na to nie zgodzi.

- Na rozprawie tak zeznał?

Kolonko pokręcił głową.

- Nie, na rozprawie milczy. Opowiedział mi o tym, kiedy go aresztowałem.

- Super! Naczelnemu nie kibicuję, otwierałbym szampana przy każdej jego porażce, gdyby mi na tego szampana z mojej nędznej pensji zostawało, ale cieszę się, że Stypule zostanie oddana sprawiedliwość. Gdzieś można dostać protokół tego zeznania?

Zaambarasowana mina porucznika ujawniła, że będzie z tym kłopot.

- Obawiam się... cóż, protokoły zostawiam zwykle na później, a później...

- On już wziął sobie adwokata i tego nie powtórzył? - domyślił się redaktor.

- Właśnie tak.

Krótkie, niezbyt dosadne przekleństwo, nie wiadomo tylko, czy odnoszące się do zaniechania Kolonki, czy do postępowania mordercy, wystarczyło za cały komentarz.

- Mimo to można udowodnić, że Stypuła jest autorem przekładu - powiedział porucznik, po czym zreferował, jak do tego doszedł w śledztwie.

- Wywód brzmi sensownie, ale trafi tylko do kogoś, kto potrafi precyzyjnie i logicznie myśleć. Co wśród sędziów wcale nie jest normą i naczelny o tym wie. Paradoksalnie akurat dzięki temu, że jeden proces wygrał. Dopisał do tytułu powieści podtytuł, na który autorka się nie zgadzała, a w sądzie wciskał kit, że to nie podtytuł, tylko hasło reklamowe. I sędzia mu to uznał, chociaż przeczyły temu wszystkie fakty i właśnie logika. Pisarka po ogłoszeniu wyroku popłakała się z bezsilności, takiej, wie pan, kiedy nie możesz nic poradzić na to, że komuś bezkarnie uchodzi twierdzenie, że białe jest czarne, a czarne białe. A Drukarczyk wcale w wydawnictwie nie krył się z tym, że wygrał dzięki głupocie sędziego.

- Mocne słowo - zauważył Kolonko.

- Ale pasujące. Dlatego nie będzie walczył o Stypułę, na nim mu nie zależy, głównie chciałby odegrać się na Naczyńskim, którego nie znosi, ale jeśli ocenia, że może polec, nie wstąpi w szranki. I, jak mówiłem, akurat w tym przypadku ocenia trafnie. Sytuacja wyglądałaby inaczej, gdyby rzeczywisty autor przekładu, czyli Stypuła, żył, gdyby on sam zażądał od wydawnictwa sprostowania. No, ale Naczyński go zamordował. I przykre to, ale chyba w ten sposób skutecznie przeszkodził w ujawnieniu, komu Polacy zawdzięczają dwa pierwsze tomy „Millennium”.

Obaj mężczyźni pogrążyli się w zadumie, dlaczego podłe czyny opłacają się ich sprawcom.

* H. Nesser, *Karambol*, przeł. P. Pollak, Warszawa: Wyd. Jacek Santorski & Co Agencja Wydawnicza 2007, s. 104–105.

** L. Staff, *Radość i smutek szczęścia i chwili*, w: *Wybór poezji*, Wrocław: Zakład Narodowy im. Ossolińskich 1985, s. 67.